REPORTAŻ

Rob Schmitz

ULICA WIECZNEJ SZCZĘŚLIWOŚCI

O czym marzy Szanghaj

W serii ukazały się ostatnio:

Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie* (*nad*)*opiekuńczym*

Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki*

Paweł Smoleński *Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew*

Albert Jawłowski *Milczący lama. Buriacja na pograniczu światów*

Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego* (wyd. 2)

Mariusz Szczygieł *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (wyd. 3)

Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 2)

Wojciech Górecki *Toast za przodków* (wyd. 2)

Jonathan Schell *Prawdziwa wojna. Wietnam w ogniu*

Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz* (wyd. 3)

Janine di Giovanni *Tamtego ranka, kiedy po nas przyszli. Depesze z Syrii*

Wolfgang Bauer *Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki*

Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 2)

Bartek Sabela *Afronauci. Z Zambii na Księżyc*

Anna Pamuła *Polacos. Chajka płynie do Kostaryki*

Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 3)

Cezary Łazarewicz *Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza*

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 2)

Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 4)

William Dalrymple *Dziewięć żywotów. Na tropie świętości we współczesnych Indiach* (wyd. 2)

Barbara Demick *Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 2)

Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 2)

Ben Rawlence *Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców*

Dariusz Rosiak *Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha*

Jean Hatzfeld *Więzy krwi*

Aleksandra Boćkowska *Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL*

Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe*

Ewa Winnicka *Był sobie chłopczyk*

Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka* (wyd. 3)

Paweł Smoleński *Syrop z piołunu. Wygnani w akcji „Wisła”*

Marcin Kącki *Poznań. Miasto grzechu*

Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem*

Tomasz Grzywaczewski *Granice marzeń. O państwach nieuznawanych*

Cezary Łazarewicz *Koronkowa robota. Sprawa Gorgonowej*

Zbigniew Rokita *Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium*

Swietłana Aleksijewicz *Czarnobylska modlitwa. Kronika przyszłości* (wyd. 4)

David I. Kertzer *Porwanie Edgarda Mortary. Skandal, który pogrążyłPaństwo Kościelne*

Rana Dasgupta *Delhi. Stolica ze złota i snu* (wyd. 2)

Karolina Bednarz *Kwiaty w pudełku. Japonia oczami kobiet*

Paweł Smoleński *Królowe Mogadiszu*

W serii ukażą się m.in.:

Marek Szymaniak *Urobieni. Reportaże o pracy*

Ola Synowiec *Dzieci Szóstego Słońca. W co wierzy Meksyk*

Rob Schmitz

Ulica Wiecznej Szczęśliwości

O czym marzy Szanghaj

Przełożyła Hanna Pustuła-Lewicka

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2018

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Street Of Eternal Happiness: Big City Dreams Along a Shanghai Road*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Wangwukong / Getty Images

Copyright © by Rob Schmitz, 2016
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2018
Copyright © for the Polish translation by Hanna Pustuła-Lewicka, 2018

Redakcja Marta Höffner
Konsultacja sinologiczna Maurycy Gawarski
Korekta Anna Zygmanowska / d2d.pl, Ewa Ostafin / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl
ISBN 978-83-8049-711-5

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
1 CK i system
2 Lepsze miasto, lepsze życie
3 Gorąco i głośno
4 Reedukacja
5 Pudełko z listami
6 Plan szybkiego wzbogacenia się cioci Fu
7 Ile kosztuje narzeczona
8 Kulturalna młodzież
9 Zawłaszczone marzenia
10 Ucieczka
11 Zero ryzyka
12 Wiejskie wesele
13 Pielgrzymka CK
14 Dom
15 Chińskie sny
Podziękowania
Źródła
Przypisy
Kolofon

Dla Lenory, Rainera i Landona

1 CK i system

长乐路810号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 810

Ulica Wiecznej Szczęśliwości ma trzy kilometry długości. W zimie przez plątaninę nagich gałęzi drzew można dostrzec charakterystyczną panoramę, wizytówkę tego miasta: drapacze chmur Jin Mao Tower, Shanghai World Financial Center i Shanghai Tower. Trójka gigantów, wyższych od nowojorskiego Empire State Building, wznosi się w sąsiadujących ze sobą kwartałach ulic.

Ludzie pod drzewami są zbyt zajęci, by podziwiać widoki. To pierwszy dzień życia dzieci urodzonych w Klinice Położniczej numer 1 przy środkowym odcinku ulicy. Dla kilku pacjentów oddziału ratunkowego szpitala Huashan na jej zachodnim krańcu będzie to dzień ostatni. Pomiędzy tymi dwoma punktami kipi życie we wszystkich swoich przejawach: brodaty żebrak siedzi na chodniku i gra na bambusowym flecie; mijają go trzymające się za ręce pary zakochanych; na jezdni dwóch kierowców, gestykulując gwałtownie, kłóci się, kto w kogo wjechał; trąbią samochody, w ostatniej chwili zjeżdżając na sąsiedni pas, żeby na nich nie wpaść; grupka uczniów w szkolnych mundurkach przygląda się awanturze; staruszka z laską krzyczy na sprzedawcę, oburzona ceną liczi; nieprzerwany strumień przechodniów prze do przodu, przedzierając się przez kłęby pachnącej cząbrem pary ze straganu z pierożkami z wieprzowiną i słodkawe opary spalin znad jezdni. Życie tutaj jest głośne, brudne i bezpośrednie.

Na mapie ulica Wiecznej Szczęśliwości jest malutkim zawijasem na południowy zachód od placu Ludowego, centralnego punktu Szanghaju. Mój dom znajduje się na zachodnim koniuszku tego zawijasa. Okna mieszkania wychodzą na baldachim zielonych liści, który przez znaczną część roku zdaje się unosić dwa piętra nad ziemią. W dole jedynymi żywymi istotami, które trwają w bezruchu, są platany. Przez całe ranki śmigam zygzakiem pomiędzy

ich pniami, przeskakując z chodnika na jezdnię i z jezdni na chodnik w ciżbie przechodniów rywalizujących o miejsce w cieniu.

Niewiele ulic w Chinach może poszczycić się równie pięknymi drzewami. W weekendy gwarny tłum ludzi pracy zastępują turyści z innych części kraju. Wymierzają obiektywy aparatów fotograficznych w długie szeregi konarów, podziwiają ich egzotyczne piękno. Platany zasadzili Francuzi w połowie XIX wieku, kiedy Europejczycy i Amerykanie podzielili miasto na zagraniczne koncesje. Od tego czasu minęło prawie sto lat – Francuzów już nie ma, ale drzewa pozostały. Japończycy zbombardowali Szanghaj i przez kilka lat go okupowali, ale w końcu oni też odeszli, nie czyniąc krzywdy posadzonym przez Francuzów platanom. Po Japończykach przyszli komuniści. Rewolucja kulturalna Mao Zedonga i walka klas pochłonęły miliony ofiar, ale drzewa przetrwały. Dziś jest to kapitalistyczna ulica, pełna restauracji i sklepów. Wędrując jej chodnikiem, czasem dostrzegam przez szpary w zamkniętych bramach zniszczone domy w europejskim stylu. Myślę wtedy o nieubłaganym wirze historii, który się przez nią przetoczył. Ulica Wiecznej Szczęśliwości widziała świetność imperium i jego upadek oraz powstanie nowego. Tylko drzewa się nie zmieniły.

Dopiero po trzech latach mieszkania na ulicy Wiecznej Szczęśliwości odkryłem barek kanapkowy Chen Kaia. Znajdował się w tym samym kwartale co moje mieszkanie, nad małym butikiem, ale w ciepłe, letnie miesiące nie było go widać z chodnika, bo zakrywały go zielone korony platanów. Do kafejki z sięgającymi sufitu oknami wiodły wąskie spiralne schody. Za szybami wiatr kołysał ścianą liści osłaniającą lokal od zgiełku szanghajskiej ulicy.

Czasem Chen, znany jako CK, stał za kontuarem i chudymi palcami dopieszczał kanapkę albo nadawał ostatni szlif deserowi. Jego młodzieńczą, pokrytą trądzikiem twarz zasłaniała wtedy grzywa czarnych włosów. Albo odrzucał do tyłu włosy, machinalnym gestem wysuwał z ekspresu filiżankę wrzącej kawy i stawiał ją przed klientem. Najczęściej jednak lokal świecił pustkami. „To nic – mówił sobie Chen – potrzeba trochę czasu, by interes się rozkręcił. Tak to jest z marzeniami”. Siadał wtedy w niedbałej pozie na

stołku barowym, tyłem do ściany liści, i błyskawicznie przechodząc z jednego chińskiego dialektu na drugi, prowadził przez telefon swój drugi biznes: sprzedaż akordeonów.

Pomysł otwarcia barku kanapkowego był efektem wizyty w jednym z takich lokali w Chicago, podczas jedynej – jak dotąd – wyprawy C K do Stanów Zjednoczonych. Amerykanin nie dostrzegłby tam nic nadzwyczajnego, ale C K się zachwycił i postanowił przyswoić to doświadczenie chińskiej branży gastronomicznej. Trochę tak jak Amerykanin, który wraca z Chin zainspirowany straganem z kluskami, tyle że na odwrót. Tego rodzaju na pozór lekkomyślne podejście wykazywało wielu drobnych przedsiębiorców, których poznałem na ulicy Wiecznej Szczęśliwości. W mieście tak wielkim i bogatym jak Szanghaj można było sprzedać wszystko, jeśli tylko człowiek odpowiednio się do tego przyłożył.

C K miał nadzieję, że pewnego dnia chałupniczy barek kanapkowy na piętrze stanie się jego głównym źródłem utrzymania. Wszedł w spółkę z kolegą i zainwestował w lokal oszczędności zgromadzone przez kilka lat sprzedawania akordeonów. Marzyło im się miejsce, które przyciągnie młodych muzyków i artystów, takich samych jak oni.

– Pewnego dnia pomyślałem, że może uda się zebrać ich wszystkich razem i coś wspólnie zrobić – zwierzył mi się CK. – Chciałbym znaleźć ludzi, którzy też chcą się wyrwać ze szponów systemu, podobnych do mnie niezależnych przedsiębiorców z własnymi pomysłami na sztukę, projektowanie mody i wiele innych branż.

Dzięki takim ambicjom spacer po ulicy Wiecznej Szczęśliwości jest fascynującym przeżyciem: po obu stronach wąskiej jezdni tłoczą się sklepiki i kafejki zrodzone z marzeń zapaleńców i autsajderów, którzy próbują wybić się w wielkim mieście.

Nie było to wcale łatwe. Ani CK, ani jego przyjaciel Maks nigdy nie pracowali w restauracji, a tym bardziej nie byli *właścicielami* takiego biznesu. Poznali się w 2011 roku w sklepie z zabytkowymi aparatami fotograficznymi na terenie dawnej koncesji francuskiej, gdzie C K zatrudnił się na część etatu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o fotografii. Mieli za to doświadczenie w prowadzeniu własnego biznesu. Dużo rozmawiali w czasie

wspólnych dyżurów za ladą i doszli do wniosku, że obaj mają błyskotliwe podejście do tworzenia i sprzedawania produktu. W końcu C K przekonał Maksa, by wszedł z nim w spółkę, i razem otworzyli bar kanapkowy.

Nazwali go Twoja Kanapka. Znajdował się dwie przecznice od ruchliwej stacji metra, w cieniu czterdziestopięciopiętrowego drapacza chmur, który codziennie w południe wypluwał setki pracowników biurowych szukających szybkiego lunchu. Ale nikt nie widział Twojej Kanapki. Zasłaniały ją platany. Idący w pośpiechu ulicą Wiecznej Szczęśliwości nie patrzyli w górę przez baldachim liści.

Przemianowali więc lokal na I Piętro – podpowiedź dla przechodniów, żeby podnieśli wzrok. Pod nową nazwą widniały słowa „Twoja Kanapka", napisane drobniejszą czcionką. Zatrudnili również nowego szefa kuchni, dobudowali bar z drinkami i obsesyjnie ulepszali kartę dań. Któregoś dnia odwiedziłem CK w jego mieszkaniu i zauważyłem w kącie stos tabletów.

– Menu dotykowe! – poinformował mnie z dumnym uśmiechem.

Widocznie uznał, że takie banalne, nieinteraktywne menu *muszą* być powodem, dla którego I Piętro nie przyciąga iPokolenia.

CK stworzył firmę sprzedającą akordeony, która szybko zaczęła przynosić dochody, ale w roli początkującego restauratora wykazał się naiwnością. W porze lunchu potencjalni klienci, w większości pracownicy biurowi, którym ledwo starczało na czynsz, zwykle wybierali tanie, lokalne jedzenie i woleli gorące dania, od których oddzielała ich długość pałeczek. W następnych miesiącach C K dostosował się do realiów. Wprowadził zestawy obiadowe w przystępnych cenach i podrasował ofertę kanapkową. Nie martwił się o przyszłość barku. Sprzedaż akordeonów zapewniała stały dochód, zresztą uważał się za szczęściarza, ponieważ mógł zarządzać obydwoma biznesami z własnej kafejki, niczym zaradna wiewiórka składająca orzechy na zimę w przytulnej dziupli na drzewie.

Bar z kanapkami był świętym świętych, wewnętrznym sanktuarium. Dzielnica powstała jako azyl dla autsajderów. Po przegraniu pierwszej wojny opiumowej 1842 roku dynastia Qing przekazała pewne obszary w Szanghaju i innych chińskich miastach portowych zachodnim mocarstwom

kolonialnym. Tę część miasta zajęli Francuzi. Przeobrazili poletka ryżowe w ekskluzywną dzielnicę mieszkalną i w 1849 roku założyli koncesję francuską, w której przez lata znajdowały schronienia kolejne dyskryminowane grupy ludności. W 1860 roku Francuzi przyjęli kilkadziesiąt tysięcy Chińczyków uciekających przed powstaniem tajpingów, krwawą chłopską rebelią przeciwko panującej dynastii. Pod egidą Francuzów kwitły teatry, kina i sale taneczne, źle widziane przez zmieniające się nieustannie chińskie władze miasta. Wkrótce ulokowały się tu także kościoły, świątynie i meczety.

W oczach partii komunistycznej, która w 1949 roku przejęła władzę w kraju, cudzoziemskie koncesje były upokarzającym symbolem obcej agresji. Komunistycznym propagandzistom umknął fakt, że w 1921 roku dwudziestoośmioletni Mao Zedong spotykał się z innymi młodymi radykałami w budynku pensji dla panien w sercu koncesji francuskiej i właśnie tam zwołał pierwszy kongres Komunistycznej Partii Chin. Mao i jego towarzysze wybrali to miejsce, ponieważ od dawna zapewniało bezpieczny azyl zagrożonym grupom. Na terenie koncesji francuskiej łatwiej było uniknąć dekonspiracji i aresztowań niż w części miasta kontrolowanej przez Chińczyków. Wyłapanie komunistów i postawienie ich przed sądem zniweczyłoby ich szanse na przejęcie, ćwierć wieku później, władzy i historia Chin potoczyłaby się zupełnie inaczej.

Francuzi zbudowali swoją dzielnicę na wzór typowej paryskiej *arrondissement*. Wzdłuż wąskich, krętych bulwarów posadzili drzewa, które miejscowi do dziś nazywają *Faguo wutong*, „francuską paulownią”, chociaż nie należą do gatunku paulownia i mają niewiele wspólnego z Francją. Podobnie jak cała skomplikowana historia Szanghaju są znacznie bardziej kosmopolityczne: to platany londyńskie (klonolistne), hybrydy platana wschodniego, pochodzącego z centralnej Azji, z amerykańskim platanem zachodnim. Pierwsza wzmianka o platanie londyńskim pochodzi z Hiszpanii.

Platany klonolistne rozsławił baron Georges Eugène Haussmann. Dziewiętnastowiecznego urbanistę zachwyciły bujne korony tych drzew i kiedy przeobrażał stolicę Francji z chaotycznej plątaniny wąskich uliczek w system połączonych szerokimi alejami dzielnic, kazał obsadzić nimi cały

Paryż. Wkrótce rozpowszechniły się na wszystkich kontynentach. Do dziś królują na ulicach światowych metropolii – od Rzymu przez Sydney po Nowy Jork. Liść platana londyńskiego, podobny do liścia klonu, jest oficjalnym emblematem nowojorskiego zarządu parków.

Dwie trzecie drzew w Szanghaju to platany klonolistne. Urbaniści nazywają je „superdrzewami" z powodu płytkiego systemu korzeni i odporności na smog, skrajne temperatury oraz szkodniki. Rosną w odstępach od pięciu do siedmiu metrów i są regularnie ogławiane, co hamuje ich wzrost i kieruje gałęzie w stronę konarów drzew po przeciwnej stronie ulicy, z którymi splatają się, tworząc ciemne tunele. Zielone sklepienie na wysokości pierwszego albo drugiego piętra zapewnia przechodniom osłonę przed palącymi promieniami letniego słońca i gwałtownymi burzami znad Morza Wschodniochińskiego.

Paryski układ ulic i platany przetrwały w Szanghaju do dzisiaj. Kiedy w 2010 roku zamieszkałem w dawnej koncesji francuskiej, były tam nadal, choć w międzyczasie Chińczycy odzyskali nazwy ulic. Rue Chevalier i Route Garnier zostały przemianowane na Jianguo lu i Dongping lu, ulicę Ustanowienia Republiki i ulicę Wschodniego Pokoju. Ulice niegdyś upamiętniające nieżyjących wybitnych Francuzów przeobraziły się w ulice Bogatych Ludzi, Sławnych Ludzi i Złotego Szczęścia. W czasie spacerów po mojej nowej dzielnicy szlifowałem chiński, odczytując niosące dobrą wróżbę nazwy. Wędrowałem 安福路, ulicą Spokojnej Pomyślności, i 永福路, ulicą Wiecznej Pomyślności, oraz 宛平路, czyli ulicą Meandrującego Pokoju. Najwięcej obiecywała ulica, przy której mieszkałem: 长乐路, a więc ulica Długiego Szczęścia. Na własny użytek nadałem jej bardziej krasomówczą nazwę ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Jednakże tubylcom te nazwy niekoniecznie kojarzą się z dobrą wróżbą czy krasomówstwem. Anfu (Spokojna Pomyślność) na południe od miejsca, w którym mieszkam, to także nieduże miasto w prowincji Jiangxi, znane z produkcji szynki wieprzowej. Maoming (ulica Sławnych Ludzi) to również nazwa ruchliwego kantońskiego portu. Changle, moja własna ulica Wiecznej Szczęśliwości, nosi miano miasta na wybrzeżu prowincji Fujian, z którego Zheng He, podróżnik z czasów dynastii Ming, wyruszył na wyprawę po Azji.

Przemianowując francuskie ulice, Chińczycy postępowali zgodnie z wcześniej przyjętym systemem. Tym, które biegły z południa na północ, nadawali nazwy prowincji lub ich stolic, a biegnącym ze wschodu na zachód nazwy najważniejszych chińskich miast, utworzone za panowania dawnych dynastii ze znaków oznaczających szczęście i pomyślność.

Jeżdżąc rowerem po ulicy Wiecznej Szczęśliwości, potrzebuję naprawdę dużo szczęścia. Wąska ulica jest jedną z nielicznych w tej okolicy dwukierunkowych arterii. Taksówki usiłujące ominąć korki na przebiegającej w pobliżu drodze szybkiego ruchu walczą o miejsce ze stadami elektrycznych skuterów, które błyskawicznie wypełniają każdą wolną przestrzeń. Skutery często prują całą chmarą pod prąd i w ostatniej chwili rozpraszają się przed samochodami, które trąbiąc i błyskając światłami, nadjeżdżają z przeciwka. Na jezdni toczy się brutalna walka o przetrwanie, a ci, którzy mają pierwszeństwo, ustępują przed większymi, agresywniejszymi pojazdami. Na szczycie łańcucha pokarmowego są miejskie autobusy. Swoim rozmiarem wymuszają respekt kierowców skuterów i aut – zjeżdżają na bok, by przepuścić bestię, kierowani tym samym instynktem samozachowawczym, który każe uskakiwać przed rozpędzonym słoniem. Te szaleńcze manewry spychają rowerzystów pod sam krawężnik albo na chodnik, gdzie ci dają upust frustracji, roztrącając przechodniów.

Ja wolę trzymać się skuterów elektrycznych. Zwykle udaje mi się pedałować dość szybko, by dorównywać ich tempu, a ich zwyczaj jeżdżenia zwartym peletonem, jak kolarze na Tour de France, zwiększa moje bezpieczeństwo na jezdni. Kiedy jadę rano do pracy, muszę mieć oczy dookoła głowy. Choć na pozór na ulicy panuje pandemonium, wielu kierowców nabyło umiejętność atletycznej wręcz koncentracji i przestrzega niepisanych reguł ruchu. Pędząc ulicą Wiecznej Szczęśliwości i gwałtownie wymijając inne pojazdy, poruszają się w jednym rytmie z pozostałymi użytkownikami jezdni, tworzą system, który tylko udaje chaos.

W chłodny, zimowy dzień 2012 roku wspiąłem się po krętych schodach do barku kanapkowego CK, żeby rozgrzać się filiżanką kawy. Usiadłem w rogu

przy oknie. Przy każdym podmuchu lodowatego wiatru nagie gałęzie platanów drapały w szyby jak rozcapierzone, łamliwe pałeczki do ryżu.

Na półce, która stała pośrodku rozsłonecznionej salki, leżał akordeon CK, potężny, czarny instrument z wypisaną elegancką kursywą nazwą Polverini. Nie było klientów, więc CK wziął instrument i usiadł w zalanym światłem boksie. Pochylił głowę i nacisnął odpowietrznik, wolno otwierając miechy. Akordeon wydał z siebie głębokie westchnienie, jakie mógłby wydać sam CK. Poprzedniego dnia szef kuchni odszedł z pracy po dzikiej awanturze, zabierając ze sobą połowę kelnerów. Gdyby dziś zjawili się jacyś klienci, CK i Maks byliby zdani tylko na siebie.

Po chwili wahania C K zaczął grać pełną żaru balladę, błyskawicznie przebierając palcami po klawiszach. Zamknął oczy, melodia powoli nabierała kształtu. Płynnymi ruchami rozciągał i ściskał instrument; palce biegały po klawiaturze, jakby kierowały się własnym rozumem. Była to patriotyczna pieśń z czasów dzieciństwa CK. Gdy ją grał, kołysząc głową w rytm melodii, napłynęły wspomnienia. Tłoczyły się, zmuszając dźwięki do jeszcze szybszego pędu.

CK miał jedenaście lat, gdy dotarło do niego, że odebranie sobie życia nie będzie łatwe. Przez dwa miesiące codziennie, w drodze ze szkoły do domu, rozważał dostępne możliwości. Doszedł do wniosku, że najprościej byłoby połknąć tabletki nasenne, ale pani w aptece nie chciała mu ich sprzedać. „Jesteś za młody” – powiedziała. Mógł też zeskoczyć z dachu bloku, w którym mieszkała jego rodzina, lecz po namyśle uznał, że to byłoby zbyt bolesne.

– Zrozumiałem, że nie mam odwagi skoczyć – wyznał mi.

Istniał jeszcze jeden problem. Rzadko zdarzały mu się chwile samotności. Był jedynakiem, miał apodyktycznych rodziców i *nainai*, babcię ze strony ojca, którzy nie odstępowali go na krok, pozwalając mu się oddalić tylko do toalety. Codziennie rano jadł na śniadanie owsiankę, siedząc kilka centymetrów od nich. W szkole stojącej na końcu drogi gruntowej, przy której znajdował się też ich blok, pilnowali go nauczyciele. Po zajęciach wracał do *nainai* i rodziców, żeby odrobić zadania domowe, odbyć lekcje

muzyki i zjeść kolację złożoną z ryżu z warzywami. Nawet w nocy nie był sam: *nainai* sypiała na cienkiej bambusowej macie przy jego łóżku.

Pewnego popołudnia, gdy ojciec pisał przy swoim biurku, CK ostatni raz przeszukał zimne, puste mieszkanie. Na zewnątrz powietrze było gęste od wyziewów z pobliskich zakładów chemicznych i fabryki maszyn górniczych. Chłopiec cichutko obszedł wszystkie pokoje, szukając czegoś, czym mógłby odebrać sobie życie. Zakończył poszukiwania w jedynym pomieszczeniu, w którym mógł przebywać samotnie, nie wzbudzając podejrzeń: w łazience. Zdecydował się na brzytwę z prostym ostrzem, którą znalazł wśród ojcowskich przyborów do golenia. Pewnego wieczoru przed pójściem spać wsunął składaną brzytwę do kieszeni pidżamy.

Była zimna, jesienna noc. Pokój tonął w blasku księżyca. Ciszę zakłócały jedynie równy oddech *nainai* i sporadyczny turkot pociągu. Najpierw rozlegał się przeciągły, cichy gwizd, a potem kojący łoskot toczących się po torach wagonów, który po chwili cichł w oddali. Czekając, aż babcia zapadnie w głęboki sen, CK rozmyślał o swojej rodzinie.

Od wczesnego dzieciństwa słuchał wywodów ojca na temat „systemu”. Nie wiedział dokładnie, co to słowo oznacza, ale zwykle potrafił przewidzieć, kiedy padnie. Ojciec brał przed nim wdech, a potem wypowiadał je wolno i wyraźnie, wyodrębniając je z reszty zdania, by przykuć uwagę syna.

– Widzisz, Kaikai, nie można walczyć z… *systemem.* – Sformułowanie odcisnęło się w jego pamięci kursywą.

Po ciężkim dniu w pracy ojciec wracał do domu i sadzał przed sobą syna, który musiał wysłuchiwać jego tyrad. To *system* nie pozwolił mu wybrać właściwego zawodu. *System* nie cenił inteligencji. *System* nie sprzyjał rozwijaniu indywidualnych talentów. Z *systemem* nie dało się wygrać.

– *Zhongguode guoqing buhao!* – grzmiał ojciec. „Sytuacja w Chinach nie jest dobra!”

– Uważał się za intelektualistę – powiedział mi CK. – Nie lubił swojej pracy i był zły, że nie pozwolono mu wybrać zawodu. Wiedział, że jest mądrzejszy od innych. Marzył o sukcesie na miarę swoich zdolności, ale nie dano mu tej szansy. *System* do tego nie dopuścił. Ojciec uważał, że matka jest

niezbyt bystra, i to go również frustrowało. Nie cierpiał kolegów z pracy i nienawidził Chin.

Kiedy C K próbował zadawać pytania, ojciec uciszał go i wracał do przerwanego wątku. W końcu C K doszedł do wniosku, że nie ma sensu odzywać się w domu, gdzie nikt go nie słucha. W ogóle przestał mówić.

C K nie miał rodzeństwa. Urodził się w 1981 roku, dwa lata po wprowadzeniu w Chinach polityki planowania urodzeń. Mieszkał z matką, ojcem i *nainai* na najwyższym piętrze zapuszczonego, trzypiętrowego bloku, w lokalu przydzielonym rodzinie przez miejski zarząd kolei, w którym pracowała babcia. Na klatce schodowej poniewierały się śmieci. Parafrazując ówczesną propagandę *systemu* odwołującą się do kampanii Czterech Modernizacji przywódcy państwa Deng Xiaopinga i zasady trzech reprezentacji sekretarza generalnego KPCh Jiang Zemina, ojciec C K nazywał budynek obszarem trzech nieadministracji: nikt go nie sprzątał, nikt nim nie zarządzał ani nikt o niego nie dbał.

To samo można było powiedzieć o mieście, w którym dorastał CK. Hengyang leży w środkowochińskiej prowincji Hunan, w takiej samej odległości od Szanghaju jak Nowy Jork od Chicago. Od wieków było to miejsce, którego starano się unikać. Źródła historyczne wspominają o nim rzadko i pobieżnie. Najstarsza wzmianka pochodzi sprzed czternastu stuleci, kiedy to cesarz Gaozong z dynastii Tang ukarał zbuntowanego dworzanina, mianując go zarządcą Hengyangu. Późniejsi cesarze chętnie zsyłali niepewnych dygnitarzy do zapadłej dziury w głębi imperium i zwykle już więcej o nich nie słyszano.

Współczesność okazała się niewiele łaskawsza dla mieszkańców Hengyangu. W mieście krzyżowały się dwie linie kolei towarowej: północno-południowa i wschodnio-zachodnia, tworzące w sercu kraju wielką literę X. Było jednym z największych ośrodków przemysłowych w regionie z licznymi kopalniami węgla, miedzi i cynku, a także zakładami chemicznymi. Zanieczyszczone powietrze cuchnęło, ale nie brakowało pracy: babcia CK pracowała w biurze kolei, matka w fabryce nawozów fosforowych, a ojciec w Miejskim Przedsiębiorstwie Budowlanym numer 2.

Rodzice C K urodzili się na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku i byli rówieśnikami komunistycznych Chin. Ich młodość przypadła na czasy schizofrenicznych kampanii, rewolucji i kontrrewolucji, które dziesiątkom milionów ludzi przyniosły śmierć, prześladowania i więzienie. W tamtych latach rzadko zdarzały się momenty spokoju. Aby przetrwać, trzeba było umieć błyskawicznie adaptować się do nieustannie zmieniającego się klimatu politycznego i pamiętać, że jak porwany przez prąd odpływowy pływak musisz powstrzymać się od walki z potężniejszym od ciebie żywiołem. Zawsze istniał jakiś sposób, by dzięki cierpliwym manewrom dotrzeć do bezpiecznego brzegu, ale najpierw musiałeś oddać kontrolę *systemowi*.

Kiedy rodzicie CK byli nastolatkami, władze skierowały ich na kilka lat na wieś. Zmuszanie dzieciaków z miasta do pracy w rolnictwie było powszednią praktyką w czasach Mao Zedonga. Przewodniczący Mao śnił o Chinach, w których mieszkańcy miast będą trudzić się ramię w ramię z chłopami w proletariackiej utopii. Jednak kiedy umarł w 1976 roku, jego marzenia umarły wraz z nim. Większość „zesłanych" młodych czym prędzej odrzuciła motyki i wróciła do domu. Ledwie wysiedli z pociągów w swoich rodzinnych miastach, w ich życie znowu wkroczyła partia, kierując ich do pracy w lokalnych państwowych przedsiębiorstwach. Przed trzydziestką rodzice CK nie podjęli żadnej samodzielnej decyzji dotyczącej ich życia zawodowego.

– Chcesz rysować czy grać na skrzypcach? – zapytali rodzice C K przy kolacji pewnego wieczoru w 1985 roku. Wpatrywali się w niego w napięciu, próbując wyczytać z jego twarzy odpowiedź.

Ojciec chłopca zawsze chciał zostać pisarzem albo muzykiem. Wierzył, że gdyby w dzieciństwie pozwolono mu rozwinąć zdolności, zdołałby uniezależnić się częściowo od *systemu*, który pozbawił go możliwości wyboru zawodu. Uważał, że zmuszając syna do udziału w zajęciach artystycznych, zapewni mu coś w rodzaju siatki bezpieczeństwa na wypadek, gdyby chińska gospodarka znów obrała niebezpieczny, zdradliwy kurs.

Rodzice C K ograniczyli chłopcu możliwości wyboru do dziedzin, w których objawiali talent pozostali członkowie rodziny. Jego babcia była zdolną ilustratorką. Ojciec znalazł kiedyś na śmietniku *erhu*, tradycyjny

chiński dwustrunny instrument przypominający z grubsza skrzypce, i nauczył się na nim grać. Było jasne, że CK musi pójść jedną z tych dróg.

– Rysowanie czy gra na skrzypcach? – nalegał ojciec, nie spuszczając oczu z twarzy syna.

Chłopiec się zastanowił.

– Rysowanie – odparł po namyśle.

Rodzice odwrócili się od niego i przez chwilę szeptali między sobą.

– Będziesz grał na skrzypcach – oznajmił wreszcie ojciec.

CK niedawno skończył cztery lata.

Lekcje gry na skrzypcach zaczęły się, gdy rodzice CK wybulili równowartość półrocznych zarobków za nowe skrzypce. Skończyły się dwa lata później, kiedy rząd przeprowadził serię reform, które sprywatyzowały część chińskiej gospodarki. Pracownicy najbardziej deficytowych przedsiębiorstw państwowych, do których należało Miejskie Przedsiębiorstwo Budowlane numer 2 w Hengyangu, zapłacili za to wysoką cenę. Ojciec CK stracił pracę i skończyły się pieniądze dla nauczyciela muzyki. Rodzina nerwowo szukała alternatywy, aż ktoś przypomniał sobie o wujku, który grał na akordeonie. Nastąpiła zmiana instrumentu. Wujek uczył C K podstaw przez pół roku, dopóki zwarcie instalacji elektrycznej nie wywołało pożaru w sklepie, w którym pracował. Wujek był kierownikiem państwowej placówki handlowej, więc władze obarczyły go odpowiedzialnością za wypadek i wsadziły do więzienia.

– Był niewinny – oświadczył ojciec CK. – To była wina *systemu*.

Rolę nauczyciela przejął tata CK, który nie miał pojęcia o grze na akordeonie, ale teraz miał mnóstwo wolnego czasu, by się jej uczyć. CK szybko prześcignął go w umiejętnościach, odwracając subtelną równowagę sił: teraz to on zaczął instruować ojca. W czasie lekcji dochodziło do gwałtownych spięć. Ojciec wrzeszczał i policzkował C K za każdą rzekomą pomyłkę.

Ojciec C K był pozbawiony pewności siebie, wybuchowy i wątły jak kobieta. Za to matka emanowała spokojem i pewnością siebie. Miała silne ręce chłopki. Chińczycy wierzą, że takie cechy często wynikają

z dzieciństwa. Ojciec C K wychował się w mieście, matka dorastała na wsi w prowincji Hunan, nad brzegami jeziora Dongting. Wydawało się, że przejęła niezachwiany spokój jego apatycznych wód.

– W pewnym sensie była bardziej męska od niego – powiedział CK. – Chciała, żebym miał poczucie własnej wartości i był niezależny.

Ojciec CK bił także matkę. Czasem w nocy z sypialni rodziców dobiegały jej krzyki. Następnego dnia rano na twarzy i ramionach miała fioletowe siniaki. Gdy CK trochę podrósł, próbował stawać między nimi podczas tych kłótni.

– Starałem się ją bronić, ale był zbyt szybki.

Kiedy mówił o swoim ojcu, w jego głosie słychać było nie gorycz, lecz rezygnację. Chińczycy często odnoszą się w ten sposób do osób, którymi pogardzają, ale czują się w obowiązku je kochać. Według C K nie była to wina ojca, ani nawet *systemu*. Za wszystko odpowiadała śledziona.

Według Chińczyków śledziona jest siedliskiem temperamentu i siły woli. To przekonanie odzwierciedla znak chińskiego pisma oznaczający ten narząd: 脾, *pi*. Kiedy dodamy do niego znak oznaczający energię, 气, *qi*, otrzymamy *piqi* – dosłownie „energię śledziony” – oznaczającą „temperament”. Chińczycy wierzą, że uszkodzenie śledziony pogarsza *piqi* i odbiera kontrolę nad emocjami. W młodości ojciec C K otrzymał podczas bójki cios, który spowodował pęknięcie śledziony. CK mówi, że wskutek tego urazu na zawsze stracił swoją *piqi*.

Wiosną 1989 roku polityczne tyrady ojca C K nabrały dodatkowego żaru. C K miał osiem lat i był zbyt młody, by zrozumieć wiadomości o strajkach głodowych i protestach studenckich, które wybuchły w Pekinie. Szeptano o demokracji i o możliwym końcu systemu jednopartyjnego. Ponad półtora tysiąca kilometrów od Hengyangu, na pekińskim placu Tian’anmen, demonstranci wznieśli białą statuę Bogini Demokracji. Z pochodnią w uniesionej dłoni górowała nad morzem głów, jak matka chroniąca swoje dzieci przed tyranią ojca. Patrzyła na gigantyczny portret Mao Zedonga nad bramą strzeżonego przez wojsko Zakazanego Miasta, niedaleko którego miała swoją siedzibę rządząca aktualnie krajem starszyzna. Jednak Bogini, zbudowana przez studentów w ciągu czterech dni z metalu, plastikowej gąbki

i masy papierowej, nie miała szans w starciu z modelem rządów, który liczył sobie kilka tysięcy lat. Patriarchowie pokonali ją brutalną siłą, topiąc w morzu krwi dyskusje na temat zmiany *systemu*. *System* zwyciężył.

Po zdławieniu manifestacji na placu Tian'anmen C K znów musiał służyć swojemu ojcu za publiczność.

– Byłem dzieckiem i niewiele z tego rozumiałem – powiedział mi. – Czułem się przygnębiony. Chciałem, żeby zostawił mnie w spokoju. Miałem dość tkwienia w domu na łasce ojca.

Niedługo potem także matka zażądała, by jej wysłuchał. Poprosiła go, żeby usiadł, i obwieściła nowinę.

– Od teraz mamusia będzie mieszkała gdzie indziej – oznajmiła. – Co ty na to, żebym cię odwiedzała w środy i w czwartki?

W tamtych czasach rozwody w Chinach należały do rzadkości. Małżeńskie niesnaski załatwiało się za zamkniętymi drzwiami, korzystając z mediacji starszego pokolenia, które pilnowało, by komórka rodzinna – filar chińskiej kultury – się nie rozpadła. C K myślał gorączkowo. Wkrótce dowiedzą się o tym koledzy z klasy. I nauczyciele. Będzie musiał mieszkać z ojcem, chroniony przed nim jedynie przez babcię. Do pokoju wszedł ojciec. Czy winą za odejście matki również obarczy *system*? CK doszedł do wniosku, że jedynym systemem, jaki się liczy, jest rodzina.

– Chcę zamieszkać z mamą – powiedział.

– To już postanowione – odparł bez wahania ojciec. – Zostajesz ze mną.

Pierwszą piosenką, którą C K nauczył się grać na akordeonie, było *Caoyuan gechang Mao Zhuxi*, czyli *Łąki śpiewają dla przewodniczącego Mao*. Powtarzając jak maszyna refren, ćwiczył grzecznie pod surowym okiem ojca, gotowego przy najdrobniejszym objawie nieposłuszeństwa przejść do rękoczynów. W przerwach pomiędzy lekcjami ojciec narzekał.

– Twoja matka jest beznadziejna – mówił. – Jak mogła nas opuścić?

O rozstaniu jego rodziców wiedziała już cała szkoła. Koledzy wypytywali go, jak to jest mieć rodziców, którzy mieszkają osobno. Nauczyciel wykorzystywał tę informację, by go zawstydzić przed innymi uczniami, gdy nie uważał na lekcji. C K zaczął mieć stany lękowe. Marzył o tym, by

odseparować się od kolegów z klasy i od rodziny, stać się *chouli* – oddzielnym.

– Miałem spokój tylko w drodze z domu do szkoły i z powrotem. Właściwie przechodziłem z jednej sytuacji stresowej w drugą.

Tamtej jesiennej nocy jedenastoletni CK, daleki od bycia *chouli*, leżał w łóżku i wpatrywał się w sufit, słuchając coraz głębszego oddechu *nainai*. Przez kieszeń pidżamy czuł na udzie delikatny nacisk składanej brzytwy. Kiedy upewnił się, że *nainai* zasnęła, usiadł na łóżku i wyjął brzytwę z kieszeni. Rozłożył ją. Wziął oddech. Ściskając uchwyt w prawej dłoni, przycisnął ostrze do wewnętrznej strony lewego nadgarstka.

Przeciął skórę i ciało. Na powierzchnię skóry wystąpiły kropelki krwi. Zaczął szybko ciąć, raz za razem, od lewej do prawej. Krwawił, ale nie był to gejzer, jakiego się spodziewał. Przełożył brzytwę do drugiej dłoni i wziął się do drugiego nadgarstka. Nestorka rodu spała spokojnie tuż obok. Krew kapała na pidżamę, ale rany szybko się zasklepiały. Nie mógł znaleźć żyły. I zaczęło go boleć.

– Ciąłem dalej, ale to było bez sensu. Źle widziałem, a moje nadgarstki były takie twarde – powiedział mi CK.

Wolno zamknął brzytwę i schował ją z powrotem do kieszeni poplamionej krwią pidżamy. „To po prostu za trudne” – stwierdził w myśli, zasypiając.

Miechy akordeonu rozszerzały się i kurczyły jak płuca sprintera w połowie dystansu. Palce prawej dłoni CK biegały jak szalone po klawiaturze, wysokie tony sypały się seriami *staccato* na płynny krajobraz basów, kontrolowany automatycznymi ruchami palców lewej dłoni. Dwie strony ścigały się ze sobą. C K grał w skupieniu, z zamkniętymi oczami. Lodowaty wiatr, który hulał po ulicy Wiecznej Szczęśliwości, uderzał gałęziami drzew o szyby kafejki. Cały świat zdawał się pławić w harmonii, aż nagle C K zagrał fałszywą nutę. Potem drugą. Otworzył oczy, spojrzał na mnie, roześmiał się i odłożył instrument.

– Ał. Co to było? – zapytałem.

– *Zdobycie Tygrysiej Góry strategią* – odparł, nie przestając się śmiać.

Była to pieśń rewolucyjna z początku jednej z ośmiu modelowych oper pekińskich, które były dozwolone w okresie rewolucji kulturalnej Mao Zedonga. Czerpała pełną garścią z czternastowiecznej *Opowieści znad brzegów rzek*, jednej z czterech klasycznych powieści chińskich. Komunistyczni przywódcy przekształcili fabułę powieści w partyjną agitkę, opowieść o wyczynach proletariackiego bohatera, która miała rozbudzić w masach entuzjastyczne poparcie dla *systemu*.

CK pokręcił głową, zawstydzony, że zapomniał, jak się gra utwór, który ćwiczył przez całe dzieciństwo.

– Grałem tradycyjną chińską muzykę, ale w pewnym momencie odkryłem, że wcale jej nie lubię – wyznał, ocierając pot z czoła i odgarniając włosy. Schudł w ciągu ostatnich tygodni i na wymizerowanej twarzy jego przejrzyste, brązowe oczy o owalnym kształcie wydawały się jeszcze większe niż w rzeczywistości. – Wolałem coś innego. Zajęło mi trochę czasu, zanim zrozumiałem, że mogę grać własne piosenki.

I zaczął grać jedną z nich: wolną, smutną melodię, która wyczarowywała w wyobraźni obraz zimnej, wyludnionej ulicy w Paryżu. Albo w Szanghaju.

Na swoją pierwszą rozmowę o pracę po ukończeniu szkoły CK poszedł do Pearl River Piano, największego chińskiego producenta akordeonów. Wprawki, które grał jako dziecko, wreszcie się na coś przydały. Po przygodzie z brzytwą ojca pogodził się z tym, że pozostałe lata dorastania spędzi pod jego dachem. Postanowił skupić się na tym, co będzie potem. Uczył się pilnie, ćwiczył grę na akordeonie i w odpowiednim czasie dostał się do akademii muzycznej w Kantonie, największym mieście południowej części kraju. Fakt, że umie grać na akordeonie, wywarł duże wrażenie na przeprowadzającym rekrutację pracowniku Pearl River Piano. Po kilku minutach rozmowy CK znalazł się w gabinecie prezesa, który wręczył mu instrument i ze stojącego przy biurku futerału wyjął własny akordeon. Zagrali w duecie, a kiedy prezes poprosił CK, by zagrał solo, chłopak dobrze się zastanowił, co wybrać.

– Zagrałem bardzo skomplikowany utwór, *La Campanellę* Liszta.

CK otrzymał stanowisko w dziale sprzedaży i marketingu. Po raz pierwszy w życiu ojciec był z niego dumny. Pearl River była jedną z nielicznych państwowych wytwórni instrumentów muzycznych, którym udało się przetrwać ambitne reformy rynkowe. Sprzedaż rosła dzięki rodzącej się chińskiej klasie średniej. CK otrzymał wysoką pensję, świadczenia zdrowotne i prawo do hojnej państwowej emerytury. Ale praca była otępiająco nudna.

– Roboty starczało na dwie–trzy godziny, a przez resztę czasu gadałeś albo czytałeś gazetę – powiedział CK. – Życie towarzyskie kwitło, ale ja nie widziałem w tym sensu.

C K poświęcał wolny czas na szukanie ciekawszej pracy. I szybko ją znalazł: niedawno włoski producent akordeonów Polverini otworzył mały zakład kilkanaście kilometrów na zachód od Szanghaju. Firma szukała asystenta, który odgrywałby rolę łącznika pomiędzy menedżerem z Włoch a chińskimi robotnikami.

Polverini wytwarzał instrumenty światowej klasy, akordeony Pearl River wyglądały przy nich jak plastikowe zabawki. Praca dla takiej firmy stanowiłaby nie lada wyzwanie, zwłaszcza pod względem technicznym. Aby udzielać instrukcji niewykwalifikowanym robotnikom przy linii montażowej, C K musiałby najpierw doskonale poznać wszystkie etapy procesu produkcyjnego.

CK kilkakrotnie przeczytał ogłoszenie o pracy.

– Brzmiało interesująco – powiedział mi. – Wreszcie miałem szansę się czegoś nauczyć.

Kiedy CK zadzwonił do domu, by powiedzieć, że znalazł nową pracę poza systemem państwowym, jego ojciec wpadł w gniew.

– Nie możesz tak po prostu zrezygnować z pewnej miski ryżu! – wrzasnął do słuchawki. Polverini oferował niższą pensję i nie zapewniał pakietu socjalnego, który CK miał w Pearl River.

– Ojciec nagle stracił poczucie bezpieczeństwa – wyjaśnił CK. – Wściekł się na mnie straszliwie. W kółko powtarzał, że państwowa posada to pewna przyszłość!

Na początku XXI wieku nie było to już prawdą. Ojciec C K nie znalazł innej pracy po zamknięciu Miejskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego numer

2. Matka w wieku czterdziestu siedmiu lat musiała przejść na wcześniejszą emeryturę, bo zakłady chemiczne, w których pracowała, nie wytrzymały konkurencji z młodym chińskim sektorem prywatnym. W 2001 roku Chiny przystąpiły do Światowej Organizacji Handlu i pula ciepłych posadek w przedsiębiorstwach państwowych zaczęła się kurczyć. Teraz obowiązywał kapitalizm. C K uświadomił sobie, że jego rodzice, przez całe życie prowadzeni za rączkę przez państwo, nie potrafią radzić sobie w nowej sytuacji i oboje oczekują, że to on zapewni im stabilność finansową.

CK cierpliwie tłumaczył swoją decyzję. Przyglądając się, jak kwitnie życie towarzyskie w Pearl River, niczego się nie uczył. W fabryce Polveriniego będzie mógł się rozwijać i poszerzać swoje umiejętności. „Kto jak kto, ale ty powinieneś to chyba rozumieć” – powiedział delikatnie ojcu.

C K przekonał się na własnej skórze, że *system* działa dokładnie tak, jak kładł mu do głowy ojciec: ogranicza i kontroluje, utrudniając zdobywanie wiedzy i rozwój. Zapewniał jednak pieniądze i stabilizację, które starzejący się ojciec zaczynał coraz bardziej doceniać.

– Kiedy dostałem pracę w Pearl River, ojciec nagle stał się orędownikiem *systemu*. Nie wiedziałem, jak mu powiedzieć, że chcę się od niego uwolnić.

CK przyjął pracę w zakładzie Polveriniego i wyjechał do Szanghaju. Tak się złożyło, że jego nowy współlokator, włoski inżynier w średnim wieku, był jednocześnie jego nowym szefem. Łączyła ich pasja do majstrowania przy mechanizmach. Jako mali chłopcy całymi popołudniami rozbierali różne urządzenia na części, a potem składali je z powrotem. Teraz mieli dostawać za to pieniądze. Ich misja w fabryczce Polveriniego na przedmieściach Szanghaju polegała na takim zmodyfikowaniu klasycznego instrumentu tej marki, aby można było obniżyć jego cenę. Chińscy akordeoniści albo wydawali tysiące dolarów na drogi włoski instrument, albo skąpili każdego grosza, kupując najtańszy zamiennik rodzimej produkcji. Nie było żadnej oferty pośredniej i tu właśnie zaczynała się rola CK: miał stworzyć akordeon w przystępnej cenie, dostosowany do potrzeb i możliwości rodzącej się chińskiej klasy średniej.

C K spędził wiele miesięcy przy linii montażowej, poznając wszystkie elementy instrumentu. Jego szef, który we Włoszech projektował samochody

Ferrari, powiedział CK, że akordeon jest bardziej skomplikowanym mechanizmem niż sportowy wóz.

– Akordeon jest raczej nieduży, ale składa się z ponad trzech tysięcy części, więc nawet milimetrowy błąd ma ogromne znaczenie – wyjaśnił mi CK. – Trzeba się znać na substancjach chemicznych, drewnie i stali, wiedzieć, jak oddziałują na siebie wzajemnie wewnątrz mechanizmu i jaki tworzą dźwięk.

W ciągu roku w fabryczce włoskiego producenta akordeonów CK opanował wszystkie etapy produkcji. Szef zachęcał go do dalszej nauki, więc wkrótce stał się ekspertem od wszystkiego.

– Byłem menadżerem, tłumaczem, ogarniałem łańcuch dostaw, prowadziłem obsługę klienta, odpowiadałem za kontrolę jakości dźwięku i pod koniec potrafiłem zbudować cały instrument od zera.

W ciągu czterech lat jego zarobki wzrosły z czterystu dolarów do czterech tysięcy dolarów miesięcznie, przeskakując z poziomu średniej płacy w Chinach do poziomu średniej płacy w Ameryce. Dopiero wtedy CK poczuł, że w Szanghaju, w tej kosmopolitycznej metropolii z malowniczymi bulwarami, po których jeżdżą drogie samochody, jest u siebie.

– Zagraj coś jeszcze – poprosiłem.

Minęła jedenasta, CK grał już ponad pół godziny. W knajpce przez cały ranek było pusto. Zbliżała się pora lunchu i wkrótce na chodniki ulicy Wiecznej Szczęśliwości wyleją się tłumy głodnych pracowników biurowych. CK zerknął na zegarek. Zawahał się, lecz w końcu skinął głową i rozciągnął instrument, pozwalając mu nabrać powietrza.

– Napisałem tę piosenkę dla dziewczyny, którą kiedyś kochałem. Nazywa się *27 lutego*. Tego dnia się poznaliśmy.

Zaczął od przedłużonej nuty w tonacji molowej. Po niej nastąpiły kolejne, składając się na sekwencję zapadających w pamięć tonów, powtarzającą się jak oddech pogrążonego w głębokim śnie człowieka. Potem rozbrzmiała wesoła melodia, miejscami niedoszlifowana, przywodząca na myśl chłopaka, który z lekkim sercem, pogwizdując, spaceruje ulicą.

C K zerknął ukradkiem na nadgarstek i znów przymknął oczy. Rany z dzieciństwa dawno się zabliźniły. Barek kanapkowy wypełniła muzyka. I na chwilę *system* zniknął.

2 Lepsze miasto, lepsze życie

麦琪里

Maggie Lane

Od północy moje mieszkanie wychodziło na ulicę Wiecznej Szczęśliwości, ale przez sięgające sufitu okna południowych pomieszczeń widziałem otoczoną murem, zarośniętą zielskiem parcelę, po której włóczyły się dzikie koty. Tu i ówdzie sterczały wypalone zwłoki tradycyjnych domów z szarej cegły. Czasem widziałem, jak z pustych budynków wychodzili jacyś ludzie, zerkali w niebo i oddalali się powolnym krokiem, jakby światło dnia było tylko krótką przerwą w wiecznym mroku.

Uznałem, że to bezdomni, którzy zajęli opuszczone budynki.

Często stawałem w oknie i dumałem nad tą trupiarnią. Dziwiłem się, że w sercu najbardziej eleganckiej dzielnicy Szanghaju, a nawet całych Chin, pozostawiono obszar wielkości trzech boisk do piłki nożnej, żeby sobie zwyczajnie zgnił. Zapytałem o to właściciela mieszkania nad nami. Pokiwał w zamyśleniu głową, zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym na szybę, za którą rozciągał się widok na pustą działkę.

– Miało tam powstać wielkie nowoczesne osiedle, takie jak nasze, i deweloper rozpoczął rozbiórkę starych domów. – Zrobił przerwę na następnego sztacha. – Ale kilku mieszkańców odmówiło wyprowadzenia się. *Mei banfa* – powiedział. „Nic się nie da zrobić”.

To mi się wydało bez sensu. Konflikty między przedsiębiorcami budowlanymi a lokatorami przeznaczonych do rozbiórki domów, którzy utrudniali prace, były w Chinach na porządku dziennym i zawsze przebiegały według tego samego scenariusza. Miejscy urzędnicy znajdowali świetną lokalizację dla luksusowego osiedla mieszkań własnościowych. Negocjowali z dotychczasowymi mieszkańcami warunki wyprowadzki, oferując im lokale zastępcze. Następnie burzyli starą zabudowę, sprzedawali ziemię przedsiębiorcy, który zaoferował najlepszą cenę, i napełniali szkatuły miasta

oraz własne kieszenie *renminbi*[1]. Jeśli rozwścieczeni lokatorzy nie chcieli się wyprowadzić, zwykle znajdował się sposób, by ich do tego przekonać. Chińscy deweloperzy nie wiedzieli, co to *mei banfa*.

Kiedy zapytałem właściciela wynajmowanego przez nas mieszkania o domy, na których miejscu stanęło nasze osiedle, zbył moje pytanie machnięciem ręki.

– Stare, zrujnowane rudery.

Kiedy trochę później pewien historyk pokazał mi pożółkłą mapę dzielnicy z lat czterdziestych x x wieku, moją uwagę zwróciła plątanina krętych zaułków na południe od ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Przestrzeń, na której dziś stoi moje osiedle, zajmowały gęsto stłoczone prostokąciki zabudowanych działek. Wytężając wzrok, naliczyłem ponad sto budynków na obszarze jednego kwartału. Pomyślałem o setkach rodzin, które niegdyś mieszkały tam, gdzie teraz spała moja rodzina. Dokąd odeszły? Czy wyprowadziły się bez protestu?

Kiedy w 2010 roku przyjechaliśmy do Szanghaju z żoną i naszym półtorarocznym synem Rainerem, zwanym Raineyem, na lotnisku przywitała nas uśmiechnięta, niebieska rysunkowa postać, skrzyżowanie Gumby'ego ze smerfem. Stworek nazywał się Haibao i był oficjalną maskotką wystawy światowej w 2010 roku. W drodze z lotniska do centrum machał do nas przyjaźnie ręką z niemal wszystkich billboardów. Wejście miasta na światową scenę ściągnęło do Szanghaju kilkadziesiąt milionów turystów z najdalszych zakątków Chin. Haibao towarzyszył im na każdym kroku. Na lotnisku machał ręką z wysepki pośrodku karuzeli bagażowej i w hali powitań. Uśmiechał się z oparć foteli w taksówkach i ze ścian stacji metra. Wszechobecny, obserwujący, stanowił dwudziestopierwszowieczną wersję portretów Mao, które przez kilkadziesiąt lat zdobiły przestrzenie publiczne komunistycznych Chin. Mao na portretach był dostojny, pewny siebie, trochę przerażający. Haibao ze spojrzeniem przerażonego blaskiem reflektorów jelenia sprawiał wrażenie nieco zdezorientowanego.

Widząc go, Rainey za każdym razem machał do niego ręką i wrzeszczał: „Niebieski!".

– To jest Haibao – powiedziałem.

– Hai-bao – wymówił powoli. – Haibao… Haibao… – powtórzył z uśmiechem.

To było jego pierwsze chińskie słowo.

Jeden z billboardów ze stworkiem przykuł też moją uwagę. Haibao stał grzecznie z rękami założonymi za plecy na tle błyszczącej panoramy Szanghaju. U góry widniały wielkie, jaskrawożółte znaki 城市让生活更美好.

– Miasto… czyni życie piękniejszym – przetłumaczyłem na głos, bardziej sam dla siebie niż kogoś innego, z trudem przywołując strzępki nieużywanego od wielu lat języka.

Tak brzmiało oficjalne hasło wystawy światowej. Wersja angielska była prostsza: „Lepsze miasto, lepsze życie”. Władze lansowały Szanghaj jako modelową chińską metropolię. Rząd Chin prowadził ambitną kampanię urbanizacyjną i nie szczędził wysiłków, by przekonać setki milionów mieszkańców wsi, że w mieście żyje się lepiej.

Było to zdecydowane odejście od propagandy, do jakiej przywykłem przed laty. Pierwszy raz przyjechałem do Chin pod koniec ubiegłego wieku. Miałem wówczas niewiele ponad dwadzieścia lat i pracowałem w rejonie rolniczym jako wolontariusz Korpusu Pokoju. Zarabiałem sto dwadzieścia dolarów miesięcznie, dwa razy więcej niż osiemset milionów Chińczyków (około dwóch trzecich ludności kraju), którzy utrzymywali się za mniej niż dwa dolary dziennie. Przy wjeździe do miasta stały wówczas tablice z wymalowanymi jaskrawoczerwoną farbą hasłami, które przypominały mieszkańcom, że dziewczynki też są ludźmi. W ten sposób władze walczyły z uporczywym zwyczajem zabijania niemowląt płci żeńskiej w chłopskich rodzinach, które wolały mieć synów.

Kiedy piętnaście lat później przyjechałem z rodziną do najbogatszego miasta Chin jako korespondent zagranicznego radia, dostrzegłem ogromne zmiany. Chiny wkrótce miały prześcignąć Japonię i stać się drugą największą gospodarką świata. Kilkaset milionów Chińczyków ciężką pracą wydobyło się z biedy. Z okna naszego mieszkania rozciągał się widok na poszarpaną linię dachów, najeżoną setkami błyszczących drapaczy chmur. Mimo to

władze nie zrezygnowały z pouczania obywateli za pomocą umieszczonych w widocznych miejscach wskazówek. Billboardy z błazeńskim Haibao miały oczywiście znacznie więcej uroku od przaśnej propagandy lat dziewięćdziesiątych, ale cel się nie zmienił: przypominały mieszkańcom, co w dzisiejszych Chinach jest dobre, a co złe. Zabijanie nowo narodzonych córek jest złe. Miasta są dobre.

Szanghaj, w którym smukłe, nowoczesne drapacze chmur sąsiadowały z pełnymi zieleni kwartałami dziewiętnastowiecznej europejskiej zabudowy, przeżywał okres rozkwitu. Rząd wyasygnował równowartość czterdziestu pięciu miliardów dolarów na rewitalizację miasta. W ciągu pięciu lat zbudowano siedem linii metra. Teraz była to najdłuższa sieć kolei podziemnej na świecie. Pociągi kursujące z Szanghaju do innych miast jeździły z szybkością trzystu kilometrów na godzinę. Jeśli to stulecie należało do Chin, to Szanghaj kroczył w awangardzie.

Zmiany zachodziły bardzo szybko i stare nawyki pozostały. Chińska strategia rozwoju nie obejmowała kultury osobistej. Na ulicy Wiecznej Szczęśliwości ludzie pluli na chodnik, rzucali na ziemię śmieci i przepychali się w kolejkach łokciami. Starsi mężczyźni nagminnie wychodzili z domu w pidżamach. Dzieciaki kucały i sikały na oczach przechodniów. Właściciele psów zostawiali ich kupy, żeby sfermentowały na słońcu. To były standardowe zachowania w chińskich miastach, w których miliony świeżo przybyłych ze wsi migrantów i wytworni mieszczanie żyli obok siebie, darząc się wzajemną nieufnością.

Co pomyślą sobie goście z zagranicy? Pekin, z mniejszym lub większym sukcesem, zwalczał takie nawyki od czasu przygotowań do igrzysk olimpijskich w 2008 roku. Oprócz hasła „Lepsze miasto, lepsze życie” szanghajskie powierzchnie reklamowe okupował slogan 文明. Te dwa znaki, wymawiane „łenming”, w tłumaczeniu „cywilizowany”, wzywały mieszkańców, by starali się „ucywilizować” swoje miasto. W ostatnich miesiącach przed Expo 2010 władze miasta podwoiły wysiłki. Mieszkańcy znaleźli w swoich skrzynkach pocztowych egzemplarze podręcznika dobrych manier, opracowanego w 2006 roku przez Komisję Postępu Etyczno-Kulturowego. Liczący dwieście czterdzieści dwie strony poradnik *Jak zostać*

czarującym szanghajczykiem zawierał wskazówki na każdą okazję, od takich, jak obciąć włosy („Twoja fryzura nie ma być szpanerska, tylko naturalna i prosta"), do takich, jak elegancko spożywać zachodnie potrawy („Miseczki ani talerza nie podnosimy i nie przechylamy do ust").

Konieczność wydania podręcznika dobrych manier była drażliwym tematem dla rodowitych szanghajczyków z ulicy Wiecznej Szczęśliwości, to znaczy dla tych, których przodkowie pochodzili z tego regionu Chin. Zawsze uważali się za śmietankę narodu. Żyli przecież pod rządami najbardziej rozwiniętych europejskich mocarstw, przejmując zachodnią kulturę i zdobycze cywilizacji. Dzięki swojej wyjątkowej historii Szanghaj stał się jednym z najwspanialszych miast świata. Po co „Paryżowi Wschodu" podręcznik etykiety?

Jednak w rzeczywistości blisko połowę mieszkańców miasta, co najmniej dziesięć milionów z ogólnej liczby dwudziestu czterech milionów, stanowili robotnicy, którzy dopiero niedawno przybyli z biedniejszych rejonów Chin. Tubylcy nazywali ich pogardliwie *waidiren*, czyli „ludźmi z zewnątrz". *Jak zostać czarującym szanghajczykiem* zostało napisane z myślą o nich.

Jeden z rozdziałów zaczynał się od beznamiętnego stwierdzenia faktu: „Szanghajczycy mają opinię zimnych, obojętnych i pozbawionych emocji, w odróżnieniu od serdecznych i wylewnych przybyszów z prowincji", po czym wyjaśniał to zjawisko:

> Chłodny stosunek mieszkańców wielkich miast do obcych spowodowany jest masowym napływem migrantów, głębokimi różnicami kulturowymi i niskim poziomem zaufania społecznego. Nawet w Stanach Zjednoczonych nowojorczycy czy mieszkańcy Chicago są zwykle mniej serdeczni niż ludność małych miasteczek. […] Większość Szanghaju zajęli *waidiren*.

W ogarniętych falą wewnętrznej migracji dwudziestopierwszowiecznych Chinach reprezentujący władze miasta autorzy podręcznika znaleźli się w defensywie. Rozdział *Rywalizacja i skromność* radził szanghajczykom, wypieranym przez migrantów zarobkowych z niektórych sektorów rynku pracy, by chętniej podejmowali się niewdzięcznych prac i zachowali otwarty umysł:

> Szanghajczycy nie chcą handlować na targu warzywami ani prowadzić zakładów fryzjerskich. Nie chcą pracować na budowach. Coraz mniej szanghajczyków zakłada firmy poza rodzinnym miastem lub za granicą. Wykłócanie się o drobiazgi i ambiwalentny stosunek do rzeczy ważnych są typowymi przejawami negatywnego nastawienia mieszkańców naszego miasta.

Z lektury rozdziału *Jak właściwie zrozumieć charakter szanghajczyków* wynikało, że ich główną wadą jest przypisywanie własnych ułomności innym. Ale poradnik *Jak zostać czarującym szanghajczykiem* nie zajmował się tym tematem.

Mieszkaliśmy osiem pięter nad ulicą Wiecznej Szczęśliwości, na zamkniętym osiedlu, które nosiło nazwę The Summit (Szczyt). Składało się z siedmiu obłożonych białymi płytkami wysokościowców, z których jeden liczył czterdzieści pięter. W mojej rodzinnej Minnesocie byłby siódmym najwyższym budynkiem w całym stanie, ale w Szanghaju stanowił tylko jeden z setek drapaczy chmur wszelkich kształtów i kolorów wplecionych w tkankę miasta. Bloki stały wokół prostokątnego dziedzińca z łukowatym jeziorkiem, spłachetkiem trawy i dwoma placami zabaw.

Pod budynkiem znajdował się kilkukondygnacyjny parking, wypełniony łupami chińskiego boomu gospodarczego: luksusowymi pojazdami w odblaskowych barwach o łącznej wartości wielu milionów dolarów. Rok później, idąc przez garaż z Raineyem, ze zdumieniem odkryłem, jak chińska propaganda konsumpcjonizmu wpłynęła na rozwój jego słownictwa.

– *Baoma! Benchi! Baoshijie! Falali!* – wołał. „BMW, Benz, Porsche, Ferrari”.

Od południa okna naszego mieszkania wychodziły na ulicę Spokojnej Pomyślności, od północy na ulicę Wiecznej Szczęśliwości. Gdziekolwiek spojrzeć, same dobre rzeczy.

Dopóki wzrok nie zbłądził przypadkiem na wypalone osiedle za schludnie otynkowanym murem, który ciągnął się wzdłuż ulicy Spokojnej Pomyślności. Tamtej jesieni chodziłem z Raineyem na spacery wokół porzuconej parceli. Z poziomu chodnika wszystko wydawało się w porządku. Trzymetrowy mur zdobiły plakaty Expo 2010.

– Haibao! Haibao! – darł się radośnie Rainey.

Jedyna droga na teren posesji prowadziła przez metalową bramę, zwykle zamkniętą na głucho. Pewnego popołudnia w nią zastukałem. W szparze pojawiła się głowa chudego strażnika.

– Czego chcesz? – warknął na widok jasnowłosego cudzoziemca.

– Chciałbym wejść i się rozejrzeć – odparłem.

– I pewnie nie znasz nikogo z mieszkańców? – Zachichotał na myśl, że któryś z nich zaprosił zagraniczniaka na herbatkę.

– Nie.

– Przykro mi. Cudzoziemcom wstęp wzbroniony. Nie wolno. *Mei banfa*.

Zatrzasnął z hukiem bramę, przez co obudził śpiącego w wózeczku Raineya. Chińczycy mieli pecha.

Następnym razem nie przyszedłem sam i nie zawracałem sobie głowy stukaniem.

Odczekałem, aż strażnik zrobi sobie przerwę na obiad, i sforsowałem metalową bramę w towarzystwie chińskiego kolegi, bezdomnego nazywanego Starym Kangiem. Naprawdę nazywał się Kang Chenggang. Zanim zburzono jego dom, skazując go na tułaczkę po znajomych, przez dwadzieścia lat mieszkał na tym osiedlu. Poznaliśmy się na internetowym forum miłośników lokalnej historii. Był rosłym mężczyzną z wydatnym brzuszkiem i twarzą, na której rzadko gościł uśmiech. Miał wąskie jak księżyc przed nowiem oczy, opadające powieki i zimne jak lód spojrzenie człowieka ogarniętego pragnieniem zemsty.

Przeszliśmy pod łukiem z szarej cegły, jedną z nielicznych zachowanych konstrukcji. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, gdy wynurzyłem się na otwartą przestrzeń, była strzelista wieża mojego bloku. Promienie słońca odbijały się od tafli okien i padały na pole gruzów. Na sąsiedniej parceli wznosił się szklany biurowiec, który stał naprzeciw baru kanapkowego CK. Wtargnęliśmy na cudzy teren i wydawało nam się, że wszyscy na nas patrzą.

Przebrnęliśmy przez sięgające piersi zielsko i po kilku minutach marszu dotarliśmy do trzypiętrowego budynku na drugim końcu wypalonego osiedla. W dachu ziała wyrwa, w oknach sterczały ostre kawałki rozbitych szyb.

– Witaj w moim domu – powiedział cicho Stary Kang.

Stary Kang podniósł żółtą policyjną taśmę, która otaczała budynek jak wstążka na pudełku z prezentem, i wskazał portal z szarej cegły, zwieńczony betonową płytą z kwiatowym reliefem. Drzwi nie było – trzy pogięte, zardzewiałe zawiasy świadczyły o tym, że zostały brutalnie zerwane. Weszliśmy do dawnej jadalni Kanga. Promienie słońca, wpadające przez dziurę w dachu trzy piętra wyżej, tworzyły plamę światła na zasłanej śmieciami, potłuczonym szkłem i resztkami gnijących mebli podłodze.

Zza muru dochodziły dźwięki miasta: autobus hamujący na czerwonym świetle, dzwonek przy wózku handlarza starzyzną, daleki płacz dziecka. Wspiąłem się za Kangiem po trzeszczących schodach do mieszkania na drugim piętrze. Kiedyś w tym domu mieszkały trzy rodziny. W oklejonym żółtozielonkawą tapetą salonie brakowało podłogi i sufitu, zostały tylko belki stropu, po których dało się jakoś przejść. Starając się nie stracić równowagi, spojrzałem w dół, do mieszkania pod nami. Dom wyglądał, jakby uderzył w niego meteoryt, który w ułamku sekundy przerył się przez sufity i podłogi. Wyjrzałem przez okno kuchni. Za polem chaszczy sterczały poczerniałe, puste skorupy trzech wypalonych budynków. Osiedle wyglądało, jakby ktoś zrzucił na nie bomby zapalające.

Niegdyś w trzykondygnacyjnych domach z szarej i czerwonej cegły, zwanych *shikumen* („kamienna brama”), mieszkało tu ponad trzy tysiące ludzi. Ustawione w ciasnych rzędach budynki tworzyły wąskie zaułki, *longtang*, do których wchodziło się pod masywnymi, ceglanymi łukami. Za bramą każdego *shikumen* otwierał się zagracony dziedziniec ze spłachetkiem trawy. Dalej znajdowały się pojedyncze drzwi, przez które wchodziło się do sieni i na schody, prowadzące do poszczególnych pomieszczeń.

Shikumen był skrzyżowaniem tradycyjnego chińskiego domu z dziedzińcem z europejskim szeregowcem. Jak wszystko, co jest typowe dla Szanghaju, łączył najpopularniejsze style Wschodu i Zachodu. Na przełomie XIX i XX wieku sześćdziesiąt procent szanghajskich zasobów mieszkaniowych – ponad dziewięć tysięcy budynków – stanowiły *shikumen*.

Tłoczyły się jeden przy drugim w cichych, wąskich alejkach na tyłach głównych ulic miasta.

Według dokumentów miejskich Maggie Lane, wymawiane po chińsku „Majćili”, było jedną z najporządniejszych, najlepiej utrzymanych dzielnic *shikumen* w Szanghaju. W 1958 roku zostało wyróżnione przez władze miasta nagrodą dla „wzorowej społeczności lokalnej” i zagrało w filmie propagandowym. W tamtych czasach każdy dom miał ukwiecony taras i podwójne, pomalowane na czarno drewniane drzwi z kamiennym portalem. Na drzwiach wisiały wymyślne kółka z brązu, spełniające funkcję kołatek, które w czasach zainicjowanej przez Mao Zedonga kampanii Wielkiego Skoku Naprzód przetopiono na stal.

Alejka odziedziczyła nazwę po Maggie Road, dawnej ulicy w koncesji francuskiej, którą Chińczycy przemianowali na Wulumuqi Road na cześć Urumczi, stolicy świeżo przyłączonego do Chin regionu Xinjiang. Budowę stu siedemdziesięciu ośmiu domów przy Maggie Lane ukończono w fatalnym dla szanghajskiego rynku nieruchomości roku 1937. W sierpniu Japończycy zaatakowali miasto z powietrza, morza i ziemi, rozpoczynając drugą wojnę chińsko-japońską. Trwające trzy miesiące walki o miasto przeszły do historii jako bitwa o Szanghaj. Do grudnia Japończycy zabili ćwierć miliona mieszkańców i obrócili w gruzy całe dzielnice.

Jednak to nie Japończycy starli Maggie Lane z powierzchni ziemi. Dokonali tego lokalni urzędnicy sześćdziesiąt cztery lata po bitwie o Szanghaj. W 2001 roku miasto rozwijało się w niespotykanym dotąd tempie. Horyzont zniknął za lasem dźwigów, gazety pisały o gwałtownych protestach mieszkańców, którzy próbowali zablokować wyburzanie swoich domów. Pekin został niedawno wybrany na gospodarza letnich igrzysk olimpijskich w 2008 roku, a Szanghaj prowadził wyrównaną walkę z południowokoreańskim Yeosu o zaszczyt goszczenia wystawy światowej. Członkowie paryskiego Bureau International des Expositions, do których należał wybór zwycięzcy, wyrazili zaniepokojenie przypadkami łamania praw człowieka przez władze miasta. Hasło „Lepsze miasto, lepsze życie” nie współgrało z licznymi doniesieniami o oburzonych lokatorach, których

wyrzuca się z mieszkań, żeby zrobić miejsce pod nowe inwestycje budowlane.

W odpowiedzi na krytykę w 2001 roku municypalni urzędnicy postanowili przestawić się na łagodniejszą, bardziej przyjazną ścieżkę rozwoju. Ukuli dla niej nazwę „rewitalizacja miasta". Deweloper, który uzyskał zgodę na realizację projektu na terenie starej dzielnicy, miał obowiązek zapewnić mieszkańcom rozbieranych domów nowe lokale w tym samym miejscu. W zamian był zwolniony z opłaty za dzierżawę wieczystą, co pozwalało mu zaoszczędzić miliony dolarów.

Jeden z pierwszych projektów w ramach rewitalizacji miasta objął Maggie Lane. Zgodnie z nowym prawem mieszkańcy powinni otrzymać lokale w budynkach wzniesionych na miejscu rozebranych domów. W lutym 2002 roku władze dzielnicy Xuhui sprzedały działkę deweloperowi o nazwie Chengkai Group, który zaoferował najwyższą cenę. Latem tego samego roku mieszkańcy Maggie Lane znaleźli wsunięte pod drzwiami zawiadomienia, że zostaną przesiedleni do jednej z peryferyjnych dzielnic Szanghaju, krótko mówiąc, wygnani na zadupie.

Zaczęli protestować, że należą im się lokale pod tym samym adresem. Gwarantowała im to ustawa o rewitalizacji miasta. Okazało się jednak, że zostali wystrychnięci na dudka. Chengkai Group zaoszczędziła miliony dolarów, zgłaszając swój projekt do programu rewitalizacji miasta, ale potem urzędnicy po cichutku zmienili kwalifikację. Był grudzień 2002 roku. Grupa lokalnych polityków, z burmistrzem Szanghaju na czele, przyjmowała łapówki i zatwierdzała podejrzane umowy z deweloperami; niebawem zaprowadzi ich to za kratki. Partyjni urzędnicy podstępem pozbawili mieszkańców Maggie Lane domów w centrum miasta. Szanghaj został gospodarzem światowej wystawy w 2010 roku. Pomogło mu w tym hasło „Lepsze miasto, lepsze życie".

Manewr władz dzielnicy Xuhui skojarzył mi się z pewną zasadą savoir-vivre'u, o której przeczytałem w *Jak zostać czarującym szanghajczykiem*. W rozdziale *Jak mówić i prowadzić rozmowę* rządowi edukatorzy przybliżali mieszkańcom miasta sztukę zdobywania zaufania:

Przedstawiaj prawdę zgodnie z prawdą. Niektórzy ludzie lubią się przechwalać i składać nierealne obietnice. To się najczęściej źle kończy.

Początek XXI wieku w Szanghaju pod wieloma względami przypominał początek XX wieku w Nowym Jorku. Gwałtowny wzrost gospodarczy i narodziny klasy bogaczy w okresie amerykańskiej „pozłacanej epoki" powielały się teraz po drugiej stronie planety. W komplecie z machlojkami na rynku nieruchomości. Zawłaszczanie gruntów, takie jak w Maggie Lane, nasuwało skojarzenia z wyburzaniem całych nowojorskich dzielnic pod projekty urbanisty Roberta Mosesa, który przygotował miasto do dwóch wystaw światowych, w 1939 i w 1964 roku.

Najbardziej uderzającym podobieństwem było jednak nagłe pojawienie się niezwykłej mozaiki ludnościowej. Na ulicy Wiecznej Szczęśliwości mieszały się dialekty z prowincji Syczuan, Hunan czy Fujian, różniące się od siebie tak samo jak włoski, francuski i niemiecki europejskich imigrantów tłumnie napływających do Nowego Jorku w XIX wieku. W Nowym Jorku i w Szanghaju, jak w dwóch wielkich tyglach, mieszali się ludzie, których bieda, ambicje i skłonność do ryzyka popchnęły do opuszczenia rodzinnego domu, porzucenia dotychczasowego życia i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Imigranci, którzy schodzili z pokładów statków na Ellis Island, podobnie jak sto lat później chińscy *waidiren*, przybywali ze wsi, gdzie ich przodkowie od niepamiętnych czasów uprawiali rolę.

I jednym, i drugim brakowało wykształcenia i obycia. Na filmie nakręconym w pierwszych latach XX wieku przez pasażera nowojorskiego tramwaju mieszkańcy amerykańskiej metropolii chaotycznie przebiegają przez ulicę. Wchodzą pod koła samochodów, uskakują przed powozami i zupełnie nie zwracają uwagi na bliźnich. W innej scenie tłum pieszych prze do przodu, pomagając sobie łokciami. Zdjęcia kręcono na styku Broadwayu i Union Square, ale jeśli zamienić tramwaje i powozy na trąbiące samochody i pędzące skutery, równie dobrze mogłoby to być dowolne skrzyżowanie ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Nie musiałem długo szukać w historii ojczystego kraju okresu analogicznego gospodarczego wzmożenia, który również pociągnął za sobą

potrzebę ucywilizowania mas. Na przełomie XIX i XX wieku w Ameryce ukazały się drukiem setki poradników dobrych manier, uderzająco podobnych do *Jak zostać czarującym szanghajczykiem.*

„Być może sądzisz, że spożywanie posiłku jest rzeczą prostą, lecz różnica pomiędzy dżentelmenem i ordynarnym prostakiem najwyraźniej widoczna jest właśnie przy stole – brzmiały pierwsze słowa rozdziału *Etykieta przy stole* w *Poradniku dżentelmena* wydanym w 1879 roku w Bostonie przez Cecila B. Hartleya. – Widywałem ludzi, którzy jedli zupę albo żuli mięso tak głośno, że słychać ich było przy drugim końcu stołu; napychali usta jedzeniem, ryzykując, że się zadławią lub zakrztuszą; używali własnego noża do masła i soli; wkładali palce do cukierniczki i popełniali wiele innych, równie odrażających grzechów, całkowicie nieświadomi, że swym postępowaniem ściągają na siebie uwagę".

W rozdziale *Jak jeść w sposób cywilizowany* autorzy podręcznika dobrych manier dla mieszkańców Szanghaju także ostro piętnowali nieeleganckie zachowania przy stole, brzmiąc czasem jak zrzędliwi rodzice: „Siedź prosto, nie kładź łokci na stole, nie wyciągaj przed siebie nóg ani nie kop sąsiadów. Nie nakładaj sobie za dużo; jeśli się nie najesz, zawsze możesz wziąć dokładkę. Żuj z zamkniętymi ustami, nie cmokaj ani nie mlaszcz. Jeśli jedzenie jest zbyt gorące, poczekaj, aż ostygnie. Niegrzecznie jest wydmuchiwać nos i bekać w czasie posiłku".

„Nigdy nie wkładaj do ust noża, nawet z serem, który należy jeść widelcem – pouczał Hartley. – Łyżka służy wyłącznie do spożywania potraw płynnych. Nie dotykaj jedzenia palcami. Widelec niewątpliwie jest późniejszym wynalazkiem niż palce, ale w mojej opinii całkiem udatnym, nie jesteśmy bowiem kanibalami".

„Uważaj, co robisz z pałeczkami – podejmuje temat *Jak zostać czarującym szanghajczykiem*. – Nie stukaj nimi o czarkę ani nie podrzucaj w powietrze. Czekając na posiłek, nie zabawiaj się ciskaniem pałeczek w innych […]. Nie grzeb w jedzeniu ani nie »bij się« na pałeczki z sąsiadami przy stole".

„Gdy rozum mówi ci, że masz już dosyć, nie daj się namówić na kolejny kieliszek" – ostrzegał dziewiętnastowiecznych Amerykanów Hartley.

Za to, jak wyjaśnia *Jak zostać czarującym szanghajczykiem*, dopuszczalne jest dyskretne wylewanie alkoholu na podłogę, by uniknąć upicia się wskutek nadmiernej liczby toastów. „Nie wychylaj kieliszka jednym haustem – napomina książeczka. – Nie trać rozsądku na widok alkoholu, unikaj utraty kontroli i nie wygaduj bzdur, robiąc z siebie przedstawienie”.

Rządowemu *Jak zostać czarującym szanghajczykiem* brakowało wdzięku poradnika Hartleya. Poszczególne rozdziały składały się z litanii zaleceń, przenikniętych chińską obsesją na punkcie numerologii: „pięć rodzajów świadomości”, „cztery rodzaje ducha”, „pięć wyzwań” i „cztery konieczności”. Było także „siedem nie rób”: „Nie pluj; nie śmieć; nie niszcz własności publicznej; nie niszcz zieleni; nie przebiegaj przez ulicę; nie pal w miejscach publicznych; nie używaj wulgarnych wyrazów”.

Mimo tych starań władzom Szanghaju nie udało się zrealizować ambitnych celów przed otwarciem wystawy światowej. Przypadki niszczenia własności publicznej należały do rzadkości, ale mieszkańcy niewiele sobie robili z reszty zaleceń – wystarczyło kilka minut na ulicy Wiecznej Szczęśliwości, by zobaczyć pozostałe sześć „nie”.

– Nie może pan tu wejść! Halo! Proszę opuścić teren!

Była pierwsza po południu. Przerwa obiadowa się skończyła i strażnik z Maggie Lane, zgodnie z rozkładem, powrócił na posterunek.

– Stary Kang! To ty? Kogo ze sobą przyprowadziłeś? – wrzeszczał z dołu strażnik w stronę wybebeszonego drugiego piętra.

Wyjrzałem z okna opuszczonego domu Kanga; chudy wartownik stał posłusznie po drugiej stronie policyjnej taśmy. Niebieska kurtka zwisała luźno na jego kościstych ramionach, czapka zjechała na bok. Cały mundur był na niego za duży. Wyglądał jak dzieciak przebrany na Halloween.

– To mój przyjaciel! – odkrzyknął z głębi domu Stary Kang.

– To obcokrajowiec! – krzyknął strażnik na widok mojej twarzy w pozbawionym szyb oknie.

– Nie przeszkadza mu to być moim przyjacielem – zgasił go Stary Kang.

Ostrożnie zeszliśmy po rozchwierutanych schodach i stanęliśmy oko w oko z wyraźnie zdenerwowanym ochroniarzem. Chyba nie podobało mu

się, że musi użerać się z zagranicznym intruzem, który wtargnął na teren jego spokojnego zazwyczaj rewiru.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Jestem zagranicznym dziennikarzem. Przeprowadzam z nim wywiad – odparłem, wskazując Starego Kanga.

To była ostatnia rzecz, którą strażnik chciał usłyszeć. Jego niepokój przeszedł na wyższy poziom. Przez chwilę przestępował z nogi na nogę, szukając odpowiednich słów.

– Tutaj nie możesz przeprowadzać wywiadów – odezwał się wreszcie.

– Oczywiście, że może! To mój dom. Zaprosiłem go, bo chcę mu udzielić wywiadu! – oświadczył Stary Kang.

Na takie okazje nosiłem przy sobie egzemplarz Przepisów obowiązujących w Chinach zagranicznych dziennikarzy. Wyjąłem z torby pożółkłą, wyświechtaną kartkę i podałem ją ochroniarzowi.

– Tu jest napisane, że mogę przeprowadzić w Chinach wywiad z każdym, kto wyrazi na to zgodę – powiedziałem, wskazując palcem punkt siedemnasty regulaminu.

– Wyraziłem zgodę – oznajmił z uśmiechem Stary Kang, zadowolony, że w tym wyjątkowym przypadku prawo jest jednoznaczne.

Nie zwracając na niego uwagi, ochroniarz zagłębił się w lekturze dokumentu.

– Tu jest też napisane, że na żądanie policji musisz okazać legitymację prasową – powiedział.

Wyciągnąłem legitymację prasową i wręczyłem ją strażnikowi. Obejrzał ją pod światło z obu stron, jakby sprawdzał znak wodny na stujuanowym banknocie. W końcu mi ją zwrócił.

– Wtargnąłeś na teren prywatny – oznajmił stanowczym tonem.

– Nieprawda – powiedział Stary Kang. – Czy to nie jest mój dom?

Strażnik pomyślał przez chwilę, palcami w białej rękawiczce drapiąc się w potylicę.

– Tak, to jest twój dom – musiał ostatecznie przyznać.

– Zgodziłem się udzielić mu wywiadu?

– Tak.

– Więc wszystko jest zgodnie z prawem. – Stary Kang uznał temat za zamknięty. – Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział do mnie.

Obeszliśmy dookoła częściowo zburzony dom. Strażnik snuł się za nami w milczeniu niczym cień. Uwolnił uszy spod za dużej czapki, by lepiej słyszeć opowieść Starego Kanga o dniu, w którym stracił swój dom.

Był bezchmurny wieczór w październiku 2004 roku. Większość mieszkańców Maggie Lane wynegocjowała z Chengkai Group lokale zastępcze i wyprowadziła się już do maleńkich mieszkanek na obrzeżach Szanghaju. Jednak garstka najbardziej upartych została w domach, twierdząc, że sprzedaż gruntów przez władze dzielnicy była nielegalna. Od transakcji minęły dwa lata i urzędnicy zaczęli się niecierpliwić. Przerzucili zadanie usunięcia blokujących rozbiórkę lokatorów na ekipę Chengkai Group.

– Co najmniej dwudziestu oprychów otoczyło mój dom – wspominał Stary Kang. – Odcięli mi wodę i gaz, zerwali z zawiasów drzwi wejściowe. Powiedziałem, że się nie wyprowadzę. Powybijali mi okna i zalali dom cuchnącymi ściekami z kanalizacji. To było ohydne, śmierdziało okropnie, ale wziąłem mop i umyłem podłogę. I mieszkałem tam dalej.

Ekipa rozbiórkowa poczekała na zmianę pogody. Pewnego wieczoru zaczął padać deszcz. Stary Kang odpoczywał w swoim salonie, gdy nagle usłyszał głośny warkot silnika. Pod dom podjechała koparka i podniosła ramię wysięgnika powyżej poziomu dachu.

– *Peng! Peng! Peng!* – zawołał Stary Kang, naśladując łoskot, który rozległ się nad jego głową. Dach zapadł się do środka, z góry posypały się kawałki belek i płaty tynku, które o mało nie przygniotły Kanga. Razem z gruzem przez dziurę w dachu lały się na meble strugi deszczu.

– Wszystko było mokre, więc się stamtąd zabrałem – powiedział Kang.

Od tamtej pory Kang był bezdomny. Tułał się po mieszkaniach przyjaciół, żył z zasiłku i zasypywał urzędy pismami, w których domagał się odszkodowania za zniszczone mieszkanie.

– Nie mogą tak mnie zostawić na ulicy. Muszą mi zapewnić dach nad głową.– W jego głosie słychać było narastające emocje. Strażnik ciekawie nadstawił ucha. – Niech mi dadzą jakiś lokal albo chociaż pieniądze na wynajem. Albo wyremontują dom, żebym mógł się z powrotem wprowadzić.

Ochroniarz zarechotał donośnie. Aż zgiął się wpół, tak go rozbawiła absurdalność tego pomysłu.

– *Bu keneng!* Mowy nie ma!

Stary Kang puścił to mimo uszu.

– W najgorszym razie powinni mi dać pieniądze na wynajem. Nie potrzebuję pięknego domu, ale muszę gdzieś mieszkać. Wszystko jedno gdzie – powiedział. – Wystarczy mi dziesięć metrów kwadratowych za dwa tysiące juanów miesięcznie.

Stary Kang mówił tak, jakby coś ode mnie zależało. Mieszkańcy Maggie Lane wystąpili na drogę sądową przeciwko urzędowi dzielnicowemu, ale sędzia oddalił ich pozew. Składali kolejne podania i petycje, które nieodmiennie pozostawały bez odpowiedzi. Partia kontrolowała system sądowniczy i prasę, więc osoby skrzywdzone przez władze często szukały pomocy u jedynych ludzi, którzy nie słuchali partyjnych poleceń: zagranicznych dziennikarzy. W odróżnieniu od chińskich mediów, które podlegały ścisłej cenzurze, jako oficjalny korespondent amerykańskiego radia mogłem zajmować się dowolnym tematem. Kiedy poznałem Kanga, z początku zastanawiałem się, w jakim stopniu „zgodnie z prawdą przedstawia prawdę”. Może podkolorował kilka szczegółów, by zwrócić na siebie uwagę rządowych instytucji? Skontaktowałem się z urzędnikami, dając im szansę na sprostowanie zarzutów, ale z niej nie skorzystali, po prostu odmówili rozmowy. Później dotarłem do policyjnych raportów, które potwierdziły wersję Kanga. Poza tym miałem przed oczyma materialne dowody: ogromną dziurę w dachu i opustoszałe osiedle na wpół zrujnowanych domów.

– Od ośmiu lat nie mam gdzie mieszkać – powiedział Kang, kiedy brnęliśmy przez gruzy do wyjścia. – Czy w twoim kraju też dzieją się takie rzeczy?

Pomyślałem o głośnych sporach dotyczących własności gruntu, o których robiłem reportaże w Stanach Zjednoczonych.

– Tak – odparłem – ale przedsiębiorcy budowlani nie mogą nękać mieszkańców, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Zabrania tego prawo. I ludzie zwykle nie lądują na bruku.

– Na tym polega różnica między moim krajem a twoim – powiedział Kang, kiwając głową. – My też mamy przepisy, tylko że nikt ich nie przestrzega. Ludzie nie mają żadnych praw. Rozwój gospodarki niczego nie zmienił, ważny jest system. Jeśli system się nie zmieni, wzrost gospodarczy nic nam nie pomoże. Rządzących obchodzi wyłącznie postęp w dziedzinie nauki i technologii, a nie przebudowa całego systemu.

Stary Kang poruszył kluczową dla przyszłości Chin kwestię, nad którą od lat debatowali eksperci od tego kraju. Nie da się zapewnić wszystkim obywatelom równości wobec prawa bez niezależnego sądownictwa i umożliwienia zwykłym ludziom występowania na drogę sądową przeciwko instytucjom państwa, a to zachwiałoby wszechwładzą partii. Obserwatorzy spodziewali się, że rozkwit kapitalizmu i dynamiczny rozwój gospodarczy z czasem doprowadzą do wyewoluowania niezależnego sądownictwa, ale jeszcze tak się nie stało.

Dotarliśmy do wypalonej skorupy *shikumen* pośrodku parceli. Staliśmy w próżni w centrum najruchliwszego miasta na świecie, w pustce pozostawionej zmarłym.

Z na wpół zrujnowanych domów Maggie Lane wyległa grupka starych kobiet. Chciały się z nami przywitać.

– To jest zagraniczny dziennikarz! – przedstawił mnie z dumą Kang.

Strażnik posłał mi nerwowe spojrzenie.

– Nie rozmawiajcie z nimi – ostrzegł kobiety.

– Dlaczego? – zapytała jedna z nich. – Opowiemy mu tylko, jak cudownie nam się tu mieszka! – dodała z sarkazmem. – Jakie mamy wspaniałe, godne życie! Rozejrzyjcie się, ależ tu pięknie!

Staruszki rozchichotały się; ich śmiech przypominał gdakanie kur. Zdeprymowany strażnik odwrócił wzrok. Stary Kang przywołał gestem mężczyznę, który stał za plecami kobiet.

– To Stary Chen. Mieszka z żoną w tamtym domu. Jest naszym przywódcą.

Uścisnąłem Chenowi dłoń. Jego pełne nazwisko brzmiało Chen Zhongdao, ale później zacząłem nazywać go Burmistrzem Chenem.

Burmistrz Maggie Lane był chudym mężczyzną po sześćdziesiątce. Miał schludnie przystrzyżone włosy i spokojne, dobre oczy. Uśmiechał się łagodnie, odsłaniając dwie wystające górne jedynki. Mieszkał w domu przy bramie. Udało mu się dotrzeć do policyjnych raportów, dokumentów sądowych i innych dowodów nadużyć urzędników w sprawie Maggie Lane. W rezultacie ekipa rozbiórkowa raczej omijała jego dom. Zadbany budynek otaczały drzewa. Przed kamienną bramą rosła wierzba płacząca. Wymieniliśmy się z Burmistrzem Chenem numerami telefonów i spytałem go, jak to się dzieje, że wciąż pozwalają im tu mieszkać.

– Och, od czasu do czasu próbują nas stąd wykurzyć – powiedział z silnym szanghajskim akcentem. – Ale się nie poddajemy.

Jednak to nie swojej nieustępliwości zawdzięczali, że pozwolono im tam zostać. Jak wyjaśnił mi Burmistrz Chen, prawdziwym powodem było podwójne morderstwo.

Nad ranem 9 stycznia 2005 roku na teren osiedla weszli trzej mężczyźni z ekipy rozbiórkowej. Przynieśli ze sobą kilka kanistrów benzyny. Rok wcześniej groźbami i zastraszaniem deweloper zmusił większość mieszkańców do opuszczenia domów. W poprzednich tygodniach członkowie ekipy kilkanaście razy próbowali wywołać pożar, by wypłoszyć z osiedla ostatnich, najbardziej upartych lokatorów. Ludzie nauczyli się jednak trzymać zawsze pod ręką kilka wiader z wodą do ugaszenia ognia.

Tamtej styczniowej nocy mężczyźni rozlali benzynę na parterze domu należącego do pary staruszków. Zhu Shuikang i jego żona Li Xingzhi zbliżali się do osiemdziesiątki i mieszkali w Maggie Lane od ponad sześćdziesięciu lat. Zhu walczył w szeregach Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej podczas wojny koreańskiej. Według ustaleń sądu o pierwszej w nocy napastnicy podłożyli ogień, który w ciągu kilku minut strawił dom. Rano w zgliszczach znaleziono zwęglone ciała Zhu i Li. Zginęli w swoich łóżkach.

Wiele miesięcy później, podczas procesu sprawców, synowa Zhu i Li powiedziała przez łzy na sali sądowej, że jej teść przeżył wojnę, by jako stary i bezbronny człowiek zginąć z rąk morderców, którzy działali na zlecenie skorumpowanych urzędników. Sędzia uznał trzech oskarżonych, pracowników Chengkai Group, za winnych. Wang Changkun i Yang Sunqin

otrzymali wyroki śmierci, które nie zostały jednak wykonane, a Lu Peide dożywocie.

Wyrok zapadł w tym samym roku, w którym szanghajscy urzędnicy, w ramach kampanii „cywilizowania” mieszkańców, wydali i rozkolportowali poradnik *Jak zostać czarującym szanghajczykiem*. Termin „cywilizacja” został wyjaśniony na stronie siedemdziesiątej piątej:

> Odnosi się [on] do stanu oraz zakresu postępu społecznego populacji, która wyzbyła się już ignorancji, brutalności i zacofania. Świadczy o wysokim rozwoju kraju i oświeceniu narodu. Cywilizacja dzieli się na materialną, polityczną i duchową. Cechuje ją nowy typ relacji międzyludzkich, właściwy społeczeństwu, w którym panują równość i poczucie jedności. Wyraża się on we wzajemnej życzliwości i chęci niesienia pomocy.

Morderstwo w Maggie Lane wydarzyło się w bardzo drażliwym dla Szanghaju momencie. Miasto, na którym niebawem miał się skupić wzrok całego świata, nie mogło sobie pozwolić na złą prasę. Spalone, częściowo rozebrane osiedle w samym centrum – scena makabrycznego zabójstwa dokonanego na zlecenie przedsiębiorcy budowlanego – nie pasowało do propagowanego przez urzędników wizerunku. Władze dzielnicy Xuhui ze stratą odkupiły parcelę od dewelopera i pospiesznie otoczyły ją trzymetrowym murem, który pokryły kremowym tynkiem. Chińscy przywódcy zawsze dobrze sobie radzili z budowaniem murów, a ten konkretny chronił oczy przechodniów przed makabrycznym widokiem trupiarni.

Burmistrz Chen, jego żona i cztery inne rodziny nadal mieszkali w zniszczonych domach, twardo odmawiając wyprowadzki, dopóki lokalne władze nie przyznają im nowych mieszkań w tej samej dzielnicy. Z powrotem podłączono im wodę, gaz i prąd i Chen narzekał już tylko na cieknący dach. (Rozwaliła go koparka, ale problem dawało się rozwiązać za pomocą podstawionego w strategicznym miejscu wiadra). Znów, jak przed laty, w osiedlu zapanowały spokój i cisza. Mieszkańcy mogli o dowolnej porze wchodzić i wychodzić przez bramę, której przez całą dobę strzegli policjanci. Założyli nawet wspólny ogród warzywny na nasłonecznionym spłachetku ziemi przed zgliszczami domu Zhu i Li. Uprawiali tam cebulę,

papryczki chili i kabaczki. Często obserwowałem z okna, jak pracują. Prowadzili kolektywne gospodarstwo rolne w samym sercu największej metropolii Chin.

W słoneczny, późnojesienny dzień wybrałem się z Raineyem na spacer wokół kremowego muru. Był październik 2010 roku i wystawa światowa dobiegała końca. Rainey wlókł się za mną ulicą Spokojnej Pomyślności, ciągnąc na sznurku ukochaną zabawkę: białą drewnianą kaczkę na turkoczących kółkach.

Szliśmy, roztrącając butami żółte liście platanów, gdy nagle turkotanie ucichło. Odwróciłem do rozpromienionego Raineya, który wskazywał palcem na ścianę.

– Haibao! Haibao! – zawołał.

Mur pokrywały te same plakaty, które przywitały nas na lotnisku, przedstawiające niebieską, uśmiechniętą, gumowatą postać z nieobecnym wzrokiem, unoszącą się w powietrzu nad panoramą miasta. Niżej widniało znajome hasło, napisane wielkimi, czerwonymi literami: „Lepsze miasto, lepsze życie”. Idąc wzdłuż muru, co trzy metry napotykaliśmy tę samą frazę; lepsze miasto, lepsze życie… lepsze miasto, lepsze życie… lepsze miasto, lepsze życie…

Powtarzającemu się optymistycznemu refrenowi towarzyszyło rytmiczne turkotanie kółek drewnianej kaczki. Rainey biegł od Haibao do Haibao, wpadał w zachwyt na widok każdego kolejnego stworka, zupełnie nieświadomy, że po drugiej stronie muru straszą sczerniałe zwłoki osiedla mieszkaniowego.

3 Gorąco i głośno

长乐路109号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 109

Zhao Shiling poznałem, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym kupić kwiaty dla żony. Kwiaciarnia Zhao znajduje się na wschodnim końcu ulicy Wiecznej Szczęśliwości, tuż przed łagodnym łukiem zmieniającym Changle lu w ulicę Złotego Wzgórza, biegnącą dalej na wschód aż do Bundu, promenady nad rzeką Huangpu, wzdłuż której stoją gmachy w stylu kolonialnym, wzniesione w XIX wieku przez europejskie mocarstwa. Narożny sklepik Zhao, usytuowany przecznicę od ruchliwej arterii przelotowej North-South Elevated Road, która łączy południową i północną część miasta, ma świetną lokalizację. Często przejeżdżam tamtędy na rowerze, wracając z pracy do domu.

Na ulicy Wiecznej Szczęśliwości są także inne kwiaciarnie, oferujące róże, lilie i tulipany, ale wolę kupować u Zhao, ponieważ jej róg tętni życiem. Na tym odcinku Changle lu lokale handlowe są bardzo małe. Mają najwyżej pięć metrów szerokości i sięgają trzy metry w głąb budynku; przypominają zabudowane garderoby, ustawione jedna przy drugiej. Właściciele i ich towary z konieczności okupują część chodnika. Zhao spędzała dużo czasu na rozkładanym krzesełku pod markizą. Wachlując się, pilnowała brzdąca, którego rodzice prowadzili sklepik oddzielony od kwiaciarni butikiem z ubraniami i warsztatem motocyklowym. Butik należał do pewnej kobiety z prowincji Anhui, a warsztat do mechanika z Jiangsu. Zwykle ślęczał nad rozbebeszonym skuterem, którego części poniewierały się po chodniku. Gawędzili w wiejskim dialekcie, jednocześnie uważając, by malec nie potknął się o ostre części skutera lub nie wywędrował poza ich rewir. Delikatnie szturchając, przesuwali go między sobą w tłumie przechodniów, jakby był metalową kuleczką w skrzyni flippera.

Chińczycy mają nazwę na swojski rozgardiasz, jaki panował na rogu ulicy: *renao*, dosłownie „gorąco i głośno”. Życie mieszkańca chińskiego miasta jest nieustanną pogonią za „jeszcze goręcej i jeszcze głośniej”.

Dorastałem w atmosferze będącej przeciwieństwem *renao*. Trudno znaleźć miejsce chłodniejsze i cichsze od rolniczej Minnesoty. Ale po kilku latach mieszkania w Chinach zacząłem szukać ciepła i gwaru. Skrzyżowanie z kwiaciarnią przyciągało mnie z jeszcze jednego powodu. Zhao swoją emocjonalną wrażliwością chłopki przypominała mi moich dawnych uczniów z Syczuanu. Lubiła się śmiać, mówiła głośno i bez ogródek. Kpiła z innych, ale najczęściej żartowała z siebie, co przeczulonym na punkcie statusu szanghajczykom zdarza się niezmiernie rzadko. Jedyne zmarszczki na jej twarzy układały się w dwie miękkie ścieżki od kącików oczu do czoła – była to twarz ukształtowana przez uśmiech.

Zhao miała dwóch dorosłych synów, o czym informowała wszystkich zaraz na początku znajomości. Obaj nazywali się Sun. Duży Sun odziedziczył po matce wysoki wzrost. Był szczupłym, przystojnym mężczyzną o spokojnych, migdałowych oczach i wąskim, podłużnym nosie. Mały Sun nie dorównywał wzrostem bratu i miał węższe oczy, za to był krzepki jak byk. Stali klienci wiedzieli o obu młodzieńcach wszystko, łącznie z tym, jak głęboką dumą napawała Zhao inteligencja Dużego Suna i jak bardzo czuła się winna, że mu nie wyszło w życiu. Wiedzieli, że się niepokoi, czy Mały Sun ma smykałkę do biznesu i czy poradzi sobie w wielkim mieście. Przynajmniej dał jej wnuka, stwierdzała, chichocząc; Mały Sun do czegoś się jednak nadawał. Cała kwiaciarnia, róże, lilie, bukiety na zamówienie były tylko po to, by obu Sunom zapewnić lepsze życie.

Zhao nie poruszała się z leniwą nonszalancją rodowitych mieszkanek metropolii. Kiedy stała na gorącym, hałaśliwym rogu, jej krzepka postać górowała nad drobnymi, gibkimi sylwetkami miejscowych kobiet, które mijały kwiaciarnię, przyciskając do wątłej piersi swoje malutkie torebki. Ale mieszkała w Szanghaju już dostatecznie długo, by wyrobić sobie zmysł mody. Kiedy się wystroiła i uczesała, co nie zdarzało się często, była przystojną panią w średnim wieku. Emanowała pewnością siebie wieśniaczki, która umie przeżyć w każdych warunkach. Często spędzaliśmy

wspólnie popołudnie na krzesełkach przed drzwiami sklepu. Pogryzaliśmy pokrojone owoce, pogrążeni w rozmowie, zanurzeni w gorących i głośnych rytmach wielkiego miasta.

Wiele lat wcześniej, w betonowym bloku obok kopalni węgla, Zhao śniła na jawie o Szanghaju. Wychowała się ponad tysiąc kilometrów od wymarzonego miasta i wiedziała o nim tylko tyle, że słynie z bogactwa i że jego nazwę zapisuje się znakami 上海, które oznaczają „nad morzem". W rzeczywistości centrum metropolii leżało kilkadziesiąt kilometrów od wybrzeża, w zakolu rzeki Huangpu, jednego z licznych, wąskich dopływów Jangcy. Z samolotu delta Jangcy wygląda jak nabrzmiała, błotnista tętnica, od której odchodzą cienkie naczynia włosowate.

Zhao nigdy nie przelatywała nad Szanghajem. W ogóle nigdy w życiu nie leciała samolotem, więc odwołała się do swojej wyobraźni. Oczyma duszy widziała fale, które rozbijały się z hukiem o białe plaże. Za pasem piasku wznosiły się rzędy wieżowców ze szkła i stali, smukłych jak źdźbła zboża w pełni lata na polach wokół jej rodzinnego miasteczka. Pewnego dnia w 1995 roku ciekawość wzięła górę. Wrzuciła trochę rzeczy do brezentowej torby podróżnej i pożegnawszy się z mężem i synkami, wsiadła do nocnego pociągu.

– Szanghaj wyglądał zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam – zwierzyła mi się, chichocząc.

Okazał się gąszczem strzelistych biurowców i hałaśliwych, zatłoczonych ulic, po których z rykiem klaksonów gnały samochody. Wszędzie coś budowano. Horyzont był przesłonięty lasem dźwigów, a wokół miasta ciągnął się pierścień fabryk, które zatruwały powietrze cuchnącymi wyziewami.

Zhao musiała się przystosować.

Przed wyjazdem z rodzinnej miejscowości za zaoszczędzone pieniądze kupiła sobie strój na pierwszy dzień w Szanghaju: czerwoną sukienkę, czerwone skarpetki i czerwony kapelusz, ozdobiony wielkim, plastikowym kwiatem.

– Myślałam, że ludzie w mieście tak się ubierają – powiedziała ze śmiechem.

Wyobrażała sobie, że zaraz po przyjeździe zanurzy stopy w oceanie.

– Zobaczyłam most i spytałam grupkę robotników: „Czy to jest morze?”.

Mężczyźni spojrzeli na Zhao, potem na wąską rzekę, którą płynęły śmieci, i ryknęli śmiechem.

Kiedy pierwszy raz wsiadła do wagonu metra, myślała, że to długi traktor.

– Nigdy wcześniej nie widziałam metra, znałam tylko traktory – powiedziała.

Zhao nie miała w Szanghaju krewnych. Znała tylko kilka kobiet, które wcześniej wyjechały z jej rodzinnego miasteczka. Pracowały przy składaniu telewizorów Sony w fabryce Beishang Electronics na industrialnych obrzeżach metropolii i nie miały czasu opisywać jej w listach szczegółów. Jak wielu ówczesnych migrantów zarobkowych, Zhao przyjechała z prowincji Shandong z mglistą perspektywą znalezienia roboty przy taśmie za pośrednictwem najstarszego systemu w Chinach: *guanxi*, znajomości. Dzięki sieci znajomych z rodzinnych stron można było znaleźć upragnioną pracę przy montowaniu zagranicznych urządzeń w jednej z szanghajskich fabryk z pensją kilkakrotnie wyższą niż zarobki w domu. W Beishang Electronics przy każdej linii montażowej stali migranci z innego miasta, rozmawiający ze sobą w dialekcie zupełnie niezrozumiałym dla robotników przy sąsiedniej taśmie.

Zhao miała dwadzieścia dziewięć lat, prawie dziesięć więcej niż koleżanki z fabryki. Wszystkie kobiety opuściły rodzinne miasto, gdy były znacznie młodsze od niej. Po jej wyjeździe w Zarządzie Górnictwa Węgla w Zaozhuang, gdzie pracował jej mąż, huczało od plotek. Jaki mężczyzna pozwala żonie przenieść się do wielkiego miasta i zostawić go samego z dziećmi? Mąż Zhao miał zwyczaj mrużyć oczy i otwierać usta, kiedy ktoś do niego mówił, co nadawało jego twarzy wyraz nieustającej konsternacji. Był niskim, małomównym mężczyzną, który poślubił wysoką, gadatliwą kobietę. Nie potrafił odgryźć się kolegom za ich docinki. Nie zdobył się na wyrażenie sprzeciwu także wtedy, gdy jego żona kazała mu usiąść i gromkim głosem, wyćwiczonym w dzieciństwie na polach sorgo, wyjaśniła mu

sytuację: Chiny się zmieniły, teraz wolno zarabiać pieniądze, więc zamierza w tym celu wyjechać, zanim ubiegną ją inni. Bo inaczej jak w zmieniających się błyskawicznie Chinach wychowają dzieci za pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, które zarabiał w fabryce? Zhao pamięta, jak jej mąż tajemniczo mrużył oczy, dziwując się w milczeniu, że jego żona nie potrafi usiedzieć w miejscu.

Przypomniała mu, że ich miasteczko jest *luohou*, zacofane. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych uczyłem w Syczuanie angielskiego, słyszałem to określenie bardzo często. Dużo jeździłem po okolicy rowerem i lubiłem zatrzymywać się, by pogawędzić z wieśniakami. Gdy im mówiłem, że tarasy pól ryżowych stanowią piękny widok, natychmiast słyszałem w odpowiedzi *luohou*. *Zacofane*.

– Czy ludzie w twoim kraju tak żyją? – zapytał mnie raz pewien rolnik, broniąc swojego zdania.

Rozejrzałem się po obejściu: na podwórzu dziecko odrabiało lekcje, siedząc po turecku na ubitej ziemi, w ubraniu poplamionym gnojem, który właśnie skończyło rozrzucać na polu. Kurczęta i prosiaki właziły swobodnie do domu, ubabrane odchodami kaczki kwakały jak najęte.

– Teraz już raczej nie – odparłem, nerwowo obracając w dłoniach kask rowerowy.

– Właśnie – powiedział wieśniak i splunął na ziemię. – Jesteśmy *luohou*.

To nie była ich wina. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Chin w połowie lat dziewięćdziesiątych, kraj zaczynał się dopiero odradzać po czterdziestu latach *luohou* polityki gospodarczej. Pchnięcie go na tę drogę nie wymagało wielkich zabiegów ze strony władzy. Na początku dekady Deng Xiaoping oznajmił, że „bogacenie się przynosi chlubę”. Historycy do dziś spierają się, czy sam ukuł tę formułkę, ale to nie ma większego znaczenia. Ludowe masy przypisały jej autorstwo malutkiemu i zadziornemu sekretarzowi generalnemu partii, nikt z jego towarzyszy nie zaprotestował, a slogan chwycił. Deng wsiadł do pociągu i przez cały miesiąc podróżował po południowej części kraju. Na każdym postoju zachęcał robotników, by wzięli swój los we własne ręce, i obiecywał, że nie będzie im rzucał kłód pod nogi. Po dziesięcioleciach przymusowego realizowania kolejnych

idiotycznych kampanii Chińczycy w końcu mogli zarobić trochę pieniędzy. „*Gaige kaifang*”, „reformy i otwarcie”, przy każdej okazji powtarzał Deng. Przywódca Chin nawoływał do zreformowania gospodarki i otwarcia kraju na świat. Chińska Partia Komunistyczna nazwała ten program „socjalizmem o chińskiej specyfice”. Dla wszystkich innych był to zwykły kapitalizm.

Zhao wzięła hasło „*gaige kaifang*” osobiście mocno do siebie: rewolucja kulturalna przeszkodziła jej w zdobyciu wykształcenia, rodzice zmusili ją do zawarcia zaaranżowanego małżeństwa, wychowywała dzieci w mieście, w którym drzewa były czarne jak smoła od pyłu węglowego, więc kiedy władze zaleciły obywatelom samodzielność, natychmiast podjęła wyzwanie i wyemigrowała do Szanghaju.

Wzorem przewodniczącego Denga postanowiła dotrzeć na miejsce pociągiem. Zanim wiosną 1995 roku opuściła Zaozhuang, kobiety w mieście nagle przestały z nią rozmawiać.

– Patrzyły na mnie z odrazą – wspomina. – Nie potrafiły zrozumieć, dlaczego kobieta decyduje się tak daleko wyjechać. Same siedziały w domach, robiąc na drutach, a większość nawet nie pracowała. Myślały, że wyjeżdżam, by zarabiać w jakiś niemoralny sposób.

Rok później Zhao i jej koleżanki z fabryki wróciły do miasteczka na chiński Nowy Rok. Przyjechały ubrane w niebieskie kombinezony z naszywkami Beishang Electronics na kieszonkach na piersiach, ucinając wszystkie plotki na temat dziewcząt pracujących w wielkim mieście.

– Byłyśmy dumne z siebie i każdy mógł to zauważyć – powiedziała. – Udowodniłyśmy, że nie pracujemy w jakimś plugawym salonie masażu. Harowałyśmy przy taśmie i przełykałyśmy gorycz – mówi, używając potocznego zwrotu „*chiku*”, który stał się określeniem pierwszej fali migracji zarobkowej z prowincji.

– Czerwone róże, białe róże, tulipany, lilie „casablanca”… – Zhao wyliczała, co ma na stanie, a ja oglądałem towar, pytając o ceny. – Pewnie, że lilie o tej porze roku są drogie. Sprzedaję je po sto pięćdziesiąt juanów (równowartość około dwudziestu pięciu dolarów) za bukiet, chociaż ich jakość pozostawia wiele do życzenia! *Aiya!*

Był rok 2012, ostatni rok urzędowania przewodniczącego Hu Jintao, i zawrotne tempo wzrostu chińskiej gospodarki, przez ostatnie dwadzieścia lat sięgające ośmiu procent rocznie, zaczynało stopniowo zwalniać. Jako zagraniczny korespondent programu radiowego dotyczącego gospodarki nauczyłem się w Chinach jednej rzeczy: wypowiedzi rządowych ekonomistów na temat stanu gospodarki tego kraju należy przyjmować z pewną dozą sceptycyzmu. Trudno wyrobić sobie zdecydowaną opinię, skoro przywódcy kraju – jak na przykład w 2007 roku późniejszy premier Li Keqiang podczas obiadu z ambasadorem Stanów Zjednoczonych Clarkiem Randtem – sami przyznają z uśmiechem, że dane na temat PKB Chin są „sfabrykowane".

Oczywiście, eksperci od gospodarki mają też inne sposoby na określenie jej stanu: opierają się na statystykach handlu zagranicznego czy danych dotyczących produkcji energii elektrycznej i zadłużenia poszczególnych prowincji. Ja też mam swoje metody: obserwuję, jak radzą sobie drobni przedsiębiorcy, tacy jak Zhao.

– Spójrz na dzisiejszą dostawę – powiedziała, pokazując mi listę cen od swojego hurtownika. – Pięćdziesiąt czerwonych róż kosztuje pięćset juanów, a dziewiętnaście niebieskich pięćset siedemdziesiąt. Dwa lata temu za jedną różę płaciłam trzy juany. Teraz trzy razy więcej!

Jeszcze dwa lata wcześniej Zhao zarabiała na czysto sto tysięcy juanów (około piętnastu tysięcy dolarów) rocznie, ale w tym roku poszło jej gorzej. Ceny szły w górę i traciła klientów.

– Mam przeczucie, że czekają nas ciężkie czasy – westchnęła.

Na markizie nad wejściem widniały czerwone znaki: „*Jinle huadian*", „Kwiaciarnia Świetlistej Szczęśliwości". Pierwszy ideogram został zapożyczony z nazwy hotelu Jinjiang, jednego z najstarszych w Szanghaju, usytuowanego dwa kwartały dalej. Drugiego znaku, oznaczającego „szczęście", dostarczyła nazwa ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Codziennie o ósmej rano Zhao podnosiła skrzypiącą, metalową żaluzję kwiaciarni Jinle i wyciągała na chodnik wysoki stół. Ustawiała go przed witryną wypełnioną asortymentem w jaskrawych odcieniach purpury i żółci. Na stole stawał koszyk z arkuszami różowej bibułki, pod spodem kilka

kubłów. Parę minut później nadjeżdżała furgonetka z giełdy kwiatowej obok lotniska Hongqiao, gdzie lądowały nocne samoloty z Kunmingu w południowo-zachodniej prowincji Yunnan, kwiatowej stolicy Chin. Zhao wymieniała z dostawcą „*zao*” („dobry”) i pomagała mu wypakować świeży towar na chodnik przed warsztatem mechanicznym, który otwierano godzinę później. Zhao zaczynała przycinać na stole kwiaty; kawałki łodyg lądowały w wiadrach. Zawijała w różową bibułkę najchętniej kupowane róże, lilie i tulipany, przygotowując bukiety zamówione telefonicznie poprzedniego dnia. Następnie wkładała pozostałe kwiaty do białych plastikowych wazonów, które ustawiała starannie na trzypoziomowych regałach na wystawie i w głębi sklepiku.

Przy pełnych półkach w środku nie można się było obrócić, nie ocierając się o pachnące wiosną płatki w technicolorze. Na podłodze mieściły się dwa krzesełka, zielony plastikowy termos z przegotowaną wodą na herbatę i miniaturowy, rozkładany stolik, przy którym Zhao jadała lunch. Na ladzie w głębi pomieszczenia królowały parafernalia branży florystycznej: kalkulator, telefon, pilot do telewizora i duże lustro z przylepionymi taśmą klejącą zamówieniami na następny dzień. Kwiaciarnia Świetlistej Szczęśliwości miała trzy na trzy metry i każdy skrawek powierzchni był w pełni wykorzystany.

Gdy ceny kwiatów w hurcie zaczęły systematycznie rosnąć, w walkę o klienta włączyli się sprzedawcy internetowi. Z powodu niewidzialnej konkurencji Zhao nie mogła sprzedawać drożej, więc musiała pokryć stratę z własnych zysków. Zatrudniała dwóch pomocników do rozwożenia zamówień, ale wkrótce nie będzie ją na nich stać.

– A twoi synowie? – zapytałem.

Duży Sun i Mały Sun, obaj już dobrze po dwudziestce, opuścili górnicze miasteczko, by zamieszkać z matką w Szanghaju.

– *Aiya* – żachnęła się, jakby jej synowie byli bezużytecznymi menelami. – Nie chcą dla mnie pracować. Duży Sun spytał niedawno: „A co, jeśli będzie padać? Nie chcę rozwozić kwiatów w deszcz!”. Nie wiedzą, co to znaczy przełykać gorycz.

Obaj mężczyźni zarabiali na życie, obsługując najbogatszych mieszkańców miasta. Mały Sun gotował w greckiej restauracji, a jego starszy brat pracował w recepcji jednego z kilkudziesięciu pól golfowych na podmokłych obrzeżach Szanghaju.

– Zarabiam więcej od nich – powiedziała mi Zhao – ale twierdzą, że im jest lepiej. Wczoraj znowu mi o tym przypomnieli. „Pracujemy w dużej grupie i świetnie się razem bawimy" – zacytowała kpiącym tonem Zhao. – Są jak wszyscy dzisiejsi młodzi: nie chcą się narobić. Interesuje ich praca w przyjemnym otoczeniu, w której będą mieli dużo swobody, nie namęczą się i jeszcze dobrze zarobią. Mają za duże oczekiwania i nigdy nie będą zadowoleni. My nie oczekiwaliśmy niczego.

Po dwóch latach przełykania goryczy przy linii montażowej w Beishang Electronics Zhao usłyszała od kierownika:

– Jesteś za stara, żeby pracować przy taśmie. Zwalniam cię.

Miała trzydzieści jeden lat.

Był rok 1997, ten sam, w którym umarł Deng Xiaoping. Program reform i otwarcia na świat, który pozostawił Chinom w spadku, przynosił znakomite efekty. Fabryki na wybrzeżu osiągnęły bezprecedensową w skali całego świata zdolność produkcyjną. W ciągu kolejnej dekady ćwierć miliarda ludzi, niemal tyle, ile wynosi populacja całych Stanów Zjednoczonych, miało opuścić rolnicze rejony Chin, przyłączając się do największej fali migracji od czasu wynalezienia pisma.

– W tamtej epoce wejście na teren fabryki było doświadczeniem mrożącym krew w żyłach – opowiadał mi pewien znajomy, który pracował wówczas w dynamicznie rozwijającym się mieście Dongguan. – Przed bramą kłębił się tłum. Ludzie przepychali się, żeby przeczytać ogłoszenie, na jakie stanowiska rekrutują. Widziałeś na filmach, jak mieszkańcy uciekają w panice z miasta przed wkroczeniem najeźdźczej armii? To wyglądało tak samo, tylko że tym razem wszyscy próbowali dostać się do środka.

Dlatego właśnie Zhao straciła pracę. Menedżerowie chińskich fabryk woleli zatrudniać młode kobiety. Jak wytłumaczył jej kierownik, mają

zwinniejsze palce, a poza tym dyrekcja postanowiła zwolnić wszystkie pracownice po dwudziestym piątym roku życia.

– Powinnaś się cieszyć, że udało ci się tak długo utrzymać – oznajmił.

Zhao błagała go ze łzami, by jej nie zwalniał, ale szefostwo nie ufało starszym kobietom. Częściej skarżyły się na warunki pracy i miały zły wpływ na młodsze robotnice.

Dzięki koleżance z fabryki Zhao poznała starszego pana, który prowadził własną kwiaciarnię. Zaczęła sprzątać sklep i dostarczać zamówione bukiety, a w zamian właściciel uczył ją sztuki układania kwiatów i kaligrafii.

– Jego syn studiował w Australii i ożenił się z Japonką – powiedziała Zhao. – A żona jest wicedyrektorką szkoły. On ma bardzo wysokie *suzhi*.

Często słyszałem z ust Chińczyków wypowiadany z szacunkiem termin „*suzhi*". Jego znaczenie ewoluowało przez tysiąclecia historii Chin i nie miało dokładnego odpowiednika w innych językach. Zasadniczo odnosiło się do „wewnętrznej jakości" albo „istoty" człowieka. W tradycji konfucjańskiej o *suzhi* danej osoby decydowały urodzenie, edukacja i znajomość klasycznych tekstów. Dziś określenie to oznacza osobę „wykształconą i cywilizowaną". Wróciło do mody dzięki państwowym mediom i rządowej propagandzie, lansującym tezę, że obywatele o wysokim *suzhi* lepiej reprezentują Chińską Republikę Ludową.

– Kiedy przyjechałam do Szanghaju, byłam głupią chłopką – powiedziała mi Zhao. – Nie potrafiłam oszczędzać pieniędzy. Jeśli zarobiłam tysiąc juanów, wydawałam je na ciuchy. Dopiero gdy spotkałam *laoshi* (nauczyciela), moje życie się zmieniło.

Najważniejsza wskazówka, którą Zhao otrzymała od *laoshi*, brzmiała: nigdy nie licz na mężczyznę.

– Powiedział mi: „Musisz wybić się na niezależność, rozwijać umiejętności zawodowe i zarządzać własnymi pieniędzmi" – wspomina.

To były bardzo przydatne rady, zważywszy na to, jak układało się jej małżeństwo.

Zhao była chorowitym dzieckiem, więc nie było z niej większego pożytku na rodzinnej farmie w rolniczej prowincji Shandong. Gdy była nastolatką, często

krwawiła z nosa i z dziąseł. Kiedy wreszcie zgłosiła się do szpitala, była tak osłabiona, że nie mogła chodzić.

Jej ojciec wyzywał ją od leni. Okazało się, że Zhao ma białaczkę.

Rodzina, jak to zwykle bywa na wsi, natychmiast sprzedała świnie, kury, owce i jedynego wołu, by opłacić kurację, która łączyła elementy medycyny Wschodu i Zachodu. Pomiędzy przeszczepami szpiku i cotygodniowymi transfuzjami krwi Zhao łykała żywe piskorze. Leżała na sali z siedmioma innymi dziewczynkami chorymi na białaczkę. Kilka miesięcy później wszystkie jej towarzyszki nie żyły.

Teraz była kolej na nią. Rodzice sprzedali resztki inwentarza, żeby kupić trumnę. Matka Zhao, która należała do miejscowego Kościoła, postanowiła córkę przed śmiercią ochrzcić. Cała parafia modliła się, by odzyskała zdrowie. Zabito nawet jagnię w nadziei, że to jej pomoże.

Kiedy Zhao wyzdrowiała, wszyscy uznali to za cud. Dziewczynka sama zadawała sobie pytanie, czy to Bóg ją uratował. Wdzięczna za odzyskane zdrowie, zaczęła regularnie chodzić na nabożeństwa.

Odnalazła Jezusa, lecz jednocześnie straciła szansę na znalezienie dobrego męża. We wsi szeptano, że nie może mieć dzieci. Wszyscy wiedzieli, że cały majątek jej rodziny stanowi nieużywana trumna. Zhao nie była brzydka, ale choroba zniechęciła do niej miejscowych młodzieńców.

Ciotka Zhao znalazła dla niej mężczyznę, który nie wiedział o jej białaczce. Był niski, brzydki i „z gór” (czyli rozpaczliwie biedny), ale nie miała innych zalotników. Rodzice wpadli w zachwyt.

Jednak dziewiętnastoletnia Zhao nie podzielała ich entuzjazmu. Raz tylko spojrzała na speszonego wieśniaka i szczegółowo opisała mu przebieg swojej choroby. Rodzina kandydata na męża nie dała wiary jej opowieściom.

– W Chinach mieszkańcy gór są z natury podejrzliwi. Jego matka myślała, że próbuję go oszukać na posagu.

Miesiąc po ślubie Zhao zaszła w ciążę. Dwa lata później urodziła drugiego syna i musieli zapłacić grzywnę w wysokości miesięcznej pensji za naruszenie zasad polityki jednego dziecka. Z trudem starczało im na życie. Po długim dniu w kopalni mąż kłócił się z Zhao o wydatki. Coraz częściej podnosił na nią rękę. Zhao zaczęła myśleć o odejściu. Nie mogła wystąpić

o rozwód, bo zagroził, że w zemście zabije jej ojca. Kiedyś zapytała: „Nie mógłbyś być dla mnie milszy? Obiecuję, że zostanę z dziećmi”.

Niski, krępy góral nie odpowiedział.

Zamężna matka dwóch synów wyjechała do Szanghaju, ściągając na siebie pogardę męża, rodziny i całego miasteczka. Tylko matka stanęła po jej stronie.

– W moich stronach kobiety cenią uczucia i związek wyżej od pieniędzy. – Zhao pokręciła z dezaprobatą głową. – Są gotowe poświęcić życie, rodziców, dom i pieniądze, byle tylko zatrzymać przy sobie mężczyznę.

Wskazała półki pełne kolorowych kwiatów. W jej życiu było dużo brzydoty, ale w sklepie otaczało ją piękno.

– Całkiem nieźle mi się tu żyje, ale ta cała sytuacja nadal napawa mnie goryczą. Kiedy pomyślę o tym, co się stało, zbiera mi się na płacz – wyznała. – Ale teraz nie chodzi już o mnie – dodała. – Żyję dla moich synów.

Kiedy Zhao otworzyła kwiaciarnię na rogu ulicy Wiecznej Szczęśliwości, mąż wysłał pierworodnego syna do Szanghaju. Człowiek z gór postanowił, że Duży Sun zostanie mieszkańcem najbogatszej metropolii Chin. Zhao nie posiadała się z radości.

– Gdyby dostał się na studia, całe miasto byłoby z niego dumne i losy naszej rodziny mogłyby się potoczyć całkiem inaczej.

Duży Sun był wtedy w szóstej klasie. Odziedziczył po matce wysoki wzrost, krzepkie ciało i mocne kości policzkowe. W górniczym Zaozhuang koledzy z klasy go lubili – szybko biegał i miał znakomite stopnie.

Energia i wigor nie opuściły go również w Szanghaju. W nowej szkole zdobywał najlepsze oceny. Przez rok chodził do rejonowej podstawówki, a potem upomniało się o niego szanghajskie gimnazjum, które doceniło jego sportowy talent. W odpowiednim czasie skończył gimnazjum Bile w Szanghaju z tytułem mistrza w biegu na tysiąc metrów i pierwszą nagrodą za pracę pisemną. Był najlepszy w klasie. Gdyby kontynuował naukę, dostałby się na elitarną uczelnię. Kwiaciarnia Zhao prosperowała coraz

lepiej, z całego Szanghaju spływały zamówienia na bukiety. Marzenia matki i syna o sukcesie w wielkim mieście powoli zaczęły się spełniać.

Mały Sun, który pozostał w domu, radził sobie znacznie gorzej. Ojciec pracował na dwie zmiany i chłopiec często przebywał sam. Zamknął się w sobie, spędzał długie godziny z książką w swoim pokoju. Kiedy Zhao dzwoniła, odkładał słuchawkę, gdy przyjeżdżała w odwiedziny, nie odzywał się do niej ani słowem. Raz zaprosiła dzieciaki z sąsiedztwa, żeby się z nim pobawiły, ale chłopiec rzucił się na nie z pięściami. Więcej nie przyszły. Mały Sun był *liushou ertong*, „opuszczonym dzieckiem".

Gdy ćwierć miliarda Chińczyków wyemigrowało do miast na wybrzeżu, lekarze zaczęli rozpoznawać problemy psychiczne wśród dzieci, które – tak jak Mały Sun – nie wyjechały razem z rodzicami. Miały kompleks niższości i niską samoocenę. Bały się nawiązywać relacje z rówieśnikami. Nie chciały rozmawiać z rodzicami przez telefon i były emocjonalnie wycofane. Według przeprowadzonej na zlecenie rządu analizy połowa z nich cierpiała na depresję i zaburzenia lękowe.

Państwowe media szacowały, że w całych Chinach było sześćdziesiąt jeden milionów opuszczonych przez rodziców dziewczynek i chłopców: jedna piąta wszystkich dzieci w kraju.

Zhao nie miała czasu czytać raportów na temat opuszczonych dzieci. Udała się po radę do nauczyciela Małego Suna, który wyraził przypuszczenie, że chłopiec cierpi na autyzm. Natychmiast zabrała syna ze szkoły i umieściła w specjalnej placówce w odległym o kilkadziesiąt kilometrów mieście powiatowym.

W Szanghaju nad Dużym Sunem także zbierały się chmury. Skończył gimnazjum i został przyjęty do jednego z najbardziej prestiżowych liceów w mieście, które mieściło się jedną przecznicę od kwiaciarni na rogu ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Ale przed rozpoczęciem roku szkolnego do Zhao zadzwonił ktoś ze szkoły z pytaniem o miejsce zameldowania syna.

Zhao bała się, że coś takiego nastąpi. Chińskie przepisy meldunkowe są bardzo rygorystyczne. Określają między innymi, gdzie dziecko ma pójść do szkoły, tyle że ani ona, ani Duży Sun nie byli zameldowani w Szanghaju.

Władze miasta zaczęły stopniowo liberalizować ten system i Zhao znała kilka osób z różnych części Chin, którym udało się zalegalizować pobyt. Prowadziła w mieście firmę, Duży Sun ukończył z wyróżnieniem jedno z najlepszych szanghajskich gimnazjów. Zhao miała nadzieję, że to wszystko przeważy na jego korzyść i będzie mógł podjąć naukę w liceum w tym mieście.

Dlatego odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Przyznałam się, że jesteśmy zameldowani w Zaozhuang.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Jeśli chce zdawać na studia, będzie musiał tam wrócić – stwierdził w końcu kobiecy głos.

W Chinach kandydaci na studia musieli podejść do egzaminów wstępnych w miejscu zameldowania, a to z kolei skazywało ich na naukę w rejonowym liceum.

Zhao pomyślała o tym, jak ciężko pracowała, by zapewnić synom lepsze życie, o nadziejach, jakie wiązała z Dużym Sunem, i o przejawianych przez niego talentach. To wszystko, a także godziny poświęcone przez chłopaka na naukę, znakomite oceny, nagroda za pracę pisemną, poszło na marne.

Duży Sun miał wrócić do górniczego miasteczka.

Chińczycy masowo migrowali ze wsi do miast, ale system meldowania razem całych rodzin, znany pod nazwą *hukou*, nierozerwalnie wiązał ich z miejscem urodzenia. Jeśli chcecie posłuchać, jak chiński rolnik klnie, psioczy i złorzeczy, wypowiedzcie słowo „*hukou*”. Mieszkałem w tym kraju już prawie dziesięć lat, ale jeszcze nie spotkałem Chińczyka z rolniczej prowincji, który miałby coś dobrego do powiedzenia o tym systemie.

To narzekanie ma długą tradycję. Już w czasach panującej trzy i pół tysiąca lat temu dynastii Shang władcy Państwa Środka rozumieli zalety skrupulatnego rejestrowania ludności. Takie działanie pomagało regularnie ściągać podatki i zapewniało stały dopływ młodych mężczyzn do służby w armii. Pozwalało również mieć na oku potencjalne elementy wywrotowe. Znacznie później przewodniczący Mao odkrył dodatkowe zastosowanie *hukou* do celów gospodarki sterowanej centralnie.

Po przejęciu władzy w 1949 roku komuniści energicznie przystąpili do uprzemysławiania kraju. Korzystali przy tym z doświadczeń Stalina. Sowiecka *propiska* (obowiązek posiadania meldunku wpisanego do dowodu tożsamości, tak zwanego paszportu) pomogła przywódcy Kraju Rad zbudować gospodarkę socjalistyczną przez oddzielenie robotników od chłopów i ograniczenie swobodnego przepływu ludności.

W 1958 roku mieszkańcy ulicy Wiecznej Szczęśliwości otrzymali *hukou* w mieście. Większość z nich skierowano do pracy w przemyśle. Podobnie działo się w całych Chinach. Mieszkańcy wsi i miasteczek, którzy w owym czasie stanowili przytłaczającą większość ludności kraju, otrzymali wiejskie *hukou* i zostali zmuszeni do przystąpienia do kolektywnych gospodarstw rolnych. Punkty kontrolne na drogach i stacjach kolejowych uniemożliwiały członkom obu grup opuszczenie miejsca zamieszkania. Nowe władze Chin wiedziały, gdzie jest zatrudniony każdy obywatel, i mogły monitorować jego wkład w państwową gospodarkę.

Z tym systemem wiązały się pewne problemy. W okresie wielkiego głodu *hukou* na wsi dla milionów ludzi oznaczało wyrok śmierci. W tamtym czasie ponad pół miliarda Chińczyków pracowało w kolektywnych gospodarstwach rolnych, z których niemal całą produkcję zabierało państwo, nie troszcząc się o to, czy rolnicy będą mieli co jeść. Znaczna część skonfiskowanej żywności trafiała na stoły mieszkańców wielkich miast.

Pod presją centralnego rządu, który domagał się zwiększania produkcji, lokalni urzędnicy bez opamiętania zawyżali wysokość plonów. Mieszkańcy wsi zapłacili za to tragiczną cenę. Aby wypełnić zadeklarowane kwoty, wiele gospodarstw rolnych musiało oddawać całą wyprodukowaną żywność. Szacuje się, że w latach 1958–1962 w rolniczych rejonach kraju zmarło z głodu trzydzieści sześć milionów ludzi. W tym samym czasie Chińczycy zameldowani w miastach, w tym robotnicy fabryczni z ulicy Wiecznej Szczęśliwości, żywili się tym, co wyprodukowała prowincja, nie mając pojęcia o szalejącej tam klęsce głodu.

Mimo to z ekonomicznego punktu widzenia system *hukou* spełnił swoje zadanie, przyspieszając uprzemysłowienie kraju. Jeden z ekspertów nazwał *hukou* „chińską tajną receptą na bezprecedensowy sukces ekonomiczny”.

Jednakże raport, który powstał pięćdziesiąt lat po wprowadzeniu współczesnej wersji *hukou*, nie pozostawia wątpliwości co do straszliwych kosztów społecznych tego systemu:

> Zatrzymanie ludności chłopskiej na wsi, zmuszenie jej do uprawiania ziemi w zamian za nędzne wynagrodzenie, odcięcie od świadczeń socjalnych i uniemożliwienie przenoszenia się do miast doprowadziło do wykształcenia się [w Chinach] dwóch całkowicie różnych społeczeństw. Ze względu na niezmienny, dziedziczny charakter *hukou* chłopi faktycznie stali się obywatelami drugiej kategorii.

Kiedy w latach osiemdziesiątych x x wieku Chiny rozpoczęły wprowadzanie reform i otworzyły się na świat, władze zlikwidowały posterunki kontrolne na drogach i dworcach, stopniowo pozwalając obywatelom na swobodniejsze przemieszczanie się po kraju. Było to ich konstytucyjne prawo, ale wcześniej organy porządku systematycznie je łamały.

Mimo zachodzących zmian społeczne skutki systemu *hukou* są widoczne do dzisiaj. W 2000 roku w Chinach istniały dwie różne rzeczywistości. Pierwszą stanowiły wielkie miasta takie jak Szanghaj, z błyszczącymi drapaczami chmur, nowocześnie zorganizowanym transportem publicznym, przyciągające turystów i migrantów z gorzej rozwiniętej prowincji; drugą – biedne wsie i miasteczka w zacofanych rejonach rolniczych, gdzie miliony ludzi nadal wiodły nędzną egzystencję za niespełna dwa dolary dziennie. Te drugie Chiny nie były atrakcyjnym celem podróży, a większość ich rdzennych mieszkańców marzyła o tym, by się z nich wyrwać.

Jeśli im się to udało, to szybko się przekonywali, że w mieście takim jak Szanghaj wiejskie *hukou* jest bezużyteczne. Po zezwolenie na ślub, paszport albo zaświadczenie o ubezpieczeniu zdrowotnym musieli jeździć do miejsca, w którym byli zameldowani.

Ale największe rozgoryczenie migrantów zarobkowych, z którymi rozmawiałem na ulicy Wiecznej Szczęśliwości, powodowały konsekwencje obowiązku meldunkowego dla ich dzieci. W rodzinach, które w poszukiwaniu pracy przeprowadziły się do miast, urodziło się kilkadziesiąt milionów dzieci. Tak jak Duży Sun, wychowywały się, chodziły do szkoły

podstawowej i zawierały przyjaźnie w metropoliach, które uważały za swój dom. Jednak nadal były zameldowane na wsi, więc kiedy chciały pójść do liceum, musiały wrócić do miejscowości, z której pochodzili ich rodzice. Nawet jeśli do tej pory udało im się uniknąć losu opuszczonych dzieci, po odesłaniu do dziadków mieszkających w miasteczku, które odwiedziły zaledwie kilka razy w życiu, zwykle szybko pojawiał się u nich komplet objawów. Socjologowie bili na alarm, porównując ten aspekt systemu *hukou* do apartheidu w Republice Południowej Afryki w czasach przed dojściem do władzy Nelsona Mandeli.

Jednak władzom nie było wcale łatwo zrezygnować z *hukou*. Obowiązek meldunkowy, pozwalający kontrolować produktywność miliarda trzystu milionów obywateli, przyczynił się do oszałamiającego sukcesu ekonomicznego Chin, które w 2011 roku były już drugą potęgą gospodarczą świata. Ograniczenie napływu rodzin robotników do miast zapobiegło powstaniu na przedmieściach dzielnic nędzy, stanowiących powszechne zjawisko w innych krajach rozwijających się, takich jak Indie czy Brazylia. Nawet imigranci zdawali sobie sprawę z zagrożeń związanych z likwidacją obowiązku meldunkowego w dotychczasowym kształcie. Jak zauważył pewien robotnik z Anhui: „Bez *hukou* zalałaby nas fala przyjezdnych. Nie wszyscy znaleźliby pracę w Szanghaju. Mielibyśmy mnóstwo nędzarzy, ich dzieciaki dorastałyby na ulicach. Wyobrażasz sobie, jak wzrosłaby przestępczość?”.

To były słuszne argumenty i wielokrotnie słyszałem je z ust urzędników broniących polityki rządu, ale zachodnie media zwykle je ignorowały. Jak na kraj rozwijający się, z ponadmiliardową populacją i pogłębiającym się rozwarstwieniem społecznym, największe chińskie miasta są zdumiewająco bezpieczne. Brak poważniejszych zagrożeń na szanghajskich ulicach miał ogromny wpływ na moją decyzję o powrocie do Chin wraz z żoną i dzieckiem. W tym dwudziestopięciomilionowym mieście mogłeś wyjść w nocy na spacer, nie obawiając się, że ktoś cię pobije lub okradnie. Na obrzeżach śródmieścia Los Angeles, gdzie przedtem mieszkaliśmy, taka wyprawa byłaby nie lada wyzwaniem dla instynktu samozachowawczego.

Chiny nie tylko uniknęły powstania dzielnic nędzy, ale też zdołały zmusić ponad ćwierć miliarda ludzi do zachowania więzi z rodzinną miejscowością, co na dłuższą metę również przyniosło pozytywne rezultaty. Rodzice, którzy przyjechali do wielkich miast jako młodzi ludzie, gdy chińska gospodarka rosła w dwucyfrowym tempie, od tamtej pory zaoszczędzili dość pieniędzy, by wrócić do pozostawionych w rodzinnym mieście dzieci, kupić tam dom i wykorzystać zdobyte umiejętności do ożywienia lokalnej gospodarki.

Kiedy w 2013 roku odwiedziłem miasto w Syczuanie, w którym mieszkałem piętnaście lat wcześniej, byłem oszołomiony skalą zmian. Moi chińscy koledzy przeprowadzili się z obskurnych stalinowskich blokowisk, gdzie między budynkami łaziły kury, do luksusowych strzeżonych osiedli, a w weekendy jeździli z rodzinami na wycieczki swoimi nowymi samochodami. Region rozkwitał w sporej mierze dzięki pieniądzom i umiejętnościom ludzi, którzy wyemigrowali przed laty do wielkich miast: założenie, że wzrost gospodarczy można osiągnąć bez interwencji, a „korzyści" same spłyną do grup o niskich i średnich dochodach, wyraźnie sprawdzało się w chińskiej specyfice.

System *hukou*, który traktował setki milionów ludzi w ich własnym kraju jak nielegalnych imigrantów, z punktu widzenia władzy był – podobnie jak polityka jednego dziecka – złem koniecznym, nieodzownym warunkiem podniesienia poziomu życia miliarda trzystu tysięcy Chińczyków.

W 2002 roku najstarszy syn Zhao nie miał już czego więcej szukać w Szanghaju ze swoim *hukou* w Zaozhuang. Wrócił do górniczego miasteczka i rozpoczął tam naukę w dziesiątej klasie. Jego ojciec wyrabiał nadgodziny w kopalni, więc widywali się rzadko. Chiny niedawno przystąpiły do Światowej Organizacji Handlu, a Międzynarodowy Komitet Olimpijski wybrał Pekin na gospodarza letnich igrzysk olimpijskich w 2008 roku. Dynamicznie rozwijająca się chińska gospodarka potrzebowała rekordowych ilości węgla – aby utrzymać tempo wzrostu, średnio raz na tydzień gdzieś w kraju otwierano nową elektrownię węglową. Ojciec był stale w pracy, brat w szkole specjalnej w innym mieście, więc Duży Sun starał się odpędzić samotność, skupiając na nauce, która tak dobrze mu szła.

W Szanghaju był przecież najlepszym uczniem w klasie i wydawało mu się oczywiste, że w takim *luohou* miejscu jak Zaozhuang zabłyśnie bez żadnego wysiłku.

Duży Sun spodziewał się, że bez trudu znajdzie się w klasowej czołówce.

Ale pierwszego dnia w szkole wpadł w panikę. Jego nowi koledzy wyprzedzali go o całe lata. Pokazał nauczycielowi podręcznik fizyki, z którego się uczył w Szanghaju.

– Przejrzał książkę i zaczął się śmiać. Skinął na najgorszego ucznia w klasie i powiedział: „W Szanghaju byłbyś prymusem!”. Wszyscy wybuchli śmiechem.

Duży Sun najchętniej natychmiast teleportowałby się do kwiaciarni na ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Zanim pierwszy dzień w szkole dobrnął do końca, zrozumiał, że w rejonach rolniczych dzieci uczą się ze specjalnych podręczników, które mają je przygotować do znacznie trudniejszych niż w największych miastach Chin egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Musiały być trudniejsze, bo liczba kandydatów na studia była znacznie większa. Nauczyciel wyjaśnił, że rolnicza prowincja Shandong ma sto milionów mieszkańców.

– W takim morzu ludzi trzeba odsiać mnóstwo piasku, by wybrać najlepszych.

Duży Sun zdał sobie sprawę, że jest nic nieznaczącym ziarenkiem piasku. Nowi koledzy z klasy pracowali więcej od niego; w Zaozhuang lekcje trwały dwa razy dłużej niż w Szanghaju. Uczniowie przychodzili do szkoły na siódmą rano i zostawali na lekcje wieczorne, które kończyły się o dwudziestej pierwszej.

– Każdą wolną chwilę poświęcali na wkuwanie na pamięć podręczników. Nie odpoczywali nawet na przerwach – powiedział mi Duży Sun. Wyjaśnił, że w Szanghaju uczniowie na klasówkach mogli czasem zaglądać do książek, ale w Zaozhuang musieli polegać wyłącznie na własnej pamięci.

Wkuwanie na pamięć było koniecznością w systemie edukacji, którego kulminację stanowił egzamin wstępny na studia, tak zwany *gaokao*. W kulturze, w której karierę robiło się głównie dzięki znajomościom, *gaokao* wyrównywał szanse: nawet ktoś, kto nie miał żadnych koneksji, jeśli się

przyłożył do nauki, mógł dobrze wypaść na egzaminie i stać się panem własnego losu. Właśnie dlatego, że wynik jednego egzaminu mógł zmienić pozycję społeczną całej rodziny, chińscy uczniowie poświęcali ogromną ilość czasu na naukę i pisanie testów.

Duży Sun, który we wkuwaniu na pamięć podręczników był o kilka lat w tyle za swoimi kolegami, czuł, że grunt usuwa mu się spod stóp. Zaczął oblewać egzaminy. Stracił zainteresowanie nauką. Zamiast chodzić na wieczorne zajęcia, przesiadywał w kafejkach internetowych, grając w gry komputerowe. Dobrzy uczniowie przestali z nim rozmawiać. Przysypiał na lekcjach. Wychowawca uznał, że powinien wrócić do siódmej klasy i powtórzyć gimnazjum.

– Miałbym prawie trzydzieści lat, kiedy skończyłbym studia. To zaważyłoby na całym moim życiu – powiedział Duży Sun.

Bardziej do niego przemawiało alternatywne rozwiązanie: rzucił szkołę.

Duży Sun wrócił do Szanghaju nie jako obsypany nagrodami student, lecz jako migrant zarobkowy, rozpoczynający wszystko od zera, jak dwadzieścia lat wcześniej jego matka.

W lutym zaczyna się pracowity okres dla chińskich florystów. Jego początek wyznaczają dwa sąsiadujące ze sobą święta: uroczyście celebrowany w Chinach Księżycowy Nowy Rok i walentynki. Wielkim popytem cieszą się róże.

Był rok 2012. Zhao nie przyszła jeszcze do siebie po hucznych obchodach Nowego Roku Smoka, którym towarzyszyły całonocne pokazy fajerwerków. Podłoga kwiaciarni tonęła w plątaninie wstążek, arkuszy bibułki i chorągiewek, półki uginały się pod ciężarem czerwonych, różowych i białych róż przygotowanych na kolejne święto.

Zhao wyglądała na zmęczoną. Prawie całą noc nie spała, ponieważ opiekowała się dwumiesięcznym wnuczkiem, urodzonym jeszcze w roku Królika. Pucołowaty chłopczyk był synem Małego Suna, który mieszkał teraz z Zhao. Kiedy Duży Sun zrezygnował z dalszej nauki i wrócił do Szanghaju, Mały Sun skorzystał z okazji, by wreszcie uciec z powiatowej szkoły dla dzieci specjalnej troski, i zabrał się razem z bratem.

Obaj wprowadzili się do matki. Mały Sun miał dwadzieścia cztery lata. W rodzinnym mieście wszyscy wiedzieli, do jakiej chodził szkoły, więc początkowo nie miał zbyt wielu kandydatek na żonę. Zhao przypomniała się jej własna historia z białaczką i odium, jakie rzuciła na nią choroba. Teraz jednak miała w rękawie asa: zarobione w wielkim mieście pieniądze, o których plotkowano w górniczym miasteczku.

Wszyscy wiedzieli, że kupiła dwa mieszkania w stolicy powiatu, w pobliżu stacji szybkiej kolei. Te same kobiety, które przestały z nią rozmawiać, gdy kilkanaście lat wcześniej postanowiła wyjechać do pracy w fabryce, teraz rywalizowały o jej względy. Małżeństwo z jej synem uznano za przepustkę do wielkiego miasta. Zhao wybrała dla Małego Suna Zhang Min, rezolutną córkę rolników.

– Walentynki są bardzo męczące – oświadczyła, owijając róże bibułką. – Ale zawsze się cieszę, kiedy wiem, że ktoś podaruje mój bukiet jako symbol miłości.

Uśmiechając się do tej myśli, Zhao ciasno obwiązała łodyżki zamówionych na jutro pięćdziesięciu siedmiu róż. Na dworze było kilka stopni powyżej zera. Zostawiła lekko uchylone drzwi, by wpuścić do wnętrza zimne, wilgotne powietrze, które przedłuży życie umierających z wolna kwiatów. Było późne popołudnie. Za warstwą smogu zachodzące słońce wyglądało jak wielka, pomarańczowoczerwona kula zawieszona tuż nad czubkami ogołoconych z liści platanów. Przytłumione klaksony samochodów, zwykła ścieżka dźwiękowa wieczornej godziny szczytu, obwieszczały koniec dnia pracy.

Duży Sun pracował na polu golfowym. Po kilku latach grania w gry komputerowe i wegetowania na kieszonkowym od matki wziął się w garść i znalazł sobie posadę.

– Uważa, że golf ma w Chinach wielką przyszłość, więc uczy się grać. Chciałby zostać kiedyś trenerem. Wczoraj powiedział do mnie: „Mamo, potrafię posłać piłkę stąd aż do autostrady Yan’an!”.

Najbardziej ruchliwa arteria miasta, widoczna z okna kwiaciarni, przebiegała dwieście metrów na północ od ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Zhao sprawiała wrażenie spokojnej. Ostatnie lata były dla Dużego Suna trudne. Dawni koledzy z szanghajskiego gimnazjum pokończyli najlepsze uczelnie w kraju. Zhao powiedziała, że to on powinien być na ich miejscu i że ta myśl łamie jej serce.

– Czasem wydaje mi się, że zmarnowałam mu życie – wyznała, odkładając na chwilę róże. – Zawsze powtarzałam mu, żeby przykładał się jak należy do pracy, nie szczędził trudu dla kraju. I zobacz, co się z nim stało.

Poprzedniego dnia rozmawiała z małżeństwem z prowincji Fujian, które zamierzało wynająć sklep po przeciwnej stronie ulicy. Chcieli sprowadzić do Szanghaju swoje dziecko.

– Powiedziałam im: „Wracajcie do Fujianu! Daliśmy się nabrać!”.

To samo radziła przyjaciołom z rodzinnego miasta.

– Mówię im, że jeśli przeniosą się do Szanghaju, zaprzepaszczą przyszłość swoich dzieci.

W moich uszach zabrzmiało to nieco melodramatycznie. Powiedziałem jej to. Osiągnęła w Szanghaju sukces, który budził zazdrość w jej rodzinnym miasteczku. Może jej synowie nie pokończyli najlepszych szkół, ale ciężko pracowali, tak samo jak ich matka po przyjeździe do wielkiego miasta.

– Naprawdę uważasz, że Duży Sun zmarnował życie? – spytałem.

Moje pytanie zawisło bez odpowiedzi w zimnym, pachnącym powietrzu kwiaciarni.

– Wszyscy jesteśmy Chińczykami – odezwała się w końcu, wskazując tłum sunący chodnikiem. – Rządzą nami ci sami ludzie, mieszkamy w jednym kraju. Dlaczego nie mamy takich samych praw?

Do Szanghaju przywiodło ją marzenie. Nie szczędziła trudu, by je spełnić, ale brak właściwego meldunku zniweczył jej wysiłki. Jednak Zhao korzystała z innych praw, których nie mieli jej przodkowie. Nie potrzebowała zgody władz na opuszczenie rodzinnego miasta. Była pierwszą osobą w rodzinie, która zarabiała tak dużo pieniędzy. Jej synowie nie zdobyli w wielkim mieście wykształcenia, ale korzystali z materialnych owoców decyzji podjętej przed laty przez matkę.

Zhao usiadła na krzesełku obok mnie i ciężko westchnęła. Z jej ust wydobył się obłoczek pary i powoli rozpłynął w zimnym powietrzu.

– Kiedy mój mąż przejdzie na emeryturę i znajdę żonę dla Dużego Suna, muszę koniecznie odpocząć. Tkwię w tej klitce od piętnastu lat. Nigdy nie wyjechałam na wakacje, nawet nie jadłam na mieście. Czasem zastanawiam się, czy zacznę kiedyś żyć dla siebie.

Chińskie matki często zadają sobie to pytanie. Odpowiedź zwykle brzmi „nie”. Tradycja wymaga, by opiekowały się mężem, dziećmi, rodzicami i wnukami. Życie dla siebie jest uważane za egoistyczne.

Jednak Zhao zerwała z tradycją. Zostawiła męża i opuściła rodzinne strony. Założyła firmę, zarabiała własne pieniądze. Wzięła swój los w swoje ręce. A teraz czuła się odpowiedzialna za synów, o których bez przerwy się martwiła, oraz za ich dzieci.

– Kiedy mój starszy syn się ożeni, będę musiała zająć się wnukiem – zauważyła. – Chińczycy nie potrafią niczego odpuścić. Zawsze żyjemy dla innych, dla następnego pokolenia. To się nigdy nie kończy. Widzisz, jacy jesteśmy głupi?

Tamtego popołudnia w kwiaciarni Jinle kilka pytań nie doczekało się odpowiedzi. To ostatnie także zawisło w powietrzu.

Zadzwonił telefon.

– *Wei?* Halo? Duży Sun! – Twarz Zhao rozjaśniła się w uśmiechu. Jej syn zadzwonił, by opowiedzieć, jak minął mu dzień.

Wyszedłem na dwór, by dać jej trochę prywatności. Słońce już zaszło. W górze, za koronką nagich gałęzi platanów, jarzyły się światła biurowców. Na chodniku mechanik grzebał przy świetle latarni w rozłożonym na części skuterze, w warsztacie jego żona karmiła makaronem małego synka.

Przez zgiełk ulicznego ruchu usłyszałem, jak Zhao śmieje się z relacji syna. Znów czuła się szczęśliwa.

4 Reedukacja

长乐路169 号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 169

Na ulicy Wiecznej Szczęśliwości poranek zaczyna się wcześniej niż gdziekolwiek indziej w Szanghaju. Pierwszym sygnałem budzącego się dnia są furgonetki ze świeżymi rybami podjeżdżające o czwartej rano pod targ w środkowej części ulicy. Po rybach przywożone są owoce i warzywa. Ciemną, pustą ulicą pędzą skutery z piramidami skrzynek przymocowanymi do bagażników elastyczną linką. O piątej rano sprzedawcy wystawiają towar i wyrzucają na chodnik nadgniłe resztki, które nie sprzedały się poprzedniego dnia. Kilka minut później ciężarówka zakładu oczyszczania miasta przywozi ekipę sprzątającą. Pracownicy w jasnoniebieskich kombinezonach usuwają śmieci z chodnika. Po nich zjawia się polewaczka, wielka cysterna na kołach sunąca powoli po jezdni. Z głośników na dachu szoferki leci dziwaczna, elektroniczna wersja *It's a Small World*.

W pogodny poranek w listopadzie 2013 roku w Szanghaju słońce wyłania się zza horyzontu dziewięć minut po szóstej rano. Pięć tysięcy kilometrów na zachód, w Kaszgarze, dawnym ośrodku handlowym Jedwabnego Szlaku w dzisiejszym regionie autonomicznym Xinjiang, na czarnym jak smoła niebie nadal błyszczą gwiazdy. Gdyby Chiny dzieliły się na strefy czasowe, byłaby teraz trzecia w nocy. Ale się nie dzielą. W Kaszgarze też jest szósta rano, choć słońce wzejdzie dopiero za trzy i pół godziny. Kaszgar leży w takiej samej odległości od Szanghaju jak Los Angeles od Nowego Jorku, ale zegary na placach, dworcach kolejowych i w szkołach w obu miastach pokazują tę samą godzinę.

W całych Chinach obowiązuje czas pekiński.

W Szanghaju zapowiada się słoneczny, jesienny dzień. W ciągu dnia temperatura wzrośnie do dziesięciu stopni Celsjusza. Teraz jest cztery i pół. Od czasu do czasu zrywa się lekki wiaterek, nawiewający do miasta smog

z przemysłowego imperium w delcie Jangcy. Zielone korony platanów zaczynają żółknąć. Przy silniejszych podmuchach wiatru liście koloru skórki banana odrywają się od gałęzi i opadają łagodnie na trąbiące samochody i skutery. Zaczyna się poranna godzina szczytu. Sprawdzam w smartfonie indeks czystości powietrza: kod pomarańczowy, oznaczający „zagrożenie dla zdrowia”.

Rankiem odwiedziłem w kwiaciarni Zhao Shiling. Wracając do domu ulicą Wiecznej Szczęśliwości, wjeżdżam w kłęby pary buchające z otwartego okna tuż nad chodnikiem. Nikną w niej twarze ludzi, którzy z rękami w kieszeniach mijają mnie, spiesząc do pracy.

Zdążyłem zgłodnieć, więc zatrzymuję się, przypinam rower i ustawiam się w kolejce.

– Spróbuj. Jak nie będzie smakować, nie zapłacisz – huczy z wnętrza budynku szorstki głos.

Z okna wysuwa się sucha, pomarszczona ręka. Wciska congyoubing (cebulowy placek, popularną szanghajską przekąskę) w szczupłą dłoń młodej kobiety w modnym różowym płaszczu. Za jej plecami zaczyna rosnąć kolejka.

– *Shifu.* – Klientka zwraca się do starego kucharza, używając grzecznościowej formy „mistrz”. – Nie chcę placka z cebulą. Jest youdunzi?

Youdunzi – czyli „tłusty klocek” – to smażony placek z rzepy, kolejny szanghajski przysmak. Staruszek ociera czoło; siwa grzywka sterczy pionowo od tłuszczu, którym ma upaćkane ręce.

– Tak, oczywiście! – woła. – Ale będziesz musiała zaczekać, aż zrobię nową porcję. Dlaczego nie weźmiesz placka z cebulą?

– Twoje placki z szalotką kosztują o jednego kuaia[2] więcej niż gdzie indziej.

– To dlatego, że są smaczniejsze! Jeśli ci nie posmakują, nie wezmę od ciebie nawet jednego fena[3].

Dziewczyna w różowym płaszczu robi nadąsaną minę, ale w końcu zamawia jeszcze trzy.

Sprzedawane na ulicy przekąski, od xiaolongbao („koszyczek nadziewanych bułeczek na parze”) po xiekehuang (wypieki w kształcie

skorupy kraba), stanowią w Szanghaju prawdziwą instytucję. Trudno przejść od rogu do rogu, nie czując woni domowych przysmaków serwowanych z wyposażonych w płytę kuchenną wózków albo prosto z mieszkań na parterze. W ciasnej kuchni staruszka panuje okropny bałagan. Są tam spełniający funkcję deski do krojenia drewniany pniak z częściowo posiekaną cebulą, marchewką i korzeniem lotosu i czerwone plastikowe wiaderko z masłem, są elektryczna blacha ciasno obłożona cebulowymi plackami i wypełniony olejem wok na dużym ogniu. Stary kucharz wrzuca do woka kolejne porcje ciasta na placki z rzepą (masa naleśnikowa wymieszana z posiekaną rzepą, grzybami i selerem naciowym), skwierczenie zlewa się z jazgotem pędzących ulicą skuterów.

Ozdobiony sztukaterią budynek, w którym mieści się kuchenka, liczy sobie ponad sto lat. Misterny, wielobarwny wzór kafli na podłodze wskazuje, że pierwotni mieszkańcy byli zamożnymi ludźmi. Zniknęli jednak stopniowo w latach wojen i komunistycznych kampanii, a ich miejsce zajęli plebejusze, którzy podzielili budynek na małe, przeludnione mieszkanka. Podobny los spotkał wiele domów i rezydencji na terenie dawnej koncesji francuskiej.

Stary kucharz mieszka w ciemnym pokoju w głębi parterowej części budynku. Prowadzi swój biznes w komunalnej kuchni, z której korzystają także lokatorzy czterech mieszkań na górze. Co rano mijają go, wychodząc do pracy; kiwają staruszkowi uprzejmie głową i pozdrawiają go pogodnym „*zao*”, „dzień dobry”. Widocznie nie przeszkadza im, że zawłaszczył wspólną przestrzeń. Jest najstarszy w całym budynku i posiada notarialny akt własności swojego pokoju, co w hierarchii mieszkańców stawia go szczebel wyżej od młodszych najemców. Mogą narzekać na niego we własnym gronie, ale zawsze okazują mu należyty szacunek.

– Hej, ty! Kup cebulowy placek! – krzyczy do przechodnia *shifu*.

Kolejka na chodniku rozeszła się i kucharz próbuje pozbyć się niesprzedanych placuszków. Okularnik w średnim wieku zwalnia, by przeczytać koślawe niebieskie znaki na wiszącej w oknie tablicy, ale niczego nie zamawia.

Stary kucharz nazywa się Feng Jianguo – „Veng Jiguo” w jego rodzimym szanghajskim dialekcie. Ja nazywam go po prostu wujkiem Fengiem. Wujek

Feng rzadko pokazuje zęby w pełnym uśmiechu. Kiedy próbuje sprzedać swój towar albo nie wierzy w to, co mu się mówi, na jego twarzy pojawia się chytry uśmieszek, ale przez większość czasu ma sceptyczną minę Bruce'a Willisa, który zastanawia się, kiedy ten drugi facet zada cios. Krzepka sylwetka i szeroka klata, prawie zawsze przesłonięta białym fartuchem, sugerują, że poradziłby sobie w każdej sytuacji.

Gdy jest duży ruch, smaży sto osiemdziesiąt cebulowych placków dziennie. Sprzedaje je po trzy juany (pięćdziesiąt centów) za sztukę, o juana drożej niż większość właścicieli straganów z jedzeniem w dzielnicy.

– Mają specjalny smak, który wszyscy uwielbiają – mówi.

Kiedyś pracował w kuchni starego hotelu Jinjiang, troszkę dalej przy ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Kilka minut później przy okienku zatrzymuje się czterech jego byłych kolegów, również ubranych w fartuchy. Trzech z nich wykorzystuje przerwę w pracy, by wypalić papierosa. Cudzoziemiec w ciasnej kuchni wujka Fenga wzbudza ich ciekawość. Biorą mnie za potencjalnego klienta.

– Nikt nie robi takich congyoubing jak Stary Veng! – woła jeden z nich z silnym szanghajskim akcentem i zaraz wybucha śmiechem.

Feng bez słowa wrzuca na blachę porcję placków. Po jego twarzy błądzi chytry uśmieszek.

Ten kwartał ulicy Wiecznej Szczęśliwości wciśnięty jest między dwa hotele o tej samej nazwie: Jinjiang. Na zachodnim rogu króluje stary hotel Jinjiang, dawne miejsce pracy wujka Fenga. Piętnastopiętrowy gmach z cegły zbudowała w 1934 roku Dong Zhujun, była prostytutka i pierwsza szanghajska kobieta interesu. Był to wówczas jeden z najwyższych budynków w mieście. Kiedy w 1949 roku władzę przejęli komuniści, Dong roztropnie dopuściła ich do spółki. W hotelu zatrzymywali się przywódcy innych państw, tacy jak choćby Ho Chi Minh, Kim Ir Sen czy prezydent Stanów Zjednoczonych Richard Nixon w czasie swojej przełomowej wizyty w Chinach w 1972 roku, zakończonej wydaniem komunikatu szanghajskiego, który otworzył komunistyczne Chiny dla zagranicznych inwestorów.

Jinjiang nie wyszedł na tym dobrze. Jak wiele innych państwowych hoteli, nie wytrzymał konkurencji z luksusowymi gigantami, które zaczęły

powstawać masowo w epoce ożywienia gospodarki Szanghaju. Zbudowany w 1988 roku na sąsiednim rogu nowy Jinjiang, czterdzieści kondygnacji szkła i stali zwieńczonych obracającą się restauracją, też był przez pewien czas jednym z najwyższych budynków w mieście.

Odcinek ulicy pomiędzy hotelami, starym i nowym, to oś czasu, łącząca symbol prosperity lat trzydziestych XX wieku z symbolem dzisiejszej potęgi miasta. Jeśli chce się porównać ze sobą oba budynki, wystarczy przejść jeden kwartał, od ulicy Maoming do ulicy Ruijin.

Tylko tyle. Jeden kwartał.

W połowie drogi znajduje się kuchnia wujka Fenga. Jest w tym pewien metaforyczny sens. Najważniejsze wydarzenia jego życia przypadły na trzy dekady chaosu i ubóstwa pod panowaniem Mao, między epokami dobrobytu dwóch Jinjiangów.

– Przed objęciem władzy Mao położył ogromne zasługi dla Chin – wyjaśnił mi kiedyś wujek Feng. – Ale potem chyba chciał, by ludzie zapamiętali go jako bohatera. Gdyby otworzył się na kapitalizm, Chiny zaszłyby znacznie dalej. W czasach świetności starego hotelu Jinjiang Hongkong i Tajwan były o wiele biedniejsze od Szanghaju. Później wzięły przykład z zagranicy. Szanghaj został daleko w tyle.

Wujek Feng też.

Urodził się w 1951 roku, dwa lata po dojściu do władzy Mao Zedonga. Razem z rodzicami i czwórką rodzeństwa mieszkał w wąskim zaułku kilka przecznic na południe od ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Jego dzieciństwo przypadło na okres największej potęgi Mao. Wystawiony na ostrzał ówczesnej propagandy i kampanii ideologicznych, już w gimnazjum zaczął marzyć o opuszczeniu najbogatszego miasta Chin i wyjeździe na wieś. Pragnął włączyć się w trud proletariackich mas, o których uczył się w szkole.

25 maja 1965 roku jego uwagę przyciągnęły rozlepione w szkolnym korytarzu plakaty zapraszające uczniów na wiec na placu Shanghai Wenhua. Obiecywały, że dowiedzą się tam wszystkiego o miejscu zwanym Xinjiangiem.

Xinjiang, dosłownie „nowe kresy”, leży w samym środku eurazjatyckiej płyty kontynentalnej i jest najbardziej oddalonym od oceanu obszarem na całej planecie. Zajmuje przestrzeń równą łącznej powierzchni stanów Kalifornia, Newada, Utah, Arizona i Nowy Meksyk. W przeszłości region zamieszkiwały rozmaite ludy Azji Centralnej, spośród których najliczniejsi byli Ujgurzy. W XIX wieku, za panowania dynastii Qing, po trwających kilkadziesiąt lat walkach został przyłączony do Państwa Środka. W starożytności przecinał go Jedwabny Szlak. W latach czterdziestych XX wieku Xinjiang przez krótki czas cieszył się niezależnością, ale po 1949 roku nowe komunistyczne władze ostatecznie umocniły tam chińską władzę. Wojsko zbudowało w Xinjiangu sieć garnizonów; teraz potrzeba było już tylko kilkuset tysięcy osadników do skolonizowania bezludnych przestrzeni.

Wujek Feng miał czternaście lat, kiedy przeczytał plakat. Choć nigdy wcześniej nie słyszał o Xinjiangu, zrezygnował z kolacji, żeby pójść z kolegami z klasy na wiec. Trybuny wypełniało kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi. Na jasno oświetlonej scenie na dole stała grupa kilkudziesięciu żołnierzy Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, którzy odbywali służbę w Xinjiangu.

– Wszystko zostało starannie wyreżyserowane – powiedział wujek Feng. – Dowiedzieliśmy się, że Xinjiang jest fantastycznym miejscem: praca jest przyjemna, a jedzenia w bród. Tyle arbuzów i winogron, ile dusza zapragnie.

Wujek Feng pamięta, że ta część pogadanki wywołała entuzjazm słuchaczy. Zaledwie kilka lat wcześniej klęska głodu, do której doprowadziła kampania Wielkiego Skoku Naprzód, pochłonęła życie kilkudziesięciu milionów Chińczyków. Szanghaj był w znacznie lepszej sytuacji niż reszta kraju, ale nadal występowały tam braki w zaopatrzeniu w żywność.

Następnego dnia wiec młodzieży zdominował nagłówki szanghajskich gazet. *Pięćdziesiąt tysięcy młodych szanghajczyków dowiodło swojego zaangażowania w sprawę pełnego zagospodarowania Xinjiangu* – krzyczał 26 maja 1965 roku tytuł na pierwszej stronie „Jiefang ribao”. Artykuł na dwie szpalty opowiadał o młodych mężczyznach i kobietach z chińskich miast, nazywając ich „bladolicymi żółtodziobami, którzy dotąd nie mieli pojęcia

o uprawie ziemi”. Autor pisał, że byli ignoranci w sferze rolnictwa przeobrażali jałowe gleby Xinjiangu w żyzne pola ryżowe. „Każdy młody człowiek uprawia dwadzieścia pięć akrów ryżu, od dwudziestu do dwudziestu pięciu akrów bawełny i pięćdziesiąt akrów pszenicy. To »młode tygrysy«, które znosząc cierpienia i trud, budują bogactwo Chin”.

Dziennikarz opisał historię osiemnastolatka, rodowitego szanghajczyka, który niespełna rok po przyjeździe do Xinjiangu został zastępcą komendanta drużyny. „Kiedy dowiedziałem się, że mam odpowiadać za hodowlę świń – wyznał młodzieniec – nie byłem tym zachwycony. Ale reedukacja uświadomiła mi, że to ważna praca. Wieprzowina wzbogaci dietę wszystkich robotników!”

Młody Feng pierwszy raz w życiu uczestniczył w masowym wiecu. Po powrocie do domu nie mógł zasnąć z przejęcia. Rano oznajmił rodzicom, że rzuca szkołę i wyjeżdża do Xinjiangu. Matka i ojciec przyjęli to obojętnie.

– Miałem już wtedy czworo rodzeństwa, które też trzeba było wyżywić, więc nie próbowali mnie zatrzymać – powiedział mi wujek Feng.

Następnego dnia wsiadł do pociągu, który miał go zawieźć na nowe kresy Chin. Podróż koleją trwała kilka tygodni. Jeszcze nikt z jego rodziny nie zawędrował tak daleko od domu.

Szacuje się, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku siedemnaście milionów młodych Chińczyków z dużych miast zostało wyrwanych ze swojego środowiska. Przyświecał temu podwójny cel: „reedukacji” najzdolniejszej młodzieży przez chłopów oraz zagospodarowania najbiedniejszych, najrzadziej zaludnionych rejonów kraju. Ówczesna propaganda nadała masowej migracji nastoletniej młodzieży nazwę zapisywaną za pomocą czterech prostych znaków chińskiego pisma: 上山下乡. *Shangshan xiaxiang*, czyli: „W górę w góry i w dół do wiosek”.

Wujek Feng był jednym ze stu tysięcy młodych szanghajczyków skierowanych do pracy w szeregach Korpusu Produkcji i Budownictwa Xinjiangu, zwanego Bingtuan. КРБХ ujarzmił kilkanaście rzek opływających dwie największe chińskie pustynie, zbudował dziewięćdziesiąt sześć sztucznych zbiorników wodnych i sto siedemnaście zapór. Po uregulowaniu dróg wodnych młodzi członkowie korpusu wykopali rowy irygacyjne

i zmienili sto czterdzieści tysięcy hektarów (obszar wielkości stanu Nowy Jork) chaszczy w pola uprawne.

7 grudnia 1963 roku „Jiefang ribao” zamieścił materiał o nowym gospodarstwie rolnym u podnóża Tien-szanu, do którego trafi później wujek Feng. Tytuł artykułu brzmiał *W jednym szeregu z żołnierzami. Młodzież z Szanghaju pracuje w Tien-szanie*. Tekst został okraszony wierszem komendanta Farmy Zwycięstwa numer 19:

Żegnaj Szanghaju i rzeko Huangpu,
Z głośnym śpiewem wyruszamy do Xinjiangu.
Przemierzymy tysiące polnych dróg.
My ambitniejsze mamy cele.
Na kresach czeka nas bezmiar możliwości!
Młodym potrzebna jest odwaga!
Na skraju pustyni uprawiamy pszenicę,
Spoglądając na falujący ocean piasku.

– Co to była za paskudna dziura. – Wujek Feng pokręcił głową, wspominając swój nowy dom na pustyni. – Nagi, bezludny ugór. Większość z nas natychmiast pożałowała swojej decyzji, ale nie mogliśmy wrócić do Szanghaju. Z tego jałowego odludzia nie dało się wydostać; nie było tam żadnych dróg. Człowiek zdechłby z głodu, zanim dokądkolwiek by dotarł.

Wujek Feng i jego nowi towarzysze zaczęli powątpiewać w to, co usłyszeli na wiecu w Szanghaju, od którego dzieliło ich teraz pięć tysięcy kilometrów niepewnych traktów i torów kolejowych.

– Zapewniono nas, że będzie wspaniale, więc nawet nie zapytaliśmy, co będziemy tam robić. Dopiero na miejscu zrozumieliśmy, że zostaliśmy oszukani i że nasze zadanie polega na przeobrażeniu jałowej pustyni w pola uprawne.

Feng dostał przydział do drużyny stacjonującej pod miastem Aksu, niespełna sto pięćdziesiąt kilometrów od granicy Kirgistanu, należącego wówczas do Związku Radzieckiego.

– W Aksu nie było żadnych domów. Nic tam nie było. Panowała straszliwa bieda, ludzie mieszkali w przykrytych darnią ziemiankach. Po

przyjeździe nie mieliśmy nawet gdzie spać, więc wykopaliśmy doły w ziemi, wymościliśmy je chrustem i zwaliliśmy się, tak jak staliśmy. Tak sypialiśmy przez dwa lata.

Drużyna Fenga składała się ze stu pięćdziesięciu osób, głównie mężczyzn, pochodzących z różnych zakątków Chin: Hebei, Shanxi, Syczuanu. Byli wśród nich żołnierze, którzy walczyli z lokalnymi oddziałami Ujgurów i Kazachów o kontrolę nad regionem. Nikt nie jadł do syta.

– Dostawaliśmy trzy manty dziennie. Na śniadanie, obiad i kolację. To wszystko.

Ścigali się ze śmiercią głodową. Feng i jego koledzy w pośpiechu nauczyli się jeździć na sprowadzonych ze Związku Radzieckiego traktorach. Niwelowali pola, obsiewali białą, zasoloną glebę i w końcu udało im się wyhodować na brzegu rzeki Tarim pierwsze warzywa. Kilka lat później mogli już wymieniać nadwyżki produkcji rolnej na drobną zwierzynę upolowaną przez kazachskich i ujgurskich myśliwych, którzy schodzili do nich z gór. Ten barter nadał nowe znaczenie hasłu „W górę w góry i w dół do wiosek".

– *Ni hao!* – Żona wujka Fenga wpada do kuchni objuczona torbami pełnymi wielkich, fioletowych winogron i zatrzymuje się w progu na widok cudzoziemca.

– Och! Dzień dobry! Napijesz się herbaty? Nawet nie zaproponowałeś gościowi herbaty, prawda? – fuka gniewnie na męża, ale Feng nie zwraca na nią uwagi. W milczeniu wlewa do woka kolejne porcje naleśnikowego ciasta.

Dziękuję za herbatę.

– Proszę! Częstuj się winogronami! Są pyszne. Z Xinjiangu. Już je umyłam.

Rozmowa z wujkiem Fengiem nagle się urwała. Jakby jego żona wyłączyła pilotem fonię. Ciocia Fu wyrzuca z siebie serię pytań. Zwracając się do cioci Fu, używam formy grzecznościowej.

– Amerykanin? – pyta.

– Tak.

– Żonaty?

– Tak.

– Twoja żona musi być Chinką, dlatego mówisz po chińsku, prawda?

– Nie, pochodzi z Ameryki. Nauczyłem się chińskiego w Syczuanie.

– W Syczuanie! Ja też jestem z Syczuanu! Byłeś w Songpan? To niedaleko Jiuzhaigou. *Wa!* Szkoda, że nie ożeniłeś się z dziewczyną z Syczuanu. Więc twoja żona jest Amerykanką?

– Tak. A właściwie Amerykanką pochodzenia chińskiego.

– *Wa!* Mieszana krew! Fantastycznie! Wasze dzieci będą bardzo inteligentne. To genetyczne.

Ta kobieta to niespożyta, wirująca siła natury. Podczas gdy jej mąż siedzi nieruchomo jak kamień, pilnując skwierczących na blasze cebulowych placków, ona jest jak wiatr – w ciągłym ruchu, nie przestaje mówić.

Ciocia Fu jest niska i gruba. Nosi okulary, które stale zsuwają jej się na czubek nosa, tak że górna krawędź oprawki znajduje się na jednej linii z oczami. Zamiast je poprawić, na zmianę pochyla głowę albo zadziera ją do góry, ustawiając sobie pole widzenia. Poznali się w Xinjiangu. Przyjechała do pracy w gospodarstwie rolnym pod Aksu pięć lat później niż on. Przed jej przyjazdem wujek Feng i jego towarzysze zdążyli wprowadzić wiele różnych upraw i zbudować domy z prawdziwego zdarzenia. To także dzięki jego ciężkiej pracy ciocia Fu, wykształcona dziewczyna z Syczuanu, nie musiała zadowalać się wyłącznie trzema mantami dziennie.

– Jesteś chrześcijaninem? – pyta, wyraźnie podekscytowana.

Mówię jej, że wychowałem się w katolickiej rodzinie.

– Dzięki Bogu – stwierdza z ulgą i natychmiast zaprasza mnie do swojego Kościoła, żebym poznał pastora.

– Pastor Shen jest byłym bandytą. Nie umie czytać, ale w więzieniu ktoś czytał mu Biblię i ze słuchu nauczył się jej całej na pamięć! Jest niesamowity!

Wydaje mi się to trochę dziwne. Nawrócony w więzieniu bandyta został kaznodzieją? Niewykluczone, że ten cały Shen nadal jest bandytą.

– Byłeś w tym Kościele? – zwracam się do Fenga, z powrotem włączając fonię.

– Nie wierzę w takie rzeczy. Ktoś w tej rodzinie musi być przytomny – odpowiada.

– Kiedy na starość będziesz miał więcej czasu, zaciągnę cię tam, żebyś posłuchał – krzyczy na męża ciocia Fu. – Bóg stworzył świat i wszystko, co na nim jest. Ludzi też stworzył. Należymy do Niego.

Wujek Feng przewraca oczami. Kieruje się w stronę otwartego okna, tym razem sam sobie wyłączając głos.

– Musisz ze mną pójść! – woła do mnie ciocia Fu. – Przychodzi tam wielu młodych ludzi, takich jak ty! Pastor Shen jest świetny!

Włącza się fonia.

– Daj wreszcie spokój! – krzyczy wujek. – Przestań tyle gadać! Jak chcesz iść, to idź!

– Kościół założył pewien bogacz z Wenzhou! – informuje mnie ciocia Fu, nie zwracając uwagi na męża.

Nawrócony niepiśmienny bandyta i przedsiębiorca z Wenzhou, zamożnego miasta na południu kraju, którego głównym towarem eksportowym są oszuści, sprawiają, że zaczynam się zastanawiać, czy Kościół cioci Fu na pewno jest legalny. Rząd Chin ściśle kontroluje życie religijne swoich obywateli, dopuszczając jedynie oficjalnie zatwierdzone wyznania, których duchowni posłusznie wykonują polecenia lokalnych władz partii.

– To legalny Kościół? – pytam.

– Nie sądzę – ciocia Fu zbywa moje pytanie machnięciem ręki.

Wujek Feng nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

– Jeśli nie przestanie tam chodzić, wkrótce nie starczy jej na jedzenie.

Zerkam na ciocię Fu, która kręci głową i znów macha ręką.

– Bóg mówi: „Wystarczy wam to, co wam daję”.

– Ha! Możesz w ogóle nie wracać do domu! – wrzeszczy wujek Feng.

Moja wiedza o nielegalnych Kościołach w Chinach była bardzo ograniczona do czasu, gdy jeden z nich wprowadził się do sąsiedniego mieszkania. Rok po naszym przyjeździe do Szanghaju drzwi w drzwi z nami zamieszkała dwudziestokilkuletnia blondynka z Ameryki. Jak większość lokatorów bloku

nie była szczególnie rozmowna i rzadko przebywała w domu. Wkrótce jednak moją uwagę zwróciły niezwykle długie kolejki do windy w piątkowe wieczory. W pozostałe dni tygodnia wjeżdżałem na górę w ciszy i spokoju, ale w piątki tłoczyłem się w kabinie razem z młodymi ludźmi, Chińczykami i cudzoziemcami, którzy gawędzili ze sobą po angielsku. Wysiadali na moim piętrze, mijali moje drzwi i wchodzili do mieszkania sąsiadki, dołączając do sporej grupki swoich rówieśników śpiewających piosenki o Jezusie.

Co piątek jadłem z Lenorą kolację, podziwiając przez okno rozświetloną panoramę Szanghaju i słuchając dobiegającej z drugiej strony korytarza muzyki gospel.

Prowadzony przez naszą sąsiadkę Kościół nazywał się po chińsku *jiating jiaohui*, „Kościół domowy". W 2010 roku Kościoły domowe cieszyły się w Szanghaju dużą popularnością, zwłaszcza wśród młodych pracowników biurowych. Wielu z nich odczuwało duchową pustkę i potrzebowało kompasu moralnego, którego nie dały im wychowanie, szkoła ani praca. W Kościołach domowych mogli szukać Boga w kameralnym gronie ludzi podobnych do siebie. Nie byli już zdani wyłącznie na oficjalne przybytki wiary, gdzie kazania zatwierdzali partyjni urzędnicy.

Chińscy przywódcy zawsze odnosili się podejrzliwie do zagranicznych religii, zwłaszcza jeśli zdobywały nowych wyznawców tak szybko jak chrześcijaństwo. Ta granicząca z paranoją niechęć była pokłosiem brutalnej polityki kolonizacyjnej obcych potęg, które w XIX i XX wieku próbowały zdobyć kontrolę nad Państwem Środka. Jej wyrazem jest nazwa narzucona przez komunistów jedynemu oficjalnie zarejestrowanemu w Chinach Kościołowi protestanckiemu: Patriotyczny Ruch Potrójnej Autonomii. Wymyślili ją w XIX wieku zagraniczni misjonarze, chcąc przekonać Chińczyków, że to oni, a nie kolonialne mocarstwa kontrolują rozprzestrzenianie się wiary na obszarze swojego kraju.

Nowa komunistyczna władza zachowała nazwę, zmieniając jej wydźwięk przez położenie nacisku na określenie „patriotyczny". Przywódcy państwa uznali, że wierzący winni są lojalność przede wszystkim Komunistycznej Partii Chin. Oprócz protestantyzmu tylko jedna z pozostałych czterech

dozwolonych w Chinach religii – katolicyzm – została zmuszona do włączenia do swojej nazwy przymiotnika „patriotyczny”.

Chrześcijaństwo jest dzisiaj najszybciej rozprzestrzeniającą się religią w Chinach. Władze uważnie obserwują ten trend. Poufny raport rządowy, który wyciekł w 2014 roku, zaleca poddanie Kościołów chrześcijańskich szczególnie ścisłej kontroli. Partyjni urzędnicy w prowincjach otrzymali polecenie zlikwidowania krzyży i „miejsc kultu” przy głównych drogach. Opinia publiczna dowiedziała się o tajnej dyrektywie, kiedy w Wenzhou rozebrano protestancki kościół zwieńczony sześćdziesięciometrową iglicą i krzyżem, które były widoczne z każdego zakątka miasta. Świątynia działała legalnie, co więcej, należała do popierającego KPCh Patriotycznego Ruchu Potrójnej Autonomii. Incydent ten wyraźnie pokazuje, że partyjni funkcjonariusze nie mają jasności co do własnej polityki wobec religii.

Kościół cioci Fu nie zaliczał się ani do oficjalnie zarejestrowanych, ani do domowych. Był to Kościół podziemny, *dixia jiaohui,* dobrze zorganizowany, nielegalny przybytek wiary z pieniędzmi, logistyką i zbyt liczną kongregacją, by dało się ją upchnąć w zwykłym mieszkaniu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, słońce już zaszło i ciocia miała trudności z rozpoznaniem właściwego budynku. W końcu zauważyliśmy grupkę osób zmierzających zdecydowanym krokiem do sześciopiętrowego domu w budowie, więc poszliśmy za nimi. Przed wejściem robotnicy mieszali cement, przerwali na chwilę pracę, by pogapić się na samotnego obcokrajowca w gromadzie Chińczyków. Idący na przedzie mężczyzna oświetlał komórką drogę wśród plątaniny rur, stosów płyt gipsowo-kartonowych i dyndających kabli. Wspięliśmy się po schodach na drugie piętro i przez podwójne drzwi weszliśmy do jasno oświetlonej sali modlitewnej.

– *Zimei hao! Dixiong hao!* („Witaj, siostro! Witaj, bracie!”) – witała się ze współwyznawcami ciocia Fu. Po chwili złapała mnie za ramię i poprowadziła przez główną salę do długiej, wąskiej jadalni, w której wszystkie okna były przesłonięte zamkniętymi na kłódkę drewnianymi okiennicami. W pomieszczeniu stało kilkanaście kawiarnianych stolików.

Kościół nazywał się po prostu Kościół Centralny. Na ścianach wisiały transparenty, na których brązowymi znakami wypisano główne prawdy wiary. Wynikało z nich, że w naszym życiu powinniśmy skoncentrować się na Chrystusie, Biblii, Miłości, Jedności, Głoszeniu Wiary, Wspólnocie i, wreszcie, Karierze.

Zastanowiło mnie to ostatnie. Kariera wydała mi się osobliwie świeckim celem duchowego życia. Hasło wyraźnie było adresowane do młodych pracowników korporacji. Kościół dawał im przestrzeń, w której mogli pomagać sobie w znalezieniu pracy, nawiązać nowe znajomości i wymieniać się doświadczeniami związanymi z zarabianiem pieniędzy. Pozwalał tworzyć nowe *guanxi*, znajomości, alternatywne wobec sieci rodzinno--przyjacielskich.

Zauważyłem rażącą nieobecność słowa „rodzina”. Poprzedniemu pokoleniu Chińczyków wpojono przekonanie, że religia to opium dla mas, i coś mi mówiło, że mamę i tatę nie spotkałoby tu serdeczne przyjęcie.

– On jest z tobą? – zapytał ciocię Fu młody duchowny o nazwisku Zhang, w okularach na nosie. Skinęła potakująco głową.

W oczach Zhanga zamajaczyło zakłopotanie, ale kiedy odezwałem się do niego po chińsku, od razu się odprężył. Spodziewałem się, że jako jedyny cudzoziemiec w ukrytej w niewykończonym budynku świątyni przyciągnę liczne spojrzenia. Tymczasem przysadzista kobieta w stroju chłopki i niebieskooki obcokrajowiec, którzy przy bufecie napełniali ryżem z grzybami swoje miseczki z nierdzewnej stali, nie budzili żadnej sensacji, jeśli nie liczyć początkowego zaskoczenia Zhanga. Bardzo urozmaicone towarzystwo – biedni, bogaci, młodzi i starzy – było zbyt pochłonięte jedzeniem i radosnym paplaniem, by zwracać na nas uwagę. Znajdowaliśmy się w gronie rodzinnym. Wszyscy byli dla siebie bardzo uprzejmi, nie rozpychali się łokciami, nie pluli na podłogę, nie wciskali do kolejki.

Zhang poinformował mnie, że Kościół Centralny ma jeszcze trzy inne świątynie w Szanghaju i po cichu otworzył filie w dwudziestu siedmiu chińskich miastach. Powiedział także, że pastor Shen – niepiśmienny bandyta – jest tego dnia nieobecny.

Na twarzy cioci Fu odmalował się zawód.

– *Aiya!* A tyle o nim opowiadałam cudzoziemcowi!

– Nie martw się – pocieszył ją Zhang. – Nabożeństwo poprowadzi pastor Jiang, który był kiedyś szefem gangu.

– Też nauczył się w więzieniu na pamięć całej Biblii? – spytała z nadzieją ciocia.

– Niezupełnie. Pastor Jiang umie pisać i czytać. Ale on też spotkał Jezusa w więzieniu, tak samo jak pastor Shen!

Ciocia Fu odetchnęła z ulgą. Nie usłyszymy kazania niepiśmiennego, nawróconego kryminalisty z fotograficzną pamięcią, ale najwyraźniej czekało nas przeżycie tego samego rodzaju.

Rzędy krzeseł z pomarańczowego plastiku powoli zapełniały się ludźmi. Usiedliśmy z przodu. Na podwyższeniu pod przybitym do ściany drewnianym krzyżem młody mężczyzna z opadającą na oczy grzywą włosów rozstawiał perkusję. Płaskie ekrany telewizyjne pokazywały górskie pejzaże, które zmieniały się w rytmie optymistycznej rockowej melodii płynącej z ustawionych na cały regulator głośników pod sufitem. U podnóża gór zaczęły przesuwać się słowa piosenki. Niespodziewanie na estradę weszło pięć młodych kobiet w minispódniczkach i zaczęło śpiewać. Młode i gibkie, kołysały się w takt melodii.

Jezu, wejdź w moje serce… Objaw mi swoją miłość!

Wierni wstali i przyłączyli się do śpiewu. Jedni klaskali, drudzy podnieśli ręce. Śpiewali na całe gardło w języku mandaryńskim i brzmieli prawie jak prawdziwy chór gospel z południa Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie kołysali głowami w rytm melodii. Kilka osób zamknęło oczy i zacisnęło pięści. Ciocia Fu ściągnęła mnie z krzesła i też zaczęła śpiewać.

Bezgłośnie poruszając ustami, odczytałem z ekranu telewizora kilka słów, ale po chwili moją uwagę całkowicie pochłonęły dziewczęta na scenie, które zaczęły wyginać ciała w hip-hopowych figurach. Na podwyższenie wbiegli dwaj mężczyźni z długimi czarnymi włosami. Jeden wziął gitarę elektryczną, drugi basową i przystąpili do strojenia instrumentów. Podkręcali moc, aż przerażająca kakofonia fałszywych nut zagłuszyła muzykę. Na wiernych nie zrobiło to większego wrażenia, po prostu zaczęli śpiewać głośniej.

Rozewrzyj Niebiosa… Zapłonie odmładzający ogień…
Spadnie na nas deszczem… Prosimy, odnów nas, Panie!

Słowa dzwoniły mi w uszach. Zacząłem się pocić. Sala była przestronna, ale nie miała wentylacji. Zerknąłem na zamknięte okna.

Kiedy kilkuset Chińczyków zbiera się, by wspólnie pośpiewać, zwykle chodzi o wyreżyserowany, telewizyjny koncert pieśni patriotycznych. Tryskając nadmiarem energii, popisują się patriotycznym zapałem w sponsorowanej przez państwo szopce, którą można oglądać z rozbawieniem. Ale na to, co działo się wokół mnie, trudno było patrzeć z cynizmem. Oto jakiś mężczyzna zacisnął powieki, pochylił głowę, podniósł ramiona i śpiewał na całe gardło, młoda kobieta patrzyła w sufit oczyma pełnymi łez, po drugiej stronie przejścia matka śpiewała do trzymanego na ręku niemowlęcia, które z uśmiechem wpatrywało się w jej twarz.

Nikt nie odgrywał przedstawienia. Czułem, że to wszystko jest absolutnie szczere. Dali się porwać muzyce i śpiew przynosił im duchową ulgę.

Ciocia trąciła mnie łokciem w bok.

– Klaszcz! – wrzasnęła. Ujęła moje ręce i składała je razem w rytm muzyki. – Klaskanie jest zdrowe!

Wobec tego klaskałem.

Kiedy chińska chrześcijańska kapela młodzieżowa skończyła wreszcie stroić swoje instrumenty, ciocia Fu zadała mi pytanie.

– Jak odnalazłeś Yesu? – krzyknęła. Yesu w standardowym mandaryńskim to Jezus.

– Hm, nie pamiętam dokładnie. Od dziecka chodziłem do kościoła – ryknąłem, przykładając usta do jej ucha, by zagłuszyć elektryczną gitarę.

– Ja znalazłam Yesu już bardzo dawno! Kiedy byłam w ciąży – wrzeszczała ciocia Fu. – W ósmym miesiącu! – Przerwała, by zaśpiewać sunącą przez ekran zwrotkę.

Panie, tyś mym przewodnikiem, prowadzisz mnie przez życie.
W górach i dolinach, zawsze stoisz przy mym boku.

Ciocia Fu zaszła w ciążę w obozie w Xinjiangu. Kiedy urósł jej brzuch, wujek Feng zadecydował, że musi urodzić w Szanghaju. Wyruszyli w długą podróż, ale droga była wyboista i poród zaczął się w Turfanie, pośrodku pustyni.

– Syna! Przed terminem! – darła się ciocia Fu. – Wszystko mnie bolało i z dzieckiem też nie było najlepiej. Ale on zmusił mnie, żebym w połogu wróciła do Szanghaju. Całe życie przez niego cierpię! – Przerwała, żeby zaśpiewać następną zwrotkę.

Zawołałeś mnie po imieniu,
I obdarzyłeś miłością swą.
Obsypałeś błogosławieństwami,
Przyrzekłeś, że zawsze będziesz przy mnie.

Rok później byli już z powrotem w Xinjiangu, ale ciocia Fu nadal nie przyszła do siebie po porodzie. Chińska medycyna nie znała lekarstwa na jej cierpienie. Lekarka powiedziała, że tylko Yesu może ją uzdrowić.

– Opowiedziała mi o Nim! W jej domu odbywały się nabożeństwa. Moi zwierzchnicy dowiedzieli się, że tam chodzę, i kazali mi z tym skończyć. Powiedzieli, że religia to bzdura, ale ich nie posłuchałam. Dziękuję Bogu, że zesłał mi panią doktor! – krzyczy ciocia.

Zamyka oczy, wyrzuca do góry ręce i zatraca się w muzyce Yesu.

Ciocia Fu przez całe dzieciństwo była głodna.

Urodziła się w 1949 roku, tym samym, w którym do władzy w Chinach doszedł Mao Zedong. Mieszkała w rolniczej wiosce w górach, w zachodniej części Syczuanu, niedaleko granicy z Tybetem. Kiedy była w trzeciej klasie, rozszalała się kampania Wielkiego Skoku Naprzód. W wiosce utworzono dziesięć państwowych gospodarstw rolnych. Rodziny musiały jadać w komunalnych stołówkach. Odebraną właścicielom ziemię podzielono i oddano pod uprawę pięćsetosobowym brygadom. Chłopi, przyzwyczajeni do samodzielnego obrabiania niewielkich zagonów trudnej, górskiej roli, nie umieli pracować w kolektywie.

Co gorsza, niemal całe plony zabierało państwo. Po roku zaczęło brakować jedzenia.

Ciocia Fu rzucała się na wszystko, czym dało się oszukać żołądek. Szkołę zamknięto, więc całymi dniami włóczyła się po górach, szukając dzikich roślin jadalnych. Kiedy wiosną zakwitały drzewa, jadła kwiaty. Wioska znajdowała się na zboczu doliny. W dole płynęła rzeka. Na brzegu stały spichlerze, przy których cumowały przypływające po zboże statki. Fu czekała w ukryciu na traktory, które przywoziły worki z ziarnem. Czasem przez nieuwagę kierowcy jakiś worek rozrywał się podczas transportu. Wtedy Fu, razem ze swoim rodzeństwem, zgarniała miotełkami rozsypane ziarenka pszenicy.

Kiedy miała dziewięć lat, jej ojcu przyczepiono łatkę kontrrewolucjonisty. We wsi zorganizowano zebranie, podczas którego mieszkańcy mieli kolejno wygłaszać pochwałę kolektywizacji, ale ojciec Fu, nieprzejednany, trzeźwo myślący rolnik, wypalił, co myśli naprawdę.

– Powiedział kierownictwu, że brakuje żywności. Że ludzie niedojadają. Że nie mają siły pracować w gospodarstwie – wspomina ciocia Fu.

Jej ojciec cieszył się we wsi szacunkiem, ale ludzie bali się publicznie przyznać mu rację. Uznano by to za zdradę.

– Nadstawił karku za innych, a oni oskarżyli go o nienawiść do komunizmu.

Nazwisko ojca znalazło się na liście „wrogów klasowych, kontrrewolucjonistów i elementów prawicowych”, która wisiała na ścianie we wspólnej stołówce. W czasie zebrań musiał siedzieć razem z tymi, którzy podpadli władzy. Co rano trzeszczące megafony rozdzielały zadania – ojciec Fu zawsze dostawał najgorszy przydział. Wyrabiał podwójną, potrójną normę i pracował po nocach razem z byłymi obszarnikami i innymi „wrogami ludu”.

Za dużo pracy, za mało jedzenia. Pewnego dnia upadł na polu. Zmarł w wieku trzydziestu siedmiu lat.

– Za jego śmierć odpowiedzialny jest przewodniczący Mao – oświadczyła ciocia Fu. – Szczuł jednych przeciwko drugim. Wymyślał kampanię za

kampanią i pozabijał wszystkich, którzy się na czymś znali i mogli zaproponować lepsze rozwiązanie.

Parę lat później ciocia Fu usłyszała o pracy w gospodarstwie rolnym w Xinjiangu. Nie wiedziała, gdzie to jest, ale pomyślała, że wszędzie będzie lepiej niż w rodzinnym mieście. Razem z braćmi wyruszyła w daleką podróż na północ.

– W Xinjiangu jest czystsze powietrze – powiedziała. – I jedzenie. Mnóstwo jedzenia. Owoce i warzywa mają wspaniały smak i są tanie. Górski klimat jest suchy i chłodny. Kiedy już zaoszczędzę dosyć pieniędzy, przeniosę się tam na emeryturę. W Xinjiangu jest jak w raju. Nawet lepiej – dodała – niż w dzisiejszym Szanghaju.

W drodze na nabożeństwo ciocia Fu przedstawiła mi swój plan emerytalny. Jedna ze współwyznawczyń zaprosiła ją na seminarium inwestycyjne. Fu zapłaciła sto juanów za uczestnictwo.

– Warto było – stwierdziła. – Seminarium zorganizowała brytyjsko-chińska spółka typu *joint venture*, która sprzedaje akcje przed wejściem na giełdę. Moja znajoma zainwestowała w nie kilkadziesiąt tysięcy juanów, więc ja też trochę kupiłam.

Ciocia Fu nabyła akcje za trzydzieści tysięcy juanów, równowartość mniej więcej pięciu tysięcy dolarów.

– Już są warte dwa razy tyle! Mogę sprawdzić w internecie. W styczniu firma wchodzi na giełdę w Londynie! Wtedy zarobię pół miliona. Ty też powinieneś zainwestować! – powiedziała, kładąc mi rękę na ramieniu.

Myślałem o tym przez chwilę. Skąd ciocia Fu wzięła pięć tysięcy dolarów? To bardzo dużo cebulowych placków. Jak może sprawdzić notowania w internecie? Nie stać jej na komputer, nie ma nawet smartfona. I dlaczego namawia mnie, żebym też zainwestował? Jako dziennikarz ekonomiczny zawodowo zajmowałem się chińską gospodarką i słyszałem już o tego rodzaju machlojkach. Oszuści najchętniej wybierali na swoje ofiary starsze osoby.

– Nie boisz się, że to może być oszustwo? – zapytałem, ostrożnie dobierając słowa.

Fu się roześmiała.

– Absolutnie nie! Zapewniono mnie, że ryzyko jest *zerowe*. Przyjdź na nasze zebranie inwestycyjne w przyszłym tygodniu. – Przechyliła głowę i ponad oprawkami okularów spojrzała mi prosto w oczy. – Nigdy nie powinieneś rezygnować z okazji do zarobienia pieniędzy.

Zaczęła wchodzić po schodach do świątyni Kościoła Centralnego.

Pastor Jiang uśmiechał się całą twarzą. Policzki podjechały mu tak wysoko do góry, że musiał zamknąć oczy i widać było tylko brwi w kształcie odwróconej litery V.

– Dziś zgłębimy znaczenie wdzięczności – obwieścił gromkim głosem.

Śpiewaliśmy przez godzinę, a potem usiedliśmy z powrotem na pomarańczowych krzesłach i wysłuchaliśmy kazania. Wierni wyciągali szyje, by lepiej widzieć byłego szefa gangu.

Pastor Jiang ubrał się odpowiednio do roli. Opinająca muskularny tors czarna kurtka ze sztucznej skóry odbijała światło lamp. Na lewy rękaw założył rolexa i przy każdej okazji wymachiwał nam przed oczami tym dowodem bogactwa. Mówiąc, kręcił na wszystkie strony krótko ostrzyżoną głową rozmiaru piłki futbolowej. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat.

– Wasza wdzięczność dowodzi, że doświadczyliście obecności Boga – rozpoczął, dramatycznym gestem wyrzucając do góry ręce. Błysnął rolex. – Módlmy się: drogi Ojcze, wychwalamy Cię. Dziękujemy Ci za ustanowienie Kościoła Centralnego…

Wierni podnieśli ręce i za każdym razem, kiedy pastor Jiang zawieszał głos, wołali „Amen”, pomagając mu utrzymać rytm.

– Wdzięczność jest ważna! Wyrażamy ją, składając Bogu ofiarę! – zawołał.

Pastor Jiang wyznał, że ma wiele powodów do wdzięczności. Powiedział, że był grzesznikiem i synem grzesznika, przestępcą urodzonym w rodzinie lokalnego funkcjonariusza partii komunistycznej.

Ludzie zaśmiali się i pokiwali głowami. Wielu obecnych uważało, że przedstawiciele władz są gorsi od kryminalistów, ponieważ partia miała zwyczaj tuszowania ich zbrodni. Pastor Jiang powiedział, że partyjne *guanxi*

ojca przez pewien czas zapewniało mu bezkarność, ale w końcu zaczął popełniać naprawdę poważne przestępstwa i wtedy już nawet partia nie zdołała mu pomóc. Dostał dziesięć lat więzienia za kradzież i rozbój.

– I tatko się mnie wyrzekł – wrzasnął. – A gdzie sam skończył? W psychiatryku!

– *Aiya!* – krzyknęła ciocia Fu.

Pastor Jiang odrzucił do tyłu głowę i podniósł mikrofon do ust.

– Moim jedynym bogiem była *ren-min-bi*! – zawołał, wolno i dobitnie wymawiając nazwę chińskiej waluty.

Zebrani ryknęli śmiechem. Pastor Jiang śmiał się razem z nimi, aż brwi podjechały mu do góry, łącząc się w literę M. Kazanie było skonstruowane na wzór chińskiego filmu akcji: groźny bandyta, skorumpowany, ale potężny ojciec, odsiadka w więzieniu i szpital psychiatryczny. Publiczność nie posiadała się z zachwytu.

– Co łączy oba znaki, z których składa się słowo „wdzięczność”? – pastor Jiang zapytał kongregację, kreśląc palcem na swojej dłoni 感恩.

Oba znaki zawierały element „serce”, 心, więc obecni zakrzyknęli chórem:

– Serce! Serce! Serce!

– Teraz niech podniosą rękę ci, którzy potrafią kontrolować swoje serce!

Cztery ręce wystrzeliły do góry.

– Naprawdę? Są tacy, co potrafią? – spytał kpiąco pastor Jiang, po kolei patrząc w oczy czworgu śmiałkom. Zmieszani, opuścili ręce.

– Właśnie. – Pastor Jiang uśmiechnął się szeroko. – Każdy ma serce, ale nikt nie jest w stanie go kontrolować – powiedział wolno. – Powtórzcie za mną! Mam wszystko, ale nie kontroluję niczego!

– Mam wszystko, ale nie kontroluję niczego!

W społeczeństwie, w którym rodzice podejmują decyzje za dorosłe potomstwo, dzieci w szkołach uczą się, że nauczyciel ma zawsze rację, a przywódcy rządzą żelazną ręką, takie wyznanie bezsilności miało wielką, no cóż, siłę oddziaływania.

– Nasi rodzice nie kontrolują nawet własnego życia! – wrzeszczał pastor Jiang. – Mój ojciec był członkiem Komunistycznej Partii Chin! Wolne żarty!

Nie miał władzy nawet nade mną!

Wierni ryknęli śmiechem. Pastor Jiang wziął głęboki oddech i zaatakował.

– I wtedy Bóg wziął kontrolę nad moim językiem w swoje ręce! Amen!

– Amen!

– On dał mi mądrość i dar wymowy! Amen!

– Amen!

– I zrozumiałem, że Biblia jest najwyższą mądrością! Amen!

– Amen!

Wyrzucał z siebie oświadczenia niczym strzały na wiwat, wzmacniając je potrząsaniem pięścią. Chóralne „Amen” wyraźnie dodawały mu energii, bo coraz bardziej podnosił głos.

– Napisał ją Duch Święty! Amen!

– Amen!

– To Bóg was wszystkich stworzył, On na was patrzy i obdarza was błogosławieństwami. Amen!

– Amen!

– Więc musimy okazać Mu wdzięczność!

– Amen!

Pastor zamarł z uniesioną pięścią, tylko jego głowa kołysała się w rytm oddechu. Po chwili otrząsnął się z bezruchu i napił wody. Rozejrzałem się po sali. Ludzie zawiśli na brzegach krzeseł. Fu trąciła mnie łokciem w bok.

– Prawda, że jest wspaniały? – spytała. Ściskając dłońmi kolana, pożerała wzrokiem postać kaznodziei.

Pastor Jiang prawdopodobnie wygłaszał to kazanie już dziesiątki, jeśli nie setki razy. Zdążył je idealnie dopracować i doskonale wiedział, w którym momencie wtrącić żart. Jego mroczna, buntownicza przeszłość zauroczyła słuchaczy. W Chinach *heishehui*, „czarne stowarzyszenia”, znane powszechnie jako triady, są częstym tematem rozmów. Organizacje przestępcze cieszą się w Państwie Środka sporą popularnością, ponieważ stanowią ośrodki władzy alternatywne wobec partii. Jednak bardzo mało Chińczyków miało okazję spotkać w swoim życiu autentycznego szefa gangu. Kpiny Jianga z komunistów robiły furorę, pozwalały bowiem pośmiać się ze skorumpowanych urzędników i gardzącego religią rządu. Wyraźny

rytm kazania, złożonego z zawołań i odpowiedzi, miał niemal hipnotyczne działanie. Wbijanie do głowy formułek na przemian z suchym wykładem było stałym elementem nauki w chińskich szkołach. Poza tym ciocia Fu i jej rówieśnicy, którzy pamiętali jeszcze dawne czasy, znów mogli się poczuć jak na wiecu w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy to tysiące hunwejbinów wznosiło okrzyki: „Niech żyje przewodniczący Mao!”. Chóralne powtarzanie haseł wprowadzało zgromadzonych w swego rodzaju trans. Jeśli ktoś, nieśmiertelny czy nie, miał tamtego wieczoru kontrolę nad wyznawcami Kościoła Centralnego, to tą osobą był pastor Jiang.

– Ustanowienie Kościoła jest darem Bożym! Amen!

– Amen!

– Ustanowienie Kościoła oznacza, że nasze dusze zostaną zbawione! Amen!

– Amen!

– Ustanowienie Kościoła wymaga kapitału! – wrzasnął pastor Jiang, wymawiając ostatnie słowo tonem nieodwołalnej stanowczości.

Umilkł, dając zebranym czas, by dobrze przyswoili sobie tę myśl. Otarł chusteczką czoło.

Aha, więc o to chodzi. Zerknąłem na ciocię Fu. Pożerała pastora wzrokiem.

– Czyje to będą pieniądze? – zapytał. Zlustrował wzrokiem zebranych, wyraźnie oczekując odpowiedzi.

Po raz pierwszy tego wieczoru w sali zapadła cisza.

– Boga! – warknął. – Nie myślcie sobie, że *wasze*. Może wam się wydawać, że pieniądze, które zarabiacie, są wasze, ale to nieprawda. To Bóg was nimi pobłogosławił! Zostaliście stworzeni przez Boga, więc wszystko, co macie, należy do Niego.

Przyjrzałem się twarzom otaczających mnie ludzi. Czy logika pastora do nich przemawiała? Większość zgromadzonych stanowili przedstawiciele pierwszego pokolenia Chińczyków, któremu pozwolono zarabiać własne pieniądze. Poinformowanie ich, że to, co mają, nie należy do nich, wydało mi się nieco ryzykowne. Przewodniczący Mao mógł sobie na to pozwolić, bo za nim stała armia. Jednak jeśli komuś nie spodobały się słowa pastora, to tego

nie okazał. Wszyscy wpatrywali się w Jianga. Dyskretnie wyjąłem z kieszeni telefon, żeby sprawdzić godzinę. Dojście do tego punktu zajęło pastorowi równo sześćdziesiąt minut. Zastosował metodę subtelnych aluzji wtrącanych po wygłoszeniu żartu albo myśli szczególnie dobrze przyjętej przez słuchaczy. Następnie wzmacniał efekt odpowiednim cytatem z Biblii. Dla niepoznaki szafował wyrażeniami w rodzaju „zasłużyć na dodatkową łaskę" czy „duchowe znaczenie wdzięczności wobec Boga". W ciągu godziny doprowadził swoją publiczność do stanu, w którym była gotowa powtórzyć wszystko, co powie, i śmiać się na dany sygnał. Cel został osiągnięty. Pora wrzucić wyższy bieg i przejść od eufemizmów do konkretów. Jak zwykle w Chinach, ostatecznie wszystko sprowadzało się do *renminbi*.

– Dlaczego musimy dawać ofiarę na Kościół? – zapytał pastor Jiang. – Może rozmawialiście już o dziesięcinie, a może nie. To delikatny temat. Ale nie ma lepszej zasady. To święta reguła, która otwiera drzwi do nieba.

Odwróciłem się do cioci Fu, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się Jiang.

– Wiele współczesnych Kościołów sprzeniewierza się boskim zasadom, ale nie nasz. O jakiej zasadzie mówimy?

– O dziesięcinie! – odpowiedzieli chórem wierni.

Od początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku mieszkałem i pracowałem w Chinach, na wsi i w miastach, ale jeszcze nigdy nie spotkałem Chińczyków, którzy chętnie rozstaliby się ze swoimi pieniędzmi.

– Obojętne, czy jesteś szefem, czy robotnikiem; jeśli zarobisz dziesięć juanów, możesz z nich wydać tylko dziewięć. Jednego juana musisz ofiarować Bogu. Amen!

– Amen!

Wychowałem się w rodzinie katolickiej i koncepcja ofiary na Kościół nie była mi obca. Zawsze jednak był to dyskretny, milczący układ między Kościołem a wspólnotą wiernych. Pierwszy raz w życiu słyszałem, by ktoś mówił o dziesięcinie tak dosadnie, a tym bardziej poświęcił jej całe kazanie. W kościele, do którego chodziłem w dzieciństwie, po mszy zbierano na tacę, ale żaden ksiądz nie ośmielił się domagać konkretnej sumy. Każdy dawał tyle, ile mógł. Pastor Jiang najwyraźniej uważał, że chińscy chrześcijanie

potrzebują dokładnych wskazówek, a co gorsza, postanowił wzmocnić je groźbą.

– Powtórzcie za mną: *touqie*!

– *Touqie!* – odpowiedzieli chórem wierni. Był to wyraz oznaczający „kraść”.

– Pierwotnie „*touqie*” oznaczało „zatrzymać dla siebie, ukraść ofiarę dziesięciny”. Wiedzieliście o tym? – zapytał Jiang, zataczając szeroki łuk ręką. – Co mówi o tym Biblia? Jeśli będziecie *touqie*, to na kogo spadnie klątwa? – Zawiesił dramatycznie głos. – Na was! Klątwa spadnie na was! Powtórzcie po mnie: na was!

– Na was!

– Jaka klątwa?

Ludzie zaczęli szeptać między sobą, niepewni, co odpowiedzieć. Pastor Jiang wywiódł swoją trzódkę na nieznane wody. Ciocia Fu spojrzała na mnie, wyraźnie szukając pomocy, ale nie miałem jej nic do zaoferowania.

– Zachorujecie! – wyrzucił z siebie Jiang. – Pewnego razu spotkałem w mieście Luoyang siostrę, która bardzo kochała Boga. Była ciężko chora. Zabierałem ją na sesje uzdrawiania i do lekarzy, ale jej stan się nie poprawiał. Zacząłem podejrzewać, że nie płaci dziesięciny. Jej przyjaciele potwierdzili moje przeczucie. – Przez chwilę w milczeniu wodził wzrokiem po twarzach słuchaczy. – Wróciłem do niej i powiedziałem: „Bóg przeklął cię chorobą!” – wrzasnął.

Znów rozległy się szepty.

– Powiedziałem jej to samo, co dziś mówię wam! „Jeśli ty dasz Bogu, Bóg da tobie!” Zaczęła dawać dziesięcinę. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, znów była zdrowa jak ryba! Amen!

– Amen! Amen! Amen!

Ciocia Fu pokiwała z aprobatą głową. Zapadłem się w sobie. Pastor Jiang był szefem gangu, byłym więźniem, marnotrawnym synem funkcjonariusza partii, a teraz jeszcze uzdrowicielem, który w cudowny sposób przywrócił zdrowie siostrze z Luoyangu. Kościół Centralny działał już w dwudziestu siedmiu miastach. Ciekawe, ilu miał takich pastorów Jiangów zasuwających identyczną gadkę.

Jiang otarł pot z czoła. Błysnął rolex, sztuczna skóra zalśniła w blasku lamp. Czuł, że grunt jest już przygotowany.

– Powtórzcie za mną: ci, którzy zostali zbawieni i otrzymali nowe życie, muszą ofiarowywać Bogu dziesiątą część swoich dochodów.

Zgromadzeni wyskandowali posłusznie całe zdanie.

– Jak udowodnisz, że jesteś chrześcijaninem, jeśli nie łożysz na Kościół? Jak udowodnisz swoją miłość do Boga?

Mężczyźni i kobiety powtórzyli jego słowa.

– Jeśli nie oddajesz Bogu dziesiątej części swoich dochodów, *okradasz* Go! – wrzasnął piskliwie i zamachał rękami jak wiatrak. Oskarżenie zawisło nad głowami zebranych w ogromnej sali wiernych.

Nikt nie wymówił ani słowa.

Kilka dni później zatrzymałem się przy kuchni wujka Fenga i zamówiłem cebulowy placek. Było wpół do piątej po południu. Rozżarzoną, czerwoną kulę słońca, które zachodziło nad platanami, przesłaniał gęsty, zimowy smog. Zagadnąłem ciocię Fu o kazanie pastora Jianga.

– Głęboko mnie poruszyło – odparła.

Wstawiłem do kuchni taboret i usiadłem.

– Kościoły z Wenzhou zawsze potrafią znaleźć najlepszych kaznodziejów w całym kraju. Pastor Jiang zafundował nam prawdziwy duchowy wstrząs.

Wujek Feng, który majstrował coś przy blasze do pieczenia, parsknął śmiechem.

– *Aiya!* – odparowała. – Nic nie rozumiesz! Co ty tam wiesz, staruchu?

– Nie rozumiem? A ty rozumiesz? – Feng nie mógł przestać się śmiać.

– Pastor Jiang dużo mówił o oddawaniu dziesiątej części dochodów na Kościół – powiedziałem wolno.

Wujek przerwał to, co robił, i nadstawił uszu.

– Przekonał cię, że musisz tyle dawać? – zapytałem Fu.

– Nie! Kogo na to stać? – odpowiedziała ciocia Fu, wyraźnie na użytek swojego męża. Zerknęła nerwowo w jego stronę. – Może nabrałby się na to jakiś *zdziecinniały* staruszek, ale nie ja. Każdy daje wedle swoich

możliwości. To nieprawda, że jest taka zasada, chociaż w Biblii pewnie można coś na ten temat znaleźć. Zwykle ludzie nie dają zbyt dużo.

Do okna podszedł sąsiad i wujek Feng wdał się z nim w rozmowę.

– Kazanie bardzo mnie poruszyło. Dałam pięćdziesiąt juanów! – przyznała się szeptem ciocia Fu.

Wujek Feng sięgnął po łopatkę, zdjął z blachy placek, wsunął go ostrożnie do cienkiej foliowej torebki i mi podał. Kiedy znów się odwrócił do sąsiada, po cichu wrzuciłem trzy juany do plastikowego pojemnika, w którym trzymał pieniądze. Ciocia Fu wyjęła monety z pudełka i wsunęła mi je z powrotem do kieszeni. Poczekałem, aż wyjdzie z kuchni, i jeszcze raz wrzuciłem monety do pojemnika. Często grałem w takiego berka z moimi przyjaciółmi z ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Ściemniało się. Wujek zapalił pojedynczą żarówkę, która zwisała z sufitu na czarnym kablu, i na chodnik przed domem padł idealny kwadrat światła. Ciocia Fu wróciła z kalendarzem adwentowym i czarką do herbaty ozdobioną symbolem krzyża.

– Darmowe podarki od Kościoła – oznajmiła, machając mi nimi przed oczami.

Wujek Feng zaczął się śmiać.

– Nic nie jest za darmo – stwierdził.

– Teraz nie wierzysz – powiedziała mu ciocia Fu – ale kiedy się zestarzejesz i nie będziesz miał nic do roboty, zaciągnę cię na nabożeństwo.

– Nie pójdę tam, choćbym był nie wiem jak stary.

– Sam skazujesz się na wieczne cierpienie – ostrzegła go ciocia Fu.

– Po śmierci nie ma nic. Możesz mnie posiekać, a i tak nic nie poczuję – wycedził wujek Feng. Światło żarówki padało prosto na jego twarz.

Ciocia Fu poddała się i zwróciła do mnie.

– Dla ciebie też wezmę kalendarz adwentowy – obiecała.

– Raz już ledwo uniknąłem śmierci – wpadł jej w słowo wujek Feng.

– Co się stało? – zainteresowałem się.

– W Xinjiangu załamał się pode mną lód na rzece – wyjaśnił, wpatrując się w mrok za oknem. – Wydostałem się z wody i przeszedłem kilka kroków, ale zaraz znowu upadłem. Dopełzłem jakoś do brzegu, a potem na drogę.

Ubranie zamarzło na mnie na lód. Straciłem czucie w całym ciele. To był jeden z najmroźniejszych dni w roku. Nikt mi nie pomógł. Nikt. Droga z powrotem do wsi zajęła mi bardzo dużo czasu. Przyjaciel, który mnie zobaczył, wziął mnie za ducha. Dotarłem do domu, przebrałem się przy piecu i napiłem samogonu z sorgo. Był 19 grudnia 1989 roku. Do końca życia będę pamiętał tę datę.

Ciocia Fu słuchała, przyciskając do piersi kalendarz.

– Nie wierzę w rzeczy, w które ona wierzy – powiedział wujek Feng. – Trzeba mieć trzeźwy umysł. Tylko tak można przeżyć. Dlatego nie wierzę w Boga.

Wujek Feng wyjrzał przez okno. Nie było już klientów, więc zabrał się do sprzątania kuchni. Mechanicznymi ruchami wycierał blat i blachę do pieczenia.

Ulica Wiecznej Szczęśliwości stopniowo pustoszała. Zerknąłem na starego kucharza. Prawie bez jedzenia przeżył w Xinjiangu, gdzie zakładał pola uprawne na pustyni. To go nauczyło nie ufać żadnej władzy.

Ciocia Fu podniosła się z krzesła. Jej łatwowierność musiała porządnie irytować wujka Fenga.

– To Bóg sprawił, że wtedy nie umarłeś – oznajmiła. – Dał ci siłę, żebyś wydostał się z wody. Pomyśl o tym! Nikt by nie przeżył kąpieli w lodowatej rzece!

– Bzdura – powiedział wujek Feng i po raz pierwszy tego wieczoru spojrzał na żonę. – Od dnia, kiedy załamał się pode mną lód, nie wierzę w nic oprócz siebie.

5 Pudełko z listami

长乐路682弄70号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości, alejka 682, numer 70

Po raz pierwszy zobaczyłem te listy na trzy godziny przed końcem roku Smoka. W 2013 roku nasi przyjaciele Leilei i Rich zaprosili mnie do siebie, żebyśmy razem powitali rok Węża. W dwóch poprzednich latach świętowaliśmy Nowy Rok u krewnych Lenory, zajadaliśmy się pierożkami i o północy wychodziliśmy na ulicę odpalać fajerwerki razem z milionami szanghajczyków. Wybuchały z ogłuszającym hukiem, z nieba sypał się popiół i czuliśmy się, jakby trwał niekończący się atak rakietowy. Tym razem moja żona znalazła pretekst do ucieczki. Nasz młodszy syn miał już rok i Lenora zabrała obu chłopców na kilka tygodni do Stanów.

Leilei podała mi plik pożółkłych listów.

– Spójrz na adres nadawcy – powiedziała.

Zerknąłem na jedną z wystrzępionych kopert: „alejka 682, numer 70, ulica Wiecznej Szczęśliwości”.

Słuchali moich audycji radiowych o tej ulicy i pomyśleli, że ta korespondencja mnie zainteresuje. Piliśmy szkocką, za oknem strzelały pierwsze fajerwerki. A my przeglądaliśmy listy.

Było ich ponad sto, starannie ułożonych w pudełku po butach. Rich i Leilei zajmowali się dorywczo odnawianiem domów w zaułkach dawnej koncesji francuskiej. Przez przypadek natrafili na kolekcję listów w sklepie ze starociami dwie przecznice na południe od ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Najstarsze, z lat pięćdziesiątych x x wieku, pisali do siebie żona i mąż, więzień polityczny odsiadujący wyrok w obozie pracy w pobliżu granicy z Tybetem. Pozostałe, zaadresowane do tego samego więźnia, wyszły spod pióra kilku innych osób. Ostatnie pochodzą z lat dziewięćdziesiątych. Wszystkie zostały wysłane z tego samego adresu na ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Przez ponad pół wieku podróżowały z Szanghaju do odległego o trzy tysiące kilometrów obozu, by zakończyć swój żywot w sklepie ze starociami dwie przecznice od miejsca, w którym powstały.

Ostrożnie rozłożyłem jeden z listów. Był napisany pismem trawiastym i miałem trudności z odcyfrowaniem znaków.

– „W domu było tyle pracy, że nie miałam czasu napisać. Wybacz mi. Warunki życia są obecnie bardzo trudne. Ledwo sobie radzimy” – przeczytała na głos Leilei. – Żona zawsze pisze o dzieciach. Ciekawsze są listy od męża – dodała.

Przez następną godzinę rozkładaliśmy, omawialiśmy i z powrotem składaliśmy kolejne listy, zafascynowani artefaktami dawno minionej epoki. W pewnym momencie moją uwagę zwróciła kartka bez koperty. Całą stronę zajmowała ręcznie wykreślona tabela.

– Co to jest? – zapytał Leilei Rich.

– To kalendarz księżycowy z, zobaczmy, 1958 roku. Widzicie? – Pokazała rubryczkę u góry kartki. – Pierwszy dzień Nowego Roku. Jak dzisiaj.

Spojrzałem na zegarek: była pierwsza w nocy. Niezauważalnie minęła pierwsza godzina roku Węża.

Alejka 682, ulica Wiecznej Szczęśliwości. Całkiem dobrze orientowałem się już w plątaninie zaułków na tyłach mojej ulicy i uświadomiłem sobie, że tego samego dnia, jeszcze w roku Smoka, byłem właśnie w tym miejscu, tyle że po drugiej stronie ulicy.

Z powodu święta panował niecodzienny spokój. Wszyscy *waidiren*, przyjezdni, wyjechali do rodzinnych miasteczek. Prawie połowa mieszkańców pochodziła z innych stron i był to jeden z rzadkich momentów w roku, kiedy rodowici szanghajczycy odzyskiwali miasto dla siebie. Z poczucia winy, że wykręciłem się od ojcowskich obowiązków, a może ze zwykłej nudy tamtego popołudnia przysiadłem się na chodniku do jedynej żywej istoty w zasięgu wzroku: starego żebraka Zhang Naisuna.

Zawsze urzędował na rogu ulicy Wiecznej Szczęśliwości i Fumin lu, ulicy Bogatych Ludzi; w całym Szanghaju nie było skrzyżowania

o lepiej rokującej nazwie.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziałem, wkładając do jego kubeczka stujuanowy banknot.

– Szczęśliwego Nowego Roku i pomyślności dla ciebie i twojej rodziny – odpowiedział sumiennie.

Zhang zajmował ten róg od lat. Widywałem go tam tak często, że przestałem zwracać na niego uwagę. Kilka razy, kiedy tłum pieszych zepchnął mnie na jego teren, sięgnąłem do kieszeni i wrzuciłem mu do kubka kilka monet. Zawsze dziękował uprzejmym skinieniem głowy. Najczęściej miał na sobie zieloną kurtkę Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, okutany wokół szyi fioletowy szalik i granatowe spodnie, wsunięte w cholewki wojskowych kamaszy. Zwykle siedział na czarnym worku z segregowanymi śmieciami, trzymając na kolanach biały, plastikowy pojemniczek na datki. Włosy spływały mu srebrzystą kaskadą na plecy i tańczyły w podmuchach powietrza wywoływanych przez przejeżdżające samochody. Z daleka można było go wziąć za starą kobietę, dopiero kiedy podszedłeś bliżej, dostrzegałeś rzadką, białą bródkę. Miał spokojne, cierpliwe spojrzenie człowieka, który dysponuje nieskończonymi zasobami czasu; był jednym z bardzo nielicznych w Szanghaju ludzi, którzy się nigdzie nie spieszą. Dla Zhanga czas był cudzym pieniądzem.

Starannie wybrał to miejsce. Ulica Wiecznej Szczęśliwości biegnie na granicy dwóch dzielnic. Chodnik po południowej stronie należy do Xuhui, po północnej do Jing’an. Jezdnia, dosłownie ziemia niczyja, straszy dziurami – władze żadnej z dzielnic nie poczuwają się do odpowiedzialności za jej nawierzchnię, więc bardzo rzadko się zdarza, by ktoś coś załatał. Ten brak nadzoru działał na korzyść Zhanga. Kiedy włodarze jednej dzielnicy grozili, że ukarzą go za żebranie, przenosił się na drugą stronę i kontynuował swój proceder poza zasięgiem ich jurysdykcji.

Ostatniego dnia starego roku siedzieliśmy na chodniku w Xuhui. Zhang nie okazał zaskoczenia, kiedy do niego dołączyłem, jakby oczekiwał mojego przybycia. Po zachodniej stronie nieba słońce wisiało tuż nad dachami drapaczy chmur, po ulicy hulał lodowaty wiatr. Usiadłem po zawietrznej, żeby nie dostać w twarz jego włosami.

– Gdzie jest twoja rodzina? – spytałem.

– Żona jest w domu na farmie w prowincji Henan, a synowie i wnuki w prowincji Guangdong – odparł. – Ostatni raz witałem z nimi Nowy Rok dwanaście lat temu.

Jego rodzinne miasto leżało w odległości ośmiuset kilometrów od Szanghaju. Zhang odchylił się do tyłu i oparł łokcie na trzech skrzynkach pomarańczy, świątecznym podarunku od lokalnych mieszkańców.

– To dobry dzień na bycie samotnym starym człowiekiem – zauważył z uśmiechem.

Dowiedziałem się, że po opłaceniu czynszu za komórkę pod schodami na drugim końcu miasta i dwóch posiłków dziennie z żebrania na rogu zostaje mu miesięcznie ponad sto dolarów czystego zysku. W rodzinnych stronach pewnie by tyle nie zarobił. Zhang wychował się w pobliżu miasta Zhoukou w jednym z najwcześniej zamieszkanych regionów Chin. To właśnie tam według legendy urodził się starożytny mędrzec Laozi, założyciel taoizmu. Rozwiewane wiatrem siwe włosy i rzadka bródka Zhanga upodabniały go do starego filozofa.

Zhang część roku spędzał samotnie w Szanghaju, a w lecie wędrował z powrotem do Henanu, by uniknąć pory upałów i deszczów w mieście. Z wybitnym mędrcem łączyło go jeszcze jedno: świadomie lub nie, praktykował starą taoistyczną zasadę *wei wu wei*, działania przez niedziałanie. Taoizm jest jedyną rdzennie chińską religią, ale główna zasada jego filozofii zdaje się stać w sprzeczności ze wszystkim, co reprezentują sobą dzisiejsze Chiny. Teraz siedziałem na chodniku w towarzystwie niezłomnego misjonarza taoizmu, długowłosego pustelnika z Zhoukou, który samotny i bezdomny jak Laozi, żebrał o drobne na ulicy najbogatszego miasta Chin w dniu ich najważniejszego święta.

– Pewnie tęsknisz za bliskimi – palnąłem bez zastanowienia. Dopiero poniewczasie zdałem sobie sprawę, że popełniłem nietakt.

– Nie, nie tęsknię za nimi – odparł rzeczowym tonem. – Jestem tak stary, że już prawie umarłem! Co by mi z tego przyszło, gdybym za nimi tęsknił?

Trzej synowie Zhanga co roku próbowali namówić go, by wrócił na święto do domu, ale stary żebrak uważał, że z rodziną są same kłopoty.

– Moi wnukowie to łobuzy, ich matki będą na nich krzyczeć, a ja bym pewnie nie wytrzymał i zdzielił któregoś smarkacza – powiedział. – I awantura gotowa. Po co mi to?

Co ważniejsze, nie starczyłoby dla wszystkich jedzenia.

– Zgodnie z chińską tradycją ryż nakłada się według starszeństwa – wyjaśnił. – Gdybym tam był, moi synowie nie pozwoliliby swoim dzieciom najeść się do syta. Nie mam serca im tego robić.

Poza tym nie chciał stracić tego dnia w roku, kiedy skąpi szanghajczycy chętniej sięgali do kieszeni.

Domyślałem się, że ma jeszcze inne powody, by nie wracać do domu w czasie, gdy wszyscy Chińczycy pielgrzymują w rodzinne strony. Ale już się ściemniało i naszą rozmowę zaczęły zagłuszać wybuchające w oddali fajerwerki.

Wstałem i życzyłem mu szczęśliwego Nowego Roku.

Zhang uczynił to samo. Załadował trzy skrzynki pomarańczy na przenośny dwukołowy wózek i powędrował ulicą Wiecznej Szczęśliwości, mijając wylot alejki, w której powstały listy z pudełka po butach. Rozkwitające na niebie sztuczne ognie oświetlały mu drogę.

Tydzień później otworzyłem w moim biurze pudełko po butach.

Leilei dała mi je, żebym je zabrał do domu. Byłem ciekaw, kto je napisał, jaką przebyły drogę i co opowiedzą mi o ulicy i jej przeszłości. W kraju, gdzie z oficjalnej pamięci wymazano całe rozdziały historii, stanowiły unikatowe, niezmanipulowane przez państwową propagandę świadectwo przeszłości.

Na wierzchu leżał kalendarz księżycowy, który oglądaliśmy w wigilię Nowego Roku. Spojrzałem na datę: 1958.

Ostrożnie rozłożyłem arkusik papieru ryżowego, zapisany starannym, klasycznym pismem używanym przez wykształconych Chińczyków. W rogu widniało nazwisko i imię: Wang Ming.

Prawie wszystkie listy były zaadresowane do Wanga. Mniej więcej połowę wysłała jego żona. Pozostałe pisali różni członkowie wielopokoleniowej rodziny: starsza siostra Wanga, jego brat bliźniak, ojciec,

a także garstka przyjaciół z Szanghaju. Tylko trzy wyszły spod pióra samego Wanga. Przypuszczałem, że miałem w ręku najwyżej połowę korespondencji między Wangiem i jego rodziną. Co się stało z resztą listów? Zostały w sklepie ze starociami czy wylądowały na śmietniku?

Wróciłem do kruszących się ze starości kartek. Zacząłem od kalendarza.

Chiński rok księżycowo-słoneczny dzieli się na dwadzieścia cztery mniej więcej piętnastodniowe okresy. Ich nazwy odzwierciedlają stopniowe przemiany pór roku. Wang zaznaczył je w swoim kalendarzu, który zaczynał się od chińskiego Nowego Roku albo początku wiosny.

21 lutego – zbożowe deszcze
8 marca – przebudzenie owadów
23 marca – wiosenna równonoc

Z listów dowiedziałem się, że Wang został aresztowany w połowie listopada 1957 roku, w trakcie początku zimy. We wrześniu następnego roku, w połowie okresu białej rosy, wysłano go do obozu pracy w prowincji Qinghai, trzy tysiące kilometrów od ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Po kilkutygodniowej podróży dotarł na miejsce w okresie jesiennej równonocy. Pierwsze miesiące zasądzonych mu ciężkich robót przypadły na pierwszy szron, mały śnieg, duży śnieg, mały mróz i duży mróz. Żaden okres słoneczny nie był dobry na rozpoczęcie pobytu w obozie pracy, ale te były najgorsze. Prowincja Qinghai to porośnięty buszem, jałowy obszar o powierzchni Teksasu w północnej części Wyżyny Tybetańskiej. Zimy są tam wyjątkowo srogie. Kiedy władze chciały się kogoś pozbyć, wysyłały go do Qinghaiu.

Wang trafił do obozu za bycie kapitalistą. Był właścicielem przetapiającej stal krzemową fabryczki na przedmieściach Szanghaju. Kupował od przedsiębiorstw elektrotechnicznych złom i produkował z niego rdzenie do transformatorów, które następnie sprzedawał z zyskiem tym samym firmom.

Zanim w 1949 roku władzę przejęli komuniści, Szanghaj rozkwitał dzięki kapitalizmowi. Wang należał do licznego grona przedsiębiorców, którzy wzbogacili się wraz z miastem. W czasach gdy Chiny były głównie krajem rolniczym, Szanghaj obsługiwał sześćdziesiąt procent handlu

międzynarodowego, osiemdziesiąt procent inwestycji zagranicznych i prawie wszystkie chińskie transakcje finansowe z zagranicą. Przeszło połowę produkcji przemysłowej Chin wytwarzały szanghajskie fabryki, w których pracował co drugi chiński robotnik.

Wang mógł sobie pozwolić na kupno trzypiętrowego, ozdobionego stiukami domu w jednej z alejek odchodzących od ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Do 1956 roku doczekał się ze swoją żoną, Liu Shuyun, sześciorga dzieci.

Wziąłem do ręki kolejny list, z datą z 1957 roku. Mama Liu była w siódmej ciąży, kiedy los odwrócił się od jej męża. Komuniści, od lat dążący do wyeliminowania prywatnego kapitału, w końcu dobrali się do szanghajskich fabryk. Brutalne represje zwróciły się przede wszystkim przeciwko dwóm grupom społecznym – obszarnikom i przemysłowcom. Stracono osiemset tysięcy właścicieli ziemskich, wielu innych uciekło na Tajwan i do Hongkongu. Wang długo ukrywał swoje pochodzenie klasowe, starając się nie rzucać w oczy podczas kolejnych kampanii skierowanych przeciwko ludziom jego pokroju.

W jednym z listów przeczytałem, że w 1956 roku został zmuszony do zawarcia spółki z państwowym przedsiębiorstwem. Rząd przejął kontrolę nad firmą, której Wang poświęcił całe swoje życie zawodowe. Partia powierzyła kierowanie fabryką niedoświadczonym menedżerom, a Wang dostał pracę w dziale zaopatrzenia i sprzedaży z miesięczną pensją w wysokości stu siedemdziesięciu juanów. Był to zaledwie ułamek dochodów, które osiągał jako właściciel przedsiębiorstwa, ale nadal zarabiał lepiej od większości kierowników w czasach komunistycznego reżimu. Pół roku później nowy pracodawca przeniósł Wanga do innej prywatno-państwowej spółki, Mingyun, która kiedyś była odbiorcą jego wyrobów.

Jak wiele innych szanghajskich przedsiębiorstw, Mingyun rozpaczliwie starała się odtworzyć łańcuch dostaw, który rozpadł się, gdy kontrolę nad przemysłem przejęli komuniści. Firma straciła wielu klientów i znajdowała się na krawędzi bankructwa. Wang miał za zadanie uzdrowić sytuację.

Wśród listów znajdowała się starannie wykaligrafowana, dwustronicowa samokrytyka:

Błędy, które popełniłem w prywatno-państwowej Fabryce Urządzeń Elektronicznych Mingyun w latach 1956–1957.

Wang wyjaśnia, że nowy dyrektor z rządowego nadania nie miał pojęcia, skąd zdobyć stalowy złom, i naciskał na niego, by za wszelką cenę znalazł źródło zaopatrzenia.

„Poinformował mnie o trudnościach i polecił rozwiązać problem, dając do zrozumienia, że jeśli materiał będzie dobry i za normalną cenę, to nieważne, z jakiej fabryki będzie pochodził, może być nawet prywatna” – napisał Wang.

Zaopatrywanie się w materiały u prywatnych dostawców było niezgodne z przepisami. Ale – jak napisał Wang – on i inni pracownicy, również byli właściciele fabryk, musieli się biernie przyglądać, jak rozpadają się tworzone przez nich latami łańcuchy zaopatrzenia. Nie mogli tego znieść i wielu z nich postąpiło tak samo jak Wang: powrócili do systemu, który działał. „Sytuacja była trudna, więc znalazłem kilku prywatnych dostawców – wyznał Wang w swojej samokrytyce. – Dzięki temu, że sprzedawali nam surowiec wtórny po niskich cenach, mogliśmy realizować zamówienia naszych klientów. Rozwiązałem problem. Moi zwierzchnicy byli zadowoleni”.

Z listów jasno wynikało, że kupował deficytowy surowiec wtórny od prywatnych fabrykantów, do których niedawno sam jeszcze należał. Dzięki odbudowanemu przez Wanga łańcuchowi dostawców Mingyun wkrótce zaczęła przynosić dochody. Zbyt duże dochody. W zakładzie zjawiła się kontrola.

W listopadzie 1957 roku Wang i jego partnerzy biznesowi zostali aresztowani za uprawianie kapitalizmu. Uznano ich za element prawicowy i wrogów ludu. W Szanghaju o prawicowe odchylenie oskarżono co dziesiątego wykładowcę Uniwersytetu Fudan, najbardziej prestiżowej uczelni w mieście, oraz co dwudziestego przemysłowca i kupca. W całym kraju podobny los spotkał pół miliona intelektualistów i przedsiębiorców.

„The Shanghai News Daily” z 12 grudnia 1957 roku donosił, że w ciągu zaledwie kilku tygodni udało się wytropić kilkaset tysięcy prawicowców, choć „potrafili się znakomicie kamuflować, by zwieść lud”.

„The Daily” przedstawił w skrócie „program naprawczy”, któremu mieli zostać poddani:

> Osobom o odchyleniach prawicowych zostaną wpojone sumienność i posłuszeństwo; będą musiały zaakceptować dyktaturę proletariatu, uczyć się od klasy robotniczej, odróżniać sektor prywatny od publicznego i pod przewodnictwem partii kroczyć drogą socjalizmu. Praca pomoże im powściągnąć kapitalistyczne myśli i odrzucić kapitalistyczne nawyki.

Jak wynika z dokumentów sądowych, Wang i jego zwierzchnicy zostali oskarżeni o „nielegalne nabywanie reglamentowanych przez państwo towarów” i „czerpanie zysków z nielegalnego procederu”.

W kolejnym liście Wang opowiada jednemu z przyjaciół, co się działo z nim i jego kolegami po aresztowaniu:

> Zabrali nas do więzienia przy ulicy Sinan w Szanghaju. 9 września 1958 roku sąd wezwał ludzi z naszej branży, którzy popełnili to samo przestępstwo, i odczytał wyrok. Było nas tam kilkadziesiąt osób. Znaliśmy się od lat, prowadziliśmy ze sobą interesy, wielu z nas łączyła przyjaźń. Popatrywaliśmy na siebie w milczeniu, niepewni, co nas czeka. Wszystkich uznano za winnych. Większość, w tym mnie, zesłano do obozów pracy w prowincji Qinghai.

Wang Ming został skazany na reedukację przez pracę, która miała wybić mu z głowy kapitalistyczne myśli. Miał trzydzieści pięć lat. Zostawił żonę z siedmiorgiem dzieci, w tym nowo narodzonym synkiem. Mieszkali w Szanghaju trzy przecznice od miejsca, w którym czytałem ich listy.

Farma Delingha była pierwszym obozem pracy, który powstał w prowincji Qinghai, i jednym z największych opartych na pracy przymusowej gospodarstw rolnych w całych Chinach. Obóz zbudowano w pustynnej oazie na wysokości blisko trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, na płaskowyżu zamieszkanym przez nieliczne grupy tybetańskich koczowników. W 1958 roku, kiedy trafił tam Wang, przebywało w nim już ponad dziesięć tysięcy więźniów, którzy od świtu do nocy w pocie czoła uprawiali hektary pszenicy i jęczmienia.

Na północ od Delingha wznoszą się góry Qilian, których najwyższe szczyty mają ponad pięć tysięcy metrów. Od południa ciągnie się pustynne dno Kotliny Cajdamskiej. Starożytni Chińczycy uważali za zachodnią granicę cesarstwa i kres wszelkiej cywilizacji jezioro Kuku-nor, największy śródlądowy słony akwen w Chinach. Obóz Delingha znajdował się trzysta kilometrów dalej.

Nie było potrzeby otaczania go murem. Śmiałek, który zaryzykowałby ucieczkę w dowolnym kierunku, zmarłby z odwodnienia, a jego ciało rozszarpałyby sępy.

Więźniów podzielono na tysiącosobowe bataliony, stuosobowe kompanie i dziesięcioosobowe oddziały robocze. Z każdej dziesiątki wybrano dwóch oddziałowych. Jeden był odpowiedzialny za wydajność i codziennie sprawdzał, czy poszczególni więźniowie wykonali przydzielone im zadania; drugi, od uświadomienia politycznego, nadzorował postępy swoich towarzyszy w przyswajaniu socjalistycznego sposobu myślenia. W skrócie, dbał o to, by więźniowie byli na bieżąco z kampaniami ideologicznymi partii oraz umieli wykazać się odpowiednią wiedzą i entuzjazmem, a także organizował sesje samokrytyki, na których skazani zastanawiali się, co jeszcze muszą w sobie skorygować.

Reżim dnia był morderczy. Więźniowie pracowali siedem dni w tygodniu. Odpoczywali tylko w czasie zamieci śnieżnych i pięciu dni w roku, na które przypadały święta państwowe. Wstawali o świcie, w pośpiechu połykali miskę rozgotowanego ryżu i wymaszerowywali z obozu. Każdej kompanii towarzyszyło kilku uzbrojonych w karabiny strażników. Fragment pola, który należało obrobić danego dnia, zaznaczano czterema chorągiewkami. Więźniowie wiedzieli, że jeśli przekroczą niewidzialne linie pomiędzy nimi, zostaną zastrzeleni.

Harry Wu, były więzień, który dziś prowadzi w Waszyngtonie muzeum poświęcone chińskim obozom, opowiedział mi, jak wyglądała organizacja pracy. Co rano więźniom wyznaczano zadanie na dany dzień, na przykład „usunąć chwasty”. Każdemu członkowi oddziału roboczego wyznaczano normę do wykonania.

– Wieczorem oddziałowi sprawdzali, ile zrobiłeś, i decydowali, czy zasłużyłeś na kolację, czy nie. Obowiązywała zasada: dobra praca, dobre jedzenie; gorsza praca, mniej jedzenia; nie ma pracy, nie ma jedzenia.

Prawie wszystkie listy do Wanga zostały wysłane na adres jego baraku w obozie Delingha. Zastanawiałem się, co przeżył poza granicą cywilizacji. W 2013 roku odszukałem innego więźnia tego samego obozu. Profesor Wei Xiezhong w 1957 roku został skazany na pięć lat ciężkich robót za nieudaną próbę ucieczki z Chińskiej Republiki Ludowej; usiłował dostać się wpław do Hongkongu. Później przedłużono mu wyrok o kolejne dziesięć lat za prowadzenie tajnego dziennika, w którym opisywał swój pobyt w obozie. Łącznie spędził w obozach pracy w prowincji Qinghai dwadzieścia trzy lata, z czego piętnaście w Delingha. Wei nie znał Wang Minga, ale ich życie biegło podobnym torem.

Siedemdziesięciodziewięcioletni, łysiejący profesor Wei był już na emeryturze i mieszkał w Nankinie, w delcie rzeki Jangcy. Urodził się mniej więcej w tym samym czasie co Wang. Kiedy go poznałem, uderzyła mnie szybkość jego ruchów, niespowolnionych przez wiek. Zachował także bystrość umysłu. Wydał kilka książek o swoich obozowych doświadczeniach, ale przezornie zastrzegał, że to kreacja literacka. Pisał pod pseudonimem, nie uśmiechała mu się perspektywa kolejnego wyroku.

Profesor Wei trafił do obozu kilka lat po Wangu, w najgorszym okresie wielkiego głodu, do którego doprowadziła kampania Wielkiego Skoku Naprzód. Miliony mieszkańców rejonów rolniczych żyły na krawędzi śmierci głodowej. Wei podzielił ich los.

W tamtym czasie więźniom przysługiwało dwieście pięćdziesiąt gramów surowej pszenicy dziennie, pod warunkiem że wywiązali się z przydzielonej im pracy. W rzeczywistości zwykle nie dostawali nawet tyle. Jak wspomina Wei, by przeżyć, musiałeś zwinąć gdzieś jedzenie i je połknąć, zanim cię złapali i zastrzelili.

– Ja kradłem na polu, inni z magazynu albo z kuchni. Kiedy zbieraliśmy pszenicę, kradliśmy kłosy i zakopywaliśmy je w ziemi.

Tylko dzięki zachomikowanym w ten sposób zapasom można było przeżyć zimę. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia co on.

– Pamiętam jednego więźnia, który rano wyszedł pogrzać się na słońcu. Oparł się o ścianę i tak go znaleźliśmy wieczorem. Martwego. Takie rzeczy zdarzały się często.

Wielu więźniów nie przeżywało pierwszych tygodni pobytu w obozie.

– Strażnicy też głodowali. Pamiętam, jak po żniwach ludzie kucali i jedli z ziemi ziarenka, które zostały na polu. Ale surowa pszenica jest trudna do strawienia. Więc później grzebaliśmy we własnych odchodach w poszukiwaniu niestrawionych resztek.

W obozie położonym niecałe pięćset kilometrów na północ od Delingha z trzystu tysięcy więźniów przeżyło nieco ponad pięciuset. Żywili się robakami, szczurami, padliną, a w szczytowym momencie klęski głodu także narządami zmarłych towarzyszy. Wei szacuje, że w Delingha głód zabił jedną trzecią więźniów. Wang Ming także głodował, ale udało mu się przeżyć.

Przez Chiny przetoczyła się najstraszliwsza klęska głodu w udokumentowanych dziejach ludzkości. W ciągu zaledwie kilku lat pochłonęła przeszło trzydzieści sześć milionów ofiar, więcej niż I wojna światowa.

– Ludzie Zachodu nie rozumieją, dlaczego Chińczycy na powitanie pytają: „Czy już jadłeś?” – rzucił półżartem profesor Wei.

W połowie lat sześćdziesiątych X X wieku, kiedy kraj powoli uporał się z klęską głodu, do obozu Delingha trafiło kolejnych kilkadziesiąt tysięcy skazanych, z naddatkiem uzupełniając zdziesiątkowane przez głód szeregi więźniów. Aby ich wszystkich pomieścić, utworzono kilka nowych podobozów o różnych specjalizacjach, takich jak hodowla bydła, połów ryb czy uprawa roli. Była tam nawet kopalnia węgla.

Wang Minga przydzielono do obozowej odlewni metalu, gdzie przekuwał żeliwo i stal. Profesor Wei trafił do brygady budowlanej, która wznosiła tamę i elektrownię wodną na pobliskiej rzece. Powiedział mi, że w latach sześćdziesiątych ponownie zwiększono nacisk na uświadomienie polityczne i sesje samokrytyki. Intensywne zajęcia ideologiczne odbywały się zwłaszcza w miesiącach zimowych, kiedy było mniej pracy. Pojechałem kiedyś do prowincji Qinghai, żeby zrobić reportaż, i potrafię sobie wyobrazić, jak odcięci od świata czuli się więźniowie.

– Podczas „zimowych szkoleń” deklarowaliśmy, co jeszcze musimy w sobie zmienić, i wysławialiśmy życie w obozie. – Profesor Wei uśmiechnął się z przekąsem. – Krzyczeliśmy: „Sytuacja jest wyjątkowo dobra! Warunki ekonomiczne są świetne! Czy jest coś, na co nas nie stać? Niczego nam nie brakuje!”.

Siedziałem w moim biurze na ulicy Wiecznej Szczęśliwości i trzymałem w dłoniach pierwszy list mamy Liu do męża. Nosił datę 8 lipca 1958 roku i zaczynał się wieściami na temat nowego dziecka: „Odstawiłam małego Xuesonga od piersi, je już kleik ryżowy i papki”.

Xuesong przyszedł na świat w 1957 roku, zaledwie pół roku po aresztowaniu ojca, jako pierwszy syn po sześciu córkach. Chińscy rodzice często próbowali tak długo, aż udało im się spłodzić chłopca.

Mama Liu pisze, że pozostałym dzieciom jest bardzo trudno. Najstarsza siostra ma zaległości w szkole, a najmłodszą, dwuletnią, Liu musiała odesłać do krewnych na wsi. Dzięki temu miała o jedną gębę mniej do wyżywienia. Środkowe córki – które nazywa Drugą Siostrą, Trzecią Siostrą, Czwartą Siostrą i Piątą Siostrą – też ledwo sobie radzą.

Na zakończenie krótkiego listu mama Liu upomina męża: „Mam nadzieję, że ciężko pracujesz, pilnie się uczysz i żałujesz popełnionych błędów. Błagaj władze o wyrozumiałość, byś mógł szybko do nas powrócić”.

Cztery miesiące później sytuacja życiowa rodziny jest już znacznie gorsza. Liu pisze: „Muszę wyprzedawać nasze rzeczy i nie przeżyłabym bez zasiłku z Urzędu Przemysłu i Handlu”.

Tak jak poprzednio, kończy list upomnieniem, by Wang Ming dobrze sprawował się w obozie: „Skup się na nauce, ciężko pracuj i poddaj się, proszę, reedukacji. To jedyne wyjście”.

W następnym liście z tego samego roku mama Liu zawiadamia męża, że partia skierowała ją do pracy w państwowej fabryce produkującej pudła. Opisuje nowy rozkład dnia i podkreśla postępy najmłodszego syna: „Wstaję codziennie o czwartej trzydzieści i idę na targ”. Targ żywnościowy, o którym pisze, do dziś działa w tym samym miejscu przy ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Po powrocie myję jarzyny i przyrządzam posiłek, a po śniadaniu, o siódmej trzydzieści, wychodzę do pracy. Starsze siostry na zmianę gotują obiad i kolację i karmią małego Xuesonga.

Dzieci nabrały wreszcie wprawy i wiedzą, co trzeba zrobić i kiedy. Nigdy nie spóźniają się do szkoły ani nie opuszczają lekcji. Nauczyły się dbać o higienę osobistą i uważać, co jedzą, więc rzadko chorują i są bardzo zdrowe, zwłaszcza mały Xuesong, który jest bardzo ruchliwy i zdrowy. Zaczyna już mówić i śpiewać…

Na zakończenie chcę Ci powiedzieć, żebyś dbał o siebie. Uważaj, co jesz. Nie tęsknij za domem. Mam nadzieję, że po odzyskaniu sił będziesz się więcej uczył, wykonywał wszystkie polecenia swoich przełożonych i zostaniesz przodownikiem pracy. Pomagaj innym, staraj się z całej mocy i maszeruj ku świetlanej drodze.

Więźniowie obozów pracy i ich bliscy często okraszali swoje listy wezwaniami do ideologicznego zapału i pochwałami pod adresem przewodniczącego Mao oraz innych partyjnych notabli. Każdy list był uważnie czytany przez władze. Piszący doskonale zdawali sobie sprawę, że nadmierna szczerość w opisie warunków w domu lub w obozie ściągnie na nich surową karę.

Przez całe lata sześćdziesiąte XX wieku Wang i Liu wyrażają w swoich listach zachwyt nad rozwojem gospodarczym Chin (mimo głodu wywołanego bezsensownymi kampaniami Mao) i nad mądrą polityką przewodniczącego Komunistycznej Partii Chin.

W lutym 1961 roku mama Liu dowiaduje się, że reedukacja jej męża postępuje powoli i że grozi mu przedłużenie wyroku. Posługując się językiem ówczesnej propagandy, daje wyraz oburzeniu w napisanym jednym ciągiem długim zdaniu:

Musisz przyswoić sobie politykę rządu, wyrzec się złych, burżuazyjnych nawyków, czytać pożyteczne książki i gazety, pilnie studiować, postępować zgodnie z nauczaniem i wskazówkami partii oraz przewodniczącego Mao, przejść całkowitą przemianę i stać się nowym człowiekiem, abyś mógł jak najszybciej wrócić do nas do domu, przyjąć współodpowiedzialność za wychowanie dzieci i włączyć się w budowę socjalizmu.

Minie dziewięć lat, zanim mama Liu znowu napisze do swojego męża. Lukę wypełnia siostra Wanga Meimei, tłumacząc bratu, że jego żona „stara się zaoszczędzić pieniądze na znaczkach. Liczy każdego fena”.

Twojej żonie nie powodzi się dobrze, a przecież sama wychowuje siedmioro dzieci. Naprawdę jest jej trudno. Kiedy dostanie kartki na rybę, natychmiast wymienia je na pieniądze albo płaci nimi komuś za przysługę. Zasiłek, który wypłaca jej co miesiąc Urząd Przemysłu i Handlu, starcza tylko na ryż i najpotrzebniejsze jarzyny. Na święta dostała osiem kuaiów, żeby miała za co nakarmić dzieci. Oczywiście część kupionego za nie jedzenia pójdzie na łapówki i prezenty.

Później Meimei wyjaśniła prawdziwe powody milczenia Liu. Sytuacja polityczna w Szanghaju zrobiła się bardzo nieprzyjemna. Sąsiedzi, lokalna policja, nauczyciele i koledzy z klasy zaczęli prześladować matkę i dzieci z powodu ich związków z „wrogim elementem społecznym". Policjanci próbowali wyrzucić rodzinę z domu. Na szczęście mamie Liu udało się przekupić funkcjonariuszy kartkami żywnościowymi. Meimei wyznała w końcu bratu, że Liu postanowiła zerwać kontakty z odsiadującym wyrok mężem, odciąć się od „obcego klasowo" kapitalisty i elementu prawicowego. Tymczasem klęska głodu – „trzyletnia katastrofa naturalna", jak pisze Meimei zgodnie z oficjalną wykładnią partii – dotarła także do najbogatszego miasta Chin.

Dla nas, szanghajczyków, jest to szczególnie trudne, bo nie przywykliśmy rezygnować z żadnego posiłku. Mam nadzieję, że tegoroczne zbiory przyniosą poprawę sytuacji.

Pierwszy sygnał, że życie wraca do normy, znalazłem w liście z lata 1963 roku. Mama Liu i jej sześcioro dzieci mają już za sobą najgorsze lata. Jesienią mały Xuesong pójdzie do szkoły.

Rozwija się dzięki ciężkiej pracy swojej matki. Powinieneś też dziękować państwu, które opiekowało się nimi i nie pozwoliło im umrzeć z głodu – upomina brata Meimei. – Ale dziś chcę powiadomić Cię o czym innym: rodzina Twojej żony nie jest w stanie dłużej opiekować się Twoją najmłodszą córką. Odesłali małą na wieś, gdzie zaadoptowało ją małżeństwo rolników. Nie mam warunków, by ją wychować, inaczej wzięłabym ją do siebie. Myśl, że moja bratanica trafiła do zupełnie obcych ludzi, sprawia mi wielki ból. Gdy przeczytasz ten list, proszę Cię, nie rozpaczaj. Pracuj ciężko, by zasłużyć na pobłażliwość władz i szybko wyjść na wolność.

Kiedyś, dodaje na zakończenie Meimei, znowu wszyscy będziemy razem.

Kartka papieru ryżowego zapełniona pismem siostry Wang Minga pożółkła ze starości. Sprawia wrażenie, jakby miała lada chwila rozsypać się w palcach. Staram się nie dotykać małego przetarcia pośrodku, powstałego wskutek wielokrotnego składania i rozkładania listu. Zastanawiam się, co czuł adresat, czytając pół wieku temu te słowa. Wiadomość, że jego córkę wychowają ludzie, których nie znał, o których nawet nie słyszał, musiała być dla niego druzgocząca. Od najbliższych dzieliły go tysiące kilometrów i w żaden sposób nie był w stanie im pomóc. Mógł tylko uprawiać rolę, starając się ciężką pracą wyplenić kapitalistyczne myśli w nadziei, że pewnego dnia proces reedukacji dobiegnie końca i całkowicie zreformowany, narodzi się powtórnie jako prawdziwy komunista.

– Przyszliśmy na świat w niewłaściwych czasach – stwierdza profesor Wei.

W Nankinie jest upalne wiosenne popołudnie. Przed chwilą skończyłem opowiadać profesorowi historię jego towarzysza niedoli z obozu Delingha.

– Wygląda na to, że Wang był urodzonym kapitalistą – mówi. – W dzisiejszych Chinach dorobiłby się pewnie majątku. Trafił na niewłaściwą epokę. Jak my wszyscy. – Wzdycha głośno i dodaje: – *Mei banfa*.

To popularne wyrażenie najczęściej pada z ust Chińczyka po przeciągłym westchnieniu: „Nic się nie da zrobić”.

Profesor Wei wręcza mi jedną ze swoich powieści. Nosi tytuł *Chan Deng* [Światło świątyni]. Ilustracja na okładce przedstawia kobietę o bujnych kształtach i długich, rozwianych włosach wymykających się spod beretu. Ubrana w białą sukienkę, stoi na skraju ogniście pomarańczowej pustyni. Czytam notę redakcyjną na okładce. Książka opowiada o intelektualiście, który jako „element prawicowy” trafia do obozu pracy, gdzie spędza dwadzieścia lat. Po wyjściu na wolność „zostaje profesorem uniwersytetu, a następnie rzuca się w wir interesów. Skomplikowane związki z kilkoma kobietami zmieniają jego serce w tygiel kipiącej miłości i nienawiści”.

Powieść jest wyraźnie autobiograficzna, chociaż mam pewne wątpliwości co do wątków romantycznych. Nie pytam jednak o szczegóły. Profesor

spędził dwadzieścia lat w obozie pracy. Dlaczego nie miałby w książkowej wersji swojego życia obsadzić się w roli Don Juana? Dziękuję za prezent.

– Mam siedemdziesiąt dziewięć lat – mówi. – Zostało już bardzo niewielu byłych więźniów. Niedługo wszyscy wymrzemy. Uważam pisanie o naszych doświadczeniach za swój obowiązek.

Choć zdaniem profesora Weia dzisiejsi młodzi ludzie wolą nie znać trudnych aspektów najnowszej historii Chin.

– Czy nie jest przyjemniej siedzieć na kanapie i oglądać koreańskie telenowele? – pyta.

Na pewno jest bezpieczniej. Cenzura nadal ściśle kontroluje informacje na temat wielkiego głodu, który mimo upływu pięćdziesięciu lat wciąż nazywany jest oficjalnie „klęską naturalną" albo „trzyletnimi trudnościami". Podręczniki szkolne unikają słowa „głód", a ludzie, którzy go przeżyli, nie mogą o nim pisać. Kilka miesięcy po mojej rozmowie z profesorem Weiem wyszła znakomita książka o wielkim głodzie – *Tombstone* – autorstwa Yang Jishenga, byłego dziennikarza państwowej Agencji Informacyjnej Xinhua, który przez piętnaście lat zbierał materiały, szperając po państwowych archiwach. Zdaniem historyków to najbardziej wyczerpująca i najlepiej udokumentowana pozycja na ten temat, która się dotychczas ukazała.

W Chinach została objęta zakazem publikacji.

Profesor Wei pokręcił głową.

– Mao miał słynne powiedzenie: „*Haobu li ji, zhuanmen li ren*" – mówi. „Służyć wyłącznie innym bez myślenia ani trochę o sobie". – Teraz wiadomo, że to on był największym egoistą ze wszystkich. Po jego śmierci ludzie zaczęli postępować odwrotnie do tego, co zawsze zalecał. Na czym im dzisiaj zależy? Na dobrej pracy, zdrowej rodzinie i żeby im wystarczyło na dom i samochód. Kogo jeszcze obchodzą kraj lub naród? Bardzo nielicznych.

Choć spędziłem w Chinach wiele lat i podróżowałem po całym kraju, spotkałem zaledwie garstkę Chińczyków, którzy szczerze i głęboko wierzyli w partię. Ufanie rządowi, który od momentu objęcia władzy wielokrotnie udowodnił, że nie jest godny zaufania, zakrawało na głupotę. Ubrane w kwieciste slogany wytyczne polityki partii brzmiały miło dla ucha, jednak życie w autorytarnym reżimie nauczyło Chińczyków pragmatyzmu.

W systemie politycznym, na którym nie można było polegać, człowiek był zdany na swoją rodzinę, a w ostatecznym rachunku – tylko na siebie. *Mei banfa*.

Nowy rząd Xi Jinpinga zdawał sobie sprawę z tego braku zaufania. Xi stanął na czele państwa na początku 2013 roku. W pierwszym oficjalnym przemówieniu oznajmił swoim rodakom, że powinni ze wszystkich sił pracować, aby urzeczywistnić „chiński sen". Dokładne znaczenie tego terminu należało dopiero sprecyzować. Jak oznajmił Xi: „Wielka odnowa chińskiego państwa jest marzeniem całego narodu i każdego obywatela".

Zaprzęgnięcie czegoś tak osobistego i prywatnego jak ludzkie marzenia do służby państwu i partii przypominało komunistyczne dyrektywy epoki Mao. Pomyślałem o Wangu, jego żonie i siedmiorgu dzieciach, które teraz były już dorosłe. Co sądziły o „chińskim śnie"? Jakiej lojalności mogła oczekiwać od nich władza, która odebrała im ojca? Czy podzielały marzenie partii o „wielkiej odnowie" chińskiego państwa? Jak wyglądały ich prawdziwe marzenia?

Profesor Wei też słyszał o chińskim śnie.

– Brzmi to bardzo inspirująco, ale najpierw trzeba odbudować zaufanie Chińczyków do państwa. Nie ma już patriotyzmu. Nie ma zaufania. Nie ma miłości – powiedział. – Chiny kroczą bezduszną drogą.

6 Plan szybkiego wzbogacenia się cioci Fu

长乐路169 号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 169

– Zapraszam do Gatewangu. Możecie tam kupić niemal wszystko – mówi pan Huang, zadzierając nos w kierunku sufitu.

Dwuipółcentymetrowym paznokciem małego palca pokazuje na ekranie komputera artykuły z bogatej oferty: nefrytową figurkę cykady, błyszczącą złotą walizkę na kółkach, filtr powietrza, który oczyści mieszkanie z cząsteczek miejskiego smogu. Wszystko to można nabyć przez Gatewang, którego nazwa wkrótce wejdzie do powszechnego użycia.

Jesteśmy osiem kilometrów na północ od ulicy Wiecznej Szczęśliwości, w gabinecie z widokiem na szanghajski dworzec kolejowy. Siedzę na skórzanej kanapie obok cioci Fu. Żadne z nas nigdy nie korzystało z Gatewangu. To miejsce wirtualne, a nie fizyczne. Ale ciocia Fu była już wcześniej w biurze pana Huanga i teraz po raz drugi słucha, jak zachwala swój towar. Hasło firmy brzmi: „Jeśli czegoś nie znajdziesz na Taobao (to największy chiński sklep internetowy), znajdziesz to na Gatewangu”.

Pan Huang wyjaśnia, że zakupów dokonuje się przez terminal Gatewangu, maszynę, która z wyglądu przypomina automat do gry z lat osiemdziesiątych.

– Niedługo ustawimy je we wszystkich miejscach publicznych – obiecuje.

Kupujący staje przed terminalem, loguje się do systemu, przegląda ofertę na bezpiecznej stronie Gatewangu, wybiera artykuły, które chce nabyć, i płaci za nie specjalnymi pieniędzmi Gatewangu. Pan Huang zapewnia nas, że to bardzo łatwe.

– Wszystko, czego potrzebuję, mogę kupić na Taobao na moim smartfonie – mówię. – Po co miałbym wychodzić z domu i szukać zakupowego superkomputera?

Huang pochyla głowę i podnosi palec z zakrzywionym paznokciem, gestem odrzucając przedstawioną mu linię rozumowania. Po chwili wraca do

poprzedniej pozycji.

– Na Gatewangu może pan kupić wszystko – powtarza powoli, patrząc mi prosto w oczy. – Z wyjątkiem istot ludzkich i broni – dodaje.

Na wizytówce pana Huanga widnieje cała lista zawodów: malarz, kaligraf, sprzedawca lekarstw tradycyjnej medycyny chińskiej, przedstawiciel Gatewangu. Minęły zaledwie trzy dni od nabożeństwa w nielegalnym Kościele, a ciocia Fu już mnie zaciągnęła na spotkanie inwestorów. Zapewnienia pana Huanga nie budzą mojego entuzjazmu, ale jej to wcale nie zraża. Wydała już na akcje Gatewangu ponad pięć tysięcy dolarów, poważnie naruszając swój fundusz emerytalny.

Huang liczy na to, że w końcu też dam się przekonać. Jego wyczyszczone do połysku czarne mokasyny komponują się z długimi do ramion, ufarbowanymi na lśniącą czerń włosami. Na lewym policzku ma pieprzyk rozmiaru monety o wartości pięciu *jiao*[4], a kiedy się uśmiecha, odsłania przerwę w uzębieniu. Podając mi na powitanie dłoń, zadarł brodę i przymknął oczy. Dostrzegam w nim gotowego do skoku drapieżnika.

Ciocia Fu zobaczyła jedynie, no cóż, okazję.

Przyszliśmy we troje. Ciocia Fu przyprowadziła znajomą z Kościoła o nazwisku Xia, smagłą chłopkę w średnim wieku, pochodzącą z prowincji Jiangsu. Obie panie zwracają się do siebie „*zimei*”, „siostro”. Kiedy spotkaliśmy się przed wejściem do budynku, Xia zmierzyła mnie podejrzliwym wzrokiem, odwróciła się do cioci Fu i zawyrokowała: „To cudzoziemiec”.

– Tak, jestem cudzoziemcem – przyznałem głosem stłumionym przez maseczkę ochronną.

– To *dixiong*, brat. – Ciocia Fu pomogła mi przełamać pierwsze lody. – Jest katolikiem, wierzącym, jak my. I mówi po chińsku!

Xia obdarzyła mnie uśmiechem. Zostałem zaakceptowany.

Oboje przyszliśmy tu z tego samego powodu: wrodzona uprzejmość nie pozwoliła nam odrzucić zaproszenia cioci Fu na spotkanie w sprawie dosyć mętnej, ale „lukratywnej” inwestycji.

Pan Huang przywitał nas w drzwiach biura na dziewiątym piętrze. Już sam jego wygląd był hipnotyzujący. Od stóp do głów okrywały go paski:

granatowe na garniturze w jodełkę, szafirowo-białe na koszuli i ukośne, czerwone na krawacie otaczającym luźną pętlą długą, chudą szyję.

Zamiast ścian gabinet pana Huanga miał cztery przybrudzone tafle szkła. Na biurkach i szafkach z płyty wiórowej leżały akwarele na papierze ryżowym, przedstawiające rozmaite ptaki śpiewające na gałęziach drzew. Huang namalował je rano i rozłożył, by wyschły w mglistym blasku słońca, który wpadał przez wysokie do sufitu okna. Za szybami aż po przesłonięty smogiem horyzont ciągnął się las jednakowych, szaro-białych wieżowców.

Tuż obok mnie ciocia Fu nerwowo splatała i rozplatała palce.

– Powiedziałam im, że w styczniu firma zadebiutuje na giełdzie w Londynie – oznajmiła, wskazując na mnie i panią Xia. – I że zostały tylko dwa miesiące, by zainwestować, więc muszą szybko podjąć decyzję.

Pan Huang złożył dłonie, tak że stykały się czubkami palców, i pokiwał głową.

– Powiedziałam, że nie ma żadnego ryzyka – dodała ciocia.

– Ryzyko jest *zerowe* – wtrącił spokojnie pan Huang.

– Właśnie! Ryzyko jest *zerowe* – powtórzyła, jak wyrwana nagle ze snu. – Dlatego, że to nie pierwsza lepsza prywatna firma, tylko przedsiębiorstwo z udziałem państwa, więc jego wejście na giełdę jest pewne. Powiedziałam im, że będzie obsługiwać całe Chiny i resztę świata. Podbije zagraniczne rynki i *renminbi* stanie się walutą światową!

Pan Huang pokiwał majestatycznie głową, zadowolony, że jego posłuszna uczennica dokładnie przekazała dobrą nowinę. Pochylił się i zaczął wyjaśniać:

– Chiński eksport się zmniejszył i rząd musi pobudzić konsumpcję – oznajmił rzeczowym tonem. – Tydzień temu Taobao wykazało obroty w wysokości dziewiętnastu miliardów *renminbi*. To poważny wzrost. Ale większość zysków trafia do Japonii, a nie do Chin. Osiemdziesiąt siedem procent akcji Taobao jest w rękach Japończyków. To znaczy, że pracujemy dla nich.

Taobao należało do Alibaba Group założonej przez Jacka Ma, najsłynniejszego chińskiego przedsiębiorcę. Japoński SoftBank zainwestował w firmę na wczesnym etapie, ale pan Huang mocno zawyżył wysokość jego

udziałów. SoftBank posiadał trzydzieści siedem procent akcji, a nie osiemdziesiąt siedem. Słuchając pana Huanga, można było pomyśleć, że kupując na Taobao, Chińczycy nabijają kabzę wrogowi.

– W tej sytuacji Chiny pomogły stworzyć Gatewang – oświadczył, wskazując logo na ścianie za swoimi plecami. – Jaka jest różnica między Gatewangiem i Taobao? – zapytał belferskim tonem i uśmiechnął się, odsłaniając przerwę w uzębieniu.

Xia wpatrywała się w niego pozbawionym wyrazu wzrokiem. Nigdy w życiu nie korzystała z internetu, a co dopiero z Taobao. Ciocia Fu uśmiechnęła się do mnie zachęcająco, ale postanowiłem nie wyrywać się przed szereg i tylko wzruszyłem ramionami.

Pan Huang pokiwał palcem.

– Gatewang to super-Taobao!

Nie doczekawszy się z mojej strony żadnej reakcji, wezwał na pomoc żonę.

– Pani Shao pokaże wam, jak to działa.

Pani Shao była młodsza od męża, miała czterdzieści parę lat i ufarbowane na kasztanowo loczki. Była ubrana w czarną marynarkę, obcisłe dżinsy i czerwoną apaszkę. Wstała od swojego biurka i podeszła do nas, stukając wysokimi obcasami o podłogę z syntetycznej imitacji drewna. Zajęła pozycję obok półki z książkami i obróciła w naszą stronę monitor komputera.

– Jeszcze nie włączaj – powiedział cicho pan Huang.

– Nie włączaj! – wrzasnęła ciocia Fu.

Pani Shao spiorunowała ją wzrokiem.

– Niczego nie włączam – odwarknęła.

Miałem wrażenie, że moja obecność wprawia ciocię Fu w stan nerwowego napięcia. Przyprowadziła ze sobą dwójkę potencjalnych inwestorów, z których jeden był cudzoziemcem. Przypuszczałem, że gdybyśmy zdecydowali się nabyć udziały, jej też by coś z tego skapnęło.

Pani Shao odzyskała zimną krew i posłała ciocię Fu po podkładkę pod myszkę. Włączyła monitor. Na ekranie pojawiło się zdjęcie terminala rozmiaru lodówki z umieszczoną na boku nazwą Gatewang. Wyglądał jak automat, na którym grywałem kiedyś w Pac-Mana.

Pani Shao wyjaśniła, że zakupy na Taobao wymagają dokonania transakcji internetowej, za to klienci Gatewangu kupują za gotówkę specjalne punkty, którymi mogą płacić w terminalach ustawionych w sklepach spożywczych, restauracjach i zakładach fryzjerskich na terenie całych Chin.

– Już teraz oferta Gatewangu obejmuje pięćdziesiąt dwie kategorie artykułów – wpadł żonie w słowo pan Huang. – Możecie nabyć nawet dom, sztabki złota i luksusowe samochody takich marek jak BMW czy Mercedes-Benz. W krajach rozwiniętych taki sposób kupowania jest bardzo popularny, ale w Chinach Gatewang jest pionierem.

Miałem dużą ochotę powiedzieć, że w krajach rozwiniętych coś takiego nie istnieje, ponieważ kupowanie domu czy samochodu za punkty przy terminalu w zakładzie fryzjerskim jest fatalnym pomysłem. Ale ugryzłem się w język.

– Jeśli jest pan zainteresowany, obecnie jedna akcja kosztuje tylko dwa juany. – Pani Shao zwróciła się bezpośrednio do mnie. – Na giełdę w Londynie wejdziemy po kursie co najmniej pięć funtów za akcję. To równowartość pięćdziesięciu juanów. Jeśli teraz kupi pan dziesięć tysięcy akcji, po debiucie giełdowym ich wartość wzrośnie co najmniej dwudziestopięciokrotnie!

Ciocia Fu słyszała już tę przemowę, ale ten fragment nadal robił na niej wielkie wrażenie.

– Teraz to my, Chińczycy, będziemy zarabiać na cudzoziemcach! – zawołała, zapominając, kto siedzi po jej lewej stronie.

Miałem wiele pytań dotyczących Gatewangu.

– Kto jest właścicielem firmy?

– Człowiek z Kantonu – odparła pani Shao. – Kto ustalił cenę akcji?

– Człowiek z Kantonu – wyjaśniła pani Shao.

– Kiedy firma zadebiutuje na giełdzie?

– 31 stycznia – powiedziała pani Shao – ale to zależy od człowieka z Kantonu.

Gatewang nie był notowany na żadnej innej giełdzie. Dlaczego na początek wybrano Londyn? Tym razem odpowiedzi udzielił pan Huang. Wyjaśnił, że brytyjski rynek papierów wartościowych jest jednym z najściślej

regulowanych na świecie i człowiek z Kantonu zadecydował, że Londyn będzie najlepszym miejscem na debiut.

– Kim jest „człowiek z Kantonu”? – chciałem wiedzieć.

Pan Huang pokazał mi zdjęcie w telefonie. Człowiek z Kantonu był potężnie zbudowanym mężczyzną o bujnych włosach i małych, świdrujących oczkach, patrzących prosto w obiektyw kamery. Pozował do fotografii, ściskając dłoń dystyngowanie wyglądającego obcokrajowca w garniturze. W tle, na ścianie, widniało logo Gatewangu.

– Niech pan zobaczy, kto odwiedził nasze biuro – powiedział pan Huang. – Brytyjski konsul generalny w Kantonie!

To mi nasunęło kolejne pytania. Wyczuwając, że jeszcze nie skończyłem, pan Huang zastosował strategię odwrócenia uwagi.

– Niech pan spojrzy. – Pokazał mi książkę, która leżała na małym stoliku. Była oprawiona w skórę i nosiła bezsensowny tytuł w chińskim angielskim: *Capital Investment of New Thinking Consumer Business* [Inwestycje kapitałowe w nowej filozofii biznesu konsumenckiego].

Jej autorem był niejaki Pang Bofu, przedstawiony przez wydawcę jako badacz naukowy z Chińskiej Akademii Nauk Społecznych w prowincji Syczuan.

– Na tym opieramy filozofię naszej firmy.

Pan Huang wyciągnął rękę i pogłaskał czule okładkę.

Księga leżała dokładnie pośrodku stolika, nie stykając się z żadnym innym przedmiotem. Pan Huang wyjaśnił, że liczący sto czterdzieści osiem stron wolumin jest w całości poświęcony maszynie, jaką jest Gatewang.

Szybka kwerenda w internecie, którą przeprowadziłem po powrocie do biura, wyjaśniła, że Pang Bofu zarabia na życie, przemawiając na konferencjach inwestycyjnych, i że jest zagorzałym orędownikiem Amwaya, amerykańskiej korporacji, o której się mówi, że jest piramidą finansową. Autorzy postów na poświęconym Gatewangowi forum internetowym twierdzili, że firma jest przekrętem, a jej założyciel, pan Li („człowiek z Kantonu”), zorganizował kilka innych piramid finansowych w różnych miejscach Chin i obecnie jest w trakcie przerzucania swoich aktywów za granicę. Jednak siedząc na kanapie i wpatrując się w biblię Gatewangu, nie

miałem jeszcze o tym wszystkim pojęcia. Wiedziałem tylko, że zainwestowanie w to przedsiębiorstwo wydaje mi się złym pomysłem.

Pan Huang najwyraźniej wyczuł mój brak entuzjazmu, ale był marketingowcem z krwi i kości.

– Sprzedaję też lekarstwa medycyny chińskiej – powiedział.

Sięgnął za moje plecy – zaskoczony, odsunąłem się na bok – i ze stojącego za kanapą pudła wyłowił brązową buteleczkę.

– Jeśli jest pan pijany, wystarczy wypić dwie takie, żeby zupełnie wytrzeźwieć – oznajmił.

Zdjął zakrętkę i zaproponował, żebym spróbował.

– Nie jestem pijany – zauważyłem.

– Pomaga również schudnąć. Kolega mojego syna wypił kilka buteleczek i zrzucił pięć kilogramów.

– To ja wezmę kilka! – zgłosiła się ciocia Fu. Pociągnęła haust, a potem poczęstowała panią Xia i mnie. Upiłem łyczek. Lekarstwo było słodkie, przypominało kompot z suszonych śliwek.

– Jeśli nie podoba się panu smak, niech pan kupi na prezenty dla chińskich przyjaciół – zasugerował pan Huang. – Będą zachwyceni. Cena rynkowa wynosi sześćdziesiąt osiem juanów, ale przyjaciołom sprzedaję po dziesięć.

Grzecznie odmówiłem. Zapytałem naszych gospodarzy, skąd znają ciocię Fu.

– Poznaliśmy się na spotkaniu Gatewangu w Szanghaju dwa miesiące temu – odpowiedziała pani Shao. – Od tamtej pory namówiliśmy już na zainwestowanie w firmę kilkadziesiąt osób. Za każdego nowego inwestora, którego pan przyprowadzi, dostanie pan darmowe punkty.

Spytałem panią Shao, dlaczego nie widziałem w Szanghaju żadnego terminala Gatewangu.

– Och, szanghajczycy są bardzo podejrzliwi wobec takich przedsięwzięć – odparła. – Nie wierzą, że da się na tym zarobić. Ale w Wenzhou zobaczy pan te maszyny na każdym kroku. Mieszkańcy Wenzhou są bardzo nowocześni.

Można było odnieść wrażenie, że wokół cioci Fu kręcą się sami ludzie z Wenzhou, miasta leżącego pięćset kilometrów na południe od Szanghaju,

na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Z Wenzhou pochodzili duchowni jej nielegalnego Kościoła, a także liczni inwestorzy Gatewangu. Zbierając materiały do moich reportaży, odwiedziłem wiele zakątków Chin i niemal wszędzie słyszałem, że ludzie z Wenzhou, *Wenzhouren*, to najgorszy gatunek kapitalistów, specjalizujący się w piramidach finansowych i rozmaitych przekrętach. Działali na terenie całego kraju. Według powszechnego mniemania to właśnie *Wenzhouren* wywindowali na niebotyczny poziom ceny mieszkań w największych chińskich miastach, organizując grupy udziałowców, które wykupywały całe budynki. *Wenzhouren* kantowali staruszków, którzy też rozpaczliwie pragnęli załapać się na chiński sukces gospodarczy. I to *Wenzhouren* stworzyli gęstą sieć nielegalnych kredytodawców, udzielających na lichwiarski procent nieksięgowanych nigdzie pożyczek drobnym rodzinnym przedsiębiorcom, zbyt małym, by uzyskać kredyt w państwowym banku. *Wenzhouren* uchodzili za chciwe szuje i, z wyjątkiem cioci Fu, moi sąsiedzi z ulicy Wiecznej Szczęśliwości nie mieli o nich nic dobrego do powiedzenia.

– Nazywają nas Żydami Orientu! – oznajmił z dumą Huang Fajing, kiedy zwiedzałem jego fabrykę w Wenzhou.

Poznałem Huanga w 2013 roku, kiedy przygotowywałem dla radia materiał o nielegalnych kredytach. Zbił majątek, eksportując zapalniczki do Europy i Stanów Zjednoczonych. Kierował Wenzhou Rifeng Lighter Company, która przez lata była światowym potentatem w dziedzinie wyrobu zapalniczek. Jeśli w latach dziewięćdziesiątych XX wieku choć raz przypaliłeś papierosa, jest duża szansa, że użyłeś do tego jego produktu. *Wenzhouren* nazywali go Dahuo Wang, Królem Zapalniczek. Miał łagodną, szczerą twarz i głos ochrypły od zbyt częstego używania własnych wyrobów do przypalania papierosów. Nosił się swobodnie, szczególnie gustował w koszulkach polo i spodniach od dresu. Miał przydługie, czarne włosy, które muskały jego brwi, i miękkie dłonie wypielęgnowane po same koniuszki kilkucentymetrowych paznokci małych palców, które uchodziły za szczyt elegancji wśród byłych chłopów, ponieważ pokazywały, że nie zarabiają już na życie pracą własnych rąk. Zapytałem Jego Wysokość, czemu *Wenzhouren* zawdzięczają reputację mistrzów biznesu.

Król Zapalniczek nie szukał skomplikowanych wyjaśnień.

– Geografii – odparł z przekonaniem.

Wenzhou z trzech stron było oddzielone od reszty Chin porośniętymi lasem górami. Przez tysiąclecia jedyna droga łącząca miasto ze światem biegła wzdłuż wybrzeża Morza Wschodniochińskiego. Z powodu bliskości Tajwanu chińskie władze uważały Wenzhou za potencjalny cel nalotów wrogiego lotnictwa, a może nawet inwazji, więc nie inwestowały w tamtejszą infrastrukturę. Zapomniane przez ojczyznę *luohou* Wenzhou musiało radzić sobie samo.

Wenzhouren dobrze na tym wyszli. Brutalne kampanie Mao Zedonga, które przez dziesięciolecia zżerały niczym rak ekonomiczną i duchową tkankę Chin, w dużym stopniu ominęły miasto.

– Zostawili nas w spokoju – powiedział mi Król Zapalniczek – więc mogliśmy zarabiać pieniądze. Ot, i cała tajemnica.

Gdy Deng Xiaoping postanowił wprowadzić kraj na drogę reform, w Wenzhou działały już setki niedużych, prywatnych przedsiębiorstw. Kapitału założycielskiego dostarczały fundusze wzajemnej pomocy, tak zwane *chenghui*. Każdy członek *chenghui* wnosił do wspólnej puli taką samą sumę. Następnie kolejno wypłacali pieniądze na założenie firmy, a kiedy zaczynała przynosić dochody, zwracali całość razem z procentem, powiększając w ten sposób kapitał. Taki system, starszy niż banki i wywodzący się z czasów, gdy kredyt inwestycyjny był po prostu gotówką zebraną wśród przyjaciół i krewnych, umożliwił *Wenzhouren* zbudowanie własnej gospodarki.

– Zacząłem produkować zapalniczki dwadzieścia lat temu – powiedział mi Huang. – Czworo członków mojej rodziny pożyczyło mi po tysiąc pięćset dolarów, bez żadnego oprocentowania. To właśnie nazywamy kredytem typu Wenzhou.

Miasto szybko się bogaciło, a biznesmeni z Wenzhou stopniowo rozszerzali swoją działalność na inne części świata. W Europie otwierali fabryki obuwia i odzieży na przedmieściach takich miast jak Mediolan czy Barcelona. Chiński rząd ukuł nawet termin „model ekonomiczny Wenzhou” w nadziei, że duch przedsiębiorczości mieszkańców nadmorskiej metropolii

zainspiruje pozostałych obywateli. Władze patrzyły przez palce na taki sposób finansowania przedsiębiorstw. W miarę jak do miasta napływało coraz więcej pieniędzy, system kredytowania stawał się coraz bardziej skomplikowany i coraz mniej niewinny. Pożyczek udzielano już nie tylko krewnym i przyjaciołom.

– Kredytodawcy połączyli się w większe grupy – wyjaśnił mi Król Zapalniczek. – Zaczęli pożyczać na bardzo wysoki procent. Także zupełnie obcym ludziom.

W ciągu ostatnich dwóch lat dwie bizneswoman z Wenzhou aresztowano za wyłudzenie od inwestorów kilkudziesięciu milionów juanów. Według relacji z procesu Lin Haiyin brała pieniądze od znajomych i znajomych znajomych, obiecując, że zainwestuje je w akcje, które przyniosą wysokie zyski przy zerowym ryzyku. Układ ten nie różnił się zbytnio od inwestycji cioci Fu w akcje Gatewangu. Lin Haiyin straciła wszystko, spekulując na giełdzie. W ubiegłym roku pani Wu Ying, której Chińczycy nadali przydomek „Bogata Siostra", namówiła inwestorów do włożenia stu dwudziestu dwóch milionów dolarów w jej zakład fryzjerski i salon masażu stóp, a potem jeszcze w nieruchomości i kopalnię miedzi. Za zdobyte w ten sposób fundusze kupiła sto nieruchomości i czterdzieści luksusowych pojazdów, w tym warte pół miliona dolarów ferrari. Zorganizowała piramidę finansową na gigantyczną skalę, puszczając naiwnych inwestorów z torbami. Kiedy Sąd Ludowy w Wenzhou skazał obie kobiety na karę śmierci, chińska stolica przekrętów, lichwy i piramid finansowych zadrżała z przerażenia.

– Ostatni kryzys finansowy spowodował w Wenzhou spadek zaufania społecznego – poskarżył się Król Zapalniczek, gdy rozmawialiśmy w jego biurze. – Jeśli sytuacja nie zostanie szybko uzdrowiona, może dojść do zamieszek.

Nacisnął guziczek ustawionej na biurku zapalniczki ze rżniętego szkła. Błękitny, cylindryczny płomyczek wystrzelił pionowo z dyszy i spotkał się ze zwisającym z ust Huanga papierosem. Wspomniałem, że zdaniem wielu osób, z którymi rozmawiałem w innych częściach Chin, u podstaw problemów ekonomicznych kraju leżą krętactwa biznesmenów z Wenzhou.

W którym momencie wymyślony przez nich system kredytowania zszedł na manowce?

– Jedną rzecz trzeba wyraźnie podkreślić – oświadczył Huang, celując we mnie rozżarzonym koniuszkiem papierosa. – Główną przyczyną obecnego chaosu jest globalizacja rynków finansowych. Gdyby nie kryzys kredytowy w pana kraju, Chiny nie byłyby zmuszone dodrukować miliardów juanów, by pobudzić gospodarkę i nie znalazłyby się w obecnej sytuacji.

Przyparty do muru, Król Zapalniczek zareagował jak wszyscy *Wenzhouren*, kiedy ktoś ich oskarży o wywołanie gigantycznego problemu: wskazał swoim długim paznokciem innego kozła ofiarnego o jeszcze gorszej reputacji.

Kilka dni po spotkaniu w siedzibie Gatewangu zaszedłem do cioci Fu, by poinformować ją o wynikach mojego internetowego śledztwa: oskarżeniach o przekręty, przeszłości człowieka z Kantonu i jego poprzednich piramidach finansowych.

Był pierwszy dzień grudnia, na dworze panował przenikliwy ziąb. Słońce zniknęło za warstwą gęstego smogu. Indeks czystości powietrza wahał się w okolicach trzystu – „zagrożenie dla zdrowia”, ostrzegał wielkimi, ogniście czerwonymi znakami mój smartfon. Lokalne władze zalecały mieszkańcom, by przy takim poziomie zanieczyszczenia nie wychodzili z domu. Chłopcy zostali w mieszkaniu, gdzie trzy filtry powietrza, wielkie jak lodówki, pracowały na najwyższych obrotach.

Drzwi do kuchni wujka Fenga były otwarte na oścież. Wszedłem do środka. Wujek Feng podniósł się z taboretu, podał mi krzesło i placek z rzepą. Widać było, że jest zadowolony. Powiedział, że w taką pogodę interes świetnie się kręci. Poprzedniego dnia zarobił sto sześćdziesiąt juanów, równowartość prawie trzydziestu dolarów.

– Kupujcie placki z rzepą! – krzyczał przez okno do przechodniów. – Placki z rzepą! Cebulowe placki! Co za zapach! Pychota!

Z głębi mieszkania przyszła ciocia Fu. Pomogła mężowi obsłużyć klientów, którzy zdążyli uformować za oknem całkiem sporą kolejkę.

– Hej – powiedziała, uświadomiwszy sobie, że mogę wystąpić w roli arbitra. – Które są smaczniejsze? Z rzepą czy cebulowe?

– I jedne, i drugie są smaczne – odparłem ostrożnie.

Wujek Feng wręczył klientowi torebkę placków z rzepą i odwrócił się do mnie.

– Według niej moje cebulowe placki są za twarde.

– Musisz je sprzedawać, póki są gorące – pouczyła go ciocia Fu. – Niedawno jedna starsza pani powiedziała mi, że twoje placki są ledwo ciepłe i że zrobiły się twardsze i mniej smaczne niż kiedyś.

– Wśród setki ludzi zawsze znajdzie się jeden czy dwóch malkontentów – odciął się wujek Feng.

Poprzedniego wieczoru ciocia Fu była na spotkaniu Kościoła Centralnego. Zarezerwowała dla mnie miejsce na nabożeństwo w Wigilię Bożego Narodzenia. Odmówiłem grzecznie, mówiąc, że muszę zostać w domu z dziećmi.

– Przyprowadź dzieci z sobą! – zaproponowała niezrażona.

– Nasza tradycja nakazuje spędzić Wigilię w gronie rodziny. Do kościoła chodzimy w Boże Narodzenie – wyjaśniłem.

– W porządku, zabiorę kogoś innego. Ale powinieneś pójść tam ze mną w najbliższą sobotę – powiedziała. – Wczoraj kazanie wygłosił pastor z prowincji Henan. Było bardzo dobre.

– Kolejny nawrócony gangster? – zapytałem.

– Nie. Ale bardzo źle się uczył w szkole – wyjaśniła ciocia Fu. – Musiał siedzieć w oślej ławce, bo nigdy nie odrabiał pracy domowej. Ale miał wrodzony talent i zaczął głosić kazania dla wiejskiej biedoty. Ludzie przynosili mu kury, kaczki i jajka. Czasem nawet świnie!

Genialne posunięcie: opowiedzieć bajeczkę o hojności chłopów, by wywołać w mieszkańcach miast poczucie winy i w ten sposób wymusić od nich ofiarę na Kościół. Pastor z prowincji Henan wydawał się godnym następcą Jianga.

– Kościół był pełny – ciągnęła swoją opowieść ciocia Fu. – Nie było ani jednego wolnego miejsca. Kościoły z Wenzhou zawsze mają najlepszych kaznodziejów.

– Kupisz placek? – zawołał do przechodnia wujek Feng. – Ile sobie życzysz? Proszę. Najlepiej smakują gorące.

– Czy Ekwador jest w Stanach Zjednoczonych? – zapytała mnie ciocia Fu.

– Nie. W Ameryce Południowej.

Podała mi broszurkę. Chińskie znaki na okładce układały się w tytuł:

Przygotuj się na spotkanie z Bogiem!
Niebo, piekło i powrót Chrystusa

Ilustracje na pierwszej stronie przedstawiały płaczącego Chrystusa, papieża Jana Pawła II z uniesionymi ramionami i kobietę w płomieniach. Niżej widniała mapa Ekwadoru.

– Skąd to masz? – spytałem.

– Od jednej siostry. Skseruję ci. Ta mała dziewczynka z Ekwadoru umarła, a dwadzieścia trzy godziny później wróciła do życia! – oświadczyła ciocia Fu. – Znasz Mai-ke-er Jie-ke-xun?

Obracałem dźwięki w głowie, dopóki nie ułożyły się w nazwisko: Mi-chael Jack-son.

– Widziała go w piekle! – powiedziała ciocia Fu. – Słyszałeś o nim? Umarł. O, tak tańczył.

Wstała i kołysząc obfitymi biodrami, zaczęła pulchnymi palcami dźgać powietrze. Jak na sześćdziesięcioczteroletnią chińską ciocię, wykonała całkiem niezłą parodię Michaela Jacksona. Przekartkowałem broszurę. Na dziewiątej stronie znajdowało się zdjęcie Jacksona na scenie, z mikrofonem w ręku.

– Teraz jest w piekle – powiedziała rzeczowym tonem. – Zrobił sobie za dużo operacji plastycznych, jak ci celebryci z Hongkongu. W końcu to go zabiło.

Dwudziestodwustronicowa książeczka opowiadała o dziewczynce z Ekwadoru, niejakiej Angelice Zambrano, która rzekomo umarła i po śmierci spotkała Jezusa. Twierdziła, że Jezus zabrał ją do piekła i pokazał nieżyjące znakomitości: Selenę, Michaela Jacksona, a nawet papieża Jana Pawła II. Cierpieli za popełnione grzechy, przypiekani ogniem i dręczeni przez demony. W piekle smażyły się również zmarłe dzieci, które za życia

oglądały za dużo kreskówek. Następnie Jezus oprowadził ją po niebie i razem obejrzeli na ekranie kinowym zwiastun wniebowzięcia żywcem. Potem odesłał ją z powrotem na ziemię. Miała opowiedzieć ludziom o tym, co widziała.

– Zrobię ci ksero. Spójrz tutaj. Widziała w niebie wiele dzieci. – Ciocia Fu odebrała mi broszurkę i zaczęła czytać na głos. – „Jezus powiedział: Tak, córko, niebo należy do dzieci. Nie porzucę nikogo, kto do mnie przyjdzie". Widzisz? Bóg tak powiedział.

Ciocia Fu i wujek Feng mieli dwoje dzieci. Spytałem, czy też chodzą na nabożeństwa.

– Raz je zabrałam, ale nie uwierzyli. Mamy siedemnastoletnią wnuczkę. Wczoraj się z nią widziałam. W jakim wieku są twoje dzieci?

Pokazałem jej zdjęcie w telefonie i powiedziałem, że mają dwa lata i pięć lat.

– Chłopiec i dziewczynka?

– Nie. Dwóch chłopców.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się. – Bóg was pobłogosławił. Dziewczynki są skazane na cierpienie.

Wujek Feng przerwał siekanie jarzyn i zerknął z niezadowoleniem na żonę.

– Co za brednie wygadujesz?

– Chłopcy są najlepsi – powtórzyła ciocia Fu, odwracając wzrok. – Chciałabym, żeby w naszej rodzinie rodzili się sami chłopcy. Jeśli jesteś dziewczyną, cała nadzieja w tym, że uda ci się znaleźć dobrego męża, który da ci szansę na dobre życie. Inaczej czeka cię tylko cierpienie.

– Gdyby wszyscy byli tacy jak ty, nie miałabyś czego jeść – warknął wujek Feng, wracając do krojenia warzyw.

Zajrzałem do niego w zeszłym tygodniu, kiedy cioci Fu nie było w domu. Powiedział mi wtedy, że ma już serdecznie dość jej „okazji" inwestycyjnych i przesiadywania w Kościele prowadzonym przez cwaniaków z Wenzhou.

– Trudno jest spotkać dobrego mężczyznę, za to jest całe mnóstwo złych – ciągnęła ciocia, patrząc wymownie na męża. – Bardzo niewielu potrafi okazywać miłość. Miałam wielkiego pecha, że trafiłam na ciebie.

Wujek Feng wypuścił z dłoni obieraczkę do warzyw i wytarł ręce o fartuch. Był wyraźnie zirytowany.

– Nie rozumiem, na co narzekasz. Masz gdzie mieszkać, prawda? Niektórzy nawet tego nie mają. Do tego nie pracujesz! Coś ci się porobiło z głową.

– Dlaczego miałabym pracować? – zdziwiła się ciocia.

– Nie pracuje od dwunastu lat – powiedział wujek Feng, zwracając się do mnie. – Dziećmi też się nie zajmowała.

– A on o mało mnie nie zabił – przebiła go ciocia Fu. – Opowiadałam ci tę historię, prawda? Niewiele brakowało, bym straciła życie.

Wujek Feng przyglądał nam się, powoli uświadamiając sobie, że jego żona opowiedziała obcemu mężczyźnie o ich pierwszej ciąży i porodzie na pustyni. Na jego twarzy odmalowało się poczucie zdrady, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą. Ciocia Fu należała do osób, które mówią wszystko i wszystkim, byle tylko chcieli posłuchać. Wbiłem wzrok w podłogę, czułem się zażenowany, że jestem świadkiem kłótni, którą toczyli ze sobą chyba od wielu lat. Stary kucharz odwrócił się do nas tyłem i utkwił wzrok w zapadającej za oknem ciemności.

– O mało nie umarłaś, bo nie masz za grosz rozumu – powiedział.

– Nigdy nie wróciłam do pełnego zdrowia i tylko Bóg się o mnie zatroszczył! – krzyknęła ciocia Fu.

– To przeprowadź się do kościoła! – odwrzasnął wujek Feng.

Wytarł ręce w ścierkę, odłączył od prądu blachę do pieczenia i wypadł z kuchni.

Na cioci nie zrobiło to większego wrażenia. Korzystając z jego nieobecności, ściszonym głosem przypomniała mi o Gatewangu.

– W styczniu wchodzą na giełdę! Jeśli chcesz kupić akcje, to już ostatni dzwonek.

Okazało się, że jej koleżanka Xia postanowiła nie inwestować w Gatewang. Zapytałem ciocię, czy znalazła innych chętnych.

– Namówiłam sąsiadkę, żeby włożyła w akcje dwadzieścia tysięcy. Chciała zainwestować pięćdziesiąt, ale nie miała tyle. To naprawdę świetna okazja. Na konferencji dla inwestorów autor tej ich książki, pamiętasz, pan

Pang, oświadczył, że jeśli Gatewang nie wejdzie na giełdę, uklęknie przed nami i wyłupi sobie prawe oko! Wszyscy wstali i zaczęli bić brawo. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam.

– Kupiłaś więcej akcji? – zapytałem.

– Wczoraj dostałam emeryturę, dwa tysiące juanów. Jutro pójdę i kupię. Gdybym znalazła kogoś, kto mi pożyczy sto tysięcy juanów, napisałabym na wekslu: „Jeśli ten projekt nie wypali, zwrócę połowę pożyczonej sumy! Jeśli zarobi, zatrzymam tylko jedną trzecią zysku!” – oznajmiła ciocia Fu. – Nie domagałabym się podziału pół na pół. Taka jestem pewna, że zgarnę mnóstwo pieniędzy!

Milczałem, próbując zrozumieć, jak to wszystko sobie wyliczyła. Wkładała w Gatewang całą emeryturę, ale to jej nie wystarczało. Widać było, że poważnie rozważa zaciągnięcie pożyczki. Nie przypuszczałem, by znała kogoś oprócz mnie, kto dysponuje sumą stu tysięcy juanów.

Odniosłem wrażenie, że czeka na moją odpowiedź. Poczułem się straszliwie zakłopotany. Ciocia Fu była dobrym człowiekiem dokonującym złych wyborów. Przykro mi było patrzeć, jak wyrzuca w błoto swoje pieniądze, a teraz próbowała wciągnąć w to bagno także mnie.

– Ciociu, uważam, że powinnaś nieco ostrożniej dysponować swoimi oszczędnościami – powiedziałem z namysłem. – Poszperałem trochę w internecie. Wiele osób uważa, że Gatewang to przekręt.

Energicznie pokręciła głową.

– Ludzie, którzy parę miesięcy temu zainwestowali sto tysięcy juanów, już teraz mają dwa razy tyle! Poczekaj, aż Gatewang wejdzie na giełdę w Londynie – odparła. – Drugi raz nie trafi ci się taka okazja!

– Ciociu, nie kupuj już więcej tych akcji – poprosiłem. – Ci ludzie nie są godni twojego zaufania.

– Nie martw się! – wykrzyknęła. – Jack Ma zaryzykował i zbił fortunę.

– Wydaje mi się, że to nie to samo.

Kątem oka dostrzegłem sylwetkę Fenga majaczącą w drzwiach prowadzących do sypialni. W milczeniu przysłuchiwał się naszej rozmowie. Pewnie wszystko słyszał. Ciocia też go zauważyła.

– Na konferencji byli przedstawiciele władz. To pewniak – oświadczyła, zerkając w stronę ciemnego przejścia.

Wujek Feng wynurzył się z mroku.

– To nie są jej własne pieniądze! – wrzasnął. – Odkąd dwadzieścia lat temu wróciliśmy z Xinjiangu, nie zarobiła ani fena.

– Chciałabym zainwestować więcej, ale nie mogę – westchnęła ciocia Fu, ignorując wybuch męża.

– Ciociu, takie przekręty zdarzają się w całych Chinach. Oszuści wykorzystują łatwowierność starszych osób, takich jak ty – powiedziałem.

Wujek Feng dość już się nasłuchał. Najpierw rozzłościły go oskarżenia, które rzucała pod jego adresem ciocia Fu, a teraz potwierdziły się jego najgorsze obawy: niepracująca żona chciała utopić kolejne pieniądze w jakimś szwindlu.

– Nie oddałaś mi jeszcze pięćdziesięciu tysięcy, które ci pożyczyłem! – krzyknął. – I chcesz utopić w błocie kolejne tysiące? Gdzie jest dom, który rzekomo kupiłaś?

Ciocia nie odpowiedziała. Powoli opuściła głowę, jakby jej szyja nie mogła dłużej utrzymać takiego ciężaru. Po ulicy za oknem wujka Fenga przeszła para młodych ludzi. Trzymali się za ręce, dziewczyna chichotała, słuchając opowieści ukochanego. Po chwili ich głosy rozpłynęły się w przytłumionym wieczornym zgiełku. W oddali zatrąbił samochód, odpowiedział mu drugi klakson.

– Czasem człowiek trafia na złych ludzi i nic nie może na to poradzić – zauważyła ciocia Fu, patrząc w podłogę. – W Szanghaju jest wielu złych ludzi.

– Masz rację, ciociu – powiedziałem. – W Szanghaju jest wielu złych ludzi, którzy chcieliby cię oszukać. Wydaje mi się, że ludzie z Gatewangu też mogą być źli.

– *Aiya!* Pomieszało ci się w głowie! – krzyknął wujek Feng.

– Tak, w Szanghaju jest wielu złych ludzi, którzy chcieliby mnie oszukać… – powtórzyła, nie odrywając wzroku od podłogi.

Wujek Feng oparł się dłońmi o krawędź zlewu. Patrząc w okno, wymamrotał w szanghajskim dialekcie kilka gniewnych słów. Były

przeznaczone dla uszu cioci, nie moich. Nadal patrzyła w podłogę, na jej twarzy malował się wyraz kompletnej porażki. Wzięła z krzesła ekwadorską broszurkę i zaczęła przerzucać kartki.

– Ta dziewczynka – odezwała się ze smutnym uśmiechem – kiedy zobaczyła niebo, nie chciała wracać na ziemię.

– Niebo? – prychnął wujek Feng, odwracając się do żony. – Jak jest w niebie? Chętnie bym się tego dowiedział. Ha! Niebo!

Ciocia Fu delikatnie odłożyła książeczkę na krzesło.

– Już nawet Chiny wysyłają rakiety na Księżyc, ale nikt jeszcze nie widział nieba! – Wujek uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

Dokładnie w tej samej godzinie w mieście Xichang niedaleko rodzinnej wioski cioci Fu w Syczuanie odbył się start w kierunku Księżyca pierwszego chińskiego lądownika z łazikiem. Przed chwilą wujek Feng oglądał w sypialni transmisję ze startu rakiety. Łazik otrzymał nazwę Yutu, Nefrytowy Zając, zaczerpniętą z chińskiej baśni ludowej o kobiecie, która ukradła swojemu mężowi pigułkę nieśmiertelności. Mąż za karę wygnał ją na księżyc, razem z jej ulubionym zwierzątkiem. Według legendy kobieta została boginią, a na błyszczącej tarczy księżyca w pełni jeszcze dziś można dostrzec zarys zająca, wtopiony w rzeźbę terenu.

Jednakże tamtego wieczoru nad mroźną szanghajską mgłą wisiał księżyc w nowiu. Zając z legendy był niewidoczny, lecz jego mały imiennik, symbol kosmicznych ambicji Chin, pędził w stronę ziemskiego satelity. Wyprawiając Yutu w daleką drogę, dyrektor kosmodromu Xichang powiedział, że sen o podboju kosmosu jest nieodłączną częścią „Chińskiego Snu o odnowieniu państwa”.

– Nie wychodź dziś bez placka – powiedziała ciocia Fu, wyciągając dla mnie congyoubing spod sterty ciepłych jeszcze placków. – Na dworze jest zimno. Rozgrzeje cię w drodze do domu.

Włożyła placek do plastikowej torebki i podając mi go, spytała po raz ostatni:

– Jesteś pewien, że nie chcesz zainwestować w tę firmę? – Nadal nie była gotowa rozstać się ze swoim marzeniem. – *Zero* ryzyka!

Wujek Feng zarechotał, rozbawiony jej uporem. Pokręciłem z uśmiechem głową.

– Okej – powiedziała i odprowadziła mnie do drzwi. – Poczekajmy, aż zbiję fortunę. Może potem będzie jeszcze okazja, żebyś zainwestował.

– Jeśli zarobisz więcej niż fena – wujek Feng zachichotał – będziesz musiała oddać mi wszystkie pieniądze, które ci pożyczyłem.

Ciocia Fu odwróciła się na pięcie i posłała mężowi przeciągłe, lodowate spojrzenie.

– Zaczekaj do stycznia – powtórzyła.

7 Ile kosztuje narzeczona

长乐路109 号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 109

Mało jest miejsc w Chinach, gdzie narzeczona jest droższa niż w Szanghaju. W 2013 roku Sina, najpopularniejszy chiński portal internetowy, i Vanke, największy deweloper w kraju, wykorzystały posiadane dane, by wspólnie stworzyć krajową mapę cen za żony. W Szanghaju mężczyzna zwykle oferował rodzinie wybranki równowartość szesnastu tysięcy dolarów oraz akt własności domu. W Mongolii Wewnętrznej wystarczyła jedna dziesiąta tej sumy, dobrowróżbne 8888 juanów (półtora tysiąca dolarów) plus dziewięć sztuk bydła i trzy sztuki złotej biżuterii. Prowincja Fujian nad Cieśniną Tajwańską plasowała się gdzieś w połowie skali: siedem tysięcy dolarów, komplet złotych ozdób do włosów i złoty diadem.

Na tym tle ceny w rolniczej prowincji Shandong można było uznać za okazyjne. Zhao, właścicielka mojej ulubionej kwiaciarni, zapłaciła za żonę dla młodszego syna trzy tysiące dolarów. Nadwyrężając swoje oszczędności, kupiła obu synom jako zabezpieczenie mieszkania w Zaozhuang. Mały Sun poślubił Zhang Min, córkę tamtejszych rolników, i w zasadzie był już urządzony, chociaż jako typowa chińska matka, Zhao uważała, że mógł trafić lepiej.

– Gdyby mój syn był taki wysoki jak ty – powiedziała mi kiedyś – na pewno by się z nią nie ożenił. Nie jest aż taka piękna.

Pewnej mroźnej, styczniowej niedzieli zajrzałem po południu do kwiaciarni. Zhao siedziała w zapiętej pod szyję puchowej kurtce, włożonej na dwa swetry i trzy komplety bielizny termicznej. Sterczące znad kołnierza, zaróżowione od chłodu, pucołowate policzki harmonizowały z pękatą sylwetką. Zhao nie ogrzewała sklepu. Należała do nielicznych osób, które zimą płaciły mniejsze rachunki za prąd. Zimne, wilgotne szanghajskie powietrze stwarzało idealne warunki dla jej towaru.

– Świetnie, że wpadłeś! – ucieszyła się na mój widok. – Przyda mi się pomoc – oświadczyła, kuśtykając do drzwi.

Zerknąłem na jej prawą stopę, tkwiącą w czarnej ortezie, która wyglądała jak but narciarski. Skacząc na jednej nodze, Zhao wróciła do swojego krzesełka. Ostrożnie ulokowała chorą nogę na poduszce z brązowego miśka, która leżała na rozkładanym stoliku. Podłogę dookoła jej krzesełka zaścielały łupiny słonecznika, a w ustawionym na cały regulator telewizorze leciała *Randka w ciemno*.

Złamała nogę w kostce, kiedy schodziła po schodach z wnuczkiem na ręku. Na szczęście chłopcu, który był oczkiem w głowie całej rodziny, nic się nie stało.

Miał na imię Shuoshuo. Był dzieckiem Małego Suna, młodszego syna Zhao, który przyjechał do Szanghaju prosto z powiatowej szkoły specjalnej. Odkąd półtora roku wcześniej została babcią, Zhao co wieczór karmiła go i kładła spać, a rano zrywała się o świcie, by otworzyć sklep. Shuoshuo był w tym samym wieku co mój młodszy synek Landon, który właśnie uczył się chodzić, ale Zhao, typowa chińska babcia, nosiła go wszędzie na rękach i bardzo się nad nim trzęsła, więc mały nie dotarł jeszcze do tego etapu. Teraz, kiedy sama była czasowo unieruchomiona, uwolniony spod jej nadopiekuńczych skrzydeł Shuoshuo wreszcie będzie mógł zrobić swój pierwszy krok.

– Ten rok jest dla mnie pechowy – powiedziała Zhao. – W moim mieście mówią, że po śmierci rodziców przez trzy lata wszystko układa się źle. A teraz jeszcze ta orteza. Wygląda okropnie. Gdziekolwiek pójdę, robię z siebie pośmiewisko.

Kilka miesięcy wcześniej jej ojciec umarł na raka przełyku. Teraz zmarła także matka jej synowej i Shuoshuo wyjechał z rodzicami na tydzień, by wziąć udział w pogrzebie. Zhao została sama w kwiaciarni. Powiedziałem jej, że mojego ojca także niedawno zabił rak.

– Ile miał lat? – zapytała.

– Sześćdziesiąt osiem – odparłem.

– *Wa!* Za młody! Szkoda człowieka. Mój ojciec miał osiemdziesiąt dwa lata, więc nie było to dla nas zaskoczeniem. Widziałeś się z ojcem przed jego

śmiercią?

Opowiedziałem jej, że razem z rodziną opiekowałem się nim w jego domu nad jeziorem w Minnesocie, gdzie chciał spędzić ostatnie dni życia.

– Co zrobiliście po śmierci z jego ciałem?

Na pozór było to niedelikatne pytanie, ale Zhao wiedziała, że ojciec umarł na wsi, daleko od miasta, a zawsze interesowały ją sprawy praktyczne. Była ciekawa, jak wszystko zorganizowaliśmy.

– Zadzwoniliśmy do zakładu pogrzebowego, żeby przyjechali po zwłoki – wyjaśniłem.

– Pochowaliście go w ziemi?

– Nie, skremowaliśmy.

– Tak samo jak w Chinach! – rozpromieniła się.

Świadomość, że zwyczaje pogrzebowe po obu stronach oceanu są takie same, wyraźnie ją ucieszyła. Poprawiła się na krzesełku, ostrożnie przesunęła nogę i pochyliła korpus do przodu.

– Kiedy mój ojciec umarł, trzeba było zapłacić pięć tysięcy juanów za drewnianą trumnę i drugie pięć tysięcy za kwaterę na cmentarzu. Koszty pokrył jego zakład pracy, więc nie musieliśmy wykładać pieniędzy z własnej kieszeni. A wy sami za wszystko zapłaciliście?

Większość kosztów pokrył zasiłek pogrzebowy ze związku zawodowego ojca. Zastanawiałem się przez chwilę, jak to ująć, żeby zrozumiała, o co chodzi.

– Też zapłacił zakład pracy – powiedziałem w końcu.

Zhao się uśmiechnęła.

– Widzisz? Ameryka i Chiny wcale tak bardzo się od siebie nie różnią! Kto by pomyślał?

Odkręciła termos z herbatą i w mroźne powietrze buchnął kłąb pary. Zima nie była moją ulubioną porą roku w Szanghaju. Wilgotny ziąb przenikał przez kolejne warstwy ubrania, aż w końcu skóra robiła się lepka i zmarznięta. Człowiek czuł się, jakby tkwił w nasączonej lodowatą wodą gąbce. Siedzenie w domu nie rozwiązywało problemu. Większość budynków nie była ocieplona, a centralne ogrzewanie było oznaką luksusu. Ogrzewaliśmy mieszkanie umieszczonymi w każdym pokoju

klimatyzatorami. Zainstalowano je bardzo wysoko, więc ciepłe powietrze buchało prosto w sufit. Przed naszą drugą zimą w Szanghaju kupiliśmy grzejniki na kółkach, które ciągaliśmy za sobą, przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego.

Także zanieczyszczenie powietrza było najgorsze zimą. Kilkaset milionów ludzi naraz ogrzewało domy, a elektrownie węglowe pracowały pełną parą, by zapewnić elektryczność. Niebo nad wschodnią częścią kraju całymi tygodniami było zasnute wyziewami z kominów, które niebezpiecznie zwiększały stężenie smogu. Ludzie, których stać było na oczyszczacze powietrza, ustawiali je na pełną moc i siedzieli w domach, dodatkowo zwiększając zużycie prądu, a co za tym idzie – spalanie węgla.

Nie miałem zwyczaju zamykać się z powodu pogody w czterech ścianach, więc dużo jeździłem na rowerze, w kasku i masce, by nie zmarznąć na kość. Moja typowa trasa prowadziła przez gąszcz zaułków w południowej części dawnej koncesji francuskiej. Jechałem na południe i skręcałem w prawo w ulicę Wiecznej Szczęśliwości. Wpadałem do barku kanapkowego, żeby pogadać z CK, trzy przecznice dalej robiłem postój w kuchni cioci Fu i wujka Fenga i zwykle kończyłem w kwiaciarni Zhao.

Tamtego dnia jazda na rowerze zaostrzyła mi apetyt. Zhao sięgnęła po gruszkę, przekroiła ją i wręczyła mi większą część.

– Potrzebuję rady – powiedziała, gdy wgryzłem się w owoc. – Chodzi o moją kuzynkę, tę o rok młodszą ode mnie. Wspominałam ci o jej problemach z mężem, który pracuje w urzędzie skarbowym?

Opowieści Zhao o wyczynach jej krewnych miały prawdziwie epicki rozmach. Słuchałem historii o sporach rodzinnych rozstrzyganych w walce na noże, o kuzynach, którzy stracili kontrolę nad licznymi kochankami, o tragicznych samobójstwach z powodu nieodwzajemnionej miłości. Życie w górniczym miasteczku przypominało telenowelę, którą Zhao śledziła ze swojej uprzywilejowanej pozycji w cywilizowanym Szanghaju. Od czasu do czasu krewni zwracali się do niej o pomoc, zmuszając ją do bezpośredniego zaangażowania się w dramat. Nie przypominałem sobie, co prawda, historii urzędnika, ale jeśli gdzieś na świecie pracownik skarbówki mógł przejść do legendy, to tylko w rodzinnych stronach Zhao.

– Więc facet znalazł sobie kochankę i rozwiódł się z moją kuzynką, ale to mu nie przeszkadza nadal ją bić. Zadzwoniła do mnie dziś po południu, bo znów ją stłukł. Jak myślisz, co powinna zrobić? – zapytała. – Czy po rozwodzie wolno bić żonę?

Nigdy wcześniej nie rozważałem tej kwestii. Zastanawiałem się, co odpowiedzieć, ale z kłopotu wybawiło mnie stukanie do drzwi. Właściciel jednego z sąsiednich sklepów przyniósł Zhao obiad.

– Och, dziękuję! Zjem to na kolację – powiedziała, odstawiając pudełko na stos innych pojemników z jedzeniem, darów od życzliwych sąsiadów. Gdy któryś ze sklepikarzy z ulicy Wiecznej Szczęśliwości chorował, cały kwartał dostarczał mu posiłki i załatwiał drobne sprawy.

– Ja też nie umiałam jej nic poradzić. – Zhao wróciła do przerwanego wątku. – To było straszne. Przycisnął jej głowę do podłogi i zbił ją pasem. Mają troje dorosłych dzieci, które wiedzą, co się dzieje, ale pozwalają na to, bo to ojciec ma pieniądze. Przekupił je.

Zauważyłem, że zbierając materiały do moich reportaży, słyszałem wiele podobnych opowieści o funkcjonariuszach chińskich władz.

– Nawet jego kochanka przyszła ją pobić! Nikt nie może jej pomóc. Powiedziała mi dzisiaj: „Skoro ty możesz być niezależna, to ja też”. Ale przypomniałam jej, że jej mąż pracuje w urzędzie podatkowym!

Zhao miała rację. Lokalni urzędnicy chińskiej skarbówki mieli ogromną władzę. Zajmowali się między innymi ściąganiem podatków od przedsiębiorstw, co pozwalało im czerpać dodatkowy dochód z łapówek. W pewnym sensie trudno było wymarzyć sobie lepszą pozycję: na tyle nisko w partyjnej hierarchii, że nie obejmowały ich śledztwa w ramach walki z korupcją, ale wystarczająco wysoko, by za to, co im skapnie, kupić kilka domów, luksusowy samochód i utrzymać co najmniej jedną kochankę.

– A gdyby przeniosła się do Szanghaju, jak ty?

– Po rozwodzie dostała kilka jego nieruchomości. Jest przyzwyczajona do życia w komforcie. Nie potrafiłaby zacząć wszystkiego od początku i przełykać goryczy – wyjaśniła Zhao. – Jej sytuacja jest beznadziejna. W zeszłym roku wypiła wiadro pestycydów, ale zrobili jej płukanie żołądka

i nie umarła. W moim mieście wiele osób rozwiązuje swoje problemy, wypijając wiadro pestycydów. To bardzo popularny sposób.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedziała wcześniej: że Ameryka i Chiny są do siebie podobne. Wzruszyło mnie to, że Zhao radzi się mnie w takiej sprawie, ale wszystko, co mógłbym powiedzieć, zabrzmiałoby naiwnie. Przemoc domowa, zjawisko powszechne w rolniczych rejonach Chin, stanowiła poważny problem zakorzeniony w tradycyjnej kulturze, wszechobecnej korupcji politycznej i stuleciach nędzy i żaden przyjezdny z Ameryki nie był w stanie go rozwiązać. Jedyne, co mogłem zrobić, to siedzieć w milczeniu obok Zhao i myśleć, jak bardzo pod niektórymi względami różnią się od siebie nasze kraje.

Zagadnąłem ją o starszego syna, Dużego Suna. Kilka miesięcy wcześniej rzucił pracę na polu golfowym i został fryzjerem w Hangzhou, mieście oddalonym od Szanghaju o nieco ponad godzinę jazdy szybką koleją. Zdziwiłem się, że nie przyjechał pomóc unieruchomionej matce w prowadzeniu sklepu pod nieobecność Małego Suna i jego żony.

– Poprosiłam go, by wziął kilka dni wolnego i przyjechał mi pomóc, ale odmówił – odparła z wyrazem rozczarowania na twarzy. – Powiedział, że to gorący sezon w jego branży. Trochę mnie poniosło i oświadczyłam, że może nie przyjeżdżać na Nowy Rok.

To chyba jedna z najgorszych rzeczy, jakie chińska matka może powiedzieć swojemu dziecku, lecz nieudzielenie pomocy choremu rodzicowi było rażącym zaniedbaniem synowskich obowiązków. W Chinach takie sytuacje zdarzały się coraz częściej. Młodzi dorośli mieli zbyt stresującą pracę albo mieszkali za daleko od domu, by zapewnić stałą opiekę swoim rodzicom. Nowa rzeczywistość okazała się poważnym zagrożeniem dla konfucjańskiego obyczaju, który liczył sobie dwa tysiące lat i stanowił jeden z filarów chińskiej tożsamości. Ustawodawcy dostrzegli problem i wprowadzili prawny obowiązek troszczenia się o duchowe potrzeby najstarszych członków rodziny, w tym „częstego” odwiedzania ich przez mieszkające osobno dzieci.

Prawo to obowiązywało dopiero od kilku miesięcy, ale już w całych Chinach starzy rodzice wygrywali sprawy sądowe z zaniedbującym ich

potomstwem. Dla zachodnich mediów był to wymarzony materiał na lekkostrawną informacyjną papkę, ale chińskie władze zdawały sobie sprawę z wagi problemu. Według prognoz demograficznych w połowie XXI wieku seniorzy będą stanowili jedną trzecią mieszkańców kraju, czyli niemal pół miliarda ludzi. By utrzymać wysokie tempo rozwoju gospodarczego, w następnych dekadach do miast musiałoby napłynąć dalsze kilkaset milionów młodych ludzi z terenów rolniczych, ale w takim razie kto zadba o pozostawionych w domu rodziców? Jakby opuszczone dzieci nie były już dostatecznym kłopotem, teraz dochodzili do nich również opuszczeni dziadkowie.

Ale Zhao jeszcze nie skończyła skarżyć się na Dużego Suna.

– Musi odłożyć pieniądze, żeby mógł się ożenić – powiedziała. – Jak zamierza je zarobić?

Wiedziała, że jej starszy syn nie ma oszczędności potrzebnych do założenia rodziny i że to ona będzie musiała za wszystko zapłacić, ale potrzebowała sobie ponarzekać.

– Kilka lat temu odrzucił dziewczęta, które dla niego znalazłam. Wtedy za żonę płaciło się około dwudziestu tysięcy kuaiów (około trzech i pół tysiąca dolarów). Teraz cena jest dwukrotnie wyższa.

Synowa Zhao, Zhang Min, żona Małego Suna, nie kosztowała drogo, ale pochodziła z biednej rodziny, która nie mogła dać jej dużego posagu. Zhang Min była silna i grubokoścista, jak typowa chłopka. Jej twarz przypominała mi młode kobiety z partyjnych plakatów z lat sześćdziesiątych XX wieku: wysokie kości policzkowe, rumieńce i spojrzenie wyrażające niezachwianą pewność siebie. Stopniowo coraz bardziej angażowała się w prowadzenie kwiaciarni. Załatwiała zakupy na giełdzie kwiatowej i gotowała dla całej rodziny.

– Jest bardzo bystra – powiedziała Zhao. – Ciężko pracuje i jest odpowiedzialna.

Zhang Min miała naturalny sposób bycia, tubalny głos, jak jej teściowa, i szczery uśmiech, który lubili klienci. Za to jej mąż, Mały Sun, był zamknięty w sobie i wolno się uczył.

– Powiedziałam mu, że jest jak błoto, z którego nie można nawet ulepić ściany – przyznała się Zhao. – Odparł: „Skoro tak uważasz, to widocznie tak jest”. Czy to nie irytujące? Nie ma za grosz rozumu. Wszystko, co zarobi, oddaje żonie. Nie lubi mieć przy sobie pieniędzy. Ostatnim razem, kiedy synowa włożyła mu do kieszeni dwieście juanów, wyjął je i jej oddał. Co począć z takim synem?

Spełnienie oczekiwań rodziców nigdy nie było łatwe dla młodych Chińczyków, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Dziś, w warunkach gospodarki, która rośnie w tempie kilkuset miliardów dolarów rocznie, jest to jeszcze trudniejsze niż kiedyś. Zhao miała poczucie, że jej synowie nie dostaną należnego im kawałka tortu, ponieważ nie udało jej się posłać ich na studia.

Jednakże wielu absolwentów wyższych uczelni, których znałem, było w jeszcze gorszej sytuacji. W poprzednim roku studia skończyło siedem milionów Chińczyków. Jedna trzecia z nich nadal szukała pracy. Rozwijająca się w oszałamiającym tempie chińska gospodarka stwarzała coraz więcej możliwości, więc trudno mi było zrozumieć, skąd się biorą te liczby.

Wybrałem się na targi pracy, które odbywały się wiosną kilka kilometrów na zachód od ulicy Wiecznej Szczęśliwości, na obrzeżach centrum Szanghaju. Na płycie areny sportowej, pomiędzy setkami stoisk pracodawców z całych Chin, kręciły się tysiące absolwentów wyższych uczelni. Ta scena powtarzała się tu w każdy piątek.

Zagadnąłem drobną dziewczynę w za dużych okularach, które upodabniały ją do ptaka. Pochodziła z Guizhou, jednej z najbiedniejszych prowincji w kraju. Po studiach odbyła praktykę w jednym z tamtejszych przedszkoli, ale nie chciała pracować jako nauczycielka.

– Po odliczeniu podatków zarabiałabym najwyżej dwa tysiące *renminbi* na rękę – stwierdziła z nadąsaną miną. – Wolę zająć się organizowaniem wesel.

Kłopot polegał na tym, że nie miała kapitału, który pozwoliłby jej otworzyć własną firmę, ani żadnego liczącego się doświadczenia.

– Raz pomogłam zorganizować wesele przyjaciółce – powiedziała.

– Jakiego rodzaju pracy szukasz? – spytałem. Nie widziałem na targach żadnego stoiska związanego z organizacją wesel.

– *Buzhidao*… – odparła tonem małej dziewczynki, leniwie przeciągając ostatnie głoski. „Nie wiem”. – Większość ofert jest zupełnie nieciekawa. Zależy mi na dobrej pensji, która wystarczy na jedzenie na mieście i czynsz. I żeby godziny pracy nie były zbyt długie.

– Nie sądzisz, że to niezbyt realistyczne oczekiwania? – zapytałem uprzejmie.

– Cóż, pewnie tak – zgodziła się ze mną, chichocząc.

Chińczycy urodzeni w latach dziewięćdziesiątych XX wieku nigdy nie doświadczyli spowolnienia gospodarki. W ciągu czterech lat, które moja rozmówczyni spędziła na studiach, w Szanghaju otworzono sześć nowych linii metra. W tym samym czasie zakończono budowę największej sieci szybkiej kolei na świecie; podróż z Pekinu do Szanghaju skróciła się do dziewięciu godzin. Jeszcze żadna cywilizacja w dziejach ludzkości nie rozwijała się tak szybko. Ale dziewczyna z Guizhou i jej rówieśnicy uważali to za zupełnie normalne i na tej podstawie budowali swoje oczekiwania od życia. Na targach pracy umierały rozbuchane nadzieje.

Trafnie podsumowała to zjawisko szefowa działu zasobów ludzkich w pewnym przedsiębiorstwie, którą także spotkałem na targach.

– Szukamy techników komputerowych do rozwiązywania problemów z oprogramowaniem, ale absolwenci wyższych uczelni nie mają takich umiejętności – poskarżyła się. – Potrzebujemy do obsługi wystaw osób, które potrafiłyby przeprowadzić prezentację po angielsku, ale tego też nikt ich nie nauczył.

Pokazała mi stosik kilkudziesięciu zgłoszeń złożonych przez tegorocznych absolwentów.

– Ilu z nich ma odpowiednie kwalifikacje? – zapytałem.

Zrobiła kółeczko z kciuka i palca wskazującego: zero.

– Są rozpieszczeni. Pewnie rodzice dają im pięć tysięcy kieszonkowego. U nas zarobiliby około trzech tysięcy. Nie mamy sobie nawzajem nic do zaoferowania.

Targi pracy były totalną porażką: tysiące potencjalnych pracowników i pracodawców zebrało się w jednym miejscu po to, aby przeżyć obopólne rozczarowanie. Zacząłem się zastanawiać, czy Duży i Mały Sun, którzy rzucili szkołę przed zakończeniem edukacji, nie są przypadkiem w lepszej sytuacji od swoich rówieśników po studiach. Nie mieli przesadnych wymagań, jeśli chodzi o pracę, rodzice nie spodziewali się po nich zbyt dużo i obaj aktywnie zdobywali umiejętności, które mogły im się przydać w dalszej karierze. Wyglądało na to, że w tych czasach lepiej w ogóle darować sobie studia.

Duży Sun nie nadawał się na sprzedawcę kwiatów.

Po pierwsze, wystroił się z przesadną elegancją: w czarne spodnie, czarne wyjściowe buty i czarną poliestrową koszulkę z wycięciem w karo, na którą włożył czarną sportową kurtkę. Na tle kolorowej wystawy wyglądał jak mroczny cień.

Po drugie, łatwo się irytował i nie lubił nadskakiwać obcym.

Przyjechałem rowerem w wietrzne, rozsłonecznione popołudnie pod koniec marca. Matka i syn układali razem bukiety na chodniku przed sklepem. Pogodzili się już i Duży Sun przyjechał do Szanghaju, żeby jej pomóc. Zhao zdjęła ortezę, ale nadal kuśtykała, podpierając się laską.

Duży Sun był wysoki, szczupły i przystojny. Miał smagłą cerę, orli nos i spokojne, migdałowe oczy, zajmujące całą szerokość twarzy. Mówił śmiało, był z natury ciekawy i zadawał mnóstwo pytań. W niczym nie przypominał młodszego brata.

Chwilę później nadeszła kobieta po sześćdziesiątce. Zajrzała do kwiaciarni.

– Co to jest? – zapytała, wskazując roślinę w doniczce.

– Piwonia europejska – odpowiedziała Zhao ze swojego miejsca przed sklepem.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się. Wygląda jak *chińska* piwonia. Europejskie nie mają tylu płatków.

– To piwonia europejska.

– Myli się pani – naburmuszyła się klientka.

– Proszę bardzo, może być chińska, skoro tak pani uważa – wtrącił się Duży Sun. – Kupuje pani? Dwadzieścia juanów za sztukę.

Kobieta całkowicie go zignorowała.

– Spuści pani z ceny, jeśli wezmę dwie? – zwróciła się do Zhao.

– Dwie doniczki za trzydzieści pięć juanów. Normalnie się nie targuję – powiedziała Zhao.

– Dam pani trzydzieści – odparła kobieta.

– Dobrze. Niech będzie trzydzieści. – Zhao sięgnęła po doniczkę, żeby zawinąć ją w papier.

Ale Duży Sun był wyraźnie zirytowany.

– Może pani poczytać o piwoniach w internecie – poradził.

Klientka spiorunowała go wzrokiem.

– Moim zdaniem europejska piwonia tak nie wygląda – wycedziła z uporem przez zaciśnięte zęby.

– Moim zdaniem chińska piwonia też nie – odparł z szerokim uśmiechem Duży Sun, patrząc jej prosto w oczy.

Kobieta wypadła z kwiaciarni jak oparzona. Zhao wybuchła śmiechem, rozbawiona bezczelnością swojego syna. Popatrzyłem na tkliwą matkę i jej przekornego syna.

– Co się stało z twoją pracą na polu golfowym? – zapytałem chłopaka.

– To był wyzysk taniej siły roboczej – odparł. – Coś okropnego. Pieniądze marne, a jedzenie okropne.

Menedżerowie skusili go perspektywą awansu na trenera, a kto wie, pewnego dnia może kierownika, ale z czasem zorientował się, że robią go w bambuko. W końcu odszedł stamtąd razem ze swoimi kolegami.

– Wiele chińskich firm postępuje w ten sposób, obiecują ci wspaniałą przyszłość, a potem okazuje się, że to ściema.

Zhao przycinała łodygi białych róż, uważnie przysłuchując się naszej rozmowie.

Pomyślałem o jej pierwszej posadzie w Szanghaju, w fabryce telewizorów. Kierownik na pewno nie obiecywał jej, że zostanie kierowniczką. Miała pracować fizycznie i to robiła. Dwadzieścia lat później w kwiaciarni, w którą włożyła tyle ciężkiej pracy, jej pierworodny narzekał

na posadę na polu golfowym. Kwiaciarnia też mu nie odpowiadała. „Nie chcę dostarczać kwiatów w deszczu” – oświadczył kiedyś matce. Rówieśnicy Dużego Suna szukali zajęć, które zapewniały prestiż, a nie przy linii montażowej albo na budowie, od czego zwykle zaczynali ich rodzice. W ten sposób sami ograniczali sobie liczbę możliwości. Duży Sun pojechał za swoim *shifu*, mistrzem, do Hangzhou, by uczyć się od niego fryzjerstwa. Sam przyznał, że na razie nie ma wielu klientów, ale poszerzał kwalifikacje.

– Duży Sun ciągle się ze mną kłóci – przerwała ciszę Zhao. – Mówi, że nowy prezydent budzi w nim duże nadzieje. Jego zdaniem jest dobrym przywódcą. Zapytałam go: „Co mi z tego, że jest dobry, jeśli przez niego stracę pracę? Czy jest twoim dziadkiem? Czy to on daje ci jeść?”.

Roześmiała się, ale właściciele sklepów na ulicy Wiecznej Szczęśliwości traktowali ten temat bardzo poważnie. Xi Jinping rządził krajem zaledwie od roku, lecz zdążył już wypowiedzieć zdecydowaną walkę korupcji, która szerzyła się w szeregach partii. Na lokalnych urzędników zwaliła się lawina nowych zarządzeń: koniec z prezentami, koniec z alkoholem, dosyć wystawnych bankietów.

Xi urodził się w 1953 roku, cztery lata po przejęciu władzy w Chinach przez komunistów. Jego ojciec był jednym z przywódców chińskiej rewolucji. Xi spędził dzieciństwo w ekskluzywnym pekińskim osiedlu dla partyjnych elit, w otoczeniu innych rewolucyjnych „książątek” wychowywanych na przyszłych władców krajów. Przed zainicjowaniem rewolucji kulturalnej Mao usunął ojca Xi z KPCh. Chłopca zesłano do rolniczej prowincji Shaanxi, gdzie mieszkał w jaskini, pracował w polu i studiował dzieła Marksa. Profesor, który dorastał razem z przyszłym prezydentem, napisał do amerykańskiego dyplomaty w ujawnionej przez WikiLeaks depeszy, że podczas gdy on sam i jego przyjaciele szukali ucieczki od ponurej rzeczywistości „w miłostkach, piciu, zachodnich filmach i książkach, Xi Jinping wybrał inną metodę przetrwania. Stał się czerwieńszy od czerwonych i wykorzystał system do zrobienia kariery”.

W odróżnieniu od Xi Jinpinga jego poprzednik na stanowisku przewodniczącego Chińskiej Republiki Ludowej, Hu Jintao, był synem kupca handlującego herbatą i z wykształcenia inżynierem. W ciągu dziesięciu lat

jego rządów chińska gospodarka rosła w dwucyfrowym tempie, ale gwałtowna fala inwestycji wywołała wybuch nieokiełznanej korupcji. Xi Jinping, który zastąpił go w 2013 roku, ogłosił, że jego priorytetem jest oczyszczenie partii komunistycznej z łapówkarzy. Zainicjowana przez niego kampania antykorupcyjna doprowadziła w ciągu ostatnich dwóch lat do wszczęcia postępowań dyscyplinarnych przeciwko czterystu tysiącom partyjnych funkcjonariuszy.

Skończył się czas partyjnego karnawału. Na ulicy Wiecznej Szczęśliwości zamykano sklep za sklepem, Zhao traciła kolejnych klientów. Przed chwilą odebrała telefon z hotelu Pine City: urząd dzielnicy odwołał swój doroczny bankiet. Co roku hotel płacił Zhao za przygotowanie kwiatów na tę imprezę tysiąc dolarów, połowę jej miesięcznych zarobków.

Duży Sun bronił nowego prezydenta.

– Owszem, osłabi to przejściowo gospodarkę, ponieważ dotąd napędzały ją wydatki sektora publicznego – tłumaczył matce. – Ale jeśli uda się poprawić jakość świadczeń publicznych, na przykład będziemy mieli lepsze ubezpieczenie zdrowotne, w dłuższej perspektywie czasowej sytuacja się poprawi.

Jako dziennikarz specjalizujący się w ekonomii Chin nie mógłbym ująć tego lepiej.

– Może i jest dobry, ale czy to on cię karmi? – odparowała Zhao.

– Pod rządami dobrego przywódcy kraj się rozwija i w naturalny sposób podnosi się poziom życia jego mieszkańców. „*Bing xiongxiong yi ge, jiang xiongxiong yi wo*” – wyrecytował Duży Sun. „Żołnierz naraża samego siebie, ale generał naraża wszystkich”.

Chińczycy z pokolenia Zhao, urodzeni w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku, dorastali w biedzie i dopiero jako pracujący dorośli załapali się na okres oszałamiającego rozwoju gospodarczego. Przyzwyczaili się skupiać na doraźnych korzyściach i funkcjonować w systemie, w którym korupcja jest zjawiskiem codziennym. W odróżnieniu od swoich rodziców młodzi ludzie z pokolenia Dużego Suna obawiali się o trwałość chińskiej ekonomii, zwłaszcza teraz, kiedy gospodarka - zaczęła zwalniać. Jak mają zapewnić lepsze życie swoim dzieciom?

– Myślę, że Ameryka bardzo różni się od Chin – powiedział do mnie Duży Sun. – Chińczycy uważają Stany Zjednoczone za kraj wolności i demokracji.

– W Ameryce wolno kupować broń! – zauważyła Zhao.

– Tak – przyznałem. – Ale broń powoduje również problemy.

Duży Sun zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Kiedy ludzie posiadają broń, słaby ma taką samą siłę ataku jak silny. Bez broni silniejszy ma zawsze przewagę nad słabszym.

Duży Sun, recytujący starożytne chińskie porzekadła i wygłaszający przekonujące argumenty za udostępnieniem broni klasie robotniczej, przypominał mi młodego przywódcę komunistów. Był inteligentny, oczytany i poświęcał dużo czasu na rozmyślanie o sytuacji Chin. Zastanawiałem się, co mógłby osiągnąć, gdyby skończył z wyróżnieniem szanghajskie liceum. Ze swoimi stopniami i ostrym jak brzytwa umysłem dostałby się na jedną z elitarnych uczelni. Tymczasem zmieniał jedną podrzędną posadę w sektorze usług na drugą, obecnie pracował jako fryzjer filozof.

Powiał silniejszy wiatr, nagie konary platanów zastukały o siebie jak orkiestra złożona z samych kastanietów. Pączki na gałęziach wypuściły już pierwsze jasnozielone listki, ale minie jeszcze miesiąc, zanim ulicę Wiecznej Szczęśliwości przykryje charakterystyczny zielony baldachim.

Zapytałem Zhao, czy jest zadowolona z decyzji Dużego Suna o zmianie zawodu.

– Wcale nie jestem zadowolona – stwierdziła kategorycznie. – Ale co mogę zrobić? Ostatecznie, najważniejsze, żeby być bezpiecznym i zdrowym. Nie mierzyć za wysoko. Za dwa lata jego ojciec przejdzie na emeryturę, młodszy brat znalazł już żonę i kiedy jego ożenię, wreszcie będę mogła spać spokojnie.

Duży Sun wbił wzrok w podłogę. Wyglądał na przygnębionego. Przypomniałem Zhao, że zrobił to samo co ona: odszedł z dużego przedsiębiorstwa, spotkał mistrza i dążył do uzyskania finansowej niezależności.

– To prawda – przyznała. – Sam sobie wybrał zawód i zdobywa umiejętności, które pozwolą mu otworzyć własną firmę. Zaczynałam w ten

sam sposób. Na niczym się nie znałam. – Spojrzała na syna i się roześmiała. – Tylko że wiązałam z nim wielkie nadzieje – dodała. – Kiedy był mały, poszliśmy raz do restauracji na raki. Zauważył, że raki na innych talerzach mają jajniki i tłuszcz. A jego nie. Dlaczego? Sam doszedł do tego, że inni jedzą samice. Zawsze lubił główkować. Uwielbia czytać. W naszym mieście przewyższał inteligencją prawie wszystkich rówieśników, a teraz pracuje jako fryzjer.

W Chinach mężczyźni, którzy uczą się fryzjerstwa, uchodzą powszechnie za leniwe sieroty. Praktykanci w zakładach fryzjerskich miewają długie przestoje. Zaobserwowałem to, kiedy sam chodziłem się strzyc. Musiałem czekać w długiej kolejce za klientami, którzy domagali się, żeby obsłużył ich właściciel, a nie któryś z młodych, ekstrawagancko wyglądających uczniów. Praktykanci, w większości niedoszli maturzyści z włosami ufarbowanymi na wszystkie kolory tęczy, zabijali czas plotkowaniem i gapieniem się w telewizor albo układali fryzury swoim kolegom i pozowali przed lustrem.

Duży Sun był inny. W wolnych chwilach czytał książki George’a Sorosa i Warrena Buffetta. Jego fascynacja rynkiem papierów wartościowych wykraczała daleko poza typowe przekręty w rodzaju Gatewangu cioci Fu. Zhao powiedziała mi, że akcje, które kupował w jej imieniu, najczęściej przynosiły zyski.

– Raz zarobiłam trzydzieści sześć tysięcy juanów w jedno popołudnie! – oznajmiła z podnieceniem w głosie. – Nawet inwestorzy w strefie dla VIP-ów pytają go o wskazówki.

Duży Sun się rozpogodził.

– Z początku nic z tego nie rozumiałem, więc najpierw nauczyłem się porównywać tendencje cenowe. Teraz zaczynam obracać trochę akcjami – powiedział, wyraźnie ucieszony, że może porozmawiać z kimś, kto zna się na tym lepiej od jego rozdziawiających szeroko usta kolegów z zakładu fryzjerskiego. – Kiedy cena akcji spada poniżej wartości aktywów netto, można stwierdzić, jaka jest realna wartość firmy. W Chinach podawane do wiadomości publicznej informacje o wynikach finansowych spółek często mijają się z prawdą, dlatego sprawdzam raporty finansowe, wskaźniki wartości księgowej na akcję i zysku na akcję. Zwracam też uwagę na tempo

wzrostu kapitału własnego, skalę inwestycji, a czasem sprawdzam wykresy świecowe.

Zhao słuchała, zachwycona sprawnością, z jaką jej syn żonglował obco brzmiącymi terminami.

– Widzisz, jak gruntownie przestudiował rynek akcji? Może mówić i mówić!

Duży Sun uśmiechnął się nieśmiało. Zhao upiła łyk herbaty.

– Jest bystry, ale kiedy ma porozmawiać z dziewczyną, zapomina języka w gębie. – Znowu zgasiła syna. – Nie rozumie kobiecego serca. Na randkach jest zupełnie do niczego.

– Masz jakieś kandydatki? – zapytałem Dużego Suna.

– Mama przedstawiła mi kilka dziewczyn z naszego miasta i jedna wydaje się całkiem miła. Jadę tam za dwa miesiące. Spotkam się z nią i poznam jej rodziców – wymamrotał.

– Wszyscy jedziemy do domu w maju! – obwieściła radośnie Zhao; jej bratanek brał ślub. – Ty też powinieneś wybrać się z nami. To tylko trzy godziny szybką koleją. Zobaczyłbyś prawdziwe wiejskie wesele!

– Masz jej zdjęcie? – spytałem Dużego Suna.

Pokazał mi zdjęcie profilowe dziewczyny na WeChacie. Miała ładne, brązowe oczy. Pozostałą część twarzy zasłaniała ozdobiona obrazkiem Hello Kitty maseczka chirurgiczna, których Chińczycy używają, by chronić swoje drogi oddechowe przed zanieczyszczeniami powietrza.

– To jedyne jej zdjęcie, jakie mam – wyjaśnił ponuro.

W zeszłe lato rozmawiał z nią przez pięć minut na weselu kuzynki. Spotkanie zostało zaaranżowane przez Zhao, jej kuzynkę – tę, której były mąż pracował w urzędzie skarbowym – oraz rodziców potencjalnej kandydatki na żonę. Oboje, Duży Sun i dziewczyna, nie mieli nic przeciwko kolejnemu spotkaniu, więc wszyscy zainteresowani uznali, że prawdopodobnie skończy się małżeństwem.

– Jest bardzo oszczędna – oznajmiła radośnie Zhao. – Mówi na przykład: „Kupiłam rzepę za pół juana i to mi starczyło na cały dzień”. Potrafi się żywić samą zupą, kupuje tylko tanie produkty. Szanghajskie dziewczyny nie mogą się z nią równać.

Zerknąłem, co na to Duży Sun – oszczędność nie była może romantyczną cechą, ale Chińczycy wysoko ją cenili – jednak nie zdołałem niczego wyczytać z jego twarzy. Był na najlepszej drodze do poślubienia gospodarnej panny z prowincji, z którą kilka miesięcy temu rozmawiał przez pięć minut. Poznali się trochę lepiej na WeChacie. Duży Sun czytał jej wpisy, wpatrując się w zamaskowane zdjęcie.

Za dwa miesiące Duży Sun pojedzie do rodzinnego miasta i wręczy podarunki rodzicom dziewczyny. Jeśli się zgodzą, wkrótce odbędzie się ślub. Najpierw wymiana posagów, potem wesele i Zhao będzie mogła zacząć czekać na drugiego wnuka. Wypełni swoje matczyne obowiązki i wreszcie zazna trochę spokoju. Ale na razie było jeszcze sporo do zrobienia. Zhao obawiała się, że brak doświadczenia Dużego Suna w sprawach sercowych może storpedować całe przedsięwzięcie.

Na dworze wiał ciepły południowy wiaterek. Gałęzie platanów kołysały się w jasnym świetle popołudnia, rzucając na podłogę kwiaciarni roztańczone cienie. Zhao odchyliła się na oparcie krzesełka i z uśmiechem przymknęła oczy. Jej syn wyszedł na zewnątrz, by pogrzać się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Sprawiał wrażenie zamyślonego. Był pierwszy dzień wiosny. Niedługo będzie żonatym mężczyzną.

8 Kulturalna młodzież

长乐路 810 号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 810

Było późne popołudnie. Siedzieliśmy z CK w jego knajpce i wyglądaliśmy przez okno na ulicę Wiecznej Szczęśliwości. Z wieżowca naprzeciw wylewał się tłum młodych pracowników biurowych, wypuszczonych wreszcie ze swoich boksów po całym dniu pracy.

– Nigdy nie pociągało mnie ustabilizowane życie – oświadczył CK, obserwując swoich rówieśników, którzy rozpychali się łokciami w tłumie przechodniów, żeby jak najszybciej dotrzeć do metra.

CK przyglądał im się w milczeniu. On sam szukał w życiu czegoś zupełnie innego.

– Właściwie to nie wiem dokładnie czego. Od pewnego czasu mam z tym problem. To znaczy nie jest to nic poważnego. Zawsze chciałem poznać siebie samego, tak naprawdę głęboko, ale ostatnio czuję, że trochę… utknąłem w miejscu.

Czy to z powodu zapatrzenia CK we własny pępek, czy też z innej przyczyny, jego barek kanapkowy nie przynosił zysków. W takich dniach jak ten CK niezbyt się tym przejmował. Sprzedaż akordeonów przynosiła mu około pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. To były całkiem niezłe pieniądze, więc mógł sobie pozwolić na inne przedsięwzięcia, takie jak prowadzenie niedochodowego lokalu gastronomicznego albo przesiadywanie w niedochodowym lokalu gastronomicznym i dumanie o sensie życia. Moi starsi wiekiem chińscy znajomi nie mieli czasu na myślenie o takich sprawach, ale właśnie dlatego lubiłem towarzystwo CK.

– Zupełnie jak wtedy, gdy gram na akordeonie i zaczyna się wyłaniać coś nowego – mówi. – To bardzo specyficzne uczucie. Nazywam je „siłą oddechu”. Jakbyś oddychał, ale nie mógł zaczerpnąć powietrza pełną piersią.

Przez całą zimę wdychałem powietrze o stężeniu zanieczyszczeń dwudziestokrotnie przewyższającym normy bezpieczne dla zdrowia, więc świetnie rozumiałem jego metaforę. Powiedziałem mu to.

– Dziewczyny są… cóż, myślę, że jest mnóstwo fajnych dziewczyn, ale zwykle kilka razy z nimi pogadam i tracę zainteresowanie. Sam nie wiem dlaczego. Próbuję zrozumieć, co jest nie w porządku. Bo kiedy czuję, że w moim życiu coś jest nie tak, to znaczy, że moje prawdziwe ja mówi mi, że nadszedł czas, żebym coś ze sobą zrobił.

– Czyli już kiedyś tak się czułeś? – spytałem.

– Tak. To zawsze wygląda tak samo. Nagle wszystko mi obojętnieje.

– Jakby skończyło się pożądanie albo jakbyś nie był szczęśliwy?

– Jakbym kiedyś coś czuł, ale teraz całkowicie stracił zdolność odczuwania. Wiem, że wkrótce coś się we mnie zadzieje.

– Na przykład co?

– Trudno powiedzieć. To tak jak w grze komputerowej. Pozabijałeś wszystkie potwory, przeszedłeś wszystkie poziomy i teraz musisz walczyć z bossem. Boss jest potężny, a ty będziesz musiał uskoczyć przed wszystkimi jego kulami. Trudno go zabić, więc czeka cię długa walka. Czuję, że zbliża się moment na walkę z bossem. Muszę się z nim zmierzyć, zabić go i przejść na następny poziom.

Upił łyk kawy. Przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami.

– A w prawdziwym życiu – powiedziałem powoli – kto jest bossem?

– Ja – odparł, wpatrując się w rzekę pracujących od dziewiątej do siedemnastej urzędników biurowych, która płynęła ulicą Wiecznej Szczęśliwości.

Poprzednie pokolenia Chińczyków oczekiwały, że przez życie przeprowadzi je rodzina albo państwo. Dopiero rówieśnicy CK zaczęli podejmować decyzje na własny rachunek. Trzymali w swoich rękach klucz do przyszłości, w której jednostki, z wszystkimi indywidualnymi różnicami, wywalczą sobie znacznie wyższą pozycję w chińskim społeczeństwie.

Poprzedniej zimy poznałem w kafejce C K niejakiego Li Zixinga, trzydziestotrzylatka o przenikliwym spojrzeniu, wyrzucającego z siebie słowa

w pośpiechu, jakby był wiecznie spóźniony na ważne spotkanie. Li Zixing założył stronę internetową China30s, na której promował pisarzy młodego pokolenia. Jego dzieło zwróciło uwagę marketingowców kierujących swoją ofertę do trzydziestolatków. Li występował także publicznie na różnych imprezach. Zawsze zaczynał od pytania: „Czy gdybyś chciał zmienić zawód, zapytałbyś o radę członków rodziny?".

– Ludzie, którzy podnosili ręce, by odpowiedzieć „tak", urodzili się w latach sześćdziesiątych – powiedział mi Li. – Bardzo rzadko się zdarzało, by podniósł rękę ktoś urodzony w latach osiemdziesiątych.

Dwieście czterdzieści milionów Chińczyków, którzy przyszli na świat w latach osiemdziesiątych X X wieku, to pierwsze pokolenie urodzone po rozpoczęciu reform, pierwsze, które żyje w warunkach dwucyfrowego wzrostu gospodarczego, i pierwsze po wprowadzeniu polityki kontroli urodzeń. Są jedynakami, więc koncentruje się na nich cała uwaga dwojga rodziców i czworga dziadków.

Mimo sześciokrotnej przewagi liczebnej starszych członków rodziny młodzi zwykle ignorują ich rady i oczekiwania. Rodzice i dziadkowie, którzy przez większą część życia pracowali w pocie czoła, realizując kolejne kampanie przewodniczącego Mao, często nie zdążyli zdobyć wykształcenia. Teraz, jak wujek Feng i ciocia Fu, z trudem radzą sobie w wolnorynkowej rzeczywistości współczesnych Chin i ich wskazówki zwykle są niewiele warte.

– Często nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć naszym rodzicom prostych idei czy decyzji – wyjaśnił Li. – Po prostu ich nie łapią.

Dlatego C K i inni młodzi Chińczycy samodzielnie podejmują decyzje dotyczące kariery zawodowej i informują o nich rodziców dopiero po fakcie.

– Omawiamy je potem z rodzicami tonem pełnym szacunku, jakbyśmy chcieli się ich poradzić – stwierdził Li.

Przepaść pokoleniowa była widoczna także na ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Fu i Feng w latach największej aktywności zawodowej jechali tam, dokąd kazało im państwo, najpierw do Xinjiangu, potem z powrotem do Szanghaju. Odkąd władze przestały podejmować za nich decyzje, musieli radzić sobie sami. Feng przerzucił się na smażenie placków, a oszołomiona

otaczającym ją ze wszystkich stron bogactwem Fu nabiła sobie głowę rojeniami o szybkim zdobyciu dużych pieniędzy, chociaż nie miała do tego żadnych predyspozycji. W odróżnieniu od CK czy Zhao starsi państwo czuli się zagubieni w labiryncie kapitalizmu. Byli niedobitkami prostszego systemu ekonomicznego, w którym człowiek robił to, co kazała mu partia.

– To pokolenie, które nigdy nie nauczyło się pływać. – Li uciekł się do metafory. – Myśl o głębokiej wodzie ich przeraża. Nie rozumieją, że ich dzieci są wolne, potrafią pływać i nie potrzebują kamizelek ratunkowych.

Wyobrażenie Li o wolności wydało mi się nieco naiwne. To prawda, że jego rówieśnikom nikt nie zabraniał skoczyć w odmęty, ale wody chińskiej gospodarki potrafiły być bardzo zdradliwe. Wielu trzydziestokilkulatków ma na utrzymaniu nie tylko własne dzieci, lecz także rodziców, którzy wypadli z rynku pracy i stracili źródło utrzymania. Żyją pod dużą presją, muszą zarabiać pieniądze i chociaż samodzielnie podejmują decyzje, ich indywidualizm ma swoje granice.

Znaczną część powierzchni biurowej za niebieskimi szybami znajdującego się naprzeciw barku kanapkowego CK drapacza chmur, który pod koniec dnia wypluwał tłum jego rówieśników, zajmowały firmy marketingowe sprzedające produkty przeznaczone dla takich jak on młodych ludzi. Chińskich millenialsów jest więcej niż wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych. W 2012 roku łączne nakłady na skierowane do nich reklamy przekroczyły trzydzieści pięć miliardów dolarów. Czterdziestopięciopiętrowy biurowiec, najwyższy budynek na ulicy Wiecznej Szczęśliwości, górował nad cisnącymi się w dole sklepikami i knajpkami, które przy nim wydawały się jeszcze mniejsze.

Z narożnego biura na dwudziestym piątym piętrze ledwo widziałem szklany dach kafejki CK. Znajdowałem się w miejscu pracy Toma Doctoroffa, który kierował dwustuosobowym zespołem hipsterów w chińskiej centrali J. Walter Thompson, jednej z najstarszych agencji reklamowych na świecie. Od piętnastu lat był nieodłączną częścią złotej epoki chińskiej reklamy. Głowił się niestrudzenie, czym kierują się przy podejmowaniu decyzji młodzi Chińczycy tacy jak CK.

Doctoroff uważa, że w każdym z nich walczą ze sobą sprzeczne impulsy.

– Powstaje napięcie pomiędzy dążeniem do awansu społecznego oraz ambicją – wyjaśnił – a pragnieniem opanowania zasad rządzących systemem, które jest przeciwieństwem buntu, innymi słowy, dążeniem do wspinania się po szczeblach kariery w ramach obowiązującego porządku.

Doctoroff pochodził z Midwestu i nie miał zwyczaju bawić się w długie słowa. Zwięźle opisał walkę toczącą się w sercu każdego Chińczyka i zapalił papierosa. Spróbowałem w myśli zastosować jego teorię do moich znajomych z ulicy Wiecznej Szczęśliwości. W barze kanapkowym po drugiej stronie ulicy C K walczył z *systemem* nie po to, żeby go pokonać, lecz żeby zdobyć nad nim kontrolę. Chciał poruszać się sprawnie w jego ramach, ale na swoich własnych zasadach i wykorzystać go do własnych celów. Zhao opuściła rodzinne miasteczko i zręcznie balansując na nieprzewidywalnej fali chińskiej gospodarki, dopłynęła aż do kwiaciarni kilka przecznic dalej. Ta podróż kosztowała ją wiele wysiłku, ale z każdym kolejnym etapem coraz lepiej rozumiała system i to zrozumienie przekazywała teraz swoim synom. W ostateczności ryzyko się opłaciło: sytuacja materialna rodziny bardzo się poprawiła, a wnuk rozpoczynał życie w znacznie bardziej sprzyjającym środowisku niż podupadłe górnicze miasteczko na głębokiej prowincji.

Doctoroff uważał, że Chińczycy największą wagę przykładają do bezpieczeństwa, własnego i rodziny, i że to właśnie różni ich od Amerykanów.

– Zostaliśmy wychowani w przekonaniu, że wyrażanie własnego ja jest dobre – powiedział. – Że nie jest niebezpieczne.

Amerykańska kultura zachęcała nas do budowania indywidualnej tożsamości niezależnej od społeczeństwa. W Stanach Zjednoczonych podstawową jednostką ekonomiczną jest pojedynczy człowiek, a amerykańskie instytucje są tak skonstruowane, by wykorzystywać i budować jego ekonomiczną siłę. Natomiast w Chinach tradycyjnie podstawową jednostkę ekonomiczną stanowił klan; w pewnych okresach była to rodzina, w innych partia. W Chinach indywidualny człowiek często miał poczucie, że jego los nie zależy od niego, i niekoniecznie z ufnością spoglądał w przyszłość.

Adresowane do chińskich millenialsów reklamy, które zespół Doctoroffa przygotowuje dwadzieścia pięć pięter nad ulicą Wiecznej Szczęśliwości, odwołują się do potrzeby ryzyka, buntu i wyrażenia własnej osobowości, ale zawsze prowadzą do tej samej konkluzji. W telewizyjnym spocie Forda Focusa grupa młodych artystów maluje mural na ścianie obok parkingu. Gdy w pewnym momencie przyjeżdża focusem ich kolega, jedna ze stojących na rusztowaniu dziewcząt odwraca się z podziwem, zafascynowana urodą samochodu, i niechcący przewraca puszkę farby, która strąca inne puszki. Na asfalcie rozbryzguje się tęcza barw. Kierowca focusa wrzuca bieg i zaczyna rajd po rozlanej farbie, ochlapując swoich przyjaciół. Samochód szaleje po parkingu, popisując się swoimi możliwościami technicznymi. Po chwili kamera odjeżdża do tyłu i okazuje się, że te dzikie harce nie poszły na marne: za pomocą swojego focusa chłopak stworzył na asfalcie własny mural – kolorowy malunek oka.

– Innymi słowy, upiększył parking – podkreśla Doctoroff. Oglądamy razem reklamę, kilkakrotnie zatrzymując film, by omówić jakiś szczegół. – To nie jest bunt przeciwko systemowi. Stworzyli coś wartego podziwu. Jednym z wyzwań kręcenia reklam na chiński rynek jest znalezienie właściwej równowagi pomiędzy indywidualistycznymi dążeniami jednostki a lękiem przed buntem. Ta linia nieustannie przesuwa się do przodu, jeśli chodzi o formę wyrazu, ale wciąż pozostaje ciągła, nie zmienia się w linię przerywaną. Dlatego nie zgadzam się z twierdzeniem, że w Chinach istnieje prawdziwy indywidualizm.

Zespół Doctoroffa składa się niemal wyłącznie z błyskotliwych przedstawicieli pokolenia post-80, absolwentów prestiżowych uczelni. Kiedy dyskutowałem z ich szefem o reklamach, co rusz któryś z nich zaglądał do gabinetu, by posłuchać, o czym mówimy. Nie wszyscy zgadzali się z teorią szefa o braku indywidualizmu w Chinach. Ich spostrzeżenia na temat rówieśników wydały mi się równie interesujące jak wypowiedzi Doctoroffa.

Jednym z tych młodych zdolnych był dyrektor działu planowania Henry Chen. Wychował się w Szanghaju i studiował filozofię na Fudan, najlepszym uniwersytecie w mieście. Miał krótko ostrzyżone włosy i stylowe okulary w oprawce w kolorze szylkretu. Był co najmniej trzydzieści centymetrów

niższy od swojego szefa, nosił luźne spodnie khaki i dopasowany blezer włożony na T-shirt. Stał oparty o futrynę drzwi gabinetu i z poważną miną przysłuchiwał się naszej dyskusji.

Kiedy na chwilę zapadła cisza, poprosiłem go o opinię. Henry zgodził się z Doctoroffem, że w Chinach nieczęsto można spotkać prawdziwy indywidualizm, ale uważał, że w najbogatszych miastach kraju szybko to się zmienia. Jego zdaniem wszystko sprowadzało się do ekonomii. To nie chińska kultura hamowała swobodne wyrażanie osobowości i bunt, lecz brak pieniędzy i możliwości. Tak samo myślał CK.

Zapytałem Henry'ego, co sądzi o Han Hanie, najpopularniejszym wówczas chińskim blogerze. Urodzony w 1982 roku w Szanghaju Han Han był zawodowym kierowcą wyścigowym z pisarskim zacięciem i najbardziej wpływowym przedstawicielem swojego pokolenia. Jego powieść *Triple Door* [Potrójne drzwi] o życiu w szanghajskim gimnazjum nie schodziła w Chinach z list bestsellerów przez dwie dekady. Krytykując w swoich postach chiński rząd, bloger zapuszczał się na niebezpieczne terytorium. Partyjni cenzorzy często usuwali jego wpisy z chińskiego internetu. CK lubił czytać blog Han Hana, ale coś mu nie pasowało w postaci internetowego celebryty.

– Moim zdaniem Han Han to oportunista – powiedział Henry. – Sprzedaje marzenie o buncie, ale jest typowym Chińczykiem. W odpowiednim wieku wziął ślub, ma kochankę, którą się chwali. Nie buntuje się wcale bardziej od innych. Myślę, że jest nieuczciwy wobec siebie. Ciągle mówi, mówi i mówi, ale nigdy niczego nie *robi*.

Doctoroff słuchał swojego pracownika z miną dumnego ojca.

– Henry nie jest typowym młodym Chińczykiem – wtrącił. – W głębi serca pozostał romantykiem i marzycielem. Bardziej ode mnie wierzy, że jego rówieśnicy zaczęli przyswajać sobie zachodni indywidualizm. To ciekawe, jakich słów używa, mówiąc o Han Hanie, bo Han Han osobiście go rozczarował. Myślę, że Henry nadal żywi romantyczne złudzenie, że w Chinach jest miejsce dla indywidualistów.

– Aż tak daleko się nie posuwam – powiedział Henry z urażoną miną. – Ale mimo wszystko uważam, że idziemy w bardzo obiecującym kierunku –

oświadczył w imieniu chińskiej młodzieży.

Zapytałem go, czy kilkusetmilionowa rzesza młodych Chińczyków pewnego dnia zacznie dyktować kulturowe trendy Zachodowi. Tak uważał CK.

– Na pewno jest to możliwe. – Wyraźnie się ożywił. – Z różnych względów, kulturowych i politycznych, wcześniej nie mogliśmy w pełni rozwinąć naszych talentów. Teraz nastąpi odrodzenie, we wszystkich dziedzinach życia, od innowacyjnych technologii po literaturę i filozofię. Ale może przemawia przeze mnie marzyciel – dodał z nieśmiałym uśmiechem.

– Jak myślisz, kiedy to się stanie? – spytałem.

– Niedługo – powiedział.

– I inne kultury będą budować tożsamość pokoleniową na bazie chińskich wzorców? – zapytał Doctoroff.

– Myślę, że tak. Mamy wielki potencjał i jestem przekonany, że możemy zajść bardzo daleko. Głęboko wierzę w jądro chińskiej kultury i uważam, że nadal ma ona wielką wartość w perspektywie globalnej. Jeśli będziemy potrafili sięgnąć do naszych korzeni i do naszego dziedzictwa, nikt nas nie pokona.

W gabinecie Doctoroffa zapadła cisza. Patrzyliśmy z niedowierzaniem na Henry'ego. Czyżby właśnie powiedział, że młodzi Chińczycy staną się „niepokonani"? Zabrzmiał jak chiński Darth Vader.

– Henry jest wyjątkowym człowiekiem – odezwał się wreszcie Doctoroff, chcąc uratować sytuację. – Jednak z moich obserwacji wynika, że większość młodych Chińczyków po okresie marzeń gładko wchodzi w system. Nie masz pojęcia, ile młodych Chinek mówi: „Pojadę do Francji uczyć się gotowania", ale w końcu system i struktura społeczna ściągają je z powrotem na drogę konformizmu.

Na twarzy Henry'ego pojawił się spokojny uśmiech.

– Nigdy nie byłem poza systemem – poprawił łagodnie swojego szefa.

Kiedy marzyciele po tej stronie ulicy Wiecznej Szczęśliwości wprowadzali na rynek tenisówki i zagraniczne samochody, marzyciel z przeciwka handlował akordeonami. Nie była to wcale łatwa branża. Kilka lat wcześniej

C K zbudował dla Polveriniego łańcuch dostawców, dzięki któremu firma mogła wytwarzać w Chinach instrumenty na rynek europejski. Jednak Unia Europejska pogrążyła się w kryzysie i liczba zamówień drastycznie spadła. Co gorsza, nawet te akordeony, które udało się sprzedać, powodowały problemy. CK podpisał umowy z podwykonawcami i wypłacił im zaliczki na wdrożenie produkcji, ale gotowe instrumenty nie brzmiały tak, jak powinny.

W poprzednim roku C K spędził cały miesiąc w fabryce w prowincji Jiangsu, składając od nowa kilka tysięcy akordeonów. Jednak po wysłaniu ich do odbiorców zaczęły się kolejne kłopoty. Przeszło dwa tysiące europejskich klientów zwróciło wadliwe instrumenty, które rozpadły się po kilku miesiącach używania. Okazało się, że fabryka w Jiangsu stosowała nieodpowiedni rodzaj kleju. Zgodnie z kontraktem w takich wypadkach chińscy podwykonawcy powinni pokryć straty z własnej kieszeni, ale kiedy CK przyjechał do fabryki po pieniądze, jej dyrektor roześmiał mu się w twarz.

– Powiedział mi, żebym spadał. Że minęło ponad pół roku i że to już nie jest jego zmartwienie. – C K pokręcił z rozpaczą głową. – Stwierdził, że przecież osobiście sprawdziłem każdy instrument! I że sam je wysłałem do Europy! Więc to mój problem, a nie jego!

Wtedy Polverini zrezygnował z produkowania akordeonów w Chinach.

Firma zatrzymała jednak C K i powierzyła mu nowe zadanie. Miał sprzedawać importowane z Włoch instrumenty Chińczykom z klasy średniej. W odróżnieniu od chińskich kontrahentów tworząca się klasa średnia doceniała mistrzowską precyzję wykonania, którą szczyciła się marka Polverini. Z początku C K sądził, że praca na drugim końcu globalnego łańcucha dostaw będzie miłą odmianą. Objechał całe Chiny i zorganizował bardzo obiecującą sieć dystrybucji. Jednak wkrótce zderzył się z innym, typowo chińskim problemem: pojawiła się konkurencja w internecie, oferująca instrumenty tej samej marki za połowę ich ceny detalicznej. CK zadzwonił pod podany na stronie numer. Odebrał mężczyzna z akcentem z północy kraju.

– Powiedział mi, że mają instrumenty Polveriniego we wszystkich modelach i kolorach, nawet granatowe, choć takich w ogóle nie

produkujemy. Odparłem: „Naprawdę? Macie granatowe polverini? Mógłby mi pan przysłać zdjęcie?”.

C K musiał przeszkolić oficjalnych dystrybutorów marki, jak mają postępować z klientami, którzy dali się nabrać oszustowi.

– W Chinach ciągle mamy bardzo poważny problem z prawami autorskimi – westchnął.

I Piętro Twoja Kanapka także przysparzało mu zmartwień. Często tam zaglądałem, ale już od pewnego czasu nie widziałem, by ktokolwiek krzątał się w kuchni. Spytałem CK, czy przeprowadzili z Maksem redukcję personelu.

– Nie! – odparł. – Sami się zwolnili!

Kiedy C K wyrzucił szefa kuchni, pozostali pracownicy odeszli w geście solidarności. Zostali tylko dwaj kelnerzy i podkuchenny – niezdarny, tyczkowaty młodzieniec, który szybko awansował na kucharza. Od tamtej pory minął już miesiąc, ale nadal nie udało się uzupełnić personelu.

Kiedy wydawało się, że napis „Twoja Kanapka” na wystawionej na chodnik tablicy nie może już ani trochę zmaleć, C K poinformował mnie, że wycofuje z menu większość kanapek, by zrobić miejsce na zestawy śniadaniowe i brunche.

– Wymyślne kanapki nikogo nie interesują – wyjaśnił. – Za to są gotowi wydać kupę kasy na placki, których przygotowanie prawie nic nie kosztuje.

CK rozważał także usunięcie półek z książkami i mało znanymi albumami płytowymi, które zajmowały całą ścianę nasłonecznionej werandy, tworząc przytulną, domową atmosferę.

– Niektórym wydaje się, że mogą tu siedzieć cały dzień i czytać – narzekał. – Ludzie lubią miejsca, gdzie jest ruch, gdzie wpada się, żeby coś zjeść, i zaraz się wychodzi. Wolą, jak jest *renao*, gorąco i głośno.

Zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym. Zaczynał mieć pod oczami worki z niedospania. Pracował siedem dni w tygodniu, od dziesiątej rano do pierwszej w nocy, dzieląc czas między handlowanie akordeonami Polveriniego i rozpaczliwe wysiłki, by uratować restaurację.

– Chyba na jakiś czas odłożymy na bok nasze marzenie o prowadzeniu barku kanapkowego – powiedział.

Po fiasku pierwotnego pomysłu na biznes CK wkroczył w kolejną fazę, przez którą przechodziło wielu chińskich przedsiębiorców: rzucali na ścianę wszystko, co tylko wpadło im w ręce, w nadziei, że coś się do niej przylepi. Kilka przecznic dalej wujek Feng rozszerzał asortyment pieczonych na blasze przekąsek. Gdy zmniejszył się popyt na kwiaty, Zhao Shiling wprowadziła do oferty doładowania do telefonów. Niedaleko serwis Kodaka, w którym od lat nikt nie wywoływał zdjęć, sprzedawał jedwabne pidżamy. W miastach takich jak Szanghaj zainteresowania konsumentów zmieniały się z szybkością tajfunu znad Morza Wschodniochińskiego. Sprawny przedsiębiorca musiał umieć błyskawicznie dostosowywać się do nowego kierunku wiatru.

Inspiracji do części rozwiązań wprowadzanych przez CK dostarczyła podróż do Seulu, którą odbył jako przedstawiciel Polveriniego.

– Koreańczycy przykładają dużą wagę do wyglądu i atmosfery miejsca, do projektu i wykonania. – W Seulu zachwycało go wszystko, poczynając od architektury, a kończąc na uchwytach w wagonach metra. – Nie żadne tam kanciaste kawałki plastiku z reklamami telefonii komórkowej, jak u nas. Koreańskie uchwyty są wyprofilowane z metalu, pasują do ręki i każda linia metra ma inny kolor: pomarańczowy, żółty, czerwony, brązowy. Zanim tam pojechałem, myślałem, że Koreańczycy ciągle robią sobie operacje plastyczne i mają obsesję na punkcie wyglądu – dodał CK. – Myliłem się. Nie są sztuczni, tylko interesujący. A wiesz dlaczego? Bo nie mają rządu, który ich okłamuje i tępi najmniejszy przejaw kreatywności. Tam jest inny system.

Opinia, którą wyrobił sobie w czasie kilkudniowego pobytu w wysoko rozwiniętym kraju azjatyckim, była oczywiście rażącym uproszczeniem. Władze Korei Południowej nie były wzorem uczciwości, a wśród miliarda trzystu milionów Chińczyków znalazłoby się wiele osób, które nie były pozbawionymi wyobraźni automatami. Jednakże CK, przemęczony i wściekły, potrzebował sobie popsioczyć.

– To wina naszego modelu edukacji – perorował. – Nie uczymy dzieci dwóch bardzo ważnych rzeczy: kreatywności i miłości do innych. Ludzie kreatywni podają wszystko w wątpliwość i patrzą głębiej. Ale my jesteśmy płytcy i nie potrafimy zajrzeć pod powierzchnię. Szkoły wypuszczają

nietroszczących się o bliźnich egoistów. Dbamy tylko o własne potrzeby. Jesteśmy płytcy i samolubni.

Młodzi wielbiciele kultury w rodzaju C K mówili o sobie *wenyi qingnian*, dosłownie „kulturalna młodzież", albo w skrócie *wenqing*. Termin ten często tłumaczony jest jako „hipster", choć słowo „*wenqing*" sugeruje raczej miłość do sztuki i kultury oraz czerpanie z życia pełnymi garściami, bez cynizmu i snobizmu zachodnich hipsterów. Kolejna różnica polegała na tym, że wielu hipsterów spędziło dzieciństwo na zamożnych przedmieściach zachodnich metropolii. W przeciwieństwie do nich *wenqing* nie dorastali w komforcie i pieniądze na realizację swoich zainteresowań musieli zdobywać ciężką pracą w trudnym systemie gospodarczym, opartym na ostrej rywalizacji. Rówieśnicy C K wychowali się w Chinach, które niedawno obudziły się z ekonomicznego letargu. Należeli do pierwszego od pół wieku pokolenia, które miało czas i środki na studiowanie egzystencjalizmu, oglądanie niezależnych filmów czy chodzenie do galerii sztuki. *Wenqing* realizowali te nowe idee we własnym życiu, tworząc nowe systemy wartości, i podejmowali życiowe decyzje, kierując się świeżym, często globalnym spojrzeniem.

W 2014 roku w wychodzącym w Pekinie poczytnym czasopiśmie o sztuce ukazał się artykuł poświęcony sylwetkom *wenqing*: „Specjalistka od reklamy, pisze krytyki teatralne i lata nurkować na Filipiny. W wolnym czasie tłumaczy książki kucharskie. Inna dziewczyna kieruje działem *public relations* wielonarodowej korporacji. W drodze do pracy, do której jeździ autobusem, słucha muzyki klasycznej. Wieczorami przepisuje do maleńkiego notesiku wiersze. Przetłumaczyła z angielskiego na chiński trzy powieści romantyczne… Chcą mieć wygodne życie, ale także rozwijać swoją duchowość. Kochają poezję Rilkego i jeżdżą na wakacje do Europy".

Zdarza się, że już stamtąd nie wracają. *Wenqing* są znani z rzucania niedających satysfakcji posad urzędniczych w wielkich miastach i szukania spełnienia gdzie indziej, jak to zrobił w swoim czasie CK. W 2013 roku para młodych ludzi zrezygnowała nagle z pracy w Pekinie, wsiadła do pomarańczowego volkswagena polo kombi i przemierzyła nim całe Chiny,

by osiąść w Dali, otoczonym murami starożytnym mieście na brzegu górskiego jeziora w południowo-zachodnich Chinach, dwa i pół tysiąca kilometrów od Szanghaju. Blog, w którym opisywali swoje nowe życie, podbił chiński internet. Czytały go miliony pracowników biurowych, którzy też marzyli o ucieczce od stresów wielkomiejskiego życia.

„Nie chodzi nam o to, by zarabiać więcej pieniędzy – napisała w jednym z postów Shi Xuxia. – Chcemy po prostu mieszkać w małym mieście, blisko wody i gór, wieść spokojne życie, oddychać świeżym powietrzem, parzyć herbatę wodą z topniejących śniegów i jeść posiłki przyrządzone z naturalnych produktów. Wiele osób podziwia nas albo nam zazdrości. Zawsze im mówię, że mogą zrobić to samo".

Swój ostatni wpis przed opuszczeniem Pekinu kończy pożegnaniem zasnutej smogiem, nerwowej stolicy:

ŻEGNAJ, PEKINIE
ŻEGNAJ, PM2,5
ŻEGNAJCIE, WADY I ZALETY WIELKIEGO MIASTA
ŻEGNAJCIE

Popularność bloga przyniosła im kontrakt na książkę. *Z Pekinu do Dali. Zrób, co chcesz i z kim chcesz* – unikatowe doświadczenie *wenqing*, ładnie opakowane i sprzedawane przez jedno z największych państwowych wydawnictw w Chinach – od dwóch lat utrzymywało się w ciągłej sprzedaży.

Książka cieszyła się niebywałym powodzeniem wśród młodych mieszkańców wielkich miast. Dali było absolutnym przeciwieństwem Pekinu i Szanghaju: wolne tempo życia, niskie zarobki, czyste powietrze i woda, zdrowa, produkowana na miejscu żywność. Miasto nad jeziorem ze wszystkich stron było otoczone górami przykrytymi czapami śniegu. Było idealnym miejscem dla idealistów; nic dziwnego, że *wenqing* z chińskich metropolii ściągali tam tłumnie w pogoni za lepszym życiem.

Kiedy w 2013 roku pojechałem do Dali, by zrobić reportaż, poznałem kilku rówieśników CK, którzy porzucili wielkomiejskie życie.

– Przez pół roku zawarliśmy tu więcej przyjaźni niż przez czternaście lat w mieście – pochwaliła mi się pewna młoda migrantka.

Razem z mężem i trzyletnią córeczką przeniosła się do Dali z Kantonu, gdzie oboje pracowali od rana do nocy w firmie importowo-eksportowej. Zamieszkali w tradycyjnym domu z dziedzińcem na zboczu nad miasteczkiem, z widokiem na jezioro i góry. Codziennie rano wsiadali na rowery i zjeżdżali do zabytkowego centrum. Odwozili małą do przedszkola, a potem otwierali galerię wina ulokowaną przy jednej z brukowanych uliczek starego miasta. Podobnie jak C K liczyli na to, że ich sklepik przyciągnie ludzi, którzy mają podobne podejście do życia.

– W Dali mieszka wiele ciekawych osób z bardzo różnych środowisk – powiedziała mi. – Przyjaźnimy się z reżyserami, dziennikarzami, pisarzami. Spotykamy się, żeby pogadać o tym, jak powinno wyglądać życie, i o naszych ideałach. Ludzie w miastach nie rozmawiają na takie tematy. Nasi znajomi w Kantonie mówili tylko o nowych mieszkaniach i nowych samochodach. Porwał ich wir konsumpcjonizmu. Byli beznadziejni – - stwierdziła.

Zapytałem ich o ujemne strony mieszkania w Dali. Wyliczyli niską jakość opieki zdrowotnej, kiepskie szkoły i rozłąkę z rodziną – te same bolączki, z którymi borykali się cudzoziemcy w Szanghaju. Ale największy problem stanowiły pieniądze. Żaden *wenqing* poznany przeze mnie w Dali nie był niezależny finansowo. Kilka osób, rozprawiając o zgubnych skutkach materializmu, napomknęło mimochodem, że za mało zarabiają. Przejechali półtora tysiąca kilometrów, żeby sprzedawać wino, porady psychologiczne, książki i kawę takim ludziom, jakimi sami jeszcze niedawno byli: zasobnym turystom i przesiedleńcom z wielkich miast. Klienci codziennie przypominali im czasy, gdy sami należeli do klasy konsumenckiej.

Co gorsza, żyjąc z turystów, musieli między sobą o nich rywalizować. Cienko przędło nawet małżeństwo *wenqing* z Pekinu, które podpisało kontrakt na książkę. We wrześniu 2014 roku Shi Xuxia zaszokowała wiernych czytelników bloga, oświadczając, że oboje z mężem pakują się, by wrócić do Pekinu. Napisała, że „niespodziewanie” otrzymała „propozycję pracy” i że zaczyna zaraz po Święcie Narodowym. Nie podała żadnego innego wyjaśnienia. Obok ostatniego wpisu z Dali zamieściła zdjęcie, na

którym ubrana w lnianą bluzę spogląda tęsknie na szczyty gór i rozjarzone promieniami zachodzącego słońca obłoki.

> To nasz ostatni dzień w Dali. Nareszcie przejaśniło się po kilku dniach mżawki. Wyszłam na taras popatrzeć na rozgwieżdżone niebo. Przeżyłam tu ponad pięćset takich nocy. Spełniłam swoje marzenie, pora rozpocząć pogoń za następnym. Myślę, że na tym polega życie. Niedługo zaczniemy wszystko od nowa. Właściwie każdy dzień jest zaczynaniem od nowa. Każdy dzień jest piękny, prawda?
>
> Żegnaj, kochane Dali. Kiedyś do ciebie wrócę.
>
> Dali, Dali…

C K powiedział kiedyś o sobie, że jest *wenqing*. I jak na prawdziwego *wenqing* przystało, natychmiast zastrzegł, że ma inżynierski umysł. Dzięki temu zdobył pracę u Polveriniego, z której opłacał rachunki, jednak trudno było nie zauważyć, że ma wiele cech typowego *wenqing*: był muzykiem, czytał dzieła Nietzschego, eksperymentował z narkotykami i przed otwarciem barku kanapkowego pracował w sklepie fotograficznym specjalizującym się w lomografii, czyli niszowym ruchu artystycznym, którego adepci robili kolorowe obrazki przedmiotów codziennego użytku w technologii lo-fi, czyli za pomocą radzieckiego aparatu fotograficznego Łomo.

Ale CK miał także w sobie coś z *fenqing*. Termin ten był skrótem od *fennu qingnian*, w dosłownym tłumaczeniu „gniewna młodzież”. Określano nim młodych patriotów, którzy podejrzliwie odnosili się do intencji obcych państw, ale niezbyt ufali też własnemu rządowi. *Fenqing* byli dumni z długiej historii i tradycji kulturowej Państwa Środka i z młodzieńczym żarem domagali się, by Chiny wywalczyły sobie silniejszą pozycję na świecie. Była to kolejna z wielu szufladek, do których porozdzielali się młodzi Chińczycy, przez co zawieranie nowych znajomości przypominało trudne zadanie ze zbiorów: jesteś z pokolenia post-80 czy post-90? Należysz do kulturalnej młodzieży czy gniewnej młodzieży? *Wenqing* czy *fenqing*? Po chwili te wszystkie etykietki przestawały mieć jakiekolwiek znaczenie. Dla mnie byli po prostu *qing* – młodymi. Próbowali zrozumieć świat. Robili to samo, co

naturalną koleją rzeczy robi młodzież na całym świecie. Chcieli znaleźć szczęście.

Tamtej wiosny, po powrocie z Dali, zajrzałem do I Piętra Twojej Kanapki. Była pora lunchu, ale knajpka świeciła pustkami. CK siedział za barem w głębi pomieszczenia i uzupełniał na komputerze księgowość.

– Skończę za pięć minut! – zawołał.

Miał na sobie kwiecistą koszulę i beżową sportową kurtkę. Szyję owinął szalikiem w kolorze leśnej zieleni. Na jego nadgarstkach postukiwały buddyjskie koraliki, w lewym kąciku ust zrobiło się zimno, do którego przytykał co chwila chusteczkę. Zanim skończył rachunki, do kafejki weszła młoda cudzoziemka z włosami ufarbowanymi na jaskrawy róż, ubrana w długi trencz.

– *Hello, darling* – przywitał ją CK, naśladując brytyjski akcent.

Na dworze było słonecznie, ale chłodno. Pączki na gałęziach platanów zapowiadały rychłe nadejście wiosny, jednak na wyższe temperatury trzeba było jeszcze poczekać.

Kiedy parzyła się zamówiona przez dziewczynę herbata, CK przemaglował ją w kwestii różnych gatunków narodowego napoju Anglików.

– Przede wszystkim jest English Breakfast – powiedziała, ale nie usłyszałem dalszej część wykładu, bo zagłuszył ją płynący z głośników rhythm’n’blues.

CK słuchał uważnie, skrzętnie robiąc notatki. Kiedy herbata była gotowa, Brytyjka wzięła styropianowy kubek i wyszła.

– *Ciao, sweetie* – rzuciła przez ramię, schodząc po spiralnych schodach.

Kiedy w końcu CK dosiadł się do mnie, zapytałem go o dziewczyny.

– Skaczę trochę z kwiatka na kwiatek – przyznał – ale powoli zaczyna mi się to nudzić. Chciałbym związać się z kimś na poważnie. Tylko nie znalazłem jeszcze odpowiedniej osoby.

Swoją ostatnią „poważną” dziewczynę C K poznał na WeChacie. Pochodziła z Qingdao, miasta nad Morzem Żółtym. Wspólni znajomi przesyłali mu jej posty, pisane egzaltowanym stylem, podobnym do bloga małżeństwa, które wyprowadziło się do Dali. Opowiadały standardową

historię *wenqing*: autorka marzyła o wyjeździe na Kubę, ale rodzice nie chcieli jej puścić. Dlatego postanowiła wystartować w konkursie na opowiadanie, w którym główną nagrodą był roczny kurs żeglarstwa. Wygrała, wyjechała do Anglii i nauczyła się żeglować, po czym wsiadła na jacht i popłynęła na Kubę.

– Przez osiemnaście dni żeglowała po Atlantyku, nie myjąc się ani nic – powiedział mi CK, zachwycony, że taka kobieta w ogóle istnieje.

Kiedy już odfajkowała Kubę, postanowiła otworzyć w rodzinnym mieście kawiarnię. CK zaproponował, że podzieli się z nią swoimi doświadczeniami. Zaprosiła go do znajomych na WeChacie, przez kilka miesięcy wymieniali się relacjami z pierwszej linii gastronomicznego frontu, aż w końcu dziewczyna przyleciała do Szanghaju i wybuchł namiętny romans.

– Ale potem wróciła do Qingdao. Nie chciała rezygnować ze swojego marzenia o kawiarni – powiedział. W jego głosie brzmiał smutek, ale także podziw. Na jej miejscu zrobiłby to samo.

Rozglądając się po pustej sali, zauważyłem, że wygląda trochę inaczej niż kilka tygodni temu. Na stolikach leżały fioletowe ulotki reklamujące „Darmowego Tarota". Każdy gość, który wydał w kafejce co najmniej sto juanów, mógł się umówić na gratisowe stawianie tarota, ale pod warunkiem że ograniczy się do jednego pytania. Konsultacje odbywały się na miejscu.

– Naszych klientów interesują takie rzeczy. Będą chcieli przyjść znowu. Zyskają na tym obie strony – wyjaśnił mi CK.

Nie była to jedyna zmiana. CK pokazał mi nowe menu. Sprzedał ekrany dotykowe i zrewolucjonizował kartę dań: homar po bostońsku, strzępiel z rusztu, ćwierćkilogramowy stek z australijskiej wołowiny.

– To chyba już nie jest barek kanapkowy – zauważyłem, przeglądając nową ofertę.

– Przestawiliśmy się na brunche w ciągu dnia i na wykwintną kuchnię francuską wieczorem – oznajmił. – Wieczorami w ogóle nie było ruchu. Nikt nie chce jeść kanapek na kolację. Uznałem, że powinniśmy wprowadzić bardziej wyszukane potrawy.

Pomyślałem o tablicy z nazwą lokalu przed wejściem na chodniku. Jak bardzo jeszcze można zmniejszyć „Twoją Kanapkę"?

CK był wyraźnie podekscytowany.

– W walentynki mieliśmy zagranicznych gości. Powiedzieli, że im smakowało.

– A homar? Naprawdę jest z Bostonu?

– Tak!

– Świeży czy mrożony?

CK posłał mi spojrzenie, które mówiło: „Czy wyglądam, jakby mnie było stać na akwarium z homarami?”.

– A co z tym? – spytałem o stek z australijskiej wołowiny.

– Właściwie to go nie mamy. Sprawdziłem kilku dostawców, ale nie udało mi się znaleźć mięsa odpowiedniej jakości.

– To co robicie, kiedy ktoś chce go zamówić?

CK wzruszył ramionami.

– Mówimy, że właśnie się skończyły. I polecamy fettuccine Alfredo! To menu obiadowe! Musimy mieć w karcie stek. Inaczej ludzie powiedzieliby: „Co jest, do cholery, z tą restauracją? Miała być kuchnia francuska!”. Bez steku w karcie nie da rady.

CK wyznał, że nowe menu jest ostatnią deską ratunku. I Piętro Twoja Kanapka nadal nie przynosi zysków, a obaj z Maksem utopili już w lokalu kilkaset tysięcy juanów z własnych oszczędności. Jeśli do końca roku restauracja nie zacznie zarabiać, to będą musieli ją zamknąć.

– Jeśli to się nie uda, trzeba się będzie pożegnać z marzeniem.

Pomyślałem o marzeniach młodych ludzi, których spotkałem w Dali, i o marzeniach, z których dwadzieścia pięć pięter nad ulicą Wiecznej Szczęśliwości zwierzył mi się Henry. Pomyślałem o politycznym „chińskim śnie” Xi Jinpinga, który partia chciała wpoić wszystkim obywatelom.

Chiny weszły w epokę wielkich marzeń i chyba wcale nie było najważniejsze, czy te marzenia się spełniają. Mąż i żona, którzy marzyli o życiu w Dali, ale ostatecznie wrócili do Pekinu, nie byli nieudacznikami i czytelnicy ich bloga też o nich w ten sposób nie myśleli. Po tej przygodzie została im książka. Uznali, że nadszedł czas na zarabianie pieniędzy, założenie rodziny i pogoń za kolejnym pragnieniem.

Jednakże pragnienia państwa często kolidowały z pragnieniami jednostek. Myślałem o moich znajomych z Maggie Lane: Starym Kangu, Burmistrzu Chenie i jego żonie. Ich zwyczajne marzenie o spokojnym życiu we własnym mieszkaniu przegrało w starciu ze świetlaną wizją lokalnych urzędników. Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim Chińczycy poczują, że każdy ma takie samo prawo dążyć do spełnienia swoich marzeń. Jeśli jednak pamięta się o tym, przez co Chiny przeszły w XX stuleciu, trudno jest być pesymistą. Pomyślałem o listach rodziny Wangów, walczącej o przetrwanie w latach pięćdziesiątych, i o wspomnieniach cioci Fu i wujka Fenga, którzy dekadę później kolonizowali Xinjiang. Kto mógł przypuszczać, że pół wieku po bezsensownej rewolucji kulturalnej i katastrofalnej klęsce głodu mieszkańcy Państwa Środka nie tylko będą mieli siłę marzyć, lecz także będą dysponować środkami i wolnością, by próbować te marzenia urzeczywistnić?

Kiedy miesiąc później ponownie odwiedziłem kafejkę CK, po mieście hulał wilgotny wiatr z południa. Łagodny, ciepły deszcz opłukał powietrze z zanieczyszczeń. Na dworze pachniało kwiatami. Po powierzchni osiedlowego stawu pływały różowe płatki kwiatów brzoskwini. Za oknami I Piętra Twojej Kanapki wyrósł gąszcz zielonych listków, który zasłonił widok na ulicę, i znów poczułem się, jakbym siedział w domku na drzewie. Lokal świecił pustkami, światła były zgaszone, rozsuwane okna otwarte na oścież. W kojący szum deszczu co chwila wdzierał się przeciągły warkot przejeżdżającego w dole samochodu. Chodnikiem ulicy Wiecznej Szczęśliwości płynęła rzeka parasolek, które z góry przypominały kolorowe komórki krwi, odbijające się jedna od drugiej w drodze do pulsującego serca. C K przywitał mnie uśmiechem i dobrą wiadomością: po dwóch latach wreszcie zaczęli zarabiać pieniądze. Marzenie jego i Maksa nie umarło.

9 Zawłaszczone marzenia

麦琪里

Maggie Lane

Na pożółkłej ze starości mapie z lat czterdziestych XX wieku wzdłuż odcinka ulicy Wiecznej Szczęśliwości, na którym dziś znajduje się barek kanapkowy CK, ciągnie się rząd sklepików. Bez szkła powiększającego nie da się odczytać misternych znaków tradycyjnego chińskiego pisma, którymi poznaczone są poszczególne kwadraciki: „Szczęśliwy Ryż", „Fabryka piór szkolnych", „Sos Sojowy dla Pomyślności i Zdrowia". Klienci tych sklepów mieszkali w sąsiednim kwartale, w labiryncie zaułków, które oplatały kilkadziesiąt ponumerowanych działek, zabudowanych *shikumen* z szarej i czerwonej cegły. Niegdyś była to dzielnica zamożnych ludzi. Dziś po starych sklepach, domach z kamiennymi bramami i zaułkach nie został już żaden ślad. Przeszły do sfery snów o zapomnianej przeszłości. Ale kilka kroków od dzisiejszych barów kanapkowych, restauracji i kafejek, w domu na otoczonej murem, wypalonej parceli Burmistrz Chen pamięta.

Rodzina Chena zapłaciła za swoje marzenie dziesięć sztabek złota.

Kupili *shikumen* w nowym osiedlu o egzotycznie brzmiącej nazwie Maggie Lane, które powstawało wówczas na terenie koncesji francuskiej. Na tyłach tętniącej życiem ulicy Spokojnej Pomyślności wyrastały dwupiętrowe ceglane domy z podwórzami, na których mogły bawić się dzieci.

Chen senior marzył o domu w nowym osiedlu przecznicę dalej, przy bardziej zamożnej ulicy Wiecznej Szczęśliwości, ale miał tylko trzynaście sztabek złota o łącznej wadze czterech kilogramów, które stanowiły wówczas równowartość około siedemdziesięciu tysięcy dolarów. Mógłby za nie kupić najwyżej małe mieszkanko. Dlatego w 1933 roku rodzina zdecydowała się na duży dom w Maggie Lane i cieszyła się, że zostały jej jeszcze trzy sztabki złota.

Trzydzieści trzy lata później rozległo się głośne stukanie do drzwi. Dwudziestojednoletni syn Chen Zhongdao popędził na górę, by ukryć złoto. Jedną sztabkę wsunął do kieszeni spodni; pozostałe dwie matka zdążyła ukryć pod ubraniami w szafie. Stukanie przeszło w ciągłe walenie. Chłopak zbiegł na dół otworzyć drzwi.

Był 1966 rok. Chińska gospodarka znajdowała się w opłakanym stanie, przewodniczący Mao zainicjował rewolucję kulturalną. Niedawno hunwejbini splądrowali sąsiedni *shikumen*, w którym działała prywatna fabryczka maszyn do szycia. Banda niezdarnych wyrostków skonfiskowała biżuterię, gotówkę, książeczki oszczędnościowe i inne dowody kapitalistycznej działalności. Dlatego w tamto letnie popołudnie Chen nie zdziwił się na widok grupki rozwydrzonych młokosów, którzy w imieniu państwa wdzierali się do domów obywateli.

– Przyszliśmy, żeby pomóc wam zniszczyć „cztery stare rzeczy” – oznajmił jeden z chłopaków: starą kulturę, stare zwyczaje, stare nawyki i stare idee.

W całym kraju oddziały Czerwonej Gwardii odbierały właścicielom dzieła klasycznej chińskiej literatury i malarstwa, biżuterię, symbole religijne i meble, które władza uważała za zatruwające umysły, antyproletariackie przeżytki burżuazyjnej kultury.

Chen wpuścił ich do środka. Z trudem powstrzymując uśmiech, zastanawiał się, jak ci nieopierzeni smarkacze rozpoznają, które przedmioty w jego domu należą do tych czterech niezbyt jasnych kategorii. Niektórzy czerwonogwardziści nie mieli jeszcze piętnastu lat. Hunwejbini przez wiele godzin przetrząsali dobytek rodziny, niepewni, czego właściwie szukają. Wyszli nad ranem, zabierając ze sobą trochę ubrań i kilka sztuk biżuterii. Nie znaleźli ukrytych w szafie sztabek. Chen powiedział mi, że byli zbyt zdenerwowani, by kazać mu opróżnić kieszenie. W bezładnym szyku odmaszerowali w kierunku następnego *shikumen*.

Pierwotni właściciele domów w Maggie Lane zdążyli się przyzwyczaić do takiego nękania. Wielu z nich wywodziło się z klasy wyższej i kupiło swoje domy jeszcze przed dojściem do władzy komunistów. Już prawie dwadzieścia lat starali się tak formułować swoje życiorysy, by uniknąć

etykietki „posiadacza”, „kontrrewolucjonisty”, „kapitalisty”, „niepożądanego elementu” i całej masy innych, obelżywych epitetów, jakimi piętnowano wrogów państwa.

W ciągu sześciu lat od „wyzwolenia” Chin w 1949 roku partia przejęła niemal wszystkie grunty w kraju i stała się faktycznym właścicielem kilkuset milionów nieruchomości. Ojciec Chena musiał płacić nowemu rządowi czynsz za dom kupiony za oszczędności całego życia. Żył w ciągłym strachu. Zarządzał fabryczką tekstyliów i zarabiał trzysta juanów miesięcznie – całkiem spore, jak na owe czasy, pieniądze. Obawiał się, że prędzej czy później zostanie uznany za element prawicowy albo kapitalistę i zesłany do obozu pracy. Był tak głęboko przekonany, że to nie może skończyć się inaczej, że kiedy kilka lat później państwo przejęło jego zakład, bez protestu zgodził się na siedemdziesięciopięcioprocentową obniżkę zarobków. Odtąd harował jak wół – brał po kilka zmian jednocześnie, odmawiając sobie snu i rezygnując z posiłków, aż w końcu lokalna komórka partyjna doceniła jego postawę i przyznała mu tytuł „wzorowego pracownika”. W 1959 roku, kilka miesięcy przed pięćdziesiątymi urodzinami, stary Chen przewrócił się w pracy. Zmarł z wyczerpania przy wytopie stali na potrzeby kampanii Wielkiego Skoku Naprzód Mao Zedonga. Pozostawił po sobie żonę i ośmioro dzieci w domu w Maggie Lane, który nie był już ich własnością, lecz marzeniem rodziny zawłaszczonym przez państwo.

Kilka dni po wizycie hunwejbinów młody Chen Zhongdao udał się rowerem do pracy w fabryce odzieżowej i tam ukrył złote sztabki w brudnym sztruksowym kombinezonie roboczym, który zostawił we wspólnej szatni. Wieczorem, po powrocie do domu, naradził się z matką i starszym rodzeństwem, co robić dalej. Musieli coś postanowić, bo posiadanie większych ilości złota było niezgodne z prawem. Wobec wzmożonej aktywności czerwonogwardzistów rewizja w fabryce była tylko kwestią czasu. Gdyby znaleźli sztabki, Chena czekałoby więzienie, a może nawet egzekucja. Naloty przeprowadzane przez bandy niezgrabnych wyrostków na pozór wyglądały komicznie, ale mieszkańcom Maggie Lane, którzy nie zdołali wyprzeć się swoich związków z „czterema starymi rzeczami”, wcale nie było do śmiechu. Niedawno hunwejbini uwzięli się na słynną diwę

klasycznej szanghajskiej opery, Xiao Aiqin, która też mieszkała w Maggie Lane. Podobno po dwóch latach prześladowań i publicznych upokorzeń popełniła samobójstwo, rzucając się do rzeki Huangpu.

Matka Chena wysłała go do państwowego Chińskiego Banku Przemysłowo-Handlowego, który mieścił się dziesięć przecznic dalej, obok świątyni Jing'an. Było gorące, letnie popołudnie. Chen stanął w kolejce, trzymając pod pachą trzy sztabki złota, zapakowane schludnie w gazetę. Denerwował się. Po dojściu do okienka podał złoto kasjerowi, który zważył oddzielnie każdą sztabkę. Następnie wręczył chłopcu kwit i powiedział, że będzie mógł w każdej chwili odebrać swoją własność.

Trzy lata później, kiedy rewolucja kulturalna zaczęła wytracać powoli impet, Chen próbował odzyskać złoto. Pojechał rowerem do Chińskiego Banku Przemysłowo-Handlowego i z kwitem w ręku skierował się prosto do okienka.

– Przykro mi – usłyszał od kasjera – ale nie mogę zwrócić panu pańskiego złota. Posiadanie złota jest nielegalne.

Kasjer wypłacił Chenowi równowartość sztabek po oficjalnym kursie: dwa tysiące dziewięćset *renminbi*, jedną szóstą ceny na rynku światowym. Młody mężczyzna nie protestował. Tak czy inaczej, była to spora suma, a on znajdował się w państwowym banku i właśnie poinformowano go, że złamał prawo. Pomyślał o sąsiadach, zesłanych, ukaranych grzywną lub śmiercią za mniejsze przewinienia. Schował gotówkę do kieszeni, zacisnął zęby, wyszedł na ulicę i popedałował z powrotem do Maggie Lane.

– Byłem taki naiwny – westchnął Burmistrz Chen, myśląc o tamtym złocie. – Byłem młody i naiwny.

Siedzieliśmy w czytelni lokalnego ośrodka kultury naprzeciw osiedla Maggie Lane, a raczej tego, co z niego zostało. Po mojej pierwszej wizycie za murem wartownik miał kłopoty, więc więcej mnie tam nie wpuścił. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo i tak wszystko widziałem z okna mojej sypialni.

Z muru zniknęło hasło wystawy światowej „Lepsze miasto, lepsze życie". W październiku 2010 roku, na ceremonii zakończenia Expo, wicepremier

Wang Qishan powiedział publiczności, że motto wystawy poniosą kolejne pokolenia. „Jestem pewien, że wizja »lepsze miasto, lepsze życie« zostanie urzeczywistniona” – oznajmił z pełnym przekonaniem.

Następnego ranka nad Szanghajem zawisła warstwa toksycznego smogu. Drapacze chmur kilometr od okna naszej sypialni zniknęły w gęstej mgle. Na okres wystawy światowej wstrzymano prace budowlane, rolnicy na terenach, z których wiał wiatr, otrzymali zakaz palenia łusek ryżu, do miasta nie wpuszczano ciężkich pojazdów. Przez pół roku trwania imprezy dziewięćdziesiąt procent wskaźników jakości powietrza utrzymywało się na „dobrym” poziomie. Teraz ograniczenia przestały obowiązywać i powietrze w Szanghaju znów było gęste od pyłów i zanieczyszczeń.

W Maggie Lane ekipa rozbiórkowa odwiedziła Burmistrza Chena, jego żonę Xie Guozhen i cztery inne rodziny, które mieszkały jeszcze w częściowo zburzonych domach; w całym osiedlu pozostało zaledwie kilkanaście osób. Od poprzedniej wizyty, zakończonej podpaleniem, morderstwem i wyrokami więzienia, minęło pięć lat. Tym razem budowlańcy byli lepiej przygotowani. Przynieśli ze sobą decyzję władz dzielnicy oraz oficjalny nakaz eksmisji, zatwierdzony przez sąd rejonowy.

Tymczasem Chen stał się ekspertem od przepisów dotyczących przymusowych relokacji mieszkańców. Pełnił przecież funkcję nieoficjalnego burmistrza Maggie Lane. Wiedział, że aby nakaz był egzekwowalny, sąd musi rozesłać imienne powiadomienia do wszystkich mieszkańców – nie wystarczy zawiadamiać ich o tym zbiorowo za pośrednictwem ekipy rozbiórkowej.

Interpretacja prawna Burmistrza Chena nie zrobiła jednak wrażenia na bezwzględnych typach przyzwyczajonych do radzenia sobie z upartymi mieszkańcami. Niebawem zjawili się znowu, tym razem ze sprzętem do wyburzania ścian. Burmistrz Chen nie po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji. Przyciągnął z kuchni na balkon butlę z gazem i zawołał ekipę.

– Uprzedziłem ich, że jeśli spróbują wyrzucić mnie z domu, przywiążę się do butli gazowej i zginiemy razem – wspomina Chen. – Powiedziałem im: „Ja jestem po sześćdziesiątce, a wy, chłopcy, macie po czterdzieści kilka lat, rodziny i dzieci. Przed wami całe życie. Nie boję się umrzeć”.

Ekipa rozbiórkowa więcej się nie pokazała.

Władze dzielnicy zmieniły kwalifikację Maggie Lane w planie zagospodarowania, przeznaczając teren pod obiekty użyteczności publicznej. Oznaczało to, że po usunięciu dotychczasowej zabudowy mogą tam powstać park, szkoła, szpital albo gmach instytucji publicznej, ale w żadnym razie obiekty handlowe czy mieszkalne.

Mieszkańcy nie traktowali tej zmiany poważnie. Kto wie, czy Maggie Lane nie była najcenniejszym niezagospodarowanym kawałkiem gruntu w całym mieście. Jak usłyszałem od pewnego dewelopera, w grę wchodziły zbyt wielkie pieniądze, by zakładać tam park albo budować szkołę. Władzom dzielnicy się nie spieszyło: w latach 2003–2013 wartość nieruchomości w Szanghaju rosła o średnio czternaście procent rocznie, a ceny luksusowych mieszkań w tej okolicy sięgały kilku milionów dolarów.

Burmistrzowi Chenowi chodziło tylko o to, by zgodnie z obietnicą urząd przyznał mu lokal w pobliżu dawnego domu albo wypłacił godziwe odszkodowanie, które wystarczy na kupno mieszkania w tej samej dzielnicy.

– Formalnie po wywłaszczeniu nie mogą sprzedać tej ziemi – wyjaśnił, pokazując mi kserokopie odpowiednich ustaw. – Tutaj jest napisane, że mamy prawo wrócić do tej samej dzielnicy, ale wyraźnie nikt się tym nie przejmuje. Urzędnicy siedzą z założonymi rękami i patrzą, jak ceny szybują w górę. Na razie nie zamierzają nic robić.

Przejrzałem urzędowe papiery, które Chen rozłożył na niskim stoliku w czytelni lokalnego ośrodka kultury. Większość raportów policyjnych pochodziła sprzed dziesięciu lat: „Mieszkańcy skarżą się, że ktoś rzuca w ich okna kamieniami”, „Mieszkańcy skarżą się, że odłączono im prąd” i tak dalej.

Wyłaniała się z nich dobrze udokumentowana historia nękania lokatorów przez ekipę rozbiórkową. Wreszcie skojarzyłem fakty: osiedle The Summit powstało dziesięć lat temu. Kiedy odwiedziłem Maggie Lane, powiedziałem Burmistrzowi Chenowi i Staremu Kangowi, że mieszkam po drugiej stronie ulicy i widzę z mojego okna ich domy. „To nam zawdzięczasz ten uroczy widok!” – zażartował wtedy Stary Kang.

– Co znajdowało się wcześniej tam, gdzie teraz stoi The Summit? – zapytałem Chena.

– Zaułki ze zwyczajnymi domami, skromniejszymi od naszych. To nie była część Maggie Lane – odparł burmistrz. – Tam też podczas wysiedlania zginął jeden z mieszkańców.

– W jaki sposób?

– Słyszałem, że mieszkał przy samej ulicy i prowadził w domu sklep, a może warsztat. Kiedy przyszła ekipa rozbiórkowa, oblał się benzyną, wczepił w jednego z budowlańców i przyłożył zapałkę.

Dodał, że to była ta sama ekipa, która terroryzowała Maggie Lane i podpaliła dom jego sąsiadów.

– Nie pamiętam, jak się nazywał, ale mam w domu numer telefonu do jego żony. Znajdę go. Do dziś domaga się sprawiedliwości od władz. Nasza dzielnica jest pełna takich historii.

W Chinach nadal cała ziemia należy do państwa. Po śmierci Mao Zedonga partia zaczęła rozszerzać prawa Chińczyków do zajmowanych przez nich nieruchomości. Obecnie mogą „wykupić” siedemdziesięcioletnią dzierżawę swoich domów. Partyjni urzędnicy nazywają ich „właścicielami”, chociaż ostatecznie wszystko należy do rządu.

Obok prawa własności stopniowo wprowadzane są przepisy lepiej chroniące mieszkańców posesji. W 2011 roku Rada Państwa Chińskiej Republiki Ludowej zdecydowała, że lokalne władze mogą wywłaszczać mieszkańców tylko wtedy, gdy na danym terenie mają powstać obiekty użyteczności publicznej. Ten sam organ określił następnie szczegółowe zasady przyznawania odszkodowań za przymusowe wysiedlenia, gwarantujące właścicielom odebranych nieruchomości rekompensatę w wysokości ceny rynkowej.

Decyzje te zapadły po dziesięcioleciach brutalnych przepychanek między właścicielami a przedstawicielami władz. Chińska gospodarka rozwijała się w zawrotnym tempie. Lokalni urzędnicy weszli w rolę agentów nieruchomości, odbierających domy mieszkańcom, żeby z zyskiem

odsprzedać ziemię deweloperom. W 2013 roku średnio ponad jedna trzecia budżetu organów samorządowych pochodziła z dochodów z handlu gruntami.

– W normalnym kraju rząd nie może zarabiać na takich transakcjach – powiedział mi kiedyś Wang Cailiang, znany szanghajski prawnik specjalizujący się w prawie własności. – Przedstawiciele władzy powinni jedynie zarządzać ziemią. Nie są biznesmenami.

Mimo to z biegiem lat funkcjonariusze lokalnych władz stali się kapitalistami z prawdziwego zdarzenia. W chwilach wolnych od wywłaszczania mieszkańców i sprzedawania ich domów temu deweloperowi, który zaoferował najwięcej, rozbijali się po ulicach czarnymi audi albo kupowali żonom i kochankom torebki w luksusowych salonach Coach czy Louis Vuitton. Rozpętała się orgia chciwości i korupcji. Ilekroć przygotowywałem materiał o kolejnym nadużyciu władz, wyrzucani z domów mieszkańcy zawsze obarczali winą lokalnych urzędników, wierząc, że rząd w Pekinie chce dla nich jak najlepiej.

– Gdyby przywódcy partii wiedzieli, co tu się naprawdę dzieje – słyszałem zazwyczaj – niezwłocznie ukróciliby te praktyki.

Jednakże w porównaniu z rozmiarami korupcji na szczytach władzy wywłaszczanie mieszkańców wyglądało jak kradzież cukierka z osiedlowego sklepiku. Wykorzystując swoją pozycję, partyjni notable gromadzili miliardowe majątki w akcjach przedsiębiorstw i nieruchomościach. Informacje o nadużyciach nie przedostawały się jednak do cenzurowanego przez władzę internetu. Za to oficjalne media z upodobaniem zamieszczały fotoreportaże z gospodarskich wizyt w wiejskich szkołach i szpitalach. Miały one przekonać obywateli, że rząd dba, by wszystko było w porządku. Zwykli ludzie z Maggie Lane nie mieli wątpliwości, kto jest zły, a kto dobry. Rzeczywistość jednak nie zawsze była czarno-biała.

Pekin nie tylko wiedział o nagminnych grabieżach ziemi, lecz wręcz stworzył i podtrzymywał system, który utrwalał te praktyki. Li Ping, prawnik współpracujący w Pekinie z międzynarodową organizacją na rzecz ochrony praw własności Landesa, wyjaśnił to w prostych słowach: „Większość zebranych podatków, na ogół ponad siedemdziesiąt procent, zgarnia rząd

w stolicy. Dla władz lokalnych [wywłaszczenia] są jedynym sposobem na podreperowanie budżetu”.

Li był wybitnym specjalistą w zakresie prawa własności. Rada Państwa zwracała się do niego o opinię, gdy przygotowywała nowe rozwiązania prawne. Li uważał, że lokalne władze uzależniły się od przejmowania gruntów, ponieważ nie miały innych możliwości zdobycia środków na realizowanie ciążących na nich zadań. Według niego najlepszym rozwiązaniem byłoby pozwolenie lokalnym władzom na pobieranie podatku od nieruchomości (w odróżnieniu od mieszkańców krajów zachodnich, w Chinach właściciele domów nie płacą osobnego podatku) oraz wprowadzenie reform rynkowych, które umożliwią władzom municypalnym wypuszczanie własnych obligacji. Niektóre miasta zaczęły w 2014 roku korzystać z tego ostatniego narzędzia.

Zjawisko zawłaszczania gruntów przybrało takie rozmiary, że koniecznie trzeba było coś z tym zrobić. Li szacował, że do 2013 roku lokalni urzędnicy przejęli nielegalnie nieruchomości co najmniej czterdziestu milionów Chińczyków.

– Przy takim tempie wywłaszczania każdego roku wyrzucamy z mieszkań trzy miliony ludzi – powiedział Li. – Jeśli nie zaczniemy wypłacać adekwatnych odszkodowań, będziemy produkować sobie trzy miliony dysydentów rocznie.

Jedną z nich była Xi Guozhen (nie należy jej mylić z żoną Burmistrza Chena, Xie Guozhen). Chen opowiedział mi historię jej męża, który zginął w płomieniach, walcząc z ekipą rozbiórkową. Była to ta sama banda, która terroryzowała mieszkańców Maggie Lane. Ostatnie, dramatyczne chwile jego życia rozegrały się na parceli naprzeciw Maggie Lane, na której dziś wznosi się mój blok.

Nazwisko Xi wymawia się „Śi”. Tuż przed naszym spotkaniem wysiadła z pociągu z Pekinu. Rano została zwolniona z więzienia, do którego trafiła za domaganie się sprawiedliwości. Odsiedziała wyrok w Majialou, byłym posterunku policyjnym przeobrażonym w więzienie dla ludzi, którzy przyjeżdżali do stolicy z całych Chin, żeby poskarżyć się najwyższym

organom państwowym na doznane krzywdy, od grabieży ziemi po łapówkarstwo na wysokim szczeblu. Nie znaleźli sprawiedliwości w lokalnych sądach podlegających tym samym urzędnikom, którzy ich skrzywdzili. Po przyjeździe do Pekinu wpadali w ręce zbirów wynajętych przez skorumpowanych notabli z ich rodzinnych miast.

Majialou stało się dla Xi drugim domem.

– W ciągu ostatniego pół roku spędziłam tam dużo czasu. Raz odsiedziałam dwa tygodnie, kiedy indziej sześć dni, przedtem trzydzieści osiem, a teraz znów sześć dni. Jak tylko mnie wypuszczają, od razu idę pod Zhongnanhai – mówi, mając na myśli siedzibę władz Komunistycznej Partii Chin w pobliżu placu Tian'anmen.

Przed bramą kompleksu Zhongnanhai Xi rozwija transparent albo rozrzuca ulotki pod samym nosem wartowników. Zwykle ma na to tylko kilka sekund, zanim zostanie obezwładniona, aresztowana i wrzucona do furgonetki, która odwozi ją z powrotem do Majialou.

– Moje życie składa się z ciągłych powtórzeń – stwierdza.

Brutalna powtarzalność życia Xi odbiła się na jej zdrowiu i wyglądzie. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy sześćdziesięciojednoletnia kobieta wiele razy była wleczona za włosy i bita przez więziennych strażników; raz połamali jej żebra. Zaczęła tyć, pod jej brązowymi oczami pojawiły się ciemne sińce.

Xi miała kiedyś mieszkanie na pierwszym piętrze budynku w zaułku za ulicą Wiecznej Szczęśliwości, kilka pięter pod obecnym domem mojej rodziny. Tam się wychowała, a później, kiedy dorosła, mieszkała tam razem z mężem, chudym okularnikiem o młodzieńczej twarzy, który nazywał się Zhu Jianzhong. Dochowali się syna i razem prowadzili zakład krawiecki.

– Mój mąż brał miarę, a ja szyłam – opowiada. – Byliśmy znani w całej dzielnicy.

W osiedlu obejmującym jeden kwartał ulic mieszkało kilkaset rodzin. Żyli w warunkach skromniejszych niż w Maggie Lane. Przeciętna rodzina zajmowała trzydziestokilkumetrowe mieszkanie z prymitywnie wyposażoną kuchnią. Wspólne toalety znajdowały się w osobnym budynku.

W 1992 roku urząd dzielnicy Xuhui sprzedał na licytacji działkę firmie budowlanej należącej do Li Ka-shinga, najbogatszego człowieka w Azji. Miało na niej powstać luksusowe osiedle, na którym dziś mieszkam, i czterdziestopięciopiętrowy biurowiec The Center, który stanął naprzeciw barku kanapkowego CK. Deweloper zatrudnił ekipę rozbiórkową Chengkai Group; usunięcie mieszkańców powierzył tym samym ludziom, którzy później spartaczyli wyburzanie Maggie Lane i doprowadzili do śmierci pary staruszków.

Mieszkańcom zaproponowano skromne odszkodowania i malutkie mieszkanka w nowych blokach w szczerym polu, godzinę jazdy od Szanghaju. Większość przyjęła ofertę i ekipa Chengkai przystąpiła do rozbiórki opuszczonych budynków. Xi i Zhu nie zgodzili się jednak na przeprowadzkę. Xi oświadczyła budowlańcom, że mieszka tam od urodzenia, a poza tym wszyscy, którzy coś dla niej znaczą – klienci, krewni i przyjaciele – mieszkają w pobliżu. „Jeśli chcecie, żebyśmy się wyprowadzili – powiedziała – załatwcie nam lokal w tym samym rejonie”. W 1996 roku byli jedną z ostatnich rodzin, które tam jeszcze mieszkały.

Rano 17 października 1996 roku Xi, wracając z targu, zobaczyła pod swoim domem sześciu mężczyzn i kobietę, którzy przystawiali drabinę do jej balkonu. Krzyknęła, by ostrzec męża, i wtedy ktoś ją złapał. Kobieta i dwaj mężczyźni wepchnęli Xi do samochodu, łamiąc jej palce. Jej mąż, zaalarmowany odgłosami szamotaniny, wybiegł na balkon, ale było już za późno. Kilku mężczyzn zdążyło wspiąć się po drabinie i wtargnąć do mieszkania. Szarpiąca się z napastnikami żona widziała, jak go wepchnęli do środka. Rozległ się krzyk, potem głośny łoskot. Po chwili z otwartych drzwi balkonowych buchnął dym. Budowlańcy wybiegli z budynku, ale Zhu z nimi nie było. Płomienie w ciągu kilku minut objęły cały dom, wysyłając pod niebo kłęby czarnego dymu, który długo wisiał nad głowami gromadzących się na ulicy Wiecznej Szczęśliwości gapiów.

Według policyjnego raportu mąż Xi oblał się olejem bananowym, używanym do usuwania zabrudzeń z ubrań, i podpalił, raniąc przy okazji kilku członków ekipy rozbiórkowej. Xi nie wierzy w tę wersję.

– Mój mąż nie chciał umierać. Myślę, że pobili go do nieprzytomności albo nawet na śmierć, a potem podłożyli ogień, żeby zatrzeć ślady – mówi Xi.

Po pożarze zawieźli ją do hotelu i zamknęli w ciemnym pokoju. Wieczorem otworzyły się drzwi i stanął w nich wysoki mężczyzna z Chengkai Group.

– Powiedział mi, że mój mąż umarł w ciągu kilku sekund.

Xi zaczęła krzyczeć na mężczyznę, że jego ludzie zamordowali kogoś takiego samego jak oni: zwykłego człowieka, *laobaixing*.

– Przerwał mi i zapytał: „Czy pani rodzina ma jakieś szczególne znajomości? Macie przyjaciół w partii? Zabić *laobaixing* to jak rozdeptać mrówkę”.

Xi dowiedziała się potem, że Yang Sunqin, który kierował akcją ekipy rozbiórkowej Chengkai Group, dostał awans w nagrodę za pozbycie się upartych lokatorów. Dziewięć lat później sąd skazał Yanga na śmierć za spalenie żywcem pary staruszków mieszkających po drugiej stronie ulicy, w Maggie Lane.

Jako rekompensatę za utracony dom i śmierć męża urząd dzielnicy Xuhui przyznał Xi małe mieszkanie kilka przecznic dalej oraz lokal użytkowy na drugim brzegu Huangpu, którego wynajem zapewniał kobiecie niewielki stały dochód. Nieco później policjanci kazali jej podpisać dokument stwierdzający, że nie ma dalszych roszczeń, ale Xi odmówiła. Gdyby spełniła ich żądanie, potwierdziłaby oficjalną wersję wydarzeń. Oświadczyła funkcjonariuszom, że nie ustąpi, dopóki nie przeprowadzą uczciwego śledztwa.

Według swoich własnych obliczeń Xi ponad sto razy odwiedziła posterunek policji i domagała się zbadania okoliczności śmierci męża. Bez skutku. Dlatego ostatnie dziesięć lat spędziła, jeżdżąc do Pekinu i apelując o sprawiedliwość do naczelnych organów państwa. Już sama nie pamięta, ile razy zaprowadziło ją to do więzienia.

Wytrwałość Xi była imponująca, ale jednocześnie wydawała się niedorzeczna. Jaki sens ma poszukiwanie sprawiedliwości

w niesprawiedliwym systemie prawnym? Słyszała ten argument już wiele razy, więc nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią:

– Dusza mojego męża nadal tam jest. Jeśli odpuszczę, partia wygra i będzie nam się śmiała w nos. Walczę dla jego duszy.

– Co mąż by o tym pomyślał? – spytałem.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Gdyby tu był, próbowałby mnie przekonać, żebym zrezygnowała – przyznała. – Czasem śni mi się w nocy, jak mnie błaga, żebym wreszcie odpuściła. Ale nie zrobię tego. Nie chcę go zawieść.

Taka nieustępliwa postawa była typowa dla Chińczyków, którzy decydowali się nękać petycjami władze państwa. Jako wieloletni korespondent zagranicznych mediów, miałem okazję rozmawiać z kilkoma takimi osobami. Kiedy opowiadałem o nich później moim chińskim przyjaciołom, kręcili z niesmakiem głowami, jakby uważali ich za dziwaków przynoszących wstyd całemu narodowi. Moi znajomi widzieli w nich doprowadzonych do ostateczności, zrujnowanych, niewykształconych plebejuszy, którzy stracili kontakt z rzeczywistością. Państwowe media umacniały ten wizerunek, a odwaga tych desperatów, raz po raz bitych i wtrącanych do więzienia, rzeczywiście mogła budzić zdumienie w kulturze, która wysoko ceniła pragmatyczne podejście do rozwiązywania problemów.

Taka ocena ludzi okrutnie skrzywdzonych przez władzę wydawała się nazbyt surowa, ale czasem sam łapałem się na tym, że zaczynam podzielać ten stereotyp. Z moralnego punktu widzenia słuszność niewątpliwie była po ich stronie, ale w bezpośrednim kontakcie wielu z nich sprawiało wrażenie zaburzonych i niezrównoważonych. Domaganie się od tak brutalnego reżimu, by naprawił wyrządzaną im krzywdę, było z góry skazane na niepowodzenie. W Chinach walka z systemem prawie nigdy nie kończyła się dobrze. To jakby płynąć pod potężny prąd strugowy: można było łatwo utonąć. Moi sąsiedzi z ulicy Wiecznej Szczęśliwości, którzy tak jak C K i Zhao umieli płynąć z falą, pilnowali, by nie wyniosła ich na nieznane głębie. Płynęli ostrożnymi ruchami, pod kątem, tak aby utrzymać się na obrzeżach głównego nurtu, ale unikali otwartej konfrontacji z rozszalałym żywiołem.

Syn Xi, Weiqi, miał dziesięć lat, kiedy jego ojciec zginął w pożarze. Gdy dowiedział się, co się stało, przestał mówić. Xi do dziś pamięta, jak bez słowa wpatrywał się w przestrzeń. Nazajutrz po śmierci męża zobaczyła, że Weiqi stoi w hotelowym pokoju oparty czołem o ścianę i okłada ją pięściami.

– Walił w nią i walił – wspomina. – *Łup. Łup. Łup.* Nie chciał przestać. Jego knykcie zmieniły się w krwawą miazgę.

Xi powiedziała mi, że w osobowości jej syna nastąpiła nieodwracalna zmiana. Zanim zginął jego ojciec, był chłopcem rozmownym i łatwo nawiązującym kontakty, urodzonym przywódcą. Gdy po szkole dzieci bawiły się na ulicy, to właśnie on organizował gry w kulki albo berka. Po stracie ojca stał się nieśmiały i poważny, wszystko przeżywał bardzo emocjonalnie. Zaczął unikać ludzi.

Od tamtej pory minęło osiemnaście lat. Ledwo odważyłem się zapytać, co się z nim dzieje dzisiaj.

– Och, studiuje w Stanach Zjednoczonych – odpowiedziała Xi. – Kończy doktorat na Kangnaier.

Nie rozpoznałem tej nazwy, więc powtórzyła: Kang-nai-er. Obracałem w głowie dźwięki, dopóki nie włączyła się fonologiczna synapsa i nie dotarło do mnie, że chodzi o Uniwersytet Cornella.

Im dłużej mieszkałem w Państwie Środka, tym dobitniej się przekonywałem, że na każdą okropną historię napawającą mnie pesymizmem co do przyszłości Chin przypadał jakiś Weiqi, który przywracał mi nadzieję. Historia syna Xi łączyła w sobie oba te przeciwstawne elementy.

Imię Weiqi wymawia się „Łejći”. Poznaliśmy się przez Skype’a. Była ósma wieczorem w środku tygodnia i Weiqi był jeszcze w swoim biurze w banku w Hongkongu. Zatrudnił się tam, by podczas pisania doktoratu być bliżej swojej matki. Z powodu słabego połączenia z internetem jego pucołowata twarz o blisko osadzonych, niemal zrośniętych brwiach co chwila zastygała nieruchomo na ekranie. Spod brwi patrzyły wiecznie zmrużone oczy, jakby analizował na bieżąco wszystko, co słyszy. Rozmawialiśmy po angielsku. Weiqi starannie dobierał słowa, mówił wolno i wyraźnie. Był człowiekiem myślącym i ciekawym świata; zadał mi tyle samo pytań, ile ja

jemu, i ani razu nie dał się ponieść emocjom. Kojarzył mi się z małym panem Spockiem ze *Star Treka*.

Powiedział mi, że dzieciństwo w spokojnym zaułku na tyłach ulicy Wiecznej Szczęśliwości przypominało dorastanie na wsi. Jego świat ograniczał się do dwóch kwartałów ulic, gdzie wszyscy doskonale znali jego rodzinę. Miał osiem lat, kiedy pierwszy raz opuścił to bezpieczne gniazdo. W 1994 roku w Szanghaju otwarto pierwszą linię metra. Nagle przecznicę od ich domu pojawiła się stacja. Dla Weiqiego wspomnienie pierwszej przejażdżki koleją podziemną zawiera się w jednym słowie:

– Ludzie – powiedział. – Nigdy wcześniej nie widziałem tylu ludzi na tak małej przestrzeni.

Całe dotychczasowe, krótkie życie spędził w zacisznym zaułku w sercu najludniejszego miasta najludniejszego kraju na planecie i to był jego pierwszy kontakt z ogromem Szanghaju.

– Kurczowo trzymałem się ręki ojca. Bałem się, że się zgubię – wspominał po latach.

W pierwszym okresie funkcjonowania metra obowiązywały dwa rodzaje biletów. Za jednego juana mogłeś się przejechać pod ziemią, ale musiałeś zakończyć podróż na tej samej stacji, na której wsiadłeś. Rodzice Weiqiego kupili bilety po dwa juany, które pozwalały im wysiąść w dowolnym miejscu.

Pojechali do Xinzhuang, gdzie mieli dostać nowe mieszkanie. Zakończyli podróż na ostatniej stacji metra, czterdzieści minut jazdy od ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

– Wyszliśmy ze stacji i zobaczyliśmy kompletne pustkowie; nie było tam żadnych domów, sklepów, niczego – powiedział mi Weiqi. – Dopiero kładziono asfalt, dookoła ciągnęły się pola. Od razu wiedzieliśmy, że nie chcemy tam mieszkać.

W zaułku życie było proste i szczęśliwe. Nie mieli pieniędzy, ale nikt ich nie miał. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku chińska gospodarka dopiero zaczęła podnosić się z ruiny, ale panowały optymistyczne nastroje.

– Hierarchia społeczna nie była jeszcze tak sztywna jak dzisiaj. Wszyscy śmiało patrzyli w przyszłość.

Weiqi uważał, że swój sukces zawdzięcza między innymi temu, że w dzieciństwie nie odczuwał żadnej presji. Przewodził osiedlowej dzieciarni i chodził spać późno nie dlatego, że po nocach się uczył, lecz dlatego, że do zmierzchu szalał na dworze. Jego ojciec ciężko pracował, ale nie traktował syna surowo.

– W Chinach mówimy „*cimu, yanfu*”, czyli „matki kochają, ojcowie wymagają”. Tak jest w typowej chińskiej rodzinie – wyjaśnił mi w czasie naszej rozmowy przez Skype’a. – Ale u nas było na odwrót. To matka pilnowała, żebym się nie lenił. Ojciec był raczej moim przyjacielem. Niewielu ludzi z mojego pokolenia miało w domu podobny układ. Przeważnie rodzice byli dla swoich dzieci kimś w rodzaju trenerów.

Weiqi oglądał razem z ojcem amerykański serial komediowy *Dzieciaki, kłopoty i my*, jeden z nielicznych amerykańskich programów pokazywanych w tamtych latach w chińskiej telewizji.

– Mój ojciec przypominał trochę tatę z tamtego serialu – powiedział mi Weiqi. – Miał zachodnie poglądy na rodzicielstwo.

Weiqi pracował w UBS Bank w Hongkongu, gdzie zajmował się analizą rynków wtórnych.

– Bardzo nudna praca, ale za to dobrze płatna – powiedział.

Wuj i ciotka, bogaci szanghajscy przedsiębiorcy, pożyczyli Weiqiemu pieniądze na studia na jednym z uniwersytetów amerykańskiej Ligi Bluszczowej. Pisał pracę doktorską o reakcjach konsumentów na kryzysy gospodarcze. Korzystając z narzędzi statystycznych, opracował modele zachowań Amerykanów po kryzysach w 1998 i 2008 roku. Stworzone przez niego modele zachowań finansowych będzie można wykorzystać w przypadku przyszłych zapaści.

Xi powiedziała mi, że po śmierci ojca jej syn skupił się wyłącznie na nauce.

– Chciał wszystkie siły poświęcić nauce. Płakał, kiedy zabierałam go ze sobą do Pekinu, więc przestałam to robić. Wolał się uczyć. Oświadczył mi: „Wiedza jest potężnym narzędziem, które pozwoli mi zmienić mój los”. Zawsze był ponad wiek dojrzały.

Matka Weiqiego nieustannie kursowała pomiędzy Szanghajem a Pekinem, by samotnie pikietować pod siedzibą partii. Jej syn zostawał w przydzielonym im przez władze mieszkanku. Wieczorami uczył się, sam przyrządzał sobie posiłki i rano szykował się do szkoły. Dziadkowie ze strony ojca mieli żal do jego matki, że przez swój upór zostawia chłopca samego w domu, ale Weiqi ją rozumiał.

– Zasadniczo zawsze się z nią zgadzałem. Uważałem, że postępuje słusznie – wyjaśnił. – Myślę, że kierowała nią jedna z najbardziej fundamentalnych ludzkich potrzeb. To stało się jej życiowym zadaniem, jedynym celem, niemal religią. Gdybym spróbował ją powstrzymać, poczułaby się głęboko nieszczęśliwa i zdezorientowana. Jestem jej jedynym synem i nie umiem sobie wyobrazić, co by się z nią stało, gdybym jej nie wspierał. – Martwił się tylko, że taki tryb życia odbije się na jej zdrowiu. – Na razie nic jej nie dolega, ale co będzie za pięć lat? W którymś - momencie będzie musiała odpuścić i wrócić do normalnego życia.

Z powodu swojej aktywności politycznej Xi nie mogła odwiedzić syna w Hongkongu. Władze nie wydawały jej pozwolenia na wyjazd. Miała nadzieję, że pewnego dnia uda jej się zamieszkać wraz z nim w Stanach Zjednoczonych, ale to też wydało mi się mało prawdopodobne ze względu na jej nawyk demonstrowania pod siedzibą partii.

Weiqi liczył na to, że jego matka w końcu pogodzi się z tym, co się stało, i zacznie żyć teraźniejszością. Na razie robił wszystko co w jego mocy, by zapewnić jej bezpieczeństwo i wsparcie.

– Czytałem kiedyś o pewnym Japończyku, który stracił żonę w katastrofie lotniczej. Samolot spadł do oceanu. Facet poświęcił kilka lat życia, żeby nauczyć się nurkować. Wiedział, że to nic nie da, a mimo to co weekend nurkował w miejscu, w którym rozbił się samolot. Mówił, że nigdy się nie podda. Historia mojej matki jest bardzo podobna.

Spytałem go, czy był jeszcze kiedyś na ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

– Nie. Zbyt wiele się tam wydarzyło – odparł.

Zapytał mnie, jak tam teraz jest. Opowiedziałem mu o pustej parceli po dawnym osiedlu Maggie Lane i o tym, że przeciętnie co miesiąc otwiera się

tam nowa restauracja dla cudzoziemców i bogatych Chińczyków. Opowiedziałem mu też o Zhao, CK i wujku Fengu.

– Zdaje się, że wiele się tam zmieniło – zauważył obojętnie. – Chyba nie zostało tam wielu dawnych mieszkańców?

– Raczej nie – przyznałem.

To samo można było powiedzieć o większości chińskich metropolii. W ciągu ostatnich dwudziestu lat dzielnice, które niegdyś funkcjonowały jak wioski, przeobraziły się w osiedla bezdusznych bloków, gdzie człowiek nie znał swoich najbliższych sąsiadów. Dzięki oszałamiającemu sukcesowi chińskiej gospodarki nowych mieszkańców stać było na stołowanie się w hiszpańskiej restauracji, która otworzyła się niedawno kilka kroków od mojego bloku. Płacili jednak za to wysoką cenę, żyjąc w nieustannym stresie, który wielu z nich zmienił w nieufnych gburów.

– Szczerze mówiąc, jako dawny mieszkaniec dzielnicy nie żywię żadnych uczuć do tego miejsca – wyznał Weiqi. – Starych znajomych, historii i wspomnień już nie ma. Teraz mieszkają tam cudzoziemcy. To wszystko jest trochę smutne.

Byłem jednym z tych cudzoziemców. Co wieczór otulałem moich synów kołderką kilka pięter nad nieistniejącym już pokojem, w którym przed laty rodzice otulali kołderką małego Weiqiego. Rozmawiałem z nim przez Skype’a z miejsca, gdzie stracił ojca i dom; dziś mieszkała tu moja rodzina, a moje dzieci nazywały je swoim domem.

– Tak – powiedziałem do cyfrowego wizerunku Weiqiego na ekranie komputera. – To bardzo smutne.

Miesiąc później spotkaliśmy się osobiście na ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Był wietrzny, pogodny dzień. Wiał wiatr z południa; podmuchy ciepłego, niezanieczyszczonego powietrza zwiastowały nadejście wiosny.

Weiqi miał na sobie czarny kaszmirowy sweter i spodnie khaki. Siedzieliśmy na ławce przed biurowcem The Center, naprzeciw baru kanapkowego CK, na tyłach mojego bloku na osiedlu The Summit.

Trwał świąteczny weekend. Wielu mieszkańców wyjechało z miasta, na ulicach prawie nie było samochodów. Korony drzew wypełniał świergot

migrujących na północ ptaków, które zrobiły sobie przystanek w Szanghaju. Ławka stała zaledwie trzy metry od miejsca, gdzie mieszkał kiedyś Weiqi.

Oparł stopę na udzie i machinalnie bawiąc się sznurowadłami, wpatrywał się w gmach biurowca. Po chwili przeniósł wzrok na bloki The Summit. Próbował się zorientować, gdzie się znajduje.

– Jedyne, co poznaję, to China Merchants Bank – wskazał przykurzony gmach o typowej dla stylu architektonicznego lat dziewięćdziesiątych XX wieku elewacji z białych i fioletowych kafli. – Zbudowali go tuż przed moim wyjazdem. Cała reszta się zmieniła.

Poprzedniego dnia Chińczycy obchodzili Qingmingjie, „Święto Czyste i Jasne", poświęcone zmarłym. Weiqi przyleciał z Hongkongu, żeby spędzić ten dzień z matką. Po południu pojechali do oddalonego o pół godziny jazdy pociągiem Suzhou, gdzie są pochowani dziadkowie Xi. Ułożyli na grobie jedzenie i spalili sztuczne papierowe pieniądze, by czcigodni przodkowie mieli co wydawać na tamtym świecie.

Wcześniej na chodniku przed swoim domem w Szanghaju odprawili ten sam rytuał dla ojca Weiqiego. To było trochę niespotykane. Matka przechowywała prochy męża w drewnianym pudełku w mieszkaniu. Nie zgadzała się go pochować, dopóki policja nie zbada okoliczności jego śmierci.

– Zapaliliśmy świece po obu stronach urny, a pośrodku postawiliśmy jego zdjęcie – wyjaśnił Weiqi.

Xi dostała urnę z prochami męża kilka dni po jego śmierci w 1996 roku. Policja nie pozwoliła chłopcu ani jego matce zobaczyć ciała. Za to następnego dnia po pożarze odwiedził ich w hotelu oficer organów bezpieczeństwa, który pokazał im zdjęcie zwęglonych szczątków.

– To było straszne – powiedział Weiqi. – Nie mogłem uwierzyć, że to mój ojciec. Pomyślałem tylko, że ogień musiał być potężny. Na zdjęciu nie dawało się rozpoznać głowy, ani nawet szkieletu. Jedna czarna masa. Miejscami zielonkawa. Nie wiem dlaczego. Zachował się kawałek zmętniałej tęczówki, i to wszystko.

Lokalne władze przez dziesięć miesięcy przetrzymywały Weiqiego i jego mamę w rządowym hotelu na południowym krańcu dzielnicy Xuhui. Nie

pozwoliły chłopcu wrócić do szkoły, więc stracił prawie całą czwartą klasę. Cierpiał na bezsenność. Kiedy udało mu się wreszcie zasnąć, zawsze śnił mu się ten sam koszmar.

– Jestem na torach. Kolejowych. Biegnę. Coś mnie goni, nie wiem co, ale jest całe czarne i straszne. To było bardzo abstrakcyjne.

Dopiero niespełna rok później urzędnicy pozwolili Weiqiemu wrócić do szkoły i zacząć piątą klasę. Jeździł na lekcje i wracał do hotelu specjalnym samochodem pod eskortą strażnika.

– Pierwszego dnia w szkole koledzy ustawili się w dwóch rzędach i powitali mnie brawami – wspomina.

Wrócił do szkoły jako milczący, posępny chłopiec, o rok w tyle za swoją klasą. Mozolnie nadrabiał braki, ale zanim skończył gimnazjum, prześcignął wiedzą kolegów i odzyskał pewność siebie. Jego matka też była już w lepszej formie, chociaż nadal jeździła do Pekinu, by domagać się wszczęcia śledztwa w sprawie śmierci jej męża.

Pewnego wieczoru, gdy Weiqi był jeszcze w gimnazjum, do drzwi mieszkania zapukała policja. Chłopak od kilku tygodni był sam w domu. Właśnie ugotował sobie makaron na kolację, więc zignorował stukanie i zaczął jeść. Był pewien, że mają sprawę do jego matki, a nie do niego. Walenie do drzwi stawało się coraz głośniejsze. Nie reagował. W końcu funkcjonariusze wyważyli drzwi i wpadli do środka. Zastali tylko Weiqiego, siedzącego przy stole z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Wręczyli mu dokument informujący, że jego matka została aresztowana w Pekinie, i kazali podpisać.

– Mama uczyła mnie, żebym nigdy nie podpisywał żadnych papierów, które podsunie mi policja, więc odmówiłem.

Policjanci odeszli z kwitkiem, zostawiając chłopca w mieszkaniu bez drzwi. Czternastolatek kilka lat wcześniej stracił ojca i dom, a teraz przez dłuższy czas miał nie zobaczyć swojej matki. W zasadzie nic go już nie było w stanie przestraszyć. Przestąpił nad rozwalonymi drzwiami, wyszedł na ulicę i znalazł majstra do wszystkiego. Kiedy kładł się spać, miał już nowe drzwi.

Od śmierci Mao Zedonga w 1976 roku Komunistyczna Partia Chin ma wyraźną słabość do propagowania swoich zasad przewodnich w formie zwięzłych haseł. Deng Xiaoping sformułował program Czterech Modernizacji, Jiang Zemin wymyślił zasadę trzech reprezentacji, a Hu Jintao lansował koncepcję Harmonijnego Społeczeństwa. Na dworcach kolejowych i lotniskach, przy autostradach i wszędzie, gdzie tylko się da, stały tablice i wisiały transparenty propagandowe z aktualną mantrą wypisaną wielkimi czerwonymi znakami. Dopóki nowy przywódca narodu nie zastąpił ich własną.

Dla nienależących do partii 1,274 miliarda Chińczyków slogany były równie niezrozumiałe jak dla przeciętnego Amerykanina, o ile nie był specjalistą od socjalizmu o chińskiej specyfice. Większości mieszkańców Państwa Środka wydawały się zagadkowe i niedorzeczne, a nielicznym *laobaixing*, którym przyszło do głowy, by się nad nimi zastanowić, uświadamiały jedynie, jak wielka przepaść istnieje między nimi a ich przywódcami.

Kiedy więc w marcu 2013 roku Xi Jinping oficjalnie przejął stery państwa, nikt nie spodziewał się, że hasło, które zastąpi Harmonijne Społeczeństwo, będzie czymś więcej niż kolejną, bełkotliwą sztampą.

Dobroduszny syn rewolucjonisty mierzył jednak wysoko: postanowił przywrócić masom wiarę i entuzjazm za pomocą zasady przewodniej, której nie da się zapomnieć kilka sekund po usłyszeniu: 中国梦, „*Zhongguo meng*”, „chiński sen”. Była prosta, sugestywna i każdy mógł ją zrozumieć. Wreszcie hasło, z którym obywatele mogli się identyfikować.

W każdym razie do momentu, kiedy Xi Jinping spróbował wyjaśnić, co miał na myśli. Zrobił to w swoim pierwszym przemówieniu, które wygłosił jako przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej w marcu 2013 roku:

> Chiński Sen jest w swej istocie marzeniem chińskiego narodu. Możemy go urzeczywistnić jedynie wspólnym wysiłkiem i wspólnie będziemy spożywać jego owoce. Aby stworzyć średnio zamożne społeczeństwo, zbudować kwitnące, demokratyczne, cywilizowane, harmonijne i nowoczesne państwo socjalistyczne oraz spełnić Chiński Sen, który przyniesie wielką odnowę narodu, musimy osiągnąć nie tylko powszechny dobrobyt i ożywienie gospodarcze, lecz także szczęście ludu. To

wszystko głęboko odzwierciedla dzisiejsze marzenia Chińczyków, które są zgodne z naszą wspaniałą tradycją.

W ciągu kilkudziesięciu lat skrupulatnie budowanej kariery (od szeregowego urzędnika, przez działacza partyjnego lokalnego, a potem prowincjonalnego szczebla, po sekretarza prowincjonalnego komitetu KPCh i wreszcie przywódcę państwa) towarzysz Xi wchłonął wiele niejasnych, topornych sloganów. Teraz zwrócił przetrawioną papkę w postaci sugestywnego hasła, które miało realne szanse zawładnąć wyobraźnią przyzwyczajonych do komunistycznych bredni obywateli.

Znawcy Chin szybko rozszyfrowali zawiłą definicję Xi Jinpinga. Geremie R. Barmé streścił przytoczony wcześniej fragment przemówienia jednym zdaniem, o siedemdziesiąt siedem wyrazów krótszym od oficjalnego tłumaczenia chińskiego tekstu na angielski: „Chińczycy mogą realizować osobiste marzenia pod warunkiem, że będą one zgodne z celami państwa, które wyznacza Komunistyczna Partia Chin".

Większość moich sąsiadów z ulicy Wiecznej Szczęśliwości nie słyszała oracji Xi Jinpinga. Jednak wszyscy znali nowe hasło i uważali, że jest niezłe, nawet jeśli nie do końca pojmowali, o co w nim chodzi.

– Brzmi dobrze – zauważyła Zhao Shiling, układając kwiaty. – Ale nie interesuję się polityką, więc nie jestem pewna, co ma właściwie oznaczać.

W Maggie Lane Burmistrz Chen uznał Chiński Sen za zwrot we właściwym kierunku.

– Xi Jinping kieruje państwem od niedawna, ale wygląda na to, że od razu wziął się do konkretnej roboty – stwierdził z uśmiechem.

Nowe uregulowania prawne dotyczące własności natchnęły Chena optymizmem. Największe wrażenie zrobiła na nim zapowiedź, że nowy prezydent pozbędzie się skorumpowanych lokalnych urzędników.

– Muchy zaczęły bzyczeć jak oszalałe – zauważył.

Kiedy pewnego ranka w 2013 roku wyjrzałem przez okno sypialni, zobaczyłem kilkudziesięciu facetów w kaskach budowlanych, zajętych kopaniem rowów wokół ostatnich stojących jeszcze domów w Maggie Lane. Kilka godzin później powiedziałem o tym przez telefon Chenowi.

– Och, kładą nowe rury gazowe – uspokoił mnie. – Stare uszkodziła ekipa rozbiórkowa i są nieszczelne.

Cieszył się, że zmiany nie ograniczają się do Pekinu i że lokalne muchy próbują w panice naprawić swoje dawne przewiny.

Wszystko wskazywało na to, że dni szastających pieniędzmi notabli są policzone. Kilkadziesiąt lat po rządach megalomana, który żądał od swoich poddanych absolutnej lojalności, by nie powiedzieć – boskiej czci, nowy przywódca państwa poprosił Chińczyków, by połączyli swoje prywatne marzenia w jedno marzenie państwowe, określone przez partię, a nie przez aspiracje jednostek. Jednakże w dzisiejszych Chinach, w których ludzie mieli więcej pieniędzy i możliwości niż kiedykolwiek przedtem, łatwiej było zignorować państwową propagandę.

Ranek 23 września 2013 roku zaczął się w Maggie Lane jak co dzień. Burmistrz Chen mył zęby i twarz w umywalce w sypialni, a jego żona Xie Guozhen poszła do łazienki na górze. Zapowiadał się cudowny jesienny dzień. Na niebie nie było żadnej chmurki, lekki wiatr ze wschodu nanosił do miasta czyste powietrze znad oceanu. Otwarte na oścież okna powodowały, że mieszkanie przewiewał przyjemny przeciąg.

Nagle na dole rozległo się głośne walenie do drzwi. Zanim Chen dotarł do schodów, zza węgła wynurzyło się sześciu mężczyzn. Trzech z nich rzuciło się na niego, złapało go za ręce i przewróciło na ziemię. Pozostali wbiegli na górę i wyważyli drzwi do łazienki, w której Xie korzystała właśnie z toalety.

– Byłam w samej bieliźnie. Krzyczałam: „To jest mój dom! Mój teść kupił go za złoto! Nie możecie się do niego włamywać!” – opowiedziała mi Xie. – Wyglądali na migrantów zarobkowych, nie rozumieli, co do nich mówię. Jeden z nich uderzył mnie i zakneblował mi usta, żebym przestała wrzeszczeć. Próbowałam się bronić, ale wykręcili mi ręce. Bałam się, że mi je złamią.

Mężczyźni kazali Xie włożyć ubranie, a potem wywlekli małżonków na zalane porannym słońcem podwórze. Wepchnęli ich do furgonetki, zatrzasnęli drzwi i wyjechali przez bramę na ulicę. Wtedy po raz ostatni widzieli swój dom. Do wieczora osiedle zostało wyburzone.

Nie widziałem rozbiórki. Byłem wtedy w Stanach, załatwiałem sprawy służbowe. Obudziłem się rano i przeczytałem maila od mojej asystentki. Napisała, że to była dobrze skoordynowana akcja. Ekipa rozbiórkowa usunęła Chena, jego żonę i sąsiadów z mieszkań i uwięziła ich na zamkniętym dziedzińcu kilka ulic dalej. Spędzili tam osiem godzin, w tym czasie koparki zburzyły ich domy. Tego samego dnia władze po raz pierwszy zablokowały konto programu Marketplace na Weibo, chińskiej wersji Twittera, co uniemożliwiło nam zamieszczenie informacji o rozbiórce. Byłem jedynym dziennikarzem, który śledził tę historię, i Chen podejrzewał, że lokalni urzędnicy specjalnie poczekali, aż nie będzie mnie w kraju.

Kiedy kilka dni później wróciłem do domu, znowu wyjrzałem przez okno w sypialni. Opuszczona parcela, na której przed moim wyjazdem stały jeszcze pojedyncze budynki, teraz była już tylko opuszczoną parcelą. W kilku miejscach sterczały kupy gruzu wielkości *shikumen*, nakryte jaskrawozieloną siatką. Fragment muru rozwalony przez ciężki sprzęt, został już odbudowany i nic nie świadczyło o tym, że niedawno mieszkali tam ludzie.

Następnego dnia odwiedziłem Chena i Xie w obskurnym hoteliku kilka przecznic dalej. Mieli na sobie identyczne niebieskie koszule, w których wyglądali jak pensjonariusze zakładu karnego. Syn oddał im swoje służbowe ubrania, bo nie mieli własnych rzeczy. Po nieprzespanej nocy zostały im sińce pod oczami. Wyglądali okropnie. Poprzedniego dnia Xie trafiła do szpitala. Chorowała na raka okrężnicy, z powodu stresu zaczęła wymiotować, a potem zemdlała. Kiedy odzyskała przytomność, miała objawy zawału serca. Ekipa rozbiórkowa zapłaciła rachunek za szpital, a także za hotel.

Usiadłem na brzegu łóżka i wyjąłem notes. Od tamtych wydarzeń upłynęło już kilka dni, ale kiedy o nie zapytałem, oboje zaczęli jednocześnie krzyczeć, jakby to wszystko stało się przed chwilą.

– W całym moim siedemdziesięciotrzyletnim życiu nie spotkało mnie większe upokorzenie! – oświadczyła Xie. – Potraktowali mnie tak, jakbym była rzeczą, a nie człowiekiem. Porwali mnie! Trzymali nas w zamknięciu jak zakładników. To coś nieprawdopodobnego. Tak działa mafia. Zachowywali się jak złodzieje. I to ma być socjalistyczne państwo?!

Otarła oczy i pokazała mi fioletowe ślady na ramionach, za które tamtego ranka złapali ją mężczyźni z ekipy rozbiórkowej. Chen powiedział, że trzymali ich pod kluczem przez cały dzień i wypuścili dopiero wtedy, gdy ich syn przyprowadził prawnika.

Dopiero pod wieczór zdołali wrócić do Maggie Lane. Strażnicy nie wpuścili ich za bramę. Jeden wartownik wylegiwał się na małżeńskim łóżku wystawionym na chodnik. Drugi rozsiadł się w wyniesionym z budynku zabytkowym, mahoniowym fotelu. Chen dowiedział się od budowlańców, że część ich rzeczy odwieziono do magazynu, ale reszta przepadła wraz z domem. Zapytał, gdzie są pieniądze i biżuteria. W sypialni trzymali tysiąc dolarów w gotówce, złote i srebrne ozdoby, a także cenne rodzinne pamiątki. Robotnicy oświadczyli, że nie mają pojęcia, co się stało z tymi przedmiotami.

Trudno rozstrzygnąć, czy akcja wyburzania była legalna, czy nie. Pracownik urzędu dzielnicowego poinformował Chena i Xie, że odzyskany teren zostanie wykorzystany na cele publiczne, a w takich przypadkach chińskie prawo zezwala na przymusowe wysiedlenie lokatorów. Z pewnością niezgodna z prawem była metoda działania ekipy rozbiórkowej: uprowadzenie połączone z pozbawieniem wolności. Kiedy zapada decyzja o rozbiórce, sąd rejonowy ma obowiązek z odpowiednim wyprzedzeniem powiadomić o niej imiennie wszystkich mieszkańców budynku, tak aby mogli zabezpieczyć swój dobytek. Mieszkańcy Maggie Lane nie otrzymali takich zawiadomień.

– Wzięli nas szturmem, jak naziści – powiedział Chen.

Legalnie czy nie, osiedle Maggie Lane przestało istnieć. Kolejny fragment historii miasta padł ofiarą przebudowy.

– Szanghaj chwali się, że jest światową metropolią, ale to miasto nie ma żadnej kultury – stwierdziła Xie. – Wszędzie tylko drapacze chmur. Ceny nieruchomości są za wysokie dla *laobaixing*. Dzielnica Xuhui niedawno sprzedała za rekordową sumę pięć razy mniejszą parcelę od naszej. Ciekawe, za ile pójdzie Maggie Lane.

Dzień po wyburzeniu rodzinnego domu Chen zadał to samo pytanie w urzędzie dzielnicy.

– Powiedziałem im, że ani Japończycy w latach trzydziestych XX wieku, ani nacjonaliści w czterdziestych nie ukradli naszego domu i że przetrwał rewolucję kulturalną. A teraz pozbawiła nas go banda aferzystów.

Xie wyjęła list, który oboje z mężem napisali do burmistrza dzielnicy Xuhui. Przeczytała go na głos: „Dopóki macie władzę, możecie deptać konstytucję, obrażać i upokarzać obywateli, łamać prawa człowieka. Wykazaliśmy się naiwnością, wierząc w rządowe obietnice i propagandę, którą serwują gazety i telewizja. Możecie odbierać ludziom ziemię, ale pamiętajcie, że tracicie nasze zaufanie, kamień węgielny tej Republiki”.

Przypomniałem sobie ostatnie spotkanie z Chenem przed moim wyjazdem do Stanów. Tryskał optymizmem, ufał, że uda mu się wynegocjować godziwe odszkodowanie, i wierzył, że prezydent pogoni nieuczciwych urzędników. Tymczasem pół roku po ogłoszeniu Chińskiego Snu został bez dachu nad głową.

Patrzył w małe okno hotelowego pokoju i płakał.

– Moją żonę odarto z godności. Oboje straciliśmy poczucie bezpieczeństwa – powiedział przez łzy. – Nie mamy już nic. Rząd mówi o chińskim śnie. Tylko czyj jest ten sen?

Płaczący Chińczyk stanowi rzadki widok i ze spojrzenia Xie wyczytałem, że dla niej też jest to nowość. Po dziesięciu latach walki Chen stracił wszystko, co miał. Xie położyła dłoń na ramieniu męża.

– Chcą, żebyśmy ciągle żyli marzeniami – powiedziała łagodnie.

10 Ucieczka

长乐路682弄70号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości, alejka 682, numer 70

Jest piątkowy wieczór na rogu ulicy Wiecznej Szczęśliwości i ulicy Bogatych Ludzi. Obie nazwy idealnie oddają to, co się tam dzieje w piątek wieczorem. Z nocnych klubów wytaczają się na chodnik, głośny i gorący, nadziani cudzoziemcy i zamożni Chińczycy. Zaczepiają ich ujgurscy handlarze narkotyków, cicho sycząc: „Haszysz! Marihuana!”.

Kilka kroków dalej publiczność rzuca monety małpce, która pokazuje sztuki; jej właściciel, niechlujny tłuścioch, zgarnia z ziemi *renminbi* i chowa je do kieszeni.

Na krawężniku po stronie Xuhui przycupnął bezdomny Zhang Naisun, z którym zaprzyjaźniłem się w wigilię chińskiego Nowego Roku. Siedząc na worku z odpadami segregowanymi, sączy resztkę heinekena z butelki, którą obdarzył go jakiś obcokrajowiec. Przysiadam się, żeby chwilę z nim pogawędzić. Jest koniec sierpnia, Zhang właśnie wrócił z prowincji Henan, gdzie co roku spędza wakacje. Włożył z powrotem łachmany, zajął posterunek na rogu i postawił przed sobą pudełko na datki. Wypełniają je po brzegi monety i banknoty.

Pozostała część ulicy Wiecznej Szczęśliwości powoli szykuje się do snu. Sześć przecznic dalej Zhao Shiling zamknęła kwiaciarnię i wraca do domu. Nazajutrz wstanie wczesnym rankiem, by odebrać dostawę od hurtownika. Cztery kwartały od rogu Wiecznej Szczęśliwości i Bogatych Ludzi wujek Feng i ciocia Fu śpią głęboko w małym pokoiku za kuchnią. A jedną przecznicę w przeciwnym kierunku C K siedzi w I Piętrze Twojej Kanapce, pijąc importowane piwo i dyskutując z przyjaciółmi o buddyzmie tantrycznym.

Na jasno oświetlonym skrzyżowaniu noc jest jeszcze młoda, choć już jest wesoło jak w cyrku. Jeszcze tylko gang motocyklistów i cyrk będzie w komplecie. W parny wieczór wdziera się ogłuszający ryk trzydziestu

harleyów-davidsonów; powoli suną jezdnią z ogłuszającym gulgotem silników i wjeżdżają rządkiem na chodnik, płosząc małpkę. Mijają starego Zhanga, który podnosi pięść w geście pozdrowienia i w nadziei na kilka monet.

Motocykliści parkują swoje maszyny w równym szeregu. Kilku z nich na koniec jeszcze raz zwiększa obroty silnika dla tych, którzy gorzej słyszą. Jeśli gdzieś na ulicy Wiecznej Szczęśliwości mogli pojawić się Aniołowie Piekieł, to tylko na tym rogu, zajętym przez bary i meksykańską knajpę z wystawionymi na chodnik stolikami. Ale ten konkretny gang mija obojętnie lokale z wyszynkiem i wchodzi do kawiarni Coffee Bean and Tea Leaf. Po chwili faceci w skórach wysypują się na chodnik z pienistymi latte i puszystymi cappuccino w dłoniach i siadają przy stolikach na dworze.

To motocyklowy gang chińskich dyrektorów i milionerów, którzy do wszystkiego doszli sami. W każdy piątek omawiają przy kawie interesy i planują wspólne wypady.

– Jak tu siedzimy we trzydziestu, znamy w tym mieście wszystkich, którzy coś znaczą – chwali mi się facet w czarnej skórze.

Zajmują pięć stolików. Na szóstym lądują kaski i kurtki. Motocykliści rozmawiają, co chwila wybuchając śmiechem, ale jednocześnie kątem oka obserwują młodych Chińczyków, którzy przystają, by sfotografować komórką ich potężne maszyny.

– Raz w piątek lunął deszcz i trzeba było przyjechać samochodami. Cała jezdnia była pełna bentleyów, ferrari i land roverów – mówi mi szef całej grupy, wskazując rządek ustawionych równo motocykli.

Harleyowcy przyszli na świat w skromniejszej epoce, kiedy pod przywództwem miniaturowego Deng Xiaopinga kraj powoli odradzał się z gruzów maoizmu. Dengowi przypisuje się stwierdzenie, że zarabianie pieniędzy jest obywatelskim obowiązkiem. Rozwiązał on sprzeczność między socjalizmem a kapitalizmem za pomocą pragmatycznego przysłowia z rodzinnego Syczuanu, które lubił przytaczać już w latach sześćdziesiątych: „Nieważne, czy kot jest czarny, czy biały. Ważne, by łowił myszy”.

Ubrane w czarne skóry rekiny biznesu nałapały mnóstwo myszy. Chen Jun ma fabrykę dizajnerskiej odzieży. Tony Tang handluje hurtowo

diamentami, Frank Zhu produkuje kaszmirowe swetry. Firma Winstona zajmuje się transportem węgla, a Tajwańczyk nazwiskiem Sa posiada kopalnię złota w Zimbabwe. Potężne maszyny, ustawione rządkiem wzdłuż ulicy Bogatych Ludzi, były symbolem osiągniętego przez nich statusu. W Stanach Zjednoczonych ceny harleyów-davidsonów zaczynają się od ośmiu tysięcy dolarów. W Chinach za najtańszy motocykl tej marki trzeba wybulić dwadzieścia tysiaków, a za lepsze modele – ponad pięćdziesiąt, plus kolejne dziesięć tysięcy za tablice rejestracyjne.

Frank Zhu, nieustająco uśmiechnięty pięćdziesięciodwulatek z kędzierzawą czupryną, pokazuje mi na smartfonie zdjęcia z niedawnego rajdu harleyowców po Tybecie i Xinjiangu, dwóch najodleglejszych i najsurowszych regionach Chin. Jego koledzy wyświetlają zdjęcia z motocyklowych wypraw do Mongolii, Azji Południowo-Wschodniej i jeszcze dalej. W ostatnich ośmiu latach w Chinach położono ponad pięćdziesiąt tysięcy kilometrów autostrad. Od stworzenia systemu amerykańskich autostrad międzystanowych pół wieku wcześniej to najszerzej zakrojona kampania budowy dróg szybkiego ruchu na świecie. Po raz pierwszy w historii kilkaset milionów Chińczyków z klasy średniej swobodnie podróżuje po kraju swoimi szybkimi samochodami, odkrywając bezkresną ojczyznę i lepiej poznając własny naród.

Epoka wypraw do interioru daje im nieznane dotąd poczucie wolności.

– Życie w mieście bywa bardzo przygnębiające – zwierza mi się przy filiżance espresso harleyowiec Jerry Gong. – Ciągle się tkwi w zamkniętych pomieszczeniach. Motocykl nie ma dachu, okien ani drzwi. Daje mi wolność. Pozwala żyć pełnią życia.

Myślę o moich przyjaciołach z ulicy Wiecznej Szczęśliwości, którzy nigdy nie poznali tego uczucia i nie sądzę, by mieli na to szansę w przyszłości. Myślę o Wang Mingu i jego rodzinie, którą zostawił niedaleko stąd w czasach, gdy kapitaliści nie dostawali w nagrodę drogich zabawek, lecz lądowali za karę w obozach pracy.

Przyglądam się sączącemu kawę Jerry’emu. Ma czujne spojrzenie i uśmiecha się z zakłopotaniem, ale wyraźnie dobrze czuje się wśród ubranych w skóry przyjaciół. Pytam go, jak zarabia na życie.

– Buduję więzienia – odpowiada z nerwowym uśmiechem.

W 1957 roku w tym samym kwartale ulic aresztowano kapitalistę. Policjanci przeszli obok plakatów wzywających do wyplenienia elementów prawicowych i wtargnęli do fabryczki Wang Minga. Dalszy ciąg tej historii opowiadają listy z pudełka po butach: funkcjonariusze wyprowadzili męża i ojca sześciu córek oraz nienarodzonego jeszcze syna z jego domu. Kilka miesięcy później sąd skazał Wang Minga na piętnaście lat obozu pracy przy granicy z Tybetem. To była kara za uprawianie kapitalizmu.

Przerzucam stosik listów i wybieram jeden, z adresem zwrotnym „Obóz Delingha". Wang napisał go do swojej żony Liu Shuyun.

Wyjmuję list z koperty. Nosi datę 14 marca 1968 roku. W prawym górnym rogu pożółkłego arkusika papieru ryżowego widnieje czerwona ramka z tekstem wydrukowanym uproszczonymi znakami pisma chińskiego:

> Słowa Przewodniczącego Mao
> „Musimy być pokorni i ostrożni. Wyzbyć się dumy. Nauczyć cierpliwości. Całym sercem służyć chińskiemu narodowi".
>
> *Dwa przeznaczenia Chin*

Resztę kartki zajmują drobne, czarne, tradycyjne znaki, skreślone nienagannym charakterem pisma.

Mąż Liu, Wang Ming, ma już za sobą dziesięć lat odsiadki, do końca wyroku zostało mu jeszcze pięć. Liu nie pisze do niego od siedmiu lat. Korespondencja z „niewłaściwym elementem" przysporzyła jej problemów z lokalną policją. Koledzy i nauczyciele prześladują w szkole jej dzieci, zarzucając im niewłaściwe pochodzenie.

Ale nadal przychodzą listy od Wanga. Ten, który trzymam w ręku, napisał do swojego ojca. Pierwsza linijka zawiera błąd naruszający obowiązujące wówczas zasady: Wang zwraca się do ojca, używając tradycyjnego zwrotu „*Fuqin Daren*", w okresie rewolucji kulturalnej uznanego za przeżytek. W odpowiedzi, datowanej na 24 maja 1968 roku, starszy pan przywołuje syna do porządku:

Pisząc do mnie, użyłeś zwrotu „*Daren*”. Mamy teraz rewolucję kulturalną i musimy odrzucić cztery stare rzeczy. W następnym liście zwracaj się do nas po prostu Ojcze i Matko. Przykładaj się do nauki, zacznij poprawnie myśleć i pilniej studiuj słowa Przewodniczącego Mao.

Cytaty z dzieł Przewodniczącego Mao, znane na Zachodzie jako *Mała czerwona książeczka*, osiągają rekordowe nakłady. Dzieci w szkołach i starzy Chińczycy uczą się na pamięć całych fragmentów.

W domu na ulicy Wiecznej Szczęśliwości mama Liu nie ma czasu wbijać sobie do głowy cytatów. Oprócz zajmowania się szóstką dzieci pracuje na pełen etat w pobliskiej fabryce opakowań.

W 1968 roku klęska głodu już się skończyła; dwie najstarsze córki zrezygnowały z dalszej nauki, żeby podjąć pracę w fabryce włókienniczej. Trzecia Siostra, Czwarta Siostra i Piąta Siostra oraz mały Xuesong są w luksusowej sytuacji – mogą chodzić do szkoły.

„Wasze dzieci są wychowywane w duchu socjalizmu – pisze siostra Wanga. – Uczą się pilnie i kochają swoją pracę”.

Organizmy dziewczynek i ich braciszka zwalczyły skutki niedożywienia, są teraz „ładni i tłuściutcy”.

Jak pisze jego ciotka, mały Xuesong jest dość duży, by czytać listy ojca.

Półtora tysiąca kilometrów od Szanghaju, w obozie pracy Delingha, Wang Ming studiuje myśli Mao i uczestniczy w sesjach samokrytyki. Więźniom wpaja się nawyk skrupulatnego analizowania własnych myśli pod kątem kontrrewolucyjnych odchyleń.

Stosuje się także inne metody oczyszczania umysłów z wywrotowych myśli. W liście z 14 stycznia 1969 roku Wang Ming skarży się na nawracającą grypę i wzdęty brzuch, objaw niedożywienia. Jego krótko ostrzyżone włosy zaczynają siwieć, z krzepkiego za młodu ciała zostały sama skóra i kości. Zamiast leczyć dolegliwości, obozowy lekarz faszeruje go narkotykami.

„Dowiedziałem się później, że doktor leczył mnie z »problemów z myśleniem« – pisze Wang. – Nadal mam kłopoty z żołądkiem. W niedzielę grywam czasem w pokera. Niedawno wygrałem znaczek pocztowy. Tamtego

dnia jadłem z apetytem i nie miałem żadnych problemów żołądkowych. To był dobry dzień”.

W końcu odkrywa pierwotną przyczynę dolegliwości żołądka i udaje mu się ją usunąć dzięki lekturze dzieł przewodniczącego Mao: „Najpierw skrupulatnie przestudiowałem wydaną w zeszłym roku *Walkę z prywatyzacją, krytykę rewizjonizmu*…”.

Następnie studiuje pisma Mao na temat roli rodziny w komunistycznych Chinach. „Dawniej wychowywaliśmy dzieci po to, by opiekowały się nami na starość – zauważa w liście do wuja. – Teraz wychowujemy je w duchu walki z rewizjonistycznym myśleniem. W przeszłości cierpiałem na obsesję »szczęśliwej rodziny« w tradycyjnym rozumieniu, która narastała stopniowo, aż w końcu nie byłem w stanie się z niej wyzwolić. […] Odkąd zakosztowałem słodyczy myśli Przewodniczącego Mao, ani razu nie rozbolał mnie brzuch! Ale czy idee Przewodniczącego wystarczająco silnie zakorzeniły się w mojej głowie? Chyba jeszcze nie. Czasem wbrew mojej woli wracają stare myśli. Muszę więc dalej studiować, by umocnić się we właściwym myśleniu”.

Czytając list Wang Minga, zastanawiałem się, co się działo w jego głowie. Czy napisał te słowa na użytek władz, które cenzurowały jego korespondencję z rodziną? A może przemawiały przez niego narkotyki? Czy naprawdę sądził, że to dzieła Mao Zedonga wyleczyły go z dolegliwości żołądkowych?

Trochę światła na tę zagadkę rzucił Harry Wu, który spędził prawie dwadzieścia lat w obozie pracy niedaleko Delingha. Wyjaśnił mi, że nieustanne szkolenia ideologiczne i sesje samokrytyki robiły więźniom takie pranie mózgu, że w końcu zaczynali uważać Mao za Boga. Wu rozmawiał ze mną przez telefon, siedząc w swoim mieszkaniu w Waszyngtonie. Powiedział, że zmiana następowała stopniowo, w miarę jak emocjonalna deprywacja, głód, zmęczenie i izolacja zbierały swoje niszczące żniwo.

– Dzisiaj mówisz: „Niech żyje Przewodniczący Mao!”, a ja ci odpowiadam: „Brednie” – tłumaczył mi Wu. – Jutro powiesz: „Niech żyje Przewodniczący Mao!” i usłyszysz ode mnie: „Jestem zmęczony”. Kiedy trzeciego dnia powiesz: „Niech żyje Przewodniczący Mao!”, w ogóle nie

odpowiem. Następnego dnia powiesz: „Niech żyje Przewodniczący Mao!”, a ja zapytam: „Dlaczego?”. Piątego dnia powiesz: „Niech żyje Przewodniczący Mao!” i wreszcie mnie to zainteresuje. Szóstego dnia sam powtórzę za tobą: „Niech żyje Przewodniczący Mao!”. A kiedy Przewodniczący Mao umrze, będę go opłakiwał – zakończył Wu.

17 kwietnia 1970 roku, po dziewięciu latach przerwy, Liu Shuyun znów pisze do swojego męża. Nie wyjaśnia powodów wcześniejszego milczenia i zaczyna list tak samo jak wszystkie poprzednie: „Otrzymałam Twój list”.

Radzi mężowi, by w sprawie swoich dolegliwości żołądkowych zasięgnął opinii innego lekarza. „Nie odkładaj tego na później – pisze. – Muszą Ci jak najszybciej postawić diagnozę i przepisać odpowiednie leki”.

Ma dla niego dobre wiadomości. Dzieci są już duże i dokładają się do utrzymania domu. Cały drobiazg przerósł wzrostem matkę. Trzy córki zaczęły pracować. Najstarsza Siostra zarabia trzydzieści sześć juanów miesięcznie. Druga Siostra i Trzecia Siostra dopiero uczą się zawodu i dostają po osiemnaście juanów na miesiąc. Czwarta Siostra, która właśnie skończyła gimnazjum, otrzymała skierowanie do pracy na wsi w prowincji Anhui.

Mama Liu pisze, że najmłodszej dziewczynce jest dobrze u przybranych rodziców na wsi. Ich mały synek chodzi już do gimnazjum i wszystkie egzaminy zdaje na sto procent. Liu dołączyła do listu zdjęcia sześciorga dzieci.

Wang nie widział córek i syna dwanaście lat. Niemal dekadę czekał na list z domu, na informację o ich zdrowiu, na jakąkolwiek wiadomość. Odpisuje z wdzięcznością, zasypując żonę pytaniami. To jedyny list, w którym przeprasza ją za to, co się stało.

26 kwietnia 1970

Shuyun,

wczoraj dostałem Twój list i zdjęcia. Ogromnie się ucieszyłem, lecz jednocześnie doszły do głosu od dawna tłumione uczucia. Nie spałem całą noc, na szczęście dziś jest niedziela. Dzieci dorosły i są zdrowe. Zawdzięczają to Twojej ciężkiej pracy, która odbiła się na Twoim zdrowiu. Wyglądasz starzej. To przeze mnie. Uciekłem od

odpowiedzialności, którą powinienem z Tobą dzielić, zostawiając Cię samą ze wszystkim. Teraz nie mogę nic zrobić, muszę czekać, aż dostanę nowe życie, i dopiero wtedy postaram się Ci to wynagrodzić.

Bez przerwy oglądam zdjęcia dzieci. Ich twarze zachowały dawny, dziecięcy kształt. Tylko Druga Siostra i Trzecia Siostra zupełnie się zmieniły. Mała Siostrzyczka pewnie też. Kiedy patrzę na te dzieci, krew z mojej krwi, czuję się, jakbym patrzył na obcych ludzi. Nasza rodzina się przeobraziła. Wszystko zmieniło się na lepsze. Przestaliśmy być rodziną pasożytów i wyzyskiwaczy, teraz zarabiamy na życie uczciwą pracą.

Gdybyś mogła pisać do mnie co miesiąc, byłoby to dla mnie największą pociechą. Jeśli to ponad Twoje siły, poproś dzieci, żeby do mnie pisały. Przyślij mi, proszę, zdjęcie Małej Siostrzyczki, jeśli je masz. I jedno albo dwa zdjęcia z przeszłości, na przykład fotografię rodzinną z czasów, gdy jeszcze z Wami byłem. Kiedy jest mi źle, czytam Twoje listy i wpatruję się w zdjęcia. To dobrze wpływa na moje zdrowie. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Wang Ming

Kolejne, coraz liczniejsze listy świadczą o tym, że relacje między małżonkami się odwróciły. Mama Liu pisze do męża z pewnością siebie kobiety, która samodzielnie wychowała sześcioro dzieci, przeprowadzając je przez okres głodu i terroru. Córki podjęły już pracę, a syn zdobywa wykształcenie.

Zgodnie z nakazami zainicjowanej przez partię rewolucji kulturalnej Chińczycy mieli odrzucić obyczaje wywodzące się z tradycji konfucjańskiej, ale mama Liu zrobiła to, bo nie miała wyboru. To na nią spadła cała odpowiedzialność za potomstwo. Dorastając, jej dzieci czuły coraz większą niechęć do ojca.

Listy z początku lat siedemdziesiątych pokazują, jak matka przejmuje rolę głowy rodziny. Starsze córki zbliżają się do wieku, w którym powinny wyjść za mąż, a w Chinach zwykle to ojciec zajmuje się wyszukaniem odpowiedniego kandydata. W liście z 1971 roku mama Liu uspokaja męża, pisząc, że „jeśli chodzi o małżeństwo, same będą potrafiły wybrać. Poza tym rząd zachęca do późnego zakładania rodziny. Więc przestań się tym martwić”.

Nieco później Siostry Druga i Trzecia składają podanie o przyjęcie do partii. Kierownictwo fabryki, w której są zatrudnione, sprawdza najpierw, jak

przebiega reedukacja ich ojca. Liu zawiadamia męża, że potwierdziły się jej najgorsze obawy:

> Kilka miesięcy temu przywódcy z fabryki naszych córek pojechali do Twojego obozu pracy zapytać o Twoje sprawowanie i postępy. Wystawiono Ci złą opinię. Z Twoich akt wynika, że nagminnie łamiesz regulamin i nie lubisz ciężko pracować. Twoi przełożeni powiedzieli, że czasem wymigujesz się od pracy, by pójść do wioski i wymienić papierosy, które Ci przysyłam, na inne rzeczy. Poza tym słyszano, jak mówisz, że po powrocie do Szanghaju zamierzasz żyć z rządowej zapomogi dla chorych i niepełnosprawnych.
>
> Kiedy się o tym dowiedziałam, wpadłam w rozpacz. Musisz się bardziej starać, nie tylko ze względu na siebie, ale w imię przyszłości naszych dzieci. Wszystkie ciężko pracują i cieszą się uznaniem kolegów. Bardzo je zabolało, że ich ojciec je zawiódł. Mam nadzieję, że podejmiesz konkretne działania, by zmienić swoje zachowanie, dla swoich dzieci i dla mnie. Następnym razem dobrze się zastanów, zanim coś powiesz. Nie przyślę Ci więcej papierosów.

Wang skończył odsiadywać wyrok w 1973 roku. Jego pobyt na wolności był jednak niewiarygodnie krótki. Nieco ponad tydzień po powrocie do domu policja odstawiła go na dworzec kolejowy i wsadziła do pociągu, który zawiózł go z powrotem do oddalonej o trzy tysiące kilometrów prowincji Qinghai. Władze odrzuciły jego podanie o *hukou* w Szanghaju. Bez pozwolenia na pobyt nie miał prawa przebywać w swoim rodzinnym mieście.

Ledwie zakosztowawszy wolności, Wang wrócił do miejsca swojego zameldowania, obozu Delingha. Skończył odbywanie wyroku, ale musiał dalej pracować i studiować idee Mao Zedonga. Nie miał innego wyboru.

To znaczy do śmierci Mao.

Szedłem powoli wzdłuż wygiętego w łuk odcinka ulicy Wiecznej Szczęśliwości i wpatrywałem się w tabliczki z numerami odchodzących od niej alejek. Nie wierzyłem, że uda mi się odszukać dawny dom Wanga. Znajdował się w gęstwinie zaułków, a doświadczenie z Maggie Lane nauczyło mnie, jaki los zwykle spotykał takie osiedla.

Minąłem numer 640… 662… i nagle zobaczyłem jaskrawozieloną tabliczkę: ulica Wiecznej Szczęśliwości, alejka 682. Skręciłem w wąziutką

uliczkę. Po kocich łbach tańczyły cienie ubrań wywieszonych do suszenia dwa piętra wyżej. Szedłem przed siebie, szukając domu numer 70.

Przez trzy miesiące studiowałem te listy, tłumacząc je i układając według dat. Odkładałem wyprawę w poszukiwaniu ich domu, dopóki ich wszystkich nie przeczytam. Najpierw chciałem odtworzyć historię rodziny na podstawie połowy korespondencji, którą przez kilka dekad prowadzili ze sobą mąż i żona.

Wymięte, pożółkłe listy obejmowały okres trzydziestu trzech lat. W najstarszym, z 1958 roku, Liu informowała męża, że odstawiła od piersi najmłodszego synka; w ostatnim, z 1990 roku, kuzyn z Tajwanu pisał: „Słyszałem w wiadomościach, że Komunistyczna Partia Chin postanowiła uczynić z Szanghaju bogate miasto Orientu. To chyba dobra nowina bez względu na to, w czyich rękach jest władza. Jeśli Chińczycy będą mogli swobodnie się bogacić i budować potęgę kraju, to jestem spokojny o ich los”.

I to już koniec. Pudełko po butach było puste. Złowieszczy początek doprowadził mnie do raptownego, pomyślnego zakończenia.

Co się stało z rodziną Wanga? Czy nadal mieszkali w alejce 682?

Pukałem chyba przez minutę, zanim za drzwiami rozległ się szelest. Otworzyła mi kobieta o krótko obciętych, siwych włosach.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ciociu – powiedziałem. – Szukam Wang Minga. Wiesz może, czy tu mieszka?

– Kto? – spytała zaskoczona.

– Wang. Wang Ming. Musi mieć ponad osiemdziesiąt lat. Nie jestem pewien…

– Wang? – wpadła mi w słowo. – Oczywiście, że znam tę rodzinę. Wynajmuję od nich mieszkanie. Teraz ich tu nie ma. Wyjechali z kraju. – Jej odpowiedź w szanghajskim dialekcie brzmiała jak seria wystrzałów z karabinu.

– Wyjechali? Dokąd?

– Do Nowego Jorku! Chodzi o Wang Xuesonga, tak?

– Zgadza się. To najmłodszy syn.

– Wang Xuesong mieszka w Nowym Jorku. Wyjechał kilka lat temu, razem z matką. Ale dlaczego cię to w ogóle interesuje?

– Nie czytałem tych listów. Nic o nich nie wiem – powiedział Wang Xuesong, kiedy zadzwoniłem do niego do Nowego Jorku.

Znalazłem numer, wpisując nazwisko jego matki do internetowej książki telefonicznej. Mówił powoli w standardowym języku mandaryńskim, lekko się jąkając, gdy wspominał wydarzenia z przeszłości. Cierpliwie wysłuchał opowieści o mojej przygodzie z listami jego rodziców. Miał pięćdziesiąt sześć lat i nie wiedział, w jaki sposób korespondencja matki i ojca trafiła do sklepu z antykami.

– Jestem najmłodszy w rodzinie, więc raczej tutaj nie pomogę – uprzedził mnie.

Spytałem go o ojca.

– U-umarł – odparł. – Zdaje się, że parę lat temu. N-n-nie pamiętam dokładnie. Musiałbym zapytać moich sióstr.

Zdziwiło mnie to, ale słysząc jąkanie, zrozumiałem, że nie powinienem naciskać. Wang powiedział mi, że po odbyciu pełnej kary w Delingha jego ojciec spędził tam kolejne sześć lat i wrócił na stałe do domu dopiero w 1979 roku.

Zapytałem, kiedy pierwszy raz zobaczył swojego ojca. Odparł, że w 1973 roku, w czasie krótkiego pobytu Wang Minga w domu, zanim odesłano go z powrotem do obozu pracy.

– Byłem już nastolatkiem – powiedział. – Pojechałem razem z Najstarszą Siostrą na dworzec, odebrać go z pociągu z Qinghaiu. Nie wiedziałem, na kogo czekam. Byłem niemowlakiem, kiedy nas opuścił, a w latach sześćdziesiątych, w okresie rewolucji kulturalnej, mama spaliła wszystkie jego zdjęcia. W tamtych czasach ludzie musieli się tłumaczyć ze swojego pochodzenia klasowego. Nasze było złe, więc nie chcieliśmy trzymać w domu nic, co by łączyło nas z ojcem. Baliśmy się. Nie wiedziałem nawet, jak wygląda. Siostra miała dziewięć lat, kiedy wyjechał, więc pamiętała mgliście jego twarz, ale z czasów, gdy był znacznie młodszy. Przyjechał pociąg, pasażerowie wysiedli na peron i zaczęli się rozchodzić, każdy w swoją stronę. Zaczepiliśmy jakiegoś starszego mężczyznę; myśleliśmy, że to on, ale to był obcy człowiek. Nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda. W końcu

się z nim rozminęliśmy. Kiedy wróciliśmy do domu, już tam był. Przyjechał sam, autobusem.

Tamten moment zachował się żywo w jego pamięci i kiedy opowiadał o nim, jąkanie zniknęło.

– Posiwiał, jakieś siedemdziesiąt procent jego włosów było zupełnie białe. Był ogorzały od pracy na świeżym powietrzu – powiedział. – Wrócił z pustymi rękami. Nie miał pracy ani żadnych dochodów.

Najstarsze siostry Wanga pracowały w fabryce włókienniczej, dzięki czemu dochody rodziny wzrosły czterokrotnie. Co miesiąc oddawały swoje zarobki matce, która zarządzała domowymi finansami. Wang powiedział, że jego mama bardzo oszczędnie gospodarowała pieniędzmi i potrafiła nawet coś odłożyć.

– Wieczorami, po powrocie z pracy, łatała swetry za kilka fenów za sztukę. Kiedy zasypialiśmy, opuszczała nisko lampę, siadała na wysokim stołku i cerowała do rana. A potem musiała biec do pracy. Prawie nie spała – wspominał Wang.

Powiedział mi, że kiedy ojciec na krótko wrócił z więzienia, najgorsze mieli już za sobą.

– Matka umiała potulnie znosić prześladowania i jednocześnie udźwignąć ciężar wychowania dzieci. Wierzyła, że prędzej czy później, po trochu, sytuacja się poprawi. Była tradycyjną chińską kobietą. Miała dopiero trzydzieści jeden lat, kiedy ojciec wyjechał, i mogła powtórnie wyjść za mąż, ale nie chciała. Jest takie stare chińskie powiedzenie: „Bohaterska kobieta nie wychodzi za mąż dwa razy”. Mama wierzyła, że ojciec po powrocie z Qinghaiu „naprostuje swoje myślenie”.

– I naprostował? – spytałem.

– Nie bardzo – odparł. – Przez pewien czas mieszkał z nami, ale nie mógł sobie znaleźć miejsca, bo nie zarabiał pieniędzy.

Pomyślałem o listach Wang Minga, pełnych propagandowych frazesów i krytyki kapitalistycznych nawyków. Po dwóch dekadach ciężkich robót i cowieczornego prania mózgu doszedł do wniosku, że od początku miał rację. Marksistowsko--leninowsko-maoistowskie idee ładnie brzmiały w odizolowanym od świata obozie pracy w dalekim zakątku Wyżyny

Tybetańskiej, ale w tętniącym życiem Szanghaju nie mogły konkurować z kapitalizmem.

Czytałem też brudnopisy kilku listów Wanga, najstarsze z okresu, gdy wciąż jeszcze przebywał w obozie pracy Delingha, które świadczą o tym, że marzył o powrocie do biznesu. W jednym z późniejszych, datowanym na 30 kwietnia 1981 roku i zaadresowanym do szanghajskiego Departamentu Handlu, próbuje zaoferować władzom swoją pomoc w odbudowaniu branży odzyskiwania stali krzemowej. „Obecnie jest bardzo wielu bezrobotnych młodych mężczyzn, których można by było zatrudnić w nowych fabrykach na peryferiach miasta. Ten rodzaj produkcji jest bardzo pracochłonny, ale nie wymaga dużych nakładów finansowych i zapewnia wysokie zyski. Zakłady można budować wszędzie" – pisał do urzędników, nawiązując do programu ożywienia chińskiej gospodarki Deng Xiaopinga. List zakończył pytaniem: „Czy mógłbym wykorzystać moją energię i mądrość, włączając się czynnie w kampanię Czterech Modernizacji?".

Rok później za pośrednictwem dawnych przyjaciół Wang Ming znalazł pracę na zlecenie – podróżował po terenach rolniczych, z których pochodzili jego przodkowie, i wyszukiwał nowych kontrahentów dla zakładów przetopu metalu. Otrzymywał prowizję od każdego sfinalizowanego kontraktu. Miał pięćdziesiąt siedem lat, za trzy lata teoretycznie mógłby ubiegać się o emeryturę. Jednak żeby otrzymać uprawnienia emerytalne, najpierw musiał zostać oczyszczony z winy przez sąd rejonowy. Pismo, które w tym celu złożył, jest jego ostatnią samokrytyką:

> Kiedy przyjrzy się pierwotnym motywacjom moich czynów, widać wyraźnie, że mój ówczesny światopogląd wymagał zreformowania. We właściwym czasie nie przyłożyłem się tak jak trzeba do studiowania [idei komunizmu], bo zbyt pochłaniały mnie własne, egoistyczne potrzeby. To wyłącznie moja wina. Gdybym po utworzeniu spółki prywatno--państwowej umiał z pełnym zaangażowaniem wykorzystać moje doświadczenie w odzyskiwaniu stali krzemowej dla sprawy socjalizmu, troszcząc się wyłącznie o dobro państwa, a nie moje własne, to po aresztowaniu mógłbym wytłumaczyć się z moich działań i jestem przekonany, że zostałbym osądzony sprawiedliwie.

– Sąd odrzucił jego petycję – powiedział mi przez telefon Wang Xuesong. – Oficjalnie jest nadal przestępcą.

Spytałem Wanga, czy nie uważa, że władze niesprawiedliwie potraktowały jego ojca. Spodziewałem się, że zacznie obwiniać rząd, system, panujący wówczas w Chinach chaos polityczny.

– *On* tak uważał – odparł powoli Wang. – Ale w Chinach w każdym specyficznym okresie historii obowiązują specyficzne zasady. Mój ojciec otworzył nielegalną fabrykę. Po dojściu do władzy partia komunistyczna zabroniła takiej działalności. Rząd chciał mieć pełną kontrolę nad przepływem surowców i prywatni przedsiębiorcy nie mogli legalnie nimi handlować. Takie obowiązywały wówczas reguły gry. Mój ojciec został słusznie skazany. Złamał zasady. Jeśli ktoś łamie zasady, trzeba go za to ukarać.

Na linii zapadła cisza. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Kampania przeciwko „elementom prawicowym" była szaleństwem i przysporzyła ogromnych cierpień jego rodzinie. Jak mógł uważać, że jego ojciec poniósł sprawiedliwą karę?

– Ja widzę to tak: miał prosty wybór – odezwał się po chwili Wang.– Zrobił nie to, co powinien. Miał dobre, stabilne życie, nie musiał prowadzić nielegalnej fabryki. Po przejęciu zakładu przez państwo zarabiał sto siedemdziesiąt *renminbi* miesięcznie. W-w tamtych czasach to były duże pieniądze. Ale jemu to nie wystarczało. Ch-chciał więcej.

W głosie Wanga słychać było gniew. Znów zaczął się jąkać. Przez całe dzieciństwo koledzy i nauczyciele otwarcie prześladowali go za to, że był synem kapitalisty. Jego siostry nie awansowały w pracy. Najmłodszą trzeba było oddać do adopcji. Cała rodzina cierpiała głód.

Chińczycy nauczyli się błyskawicznie wyczuwać najlżejsze zmiany politycznego klimatu i najdrobniejsze przesunięcia w hierarchii władzy. Dzięki temu w razie potrzeby mogli szybko skorygować swoją pozycję, by ochronić siebie i bliskich. Dlaczego jego ojciec nie potrafił się dostosować?

– Matce było naprawdę trudno opiekować się nami wszystkimi. Z-zresztą ojciec wcale nie był dobrym człowiekiem. Już wcześniej ją skrzywdził. P-postąpił wobec niej nielojalnie – dokończył z westchnieniem.

Zabrzmiało to tak, jakby jego ojciec miał kochankę albo drugą żonę, co w tamtych czasach nie należało do rzadkości. Czekałem, aż powie coś więcej, ale Wang uznał temat za zamknięty.

– *Bu-buyong duo shuo*.

„Nie ma co o tym więcej mówić” – więc nie mówiliśmy.

– Ostatnie lata życia spędził w domu opieki – powiedział Wang. – Nie jestem pewien, co mu dolegało. Umarł w wieku osiemdziesięciu sześciu albo osiemdziesięciu siedmiu lat. Nie pamiętam dokładnie.

W kraju, w którym tradycja nakazywała głęboki szacunek dla starszych, było czymś niesłychanym, by ojciec siedmiorga dzieci dożywał swych dni w domu opieki. Z listów Wang Minga można było jednak wyczytać, że przywykł do samotności. Pod koniec życia wreszcie się dostosował.

Prochy Wang Minga spoczęły w rodzinnym grobie w wiosce pod Szanghajem, z której pochodzili jego rodzice. Ani syn, ani żona nie pojechali na pogrzeb.

Wang Xuesong przyleciał na lotnisko Johna F. Kennedy’ego samolotem linii China Eastern 12 maja 2008 roku, w dniu osiemdziesiątych drugich urodzin swojej matki. To, co zobaczyli, rozczarowało mamę Liu i jej syna.

– Ameryka nie różniła się aż tak bardzo od Chin – powiedział mi Wang. – Szanghaj jest nowoczesną metropolią i kiedy jechaliśmy z lotniska do centrum, pomyślałem, że w domu jest ładniej. We Flushing zobaczyłem mnóstwo chińskich sklepów, wszystkie napisy były po chińsku.

Po kilku minutach jazdy wzdłuż chińskich witryn sklepowych mama Liu w końcu przemówiła.

– W którym miejscu w Szanghaju jesteśmy? – spytała syna.

To nie był żart. Starsza pani cierpiała na chorobę Alzheimera.

– Straciła pamięć – powiedział Wang.

Otrzymanie amerykańskiej wizy pobytowej zajęło Wangowi i jego matce dwadzieścia lat. Piąta Siostra już dawno przeniosła się do Stanów z mężem, który urodził się w Chinach, ale miał amerykańskie obywatelstwo. W ślad za nią wyjechały Najstarsza Siostra i Druga Siostra. Mieszkały w różnych częściach dzielnicy Queens.

Siostry pomogły Wangowi znaleźć lokum w piętrowym bliźniaku, piętnaście minut spacerem od stacji metra. Oprócz nich w budynku gnieździło się pięć innych chińskich rodzin. Za pokój na parterze Wang płacił pochodzącemu z prowincji Fujian właścicielowi siedemset osiemdziesiąt dolarów miesięcznie.

Przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych Wang pracował jako inżynier w szanghajskiej fabryce lodówek. W Nowym Jorku, bez znajomości języka, jego doświadczenie zawodowe i dyplom ukończenia chińskiej uczelni okazały się bezwartościowe. Parę tygodni po przyjeździe znajomy siostry załatwił mu niewymagającą znajomości angielskiego pracę w koreańskim zakładzie serwisującym telefony komórkowe na Long Island. Osiem godzin dziennie Wang stał przy taśmie, skanując etykietki na zepsutych komórkach. Wykonywał bezmyślną, mechaniczną robotę, bardziej typową dla Chin niż Nowego Jorku. Codziennie rano w drodze do zatrudniającego wyłącznie chińskich robotników zakładu mijał kantońskie sklepy spożywcze oraz pekińskie pierożkarnie i miał wrażenie, że udziela mu się demencja matki – znowu był w domu. Chiny dogoniły go nawet w Ameryce.

Zarabiał siedem dolarów za godzinę, więcej niż jako inżynier w Szanghaju, ale poniżej oficjalnej płacy minimalnej obowiązującej w Nowym Jorku. Zapytałem go, jak udawało mu się wiązać koniec z końcem.

– Jestem Chińczykiem – wyjaśnił mi przez telefon. – Nie jesteśmy tacy jak Amerykanie. Nigdy nie wydajemy więcej, niż zarabiamy.

Wang nie założył własnej rodziny. Wszystkie siostry wcześnie powychodziły za mąż, więc miał kilkoro siostrzeńców i siostrzenic, ale jego pochłaniały studia, praca, opieka nad matką. Nie miał czasu na myślenie o ożenku. Matka poświęciła wiele lat życia na zajmowanie się dziećmi. Jako jedyny syn w pozbawionej ojca rodzinie zawsze uważał, że kiedy dorośnie, to on będzie musiał zapewnić jej opiekę.

Ulubionym miejscem Wanga we Flushing była biblioteka publiczna dzielnicy Queens. Codziennie mijał jej lśniący budynek ze szkła i stali w drodze do stacji siódmej linii metra. Szybko zorientował się, że spełnia ona zupełnie inną funkcję niż jej chińskie odpowiedniczki. W Chinach bibliotek

publicznych jest bardzo mało. W kraju zamieszkanym przez miliard czterysta milionów ludzi działa zaledwie trzy tysiące ogólnodostępnych bibliotek, wyłącznie w największych miastach. Dla porównania, trzysta pięćdziesiąt milionów Amerykanów ma do dyspozycji siedemnaście tysięcy bibliotek, które znajdują się w prawie każdym mieście. W Chinach rola biblioteki ogranicza się do wypożyczania mieszkańcom zatwierdzonych przez rząd książek. Wang odkrył, że w Ameryce jest ona znacznie szersza. Biblioteki są domami kultury, centrami edukacyjnymi i – w dzielnicach imigrantów takich jak Flushing – najważniejszymi ośrodkami życia społecznego, oferującymi darmowe lekcje angielskiego, kursy komputerowe i ogólnokształcące na poziomie liceum, a także wiele zajęć i warsztatów, które pomagają przybyszom z innych stron świata przystosować się do życia w nowej ojczyźnie.

Wang spędzał w bibliotece każdą wolną chwilę. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat dwa razy w tygodniu uczęszczał na lekcje angielskiego. W każdy wtorek wieczorem i przez siedem godzin w soboty uczestniczył w zajęciach ogólnokształcących. Zwierzył mi się, że chce zdać egzamin General Educational Development, będący odpowiednikiem dyplomu ukończenia szkoły średniej. Potem będzie mógł pomyśleć o nauce w koledżu. Wśród kolegów z klasy znalazł serdecznych przyjaciół. Część z nich pochodziła z Chin, ale byli tam także imigranci z Indii, Rosji i Dominikany. Dopiero w bibliotece zrozumiał, że Ameryka jednak bardzo różni się od Chin. Półki pełne książek i sale klasowe służyły całej społeczności; biblioteka była miejscem, gdzie mieszkańcy dzielnicy mogli za darmo poszerzać wiedzę i nabywać nowe umiejętności, dzięki którym będą mogli znaleźć lepszą pracę i podnieść poziom swojego życia. W Chinach nic takiego nie istniało. Tutaj za każdym razem, kiedy Wang wchodził do jasnych i ciepłych pomieszczeń, zalewała go fala nadziei. Czuł się wolny.

Spotkałem się z Wangiem na schodach biblioteki w deszczowy, majowy poranek w 2014 roku. Był pierwszy dzień miesiąca, w Chinach Święto Pracy, ale w Stanach Zjednoczonych zwykły dzień roboczy. Przyjechałem

pozałatwiać swoje służbowe sprawy, ale zrobiłem sobie postój w Nowym Jorku i poprzedniego wieczoru zadzwoniłem do Wanga.

– Jestem wysoki, biały i będę miał na sobie czarną marynarkę – powiedziałem mu przez telefon.

– Do biblioteki przychodzi wielu wysokich, białych mężczyzn – odparł. – A także dużo czarnych i żółtych. Umówmy się, że to ja włożę jaskrawozieloną kurtkę, okej? Jestem niski i będę miał czapeczkę z napisem „New York City”.

Dotarłem na miejsce przed czasem. Mimo deszczu wnętrze budynku było zalane światłem. Zajrzałem do sal Centrum Edukacji Dorosłych w suterenie. W trzech z nich odbywały się lekcje angielskiego. W ławkach siedzieli imigranci z Chin. Wróciłem na parter i wyszedłem na dwór. Od razu rzuciła mi się w oczy jaskrawozielona kurtka Wanga. Był trzydzieści centymetrów niższy ode mnie. Nosił okulary i ciągle zerkał na boki, jakby sprawdzał, czy nie grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Na głowie miał czarną baseballową czapeczkę z wyszytą Statuą Wolności i napisem „New York City” na tle amerykańskiej flagi.

Usiedliśmy na ławce pod wysokim regałem z książkami, pod pochyło zamocowanym oknem, po którym spływały strugi deszczu. Naprzeciw nas dwie kobiety rozmawiały w dialekcie z prowincji Fujian, ale raptownie umilkły, kiedy zaczęliśmy mówić standardowym mandaryńskim.

– *Wa!* Cudzoziemiec dobrze mówi po chińsku! – wykrzyknęła jedna z nich, zwracając się do Wanga. – Amerykanin?

– Tak, ale mieszka w Szanghaju – wyjaśnił mój towarzysz.

Posłała mu zakłopotane spojrzenie.

– Jak to możliwe, żeby cudzoziemiec tak dobrze mówił po chińsku, kiedy ja tutaj, w Ameryce, nie potrafię słowa powiedzieć po angielsku? – zapytała.

Jej koleżanka roześmiała się z tej pechowej sytuacji.

– Nauczył się chińskiego – powiedział Wang. – Ty też powinnaś nauczyć się języka. Na dole są darmowe kursy.

– Przecież nie znamy ani słowa po angielsku! Dopiero przyleciałyśmy z Fujianu!

– To nie ma znaczenia. Zaczynają od zera. Zejdźcie na dół i się zapiszcie – zachęcał je Wang.

Przez chwilę rozważały jego radę.

– Nieee, jesteśmy za stare – stwierdziła w końcu jedna z nich.

Wang spojrzał na nie z największym zdumieniem, jakby chciał zapytać, co to za imigrantki z Chin, które nie chcą się nauczyć angielskiego.

– Znalazłaś już pracę, ciociu? – zapytałem, przerywając niezręczne milczenie.

– Nie. Jesteśmy tu dopiero od tygodnia. Nie wiemy, gdzie szukać.

Wang wyjął świstek papieru i długopis. Napisał po angielsku adres, dołączając chińskie wskazówki, jak pod niego trafić.

– Pójdźcie do tej agencji – powiedział, podając kartkę kobietom. – Nie musicie znać angielskiego. Zawsze szukają pracowników i nawet nieźle płacą. Zajmują się opieką nad starszymi osobami.

Kobiety bez przekonania obejrzały karteluszek.

– Nie bójcie się – uspokoił je Wang. – Staruszkowie, którymi będziecie się opiekować, to sami Chińczycy. Też nie znają angielskiego. Niektórzy mówią nawet w dialekcie z Fujianu.

Kobiety podziękowały i odeszły.

Wang przystosował się do życia w Ameryce. Po sześciu latach stania przy taśmie odszedł z pracy i zaczął pobierać zasiłek dla bezrobotnych. Co miesiąc rząd przysyłał mu czek na siedemset dolarów – prawie tyle, ile zarabiał w zakładzie. Powiedział, że to mu aż nadto wystarcza na życie. Razem z siostrami i matką przeżył najstraszliwszą klęskę głodu w udokumentowanych dziejach ludzkości i to nauczyło go oszczędności. Poza tym, nie pracując, miał więcej czasu na naukę angielskiego i przygotowywanie się do GED.

Kiedy zapytałem, co chce osiągnąć, wyjął z torby kopertę.

– To – powiedział, podając mi złożony na czworo różowy arkusik.

Była to kopia testu wielokrotnego wyboru, który zdawał kilka dni wcześniej. U góry widniało logo New York City Transit Authority[5], a pod nim nagłówek: „Egzamin na stanowisko konserwatora urządzeń do

pobierania opłat”. Czterdzieści kwadracików wypełniały litery nakreślone starannym charakterem pisma Wanga.

– Chcesz pracować w MTA?

– To praca dla technika mechanika. Podobna do tej, którą wykonywałem w Szanghaju – odparł. – Jeśli zdam egzamin, będę naprawiał maszyny do odczytu kart miejskich. Zwykle mają tam nieobsadzone stanowiska. Pomyśl, jak często te maszyny się psują. Jest tam praca dla wielu ludzi. I płacą sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie!

To było coś, co przemawiało do Wanga: konieczność zdania egzaminu na stałą posadę państwową. W Chinach ludzie w ten sam sposób rywalizowali o stanowiska w administracji publicznej. Wang starannie strząsnął krople wody, które spłynęły na arkusik z mokrego rękawa jego kurtki, i wsunął go z powrotem do koperty.

Powiedział mi, że zapisał się także na kurs dla pracowników biurowych na Manhattanie.

– Ale jeśli chcę dostać pracę, muszę jeszcze poprawić angielski – dodał.

Znalezienie posady nie było jednak sprawą pilną. W dzieciństwie uczył się z chińskich podręczników o niegodziwości amerykańskiego kapitalizmu, ale w Nowym Jorku odkrył, że kapitaliści traktują swoich ubogich o wiele lepiej niż jego komunistyczna ojczyzna. Matka Wanga co miesiąc dostawała bony żywnościowe o wartości dwustu dolarów. Rządowy program Medicare opłacał pielęgniarkę, która przychodziła codziennie, by opiekować się staruszką, gdy Wang uczył się do GED w bibliotece. Powiedział mi, że świadczenia matki i jego zasiłek dla bezrobotnych starczały na życie, czynsz i odłożenie co miesiąc kilku groszy. Jego zdaniem trzeba być idiotą, by kantować taki system.

– W zeszłym roku też mogłem dostać bony żywnościowe o wartości kilku tysięcy dolarów. Ale zrezygnowałem, bo uważałem, że to już by była przesada – stwierdził Wang.

Czas spędzany w bibliotece na różnych zajęciach był jego ulubioną częścią dnia. Z uśmiechem opowiadał mi, jak uczy się historii powszechnej w amerykańskim ujęciu i czyta Szekspira w oryginale. Mówił o swoich planach z entuzjazmem nastolatka. Oboje rodzice Wanga dożyli późnego

wieku i wierzył, że ma jeszcze dużo czasu, by zacząć wszystko od nowa w przybranej ojczyźnie.

– W Ameryce nikt nie jest za stary, by spróbować czegoś nowego.

Matka Wanga miała osiemdziesiąt osiem lat i zaawansowane stadium alzheimera. Zwykle nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje. Wang wyjął z kieszeni kurtki portfel i pokazał mi czarno-białe zdjęcie staruszki. Po przeczytaniu kilkudziesięciu listów mamy Liu stworzyłem sobie w głowie jej obraz. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że w rzeczywistości bardzo przypomina kobietę z moich wyobrażeń. Była ładna, miała wąską twarz i wysokie kości policzkowe. Wąskie, pełne dobroci oczy przypominały oczy jej syna, ale malował się w nich wyraz zagubienia.

– To zdjęcie z zeszłego roku – powiedział Wang. – Zrobione mniej więcej wtedy, kiedy uciekła z domu.

Pewnego ranka, szykując matce śniadanie, Wang zorientował się nagle, że staruszki nie ma w domu. Wypadł na ulicę: pobiegł najpierw w jedną stronę, potem w drugą, ale nie udało mu się jej znaleźć. Zadzwonił na policję. Funkcjonariusze przyprowadzili psa, dali mu do powąchania poduszkę Liu, a potem przeszukali z nim całą dzielnicę. Niestety bezskutecznie. W nocy do akcji włączył się helikopter. Przeczesywał reflektorem ulicę po ulicy, ale starsza pani zniknęła bez śladu.

Wreszcie policjanci odnaleźli mamę Liu w pobliskim szpitalu, gdzie lekarze opatrywali jej stłuczenia na twarzy. Prawdopodobnie spadła z jakichś schodów.

– Amerykańska policja jest bardzo dobra – powiedział z podziwem Wang. – Poszukiwania na pewno kosztowały mnóstwo pieniędzy. W Chinach nie zawracaliby sobie nią głowy.

Zerknął po raz ostatni na zdjęcie matki i ostrożnie włożył je do portfela.

– Kiedy odejdzie, będę miał więcej swobody – stwierdził z westchnieniem.

Wang już sześć lat mieszkał w Stanach Zjednoczonych, ale jeszcze ani razu nie wypuścił się poza Nowy Jork. Zwierzył mi się, że po zakończeniu nauki chce się wybrać w podróż po kraju i poszukać lepszego miejsca do życia.

– Gdzieś, gdzie jest łatwo o pracę i koszty utrzymania nie są takie wysokie. Wolałbym jakieś spokojniejsze miejsce. Nie wiem. Jak myślisz, gdzie się powinienem osiedlić?

Zastanowiłem się nad odpowiedzią.

– Pochodzę z Minnesoty, z Midwestu. Trochę tam zimno, ale żyje się dobrze. Spokojnie, bezpiecznie i niedrogo. Z kolei moja żona wychowała się w Teksasie. Można tam tanio kupić ziemię; w każdym razie taniej niż w Nowym Jorku. I klimat jest znacznie lepszy, bardziej przypomina Szanghaj.

Wang słuchał uważnie, powtarzając po chińsku nazwy stanów.

– Mingnisuda. Dekesasi – wymówił wolno. – Chciałbym pomieszkać trochę w różnych miastach. W Chinach to bardzo trudne z powodu systemu meldunkowego, ale w Stanach nie ma *hukou*. Można się poruszać swobodnie po całym kraju. Tak jest o wiele lepiej.

Skinąłem głową. Wyobraziłem sobie, jak Wang, zwolniony wreszcie z obowiązku opiekowania się matką, wsiada do taniego, ale niezawodnego samochodu i wyjeżdża z Nowego Jorku w kierunku zachodzącego słońca.

– To brzmi, jakbyś chciał zrealizować amerykański sen – zauważyłem.

Teraz to on zastanowił się przez chwilę.

– Ja tak na to nie patrzę – powiedział. – W Szanghaju też miałem niezłe życie. Przed wyjazdem mieszkałem w przyjemnej dzielnicy, jedzenie było tanie i dobre. Wiele osób pyta mnie, dlaczego wyjechałem do Stanów, skoro w Chinach jest teraz tyle możliwości. Odpowiadam im, że przede wszystkim z powodu jakości wody i powietrza. W Ameryce są znacznie lepsze niż w Chinach. Poza tym trzynaście lat czekałem na wizę, więc kiedy ją wreszcie dostałem, postanowiłem wykorzystać tę szansę. Ale nauczyłem się, że przynajmniej dla mnie życie w Ameryce wcale tak bardzo nie różni się od życia w Szanghaju.

Od czasu dzieciństwa Wanga Chiny przeszły długą drogę. W miastach takich jak Szanghaj pracy jest w bród, szkoły są dobre, a ulice w miarę bezpieczne. Żyje się bez porównania lepiej niż kilkadziesiąt lat wcześniej. Wang miał prawo oczekiwać, że w następnych latach sytuacja nadal będzie

się poprawiać. Mimo to ani amerykański sen, ani chiński sen nie przemawiały do jego wyobraźni. Wang śnił własne marzenia.

Rozmawialiśmy przez dwie godziny. Deszcz spływał po ukośnym oknie, bębnienie kropli o szybę stanowiło idealny podkład dźwiękowy pod scenę w bibliotece. Zerknąłem na Wanga.

– Zrobiłem kopie wszystkich listów – powiedziałem. – Chcesz je?

Pokręcił głową.

– Nikomu z mojej rodziny nie są do niczego potrzebne. I tak wiemy, co się wydarzyło.

– A młodsze pokolenie, twoi siostrzeńcy i siostrzenice? Czy oni też wiedzą? – zapytałem.

– Możliwe, że nie, ale nie interesują się takimi historiami. Nie przeżyli rewolucji kulturalnej ani wielkiego głodu. I wcale nie chcą wiedzieć, jak wtedy było – powiedział Wang. – Nie bez powodu wyrzuciliśmy te listy. W Chinach mówi się, że co było, to było. Ludzie z mojego pokolenia doskonale pamiętają, co się wydarzyło. Nie chcemy, żeby to się powtórzyło w następnych pokoleniach.

Pomyślałem sobie, że właśnie dlatego młodzi ludzie powinni chyba przeczytać te listy. Odbyłem wiele podobnych rozmów z Chińczykami, którzy przeżyli straszną epokę Mao Zedonga, i od wszystkich słyszałem to samo: „Jeśli coś ukryjemy, pozostanie w ukryciu”.

– Mój ojciec odszedł. Wszystko odchodzi w przeszłość. Nie ma potrzeby tego roztrząsać – zauważył, zakłopotany moim milczeniem. – Ojciec nie był nikim wybitnym, był tylko *laobaixing*, zwykłym człowiekiem.

Od strony klatki schodowej dobiegła kakofonia chińskich dialektów. Na dole skończyła się właśnie lekcja angielskiego dla seniorów. Obserwowaliśmy w milczeniu grupę uśmiechniętych wiekowych Chińczyków wspinających się po schodach z sutereny.

– Wystarczy porozmawiać z dowolnym Chińczykiem, który przeżył tamte czasy – zauważył Wang. – Nasze historie są takie same.

11 Zero ryzyka

长乐路169 号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 169

Za wyłożoną białymi kafelkami kuchnią z powietrzem gęstym od gryzących, tłustych oparów smażeniny znajduje się zawalony pudłami pokój. Wypchane kartony stoją na obu poziomach piętrowego łóżka bez materaców, cisną się na kredensie i piętrzą na szafie, przebijając zwisającą z sufitu warstwę pajęczyn. Zawierają materiały robocze cioci Fu: broszurki Gatewangu, puszki z działającą cuda herbatą, paczuszki suszonych grzybów i inne barachło produkowane przez firmy, w które zainwestowała swoje pieniądze. W wilgotnym i zimnym pokoiku mieszczą się jeszcze małżeńskie łoże, nieduży stół i komoda. Zagracające ciasną przestrzeń pudła są powodem nieustannych kłótni cioci Fu i wujka Fenga.

Jednak to nie one rzuciły mi się w oczy, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem starszych państwa w domu. Moją uwagę przykuły telewizory. Dwa. Ogromne odbiorniki telewizyjne były jedynymi wytworami zaawansowanej technologii i jedynymi wartościowymi przedmiotami w mieszkaniu. Stały na komodzie, bok w bok. Posłałem cioci Fu zdumione spojrzenie: dlaczego? Popatrzyła na mnie, jakbym przez te wszystkie lata niczego nie dowiedział się o jej małżeństwie.

– Bo nie możemy się dogadać, co mamy oglądać!

Wyobraziłem sobie, jak leżą oboje w łóżku, wykończeni całym dniem awantur, a dwa różne programy w ustawionych na cały regulator telewizorach kontynuują wrzaskliwą kłótnię.

Był luty 2013 roku, ósmy dzień roku Konia. Przyjechałem rowerem zimną, mokrą i pustą ulicą Wiecznej Szczęśliwości. Od czterech dni padał lodowaty deszcz, mieszkańcy pochowali się w domach za szczelnie zamkniętymi okiennicami. Kiedy poprzednio się widzieliśmy, ciocia Fu obiecała, że Gatewang wejdzie na giełdę w Londynie przed chińskim Nowym

Rokiem. Gdy otworzyła mi drzwi, bałem się ją o to zapytać. Wręczyłem jej tylko skrzynkę pomarańczy i życzyłem szczęśliwego Nowego Roku. Z moich ust wydobywała się para.

Wujek Feng drzemał pod warstwą koców. Obeszliśmy łóżko i usiedliśmy przy stole.

– Jest Święto Wiosny! Jedz! – powiedziała, biorąc pełną garść orzechów włoskich i zgniatając je w dłoniach, aż kawałki skorupek poleciały na podłogę.

Ciocia Fu poświęciła wolne od pracy dni na rozdawanie przechodniom broszurek o młodej Ekwadorce, której Jezus pokazał niebo i piekło. Powiedziała, że przeważnie brali od niej książeczkę, przerzucali kilka kartek i wkładali do kosza na śmieci.

– Mówiłam im, że to grzech. Niektórzy odpowiadali, że są buddystami. Ja im na to, że to nie sutry, ale mogliby zabrać broszurkę do domu, przeczytać i dopiero wtedy zdecydować, co ich zdaniem ma więcej sensu.

Wujek Feng gwałtownie usiadł w pościeli i burknął coś pod adresem żony. Uwięzieni z powodu deszczu w domu, od czterech dni kisili się we własnym sosie. W powietrzu wisiało napięcie niemal namacalne. Wiedli ze sobą nieustanne boje, które zwykle zaczynały się w ten sam sposób: ciocia Fu przechwalała się dobrymi uczynkami, a wujek, rozdrażniony jej poczuciem wyższości moralnej, rzucał jakąś kąśliwą uwagę.

Tym razem pokręcił tylko głową, wziął do ręki pilota i wycelował go w bliźniacze telewizory stojące metr od jego twarzy. Ekran po lewej ożył. Wujek Feng zaczął skakać po kanałach: fabularyzowany dokument o wojnie chińsko-japońskiej, serial kostiumowy o czasach dynastii Qing, film przyrodniczy o muchołówkach. Ostatecznie zdecydował się na odcinek *Wędrówki na Zachód*, popularnego serialu z lat osiemdziesiątych XX wieku, opartego na klasycznej chińskiej powieści o przygodach buddyjskiego mnicha, wieprza Zhubajie i wojowniczego Króla Małp, którzy udali się do Indii, by zdobyć święte buddyjskie teksty. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Chin w latach dziewięćdziesiątych, był to mój ulubiony program, ponieważ nie wymagał znajomości języka. Wystarczyło rozsiąść się wygodnie w fotelu i podziwiać niedorzecznie brutalne walki kung-fu,

tandetne efekty specjalne i fabułę przypominającą jazdę po LSD. Kiedy wreszcie zacząłem rozumieć dialogi, okazało się, że to niczego nie zmienia. Akcja była kompletnie pozbawiona sensu, ale fajnie się ją oglądało.

– Tegoroczna gala CCTV[6] była okropna – poskarżyła się ciocia Fu. – Najgorsza, jaką w życiu widziałam!

Oglądanie noworocznej gali chińskiej telewizji publicznej podczas lepienia pierożków urosło do rangi tradycji, której hołdują dziś miliony Chińczyków. Jednak w tym roku program, zwykle przyciągający więcej widzów niż Super Bowl, wzbudził kontrowersje. Organizatorzy zaprosili do udziału chińskiego muzyka rockowego Cui Jiana, ale władze zablokowały jego występ, kiedy okazało się, że zamierza zaśpiewać *Nothing to My Name*, hymn protestów w 1989 roku na placu Tian'anmen.

Ciocia Fu poczęstowała mnie suszonymi morelami.

– Moja siostra przysłała je z Xinjiangu! Nie są takie kwaśne jak te, które sprzedają tutaj. W Xinjiangu jedzenie jest lepsze niż w Szanghaju – oświadczyła.

– To dlaczego tam nie wrócisz? – burknął wujek Feng, nie odklejając wzroku od telewizora.

Ciocia Fu przewróciła oczami. Na ekranie Król Małp wyrwał się ze szponów dwójki bandytów i czmychnął na drzewo. Następnie skoczył z gałęzi na plecy jednemu z napastników i skręcił mu kark. Z ust nieszczęśnika trysnęła krew. Małpa wyszarpała swojej ofierze szablę i zwinnym ruchem ucięła głowę drugiemu zbirowi.

Ciocia Fu włożyła do ust suszoną morelę i wróciła do przerwanego wątku.

– W Syczuanie, tam gdzie się urodziłam, Nowy Rok obchodziliśmy huczniej niż tutaj – powiedziała. – Odwiedzaliśmy krewnych i przesiadywaliśmy na ulicach. Pierożki też robiliśmy.

– Nie potrafi robić pierożków. Jest głupia jak świnia – warknął wujek Feng. – Skoro w domu było ci lepiej, dlaczego tam nie wrócisz? – zwrócił się do żony.

– Bo wolę zostać tu z tobą! Jesteś taki cudowny! – zaszydziła ciocia Fu. – Taki przystojny! Jesteś cesarzem? Wydaje ci się, że jesteś aż tak wspaniały? Popatrz w lustro!

Rozdrażniony wujek Feng kołysał się powoli, siedząc na skraju łóżka. Opływał go migoczący, błękitny blask z ekranu, na którym toczyła się wartka akcja. Mnich i wieprz starali się pomóc małpie, której pysk zrobił się jaskrawoczerwony i zaczął zmieniać kształt. Mnich dotknął dłońmi jej czoła i recytował buddyjskie sutry, dopóki nie odzyskała zwykłego wyglądu.

Ciocia Fu spojrzała z odrazą na męża.

– Bóg uczy nas, by do nikogo nie czuć nienawiści, ale jak mogę nie nienawidzić kogoś takiego jak on?

Znałem ich już od kilku lat i przez cały ten czas moje odwiedziny nie kończyły się awanturą tylko wtedy, gdy jednego z nich nie było w domu. Z początku myślałem, że moja obecność podgrzewa atmosferę. Po pewnym czasie zrozumiałem jednak, że po prostu nie potrafią inaczej się ze sobą komunikować. Uparcie wbijali sobie szpile i toczyli ze sobą nieustanną wojnę, której początki sięgały czasów przewodniczącego Mao.

Każde z nich sądziło, że to drugie jest niespełna rozumu. Wujek Feng uważał swoją żonę za zbyt leniwą, by znaleźć pracę, i beznadziejnie naiwną. Gdy byliśmy w kuchni sami, narzekał, że straciła masę pieniędzy na podejrzanych inwestycjach, i zastanawiał się, kiedy wreszcie do niej dotrze, że dorobić się można wyłącznie ciężką, codzienną pracą. Ciocia Fu miała swojego męża za prostaka. Zarzucała mu, że nie dostrzega możliwości, jakie oferują dwudziestopierwszowieczne Chiny. Mówiła, że nie ma pojęcia o biznesie i o podstawowych technikach negocjacji.

Ciocia Fu opowiedziała mi o mieszkaniu, które kupili swojemu synowi. Jego żonie nie spodobała się dzielnica („za dużo migrantów”), więc młodzi szybko przeprowadzili się gdzie indziej. Wujek sprzedał mieszkanie za równowartość mniej więcej stu tysięcy dolarów, czyli zdaniem cioci o połowę za mało.

Po wielodniowych awanturach, które wieczorami zastępował pojedynek ryczących telewizorów, ciocia Fu doszła do wniosku, że jest tylko jeden sposób na odzyskanie pieniędzy.

– Kogoś musiałam pozwać – zwierzyła mi się przy herbacie, gdy wujka nie było w domu. – Więc pozwałam agencję, która reprezentowała nabywcę.

Ale sąd uznał, że nie zrobili nic złego. Sędzia powiedział, że tak naprawdę to jest konflikt rodzinny.

„Cóż za rozsądny sędzia”, pomyślałem.

– Więc teraz pozywam mojego męża – oznajmiła ciocia Fu. – Sąd przyjął pozew. Wkrótce mamy rozprawę.

Nie byłem pewien, czy się nie przesłyszałem.

– Chwileczkę. Pozwałaś własnego męża?

– Tak! To wszystko przez niego. Ma coś nie tak z głową.

– Co się stanie, jeśli wygrasz? Będzie ci musiał zapłacić?

– Nie, nie, nie – powiedziała. – Jednocześnie pozywam firmę zarządzającą nieruchomościami, która pomagała mu w sprzedaży mieszkania. Ale w pozwie musi figurować jego nazwisko, bo to on podjął decyzję o sprzedaży. Pozwałam i firmę, i jego. Jeśli wygram, nie będzie musiał mi nic zapłacić. Ale będę miała dowód, że zrobił źle.

Ciocia Fu dostrzegła moją konsternację, więc wstała od stołu i zaczęła grzebać w pełnej teczek reklamówce w poszukiwaniu dokumentów sądowych.

Upiłem łyczek herbaty, w zamyśleniu kręcąc głową. Mogłem się domyślić, że ich kłótnie skończą się kiedyś w sądzie. Ciocia Fu znalazła wreszcie to, czego szukała. Położyła przede mną szarą teczkę.

– Kiedy przegrałam pierwszą sprawę, za wszystkie pieniądze ze sprzedaży mieszkania kupił drugie, jakiejś babie z prowincji Anhui! – oznajmiła podniesionym głosem.

Gdybym nie zdążył przełknąć herbaty, oplułbym nią leżące przede mną papiery.

– Chwileczkę. Dlaczego miałby coś takiego zrobić? Co to za kobieta? – spytałem.

Wyjaśniła mi, że dwadzieścia pięć lat wcześniej wujek wrócił z Xinjiangu i powiedział, że po drodze, na jakiejś stacji kolejowej, próbowano go okraść. Ta kobieta i jej mąż udzielili mu wtedy pomocy. Po latach postanowił spłacić dług, kupując jej mieszkanie.

– Zgadzam się, że powinien się odwdzięczyć, ale nie musiał od razu kupować jej mieszkania! Nawet najgłupszy Chińczyk by to zrozumiał!

Strasznie się wtedy rozzłościłam.

Historia nie brzmiała przekonująco, raczej sprawiała wrażenie wyjątkowo nieudolnego kłamstwa. Wysłuchałem jej jednak do końca.

– Zadzwoniłam na policję i wzięli babę na przesłuchanie – oświadczyła ciocia Fu.

Wyłowiła z teczki raport policyjny i wspólnie go przeczytaliśmy. 5 maja 2011 roku policjanci przesłuchali rozwódkę z prowincji Anhui, niejaką Bu, która potwierdziła, że wujek Feng kupił dla niej mieszkanie w Szanghaju i że akt własności opiewa na jej nazwisko. Według protokołu z przesłuchania była o piętnaście lat młodsza od męża cioci Fu. Zeznała, że znają się od lat i że kiedy w 2010 roku po rozwodzie z mężem przeniosła się do Szanghaju, wujek Feng, wiedziony współczuciem, postanowił podarować jej mieszkanie, żeby miała się gdzie podziać ze swoimi córkami. W zamian zgodziła się opiekować wujkiem Fengiem i ciocią Fu, kiedy będą zbyt starzy, by radzić sobie samodzielnie.

Delikatnie odłożyłem raport na stół, próbując coś z tego zrozumieć.

– Myślisz, że powiedziała prawdę? – zapytałem ostrożnie.

– Pewnie, że nie! Przecież jest z Anhui! – odparła.

Mieszkańcy chińskich metropolii lubią zrzucać rozmaite bolączki wielkomiejskiego życia na karb przyjezdnych z prowincji, przy czym nie wszystkich, lecz zawsze z konkretnych miejsc. W Pekinie za źródło wszelkiego zła uchodzą migranci z Henanu, jednej z najbiedniejszych i najgęściej zaludnionych chińskich prowincji. Szanghajczycy uważają, że za wszystkie kłamstwa, oszustwa i kradzieże, których padli ofiarą, odpowiadają przybysze z Anhui, ubogiej, górskiej prowincji leżącej o dzień jazdy samochodem od ich miasta.

„Jesteś cudzoziemcem. Nie rozumiesz tego. To po prostu źli ludzie” – powiedział mój nauczyciel chińskiego, kiedy spróbowałem podważyć ten stereotyp.

Ciocia Fu przekonała się jednak, że nie wszyscy mieszkańcy Anhui są złymi ludźmi. Złożyła w tamtejszym sądzie pozew przeciwko Bu. Twierdziła, że kobieta podstępem nakłoniła wujka Fenga, by kupił jej mieszkanie. Sędzia

podzielił jej punkt widzenia i orzekł na jej korzyść. Niestety wujek Feng odmówił podpisania wyroku i mieszkanie pozostało w rękach Bu.

– Mój mąż nie jest złym człowiekiem, ale łatwo go wykorzystywać – zauważyła ciocia Fu, kiedy przeglądałem dokumenty z sądu.

To była jedna z najmilszych rzeczy na temat męża, jakie kiedykolwiek padły przy mnie z jej ust.

– Jest naprawdę dobrym człowiekiem, tylko wolno myśli i nie zna się na ludziach – westchnęła.

Schowała dokumenty z sądu i raport policyjny z powrotem do teczki i odłożyła ją do jednego z niezliczonych kartonów zagracających małe mieszkanko.

– Pewnie za dużo grzeszyłam – powiedziała, siadając przy stole. – Chyba dlatego Bóg każe mi tak cierpieć.

Nie umiała inaczej wyjaśnić chaosu, w którym pogrążyło się jej życie. Cóż mogłem powiedzieć?

– *Luanqibazao* – wymamrotałem stwierdzenie ukute przez Chińczyków na takie właśnie okazje.

Ciocia w milczeniu pokiwała głową. *Luanqibazao* oznaczało kompletną katastrofę, gdy wszystko układa się nie tak, jak powinno. W kraju ciągłych zmian „*luanqibazao*" było w częstym użyciu. Wyrażało potworny bałagan będący typowym skutkiem powszechnego bezhołowia.

Ciocia Fu nie szukała sensu w skomplikowanej sytuacji swojego męża. Możliwe, że wujek Feng rzeczywiście spłacał dług moralny zaciągnięty dwadzieścia pięć lat wcześniej. Przypuszczałem jednak, że kobieta z Anhui po prostu była jego kochanką. Ciocia Fu nie zajmowała się roztrząsaniem detali. Chciała tylko odzyskać pieniądze. Wujek oddał obcej osobie kosztowne mieszkanie przeznaczone dla ich syna i przyszłych wnuków. Zapożyczyła się u znajomych i krewnych na kilkadziesiąt tysięcy juanów, by opłacić koszta sądowe, i próbowała dochodzić swoich racji na drodze prawnej.

– Dlatego angażuję się w te wszystkie inwestycje – wyjaśniła. – Muszę zdobyć pieniądze na spłatę długów.

Przez ekran przewinęły się napisy końcowe *Wędrówki na Zachód*. Wujek Feng wyłączył telewizor, wstał z łóżka, powiedział mi „Do widzenia” i pojechał dokądś na rowerze.

– Ciągle dokądś lata – mruknęła ciocia Fu, kiedy za jej mężem zamknęły się drzwi.

Uznałem, że to dobry moment, by zapytać ją o Gatewang.

– Już jest luty, ciociu. Czy Gatewang zadebiutował już na londyńskiej giełdzie?

Wstała z krzesła i zaczęła sprzątać ze stołu łupiny orzechów.

– Na początku mówili, że zadebiutują w styczniu, ale okazało się, że musimy zaczekać do marca. Pewnie chcą poczekać, aż skończą się święta – powiedziała tonem wymuszonego optymizmu, zgarniając na dłoń pokruszone skorupki orzechów. – Ale się nie boję – dodała. – Inna firma, w którą zainwestowałam, też wchodzi na giełdę w marcu, więc to będzie dla mnie dobry miesiąc.

Oho.

– Jaka inna firma?

Fu wyłowiła z tekturowej teczki wizytówkę przedsiębiorstwa o nazwie Liaoning Dingxu. Liaoning to prowincja w północno-wschodnich Chinach. „*Dingxu*” oznacza „erę brzasku”. Kartonik zdobiło zdjęcie soczyście zielonych łanów sadzonek ryżu. U góry widniał dwuwiersz; znaki rozpoczynające pierwszą i drugą linijkę składały się na słowo „*Dingxu*”:

> Niezachwiana wiarygodność jest złotem,
> Słońce o brzasku ozłaca niebo i ziemię.

– Co to za spółka? – spytałem.

– Zajmuje się hodowlą grzybów. Dostała od rządu kilka tysięcy hektarów ziemi. W marcu ma wejść na NASDAQ[7].

Zerknąłem na drugą stronę wizytówki. Napis na odwrocie głosił: „Inwestując w akcje Dingxu, szybko pomnożysz swój majątek”.

– Zorganizowali wycieczkę dla ośmiorga inwestorów z Szanghaju, żeby pokazać nam swoje uprawy – powiedziała z dumą. Zaproszenie na inspekcję wyraźnie dodało jej poczucia ważności.

Fu po raz pierwszy w życiu leciała samolotem. Hodowla grzybów w Liaoningu zrobiła na niej takie wrażenie, że przed powrotem do Szanghaju zostawiła przedstawicielowi firmy piętnaście tysięcy juanów. Powiedziała mi, że dużą część tej sumy pożyczyła od syna.

Chciałem poradzić jej, by była ostrożniejsza, ale ledwo otworzyłem usta, ona – przyzwyczajona do moich ostrzeżeń – zapewniła mnie, że nie ma powodów do obaw. To pewniak.

– Nie martw się. Nie tylko ja zainwestowałam. Wszyscy ośmioro podpisaliśmy umowy z firmą. Zero ryzyka! – oznajmiła z uśmiechem. – *Zero* ryzyka! – powtórzyła, jakby próbowała sama siebie przekonać.

Życie nauczyło Chińczyków z pokolenia cioci Fu i wujka Fenga, że należy wystrzegać się ryzyka, jednak większości z nich nie udało się go uniknąć.

Ryzykowne eksperymenty ideologiczne przewodniczącego Mao zmarnowały życie milionom obywateli, traktowanym przez władzę jak króliki doświadczalne. Kiedy partia zarzuciła wreszcie nieudane próby zbudowania społeczeństwa komunistycznego i rewolucjoniści mogli wrócić ze wsi do miast, nastąpiła gwałtowna zmiana reguł gry. Rewolucja się skończyła, teraz obowiązywał kapitalizm. Ryzyko, którego nauczyli się bać jak ognia, znów stało się nieodłącznym elementem ich codziennej egzystencji.

Sto pięćdziesiąt sześć milionów Chińczyków, którzy urodzili się w pierwszej dekadzie po przejęciu władzy przez komunistów, określa się mianem straconego pokolenia. Pozbawieni dzieciństwa, życia rodzinnego i wykształcenia, nie nabyli umiejętności potrzebnych do osiągnięcia sukcesu w nowych Chinach.

Czołowy przedstawiciel straconego pokolenia podsumował doświadczenia swoich rówieśników w wywiadzie udzielonym chińskiej telewizji państwowej: „W przeszłości, kiedy dyskutowaliśmy o naszych poglądach, było to bardzo abstrakcyjne… oparte na emocjach. Taka była atmosfera tamtych lat. Ideałów rewolucji kulturalnej nie dało się zrealizować i wszystko okazało się mrzonką”.

W ten sposób opowiadał w 2003 roku o swoich rozwianych złudzeniach przyszły prezydent Chin Xi Jinping. Należał do nielicznej garstki dawnych działaczy, którzy dzięki krewnym w najwyższych kręgach partyjnych pozostali na scenie, gdy opadł rewolucyjny kurz.

Większość jego rówieśników nie miała tyle szczęścia. Zamiast wspinać się po szczeblach hierarchii władzy, desperacko poszukiwali ładu i stabilizacji. Lata największej aktywności zawodowej spędzili w służbie partii, zesłani na prowincję, jak rodzice CK, do obozów pracy, jak Wang Ming, albo na zachodnie pogranicze, jak wujek Feng i ciocia Fu. Patrzyli na cierpienia i śmierć swoich bliskich. Ich największym sukcesem było to, że przeżyli. Trauma lat politycznej zawieruchy wżarła się w ich umysły niczym koszmarne wspomnienia powracających z wojny żołnierzy.

Moi chińscy znajomi pomiędzy pięćdziesiątym piątym a siedemdziesiątym rokiem życia na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie normalnych emerytów, ale pod pozorem zwyczajności skrywają głębokie urazy. Od dziecka zmuszani do poświęcania własnych pragnień na ołtarzu egalitaryzmu cynicznie postrzegają nierówności, które szerzą się w dzisiejszych Chinach. Najbogatsi i najpotężniejsi ludzie z ich pokolenia przeważnie są skorumpowani do szpiku kości. Wspięli się na szczyt drabiny społecznej za pomocą tych samych metod, które w latach sześćdziesiątych XX wieku stosowali w szeregach Czerwonej Gwardii: zastraszania przełożonych i denuncjowania przyjaciół. Jednak większość Chińczyków w tym wieku jest biedna i sfrustrowana i nie boi się otwarcie wyrażać niezadowolenia z tej jawnej niesprawiedliwości.

Moi przyjaciele ze straconego pokolenia są zdani na samych siebie. Nie ukończyli szkół i nie mieli pozytywnych wzorców osobowych, jakie daje formalna edukacja. W rezultacie nie przyjmują niczyich rad i ciągle narażają się na popełnienie poważnych błędów. Tak właśnie było z wujkiem i ciocią. Na tym też chyba polegał problem Burmistrza Chena z Maggie Lane i jego żony Xie, którzy toczyli donkiszotowską walkę ze skorumpowanymi urzędnikami, łudząc się, że odzyskają swój własny skrawek Chin i będą żyli długo i szczęśliwie.

Jak to ujął ich rówieśnik, który zaszedł najwyżej, stracili młodość, służąc złudzeniom. Teraz, kiedy byli starzy, gonili za nowymi, mniej naiwnymi mrzonkami. Choć w systemie, w którym żyli, były one nieosiągalne, w innych częściach świata gwarantowało je prawo. Do tych nowych złudzeń należało inwestowanie w wiarygodne spółki giełdowe, prawo do posiadania nieruchomości oraz realizowanie narodowego snu, który zapewniałby równość wszystkich obywateli.

Film reklamowy rozpoczął się gradem statystyk: co czwarty mężczyzna ma problemy z erekcją. Połowa kobiet skarży się na zbyt niski popęd płciowy. Dwóch na trzech mężczyzn łapie choroby weneryczne. W tle, pod rozbłyskającymi na ekranie liczbami, płakała w chusteczkę kobieta w średnim wieku, a potem zaniedbany mężczyzna snuł się smętnie po pogrążonym w półmroku mieszkaniu. Kolejne liczby: ponad połowa małżeństw kończy się rozwodem. Trzy czwarte rozwodów spowodowane jest brakiem dopasowania w łóżku. Na ekranie pojawiły się dymiące kominy, które po chwili zastąpił obraz zasnutej smogiem ulicy i idących ciężkim krokiem ludzi w ochronnych maseczkach na twarzach. Tubalny głos zza kadru poinformował nas w standardowym języku mandaryńskim, że codzienne stresy rujnują życie seksualne. Nowa okazja inwestycyjna cioci Fu miała być lekarstwem na te wszystkie problemy.

Ciocia Fu zadzwoniła, żeby namówić mnie do udziału w spotkaniu. Widziałem już, jak utopiła mnóstwo pieniędzy w Gatewangu i hodowli grzybów. Martwiłem się o nią, dlatego zgodziłem się z nią pójść. Spotkaliśmy się przed wejściem do zbankrutowanej galerii handlowej na obrzeżach Szanghaju. Przed pustymi witrynami lokali sklepowych piętrzyły się stosy śmieci. Ruchome schody w trzykondygnacyjnym atrium nie działały. Jeździły za to windy i jedna z nich zawiozła nas na najwyższy poziom. Kiedy z szarpnięciem ruszyła w górę, zacząłem się zastanawiać, w co tym razem wpakowała się ciocia Fu. Przez telefon powiedziała mi tylko, że spotkanie będzie dotyczyło inwestycji w produkt zdrowotny.

– To wyjątkowa okazja! – zapewniła.

Mimo to czułem się trochę nieswojo. Jaka spółka wybiera na swoją siedzibę ciemną, opuszczoną galerię handlową?

Drzwi windy otworzyły się z głośnym dzyń! i weszliśmy do zawalonego resztkami materiałów budowlanych holu. Oświetlając sobie drogę telefonami komórkowymi, ruszyliśmy w kierunku jedynego źródła światła: uchylonych drzwi biura, w którym paliły się wszystkie lampy.

Kiedy moje oczy przyzwyczaiły się do blasku, zobaczyłem przed sobą muskularnego, łysego mężczyznę w średnim wieku. Wyciągał do mnie rękę na powitanie.

– Nasz wielce szanowny gość! – huknął po chińsku, energicznie potrząsając moją dłonią.

– Widzi pan, kogo panu przyprowadziłam? – Ciocia Fu porozumiewawczo trąciła go w bok. – Prawdziwego amerykańskiego dziennikarza!

– Gość z zagranicy! I do tego umie mówić po chińsku! *Wa!* – zawołał mężczyzna. – *Ayi*, ma pani rozlegle znajomości!

Łysy facet nazywał się Xue. Pochodził z Syczuanu i był emerytowanym pilotem śmigłowca. Wyglądał jak chińska wersja Mister Muscle'a: ogolona głowa, byczy kark i obcisły, biały T-shirt. Z początku zrobił na mnie wrażenie spokojnego, ale kiedy zaczął mówić, zauważyłem, że lewa strona jego twarzy co kilka sekund kurczy się w nerwowym tiku, który przeszkadzał skupić się na jego słowach.

W głębi pomieszczenia stał długi, drewniany stół, przy którym w czarnych, skórzanych fotelach siedzieli potencjalni inwestorzy: siedmioro starszych kobiet i mężczyzn. Na ścianie przed nimi wisiał płaski telewizor. Przeciwną ścianę zdobiła kaligrafia. Nakreślone ręką prezydenta Hu Jintao chińskie znaki głosiły: „Bądź uczciwy".

– Oto nasz produkt – powiedział Mister Muscle, wciskając mi do ręki pudełko. – Fantastyczny środek dla kobiet i mężczyzn – dodał, zwracając się do pozostałych obecnych. – Sprzedajemy go w czterdziestu krajach świata. Łącznie z Ameryką – zaznaczył, robiąc piruet w moją stronę.

Starsi państwo pokiwali głowami. Obejrzałem pudełko. Angielski napis pod zdjęciem białego mięśniaka w rozchylonej na piersi koszuli głosił, że

w środku znajdują się „ziołowe wkładki higieniczne”. Szpakowaty model wyglądał jak starszy, dojrzalszy brat tenisisty Novaka Djokovića. Niżej znajdował się opis działania:

potężna detoksykacja, pewność siebie
pozbyć się toksyn, piękny wygląd

Więcej konkretnych informacji dostarczała notka po chińsku: w pudełku znajdowało się trzydzieści wkładek nasączonych tradycyjnym chińskim specyfikiem. Należało nosić je w majtkach. Błyskawicznie oczyszczały organizm i przywracały młodzieńczy wigor w łóżku. Chińska nazwa marki brzmiała Lian zhi Yang, Odżywczy Lotos. Producentem wkładek była firma Golden Days International.

Mister Muscle włączył telewizor.

Narrator filmu promocyjnego mówił jedwabistym, mocnym, nabrzmiałym emocjami głosem. Każde zdanie kończył tak, jakby za chwilę miał mieć orgazm. Przez piętnaście lat pracy w radiu nie spotkałem lektora, który umiałby lepiej zawładnąć słuchaczami. „Wkładki Odżywczy Lotos – jęczał zmysłowo – są *nasycone*… ekstraktami trzydziestu… *różnych*… ZIÓŁ! Jednakże o ich… *działaniu.*.. decyduje… *przede wszystkim* wyciąg z kwiatu *Saussurea involucrata*, który rośnie… w *odludnych zakątkach.*.. XINJIANGU!”

Ciocia Fu trąciła mnie w bok. Jej ukochany Xinjiang jeszcze nigdy nie brzmiał tak dumnie. Rozejrzałem się po salce. Seniorzy siedzieli w swoich fotelach skupieni, wyprostowani, uśmiechnięci.

„*Ogrzewa* macicę – ciągnął namiętnym tonem narrator – *stymuluje* krwawienie miesięczne… powodując *skur-cze* macicy! U *mężczyzn*… *pobudza*… *libido*! Leczy *im-po-tencję*… i *zapobiega*… CHOROBOM WENERYCZNYM!”

Na ekranie wizerunek ręki odbijającej pieczęć ze słowami „United States of America” na dokumentach patentowych Odżywczego Lotosu ustąpił miejsca grupie chińskich laborantów w białych fartuchach, którzy skakali z radości, wiwatując i przybijając sobie piątki.

Końcowe kadry pokazywały kobietę, która stała w strugach deszczu z rozłożonymi szeroko ramionami i odchyloną do tyłu głową. Woda opłukiwała jej ciało, oczyszczała organizm, usuwała wszystkie toksyny.

„Twoje… *zdrowie*… *seksualne*… zostało… PRZY… WRÓCONE!” – ryknął po raz ostatni lektor.

– I to już wszystko – powiedział Mister Muscle, wyłączając telewizor. – Światowa centrala firmy znajduje się w Singapurze. Prezydent tego kraju i jego małżonka stosują nasz produkt – oświadczył z dumą.

Ciocia Fu sięgnęła do pudełka i wyciągnęła wkładkę, zapakowaną w bibułkę z napisem „Niebiańskie Szczęście”. Wyłuskała z opakowania biały podłużny przedmiot, który pachniał jak skrzyżowanie maści tygrysiej z nadgniłym owocem.

– Wkładasz to do bielizny! – powiedziała, chichocząc. – Odrywasz pasek z tyłu i przyklejasz do majtek, tak że dotyka twojego małego braciszka!

Wszyscy ryknęli śmiechem, rozbawieni jej dosadnym językiem.

– Już od kilku dni ich używam – oznajmiła ciocia Fu. – Naprawdę działają.

Na chwilę odebrało mi mowę. Pomyślałem o psującej się nieprzerwanie relacji cioci i wujka, o ich oddzielnych telewizorach i oddzielnych życiach. Zacząłem się zastanawiać, w jakim sensie poprawiło się ich życie seksualne, ale po chwili wzdrygnąłem się i pospiesznie odgoniłem od siebie te myśli.

Mister Muscle wręczył mi teczkę, w której znajdowało się kilkadziesiąt zdjęć. Pozostali inwestorzy skupili się wokół mnie i zaczęliśmy je wspólnie oglądać. Pierwsza fotografia, opatrzona podpisem „Niebiańskie Szczęście po pierwszym użyciu przez mężczyznę”, przedstawiała wkładkę wypełnioną wydzieliną, która konsystencją i kolorem przypominała galaretkę jeżynową.

– *Wa!* – zakrzyknęła ciocia Fu.

– Co to jest? – spytałem, wskazując czarną breję.

– Toksyczna wydzielina! – zawołał Mister Muscle z drugiego końca pomieszczenia.

Skrzywiłem się ze wstrętem.

– Chce pan powiedzieć, że to wypłynęło z jego…

– Tak! Z jego małego braciszka!

Kolejna salwa zbiorowego śmiechu. Zdjęcie krążyło po sali. Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem efektów działania Niebiańskiego Szczęścia. Choć moim zdaniem właściwsza byłaby nazwa Piekielny Koszmar.

Wydzieliny fizjologiczne generalnie nie budzą w Chińczykach obrzydzenia. Drastyczne sceny wypadków samochodowych są stałym elementem lokalnych programów informacyjnych w telewizji, a gdy pewnego razu trafiłem do szpitala, już w poczekalni natknąłem się na makabryczne zdjęcia rolnika, który przebił sobie czaszkę metalowym prętem. Plakat ilustrował kolejne etapy udzielania nieszczęśnikowi pomocy przez zespół utalentowanych lekarzy.

W końcu fotografia zużytej wkładki wróciła do mnie i jeszcze raz rzuciłem na nią okiem.

– Coś okropnego – stwierdziłem.

– To wcale nie boli – powiedziała ciocia Fu. – Wkładka jest przyjemna i chłodna w dotyku. Zaczyna działać już po dziesięciu minutach!

Zerknąłem na inne zdjęcia rozłożone na stole. Przedstawiały urozmaicony zbiór zużytych wkładek Niebiańskie Szczęście, pokrytych wydzielinami w różnych kolorach: brązową, czarną, żółtą. Jedna z wkładek była zabrudzona zaschniętą krwią. Jak informował podpis, należała do kobiety po menopauzie, która dzięki Odżywczemu Lotosowi znów zaczęła miesiączkować.

Mister Muscle położył dłoń na moim ramieniu.

– Proszę – wręczył mi pudełko Niebiańskiego Szczęścia. – Toaleta jest w holu. Niech pan pójdzie i przyklei wkładkę do bielizny.

Odruchowo skrzyżowałem nogi.

– Uhm… nie, dziękuję – wydukałem.

Twarz Mister Muscle’a skurczyła się w gwałtownym tiku, który płynnie przeszedł w wyraz zafrasowania.

– Sam je stosuję od dwóch miesięcy. Są bardzo wygodne. W ogóle się ich nie czuje.

Pokręciłem głową.

– Zwiększą pańskie możliwości seksualne! – zapewnił mnie z uśmiechem Mister Muscle. – Jest pan dziennikarzem, prawda? Niech pan spróbuje,

będzie mógł pan potem o nich pisać na podstawie własnych doświadczeń.

– Zajmuję się chińską gospodarką, a nie wkładkami na potencję – odparłem twardo.

– To może napisze pan o drugiej firmie mojego męża? – włączyła się żona Mister Muscle'a. – Jest dyrektorem naczelnym przedsiębiorstwa lotniczego! Za dziesięć lat wszyscy będą latać do pracy helikopterami. Mamy osiemdziesięcioprocentową szansę wejścia na giełdę – powiedziała z przekonaniem.

Mister Muscle kiwnął głową. Patrzyłem na niego, wyobrażając sobie, jak wygląda jego życie: jednego dnia werbuje chętnych do rozprowadzania wkładek higienicznych, a następnego sprzedaje niezamożnym staruszkom akcje nieistniejącej fabryki helikopterów.

Powiodłem wzrokiem po twarzach potencjalnych inwestorów. Sami emeryci, jak ciocia Fu. Po całych dniach wędrują ze spotkania inwestycyjnego na spotkanie inwestycyjne, wymieniają się poufnymi informacjami, zachwalają swoje ulubione produkty, nagabują znajomych, wysłuchują i sami wygłaszają handlowe slogany, które zbyt dobrze brzmią, by mogły być prawdziwe. Dziś są drapieżnikami, jutro ofiarą: kupują i sprzedają od siebie nawzajem, tak często zmieniając role, że w końcu trudno stwierdzić, kto jest myśliwym, a kto zwierzyną. Wiedzą tylko, że razem w tym siedzą, tworząc ludzką piramidę, spojoną siłą *guanxi*.

Wziąłem do ręki pudełko Niebiańskiej Szczęśliwości.

– Ile to kosztuje? – zapytałem Mister Muscle'a.

– Trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć *renminbi* za pudełko zawierające dwadzieścia wkładek – odparł.

Przeliczyłem to sobie na dolary. Wyszło siedemdziesiąt, blisko cztery za wkładkę. Wujek Feng musiałby sprzedać sto pięćdziesiąt cebulowych placków, żeby kupić jedno pudełko.

– Trochę drogo – powiedziałem.

– To bardzo korzystna cena – oświadczył z poważną miną Mister Muscle. – Można dużo zarobić na sprzedaży. Każdy, kto raz spróbuje, zawsze wraca po więcej.

Patrzyłem na rozłożone na stole zdjęcia i próbowałem zrozumieć, dlaczego ktoś miałby kupować produkt wywołujący niekontrolowane upławy, po których bielizna wygląda jak zużyta pielucha.

Twarz Mister Muscle'a wykrzywił kolejny tik.

– Odstawienie wkładek powoduje dyskomfort – wyjaśnił, wyczuwając mój sceptycyzm. – Zanim człowiek się zorientuje, nie może bez nich żyć. Więc będzie chciał kupić następne pudełko.

Wziął do ręki czarny marker i podszedł do ustawionej obok telewizora suchościeralnej tablicy. Zaczął pisać liczby. Cztery tysiące juanów (około siedmiuset dolarów) kosztuje wpisowe. Opłata obejmuje pierwsze piętnaście pudełek wkładek. Kiedy je sprzedam, dostanę pięćdziesiąt procent rabatu przy następnym zamówieniu. Zarobię dwieście juanów na każdym pudełku Niebiańskiej Szczęśliwości.

– Czterdzieści pięć procent zysku! – policzyła za mnie ciocia Fu.

Mister Muscle z aprobatą kiwnął głową.

– To bardzo proste – powiedział.

– A jeśli znajdę nowych ludzi do sprzedawania wkładek? – spytałem.

Mister Muscle zatikał z podniecenia.

– Z pana kontaktami za granicą na pewno to się panu uda!

Nabazgrał na tablicy kolejne liczby.

– Jeśli znajdzie pan pomocnika, dostanie pan „dochód pierwszego stopnia", to znaczy dwadzieścia pięć procent od zysku pańskiego przyjaciela. A teraz wyobraźmy sobie, że on też zwerbował pomocników. Wtedy dostanie pan „dochód drugiego stopnia", czyli piętnaście procent od ich zarobków. „Dochód trzeciego stopnia" wynosi dziesięć procent, a potem za każdy kolejny stopień do dziesiątego włącznie – dziewięć i pół. Zaraz wytłumaczę, jak to wszystko działa.

Mister Muscle zaczął pokrywać tablicę kropkami.

– Widzicie? – zapytał.

Pokiwaliśmy głowami.

– Teraz patrzcie.

Łączył ze sobą kropki, zapełniając tablicę małymi trójkącikami. Tiki przyspieszyły gwałtownie. Połączył liniami poszczególne trójkąty i,

zdyszany, odwrócił się w naszą stronę. Na tablicy widniał znajomy kształt.

– To – oznajmił Mister Muscle – jest piramida.

Zerknąłem na ciocię Fu. Uśmiechnęła się do mnie i wskazała tablicę.

– Zadam panu pytanie. – Mister Muscle wycelował marker w moją stronę. – Czy wolałby pan dostać milion dolarów na koniec miesiąca, czy raczej jeden *renminbi* pierwszego dnia, a potem codziennie dwa razy więcej niż poprzedniego? Co by pan wybrał?

– Wziąłbym milion dolarów – udałem głupiego.

Ciocia Fu parsknęła śmiechem.

– Okej. – Mister Muscle też się roześmiał. – Pan bierze milion, a ja zacznę od jednego *renminbi*. Zobaczmy, który z nas lepiej na tym wyjdzie. Pierwszego dnia dostanę jednego juana, drugiego dnia dwa, trzeciego cztery, czwartego osiem, piątego szesnaście…

Mister Muscle gorączkowo pisał na tablicy kolejne liczby, a reszta obecnych dokonywała chóralnie obliczeń.

– Potem 4096! Potem 8192! Potem 16 384! Potem 32 768!

Przy dwudziestym piątym dniu ciocia Fu wpadła w ekstazę i klepnęła mnie w udo. Mister Muscle podniósł głos, przekrzykując chór inwestorów:

– Ponad dwieście milionów! Trzydziestego dnia ponad pięćset milionów! *Wa!* Ale pan… – przerwał, by zaczerpnąć powietrza – pan został ze swoim milionem. Widzi pan? Tak działa nasza sprzedaż!

To było proste ćwiczenie z tabliczki mnożenia, lecz handel nie działa w ten sposób, zwłaszcza w przypadku absurdalnie drogich chińskich wkładek na podniesienie jakości życia seksualnego.

– Ile osób pan zwerbował? – zapytałem Mister Muscle’a.

Zanim mi odpowiedział, przez jego twarz przemknął lekki skurcz.

– Pięć albo sześć – wyznał.

– Od kiedy sprzedaje pan te wkładki?

– Od trzech miesięcy.

Ciocia Fu położyła mi dłoń na kolanie.

– Znajomy z Wenzhou namówił go, żeby rozkręcił sprzedaż w Szanghaju! – wyjaśniła.

No tak, oczywiście, kolejny człowiek z Wenzhou.

– Ile już pan zarobił?

– Dopiero zaczynam! – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Poza tym rozkręcam własną firmę helikopterową, a to pochłania mnóstwo czasu.

W naszą wymianę zdań włączyła się jedna z uczestniczących w spotkaniu kobiet. Miała ponad osiemdziesiąt lat i przed filmem reklamowym powiedziała mi, że dzięki tego rodzaju inwestycjom mogła sobie pozwolić na zafundowanie wnuczce studiów w Australii. Widocznie uznała, że dyskusja zbacza z tematu, bo podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– *Aiya!* Wy, dziennikarze, nie zarabiacie zbyt dużo, prawda? Ile panu płacą? Chyba niewiele. Tylko biznesmeni zarabiają prawdziwe pieniądze. Sprzedawanie wkładek zapewniłoby panu dodatkowy dochód.

Ciocia Fu pokiwała głową.

– Dadzą ci pudełko na próbę. Możesz rozdać wkładki znajomym. Jeśli im się spodobają, wrócisz po więcej.

– Niech pan koniecznie weźmie je ze sobą do Ameryki – powiedziała z naciskiem starsza pani.

– Nie mówiliście przypadkiem, że w Stanach są już w sprzedaży? – spytałem.

– Prosi cię tylko, żebyś pomógł je wypromować – zapewniła mnie ciocia Fu.

– Skontaktujemy pana z producentem, żebyście mogli przedyskutować, jak wypromować wkładki na rynku amerykańskim – włączył się Mister Muscle.

Staruszka dotknęła mojej ręki.

– To wspaniała okazja. – Poklepała mnie po dłoni. – Jesteśmy uczciwymi ludźmi. Nigdy byśmy nikogo nie oszukali.

Zaprzepaszczone plany inwestycyjne 157 seniorów z Ningbo; stracili bezpowrotnie dwanaście milionów renminbi.

Ten tytuł wyskoczył jako pierwszy, gdy wpisałem do chińskiej wyszukiwarki internetowej „Liaoning Dingxu”, nazwę producenta grzybów, któremu ciocia Fu przekazała swoje oszczędności na starość. Artykuł, opublikowany 15 maja 2014 roku w „Southeastern Business Report”,

zaczynał się słowami: „Ponad stu emerytów jest podejrzanych o współudział w piramidzie finansowej”.

Według autora tekstu Liaoning Dingxu zbierał fundusze na terenie całych Chin, kierując swoją ofertę głównie do siedemdziesięciolatków i osiemdziesięciolatków.

Ningbo leżało zaledwie dwie godziny jazdy na południe od Szanghaju. Byłem ciekaw, czy oszuści z tego miasta to ci sami ludzie, którzy zafundowali cioci Fu wycieczkę na plantację grzybów i dostali od niej piętnaście tysięcy juanów.

Prezes Liaoning Dingxu i dwaj członkowie zarządu zostali aresztowani w Ningbo pod zarzutem wyłudzenia kilku milionów dolarów od stu pięćdziesięciu siedmiu seniorów, z których część zainwestowała w produkcję grzybów oszczędności całego życia. Podejrzani wmówili im, że po wejściu spółki na NASDAQ zwrot z inwestycji będzie wynosił piętnaście procent rocznie.

Z kolejnych artykułów prasowych dowiedziałem się, że firma znajdowała się na krawędzi bankructwa. Jak odkryli dziennikarze „The Liaoning Evening News”, szklarnie, w których rzekomo rosły grzyby, były tylko przykrywką. W rzeczywistości spółka wydzierżawiła je miejscowym rolnikom, którzy nie pracowali dla przedsiębiorstwa.

Według „Southeastern Business Report” poszkodowani emeryci nie chcieli przyjąć do wiadomości, że padli ofiarą oszustwa. „Chociaż postępowanie sądowe zbliżało się do końca – pisał dziennikarz tej gazety – kilku inwestorów nadal chciało rozmawiać z oskarżonymi o wejściu spółki na giełdę w Stanach Zjednoczonych”.

Prowadzący rozprawę sędzia nie posiadał się ze zdumienia. Przed wydaniem wyroku po raz ostatni zwrócił się do okantowanych inwestorów, siedzących w ławach dla publiczności:

– Nadal wierzycie, że Liaoning Dingxu wejdzie na giełdę? – zapytał z niedowierzaniem. Następnie wygłosił jedną z tradycyjnych chińskich sentencji, zwanych *chengyu*: – *Kuxiaobude*. („Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać”).

Trudno dokładnie powiedzieć, ilu Chińczyków padło ofiarą przekrętów inwestycyjnych. Rząd nie prowadził takich statystyk. Obie firmy, których akcje nabyła ciocia Fu – Gatewang i Liaoning Dingxu – obiecywały swoim udziałowcom, że wejdą na prestiżowe zachodnie giełdy. W tym samym czasie kilka chińskich przedsiębiorstw, przy wtórze medialnych fanfar, rzeczywiście zadebiutowało na NASDAQ oraz giełdach w Nowym Jorku i w Londynie.

Nieco lepiej chińskie władze orientowały się w funkcjonowaniu piramid finansowych w rodzaju Odżywczego Lotosu. W 2014 roku Chiński Urząd do spraw Przemysłu i Handlu wydał czterdzieści dziewięć zezwoleń na prowadzenie sprzedaży bezpośredniej (promowanie i sprzedawanie produktów przez osoby indywidualne poza stałymi punktami sprzedaży detalicznej), pod warunkiem że zarówno same firmy, jak i ich armie *laobaixing* będą się stosowały do chińskiego prawa. Wśród przedsiębiorstw, które uzyskały zgodę na taką działalność, znalazły się spółki zagraniczne, między innymi Amway, Avon i Herbalife. Jak się łatwo można było domyślić, Odżywczy Lotos nie figurował na tej liście, więc jego działalność była nielegalna. Ale nawet firmy, które miały odpowiednie pozwolenia, nie zawsze przestrzegały prawa. Wiele z nich również stosowało metody - rekrutowania i techniki indoktrynacyjne typowe dla piramid finansowych.

Jak zauważył jeden z badaczy zajmujących się chińskimi piramidami finansowymi, Komunistyczna Partia Chin miała własne powody, by patrzeć czujnym okiem na sieci sprzedaży bezpośredniej. „Rozwój [tych] oddolnych organizacji pod pewnymi względami bardzo przypomina wczesny, entuzjastyczny etap organizowania się Partii. Odwołują się one do tradycji sekt i kultów, które zawsze cieszyły się dużą popularnością w rolniczych rejonach Chin, gdzie także Partia znalazła w swoim czasie najwięcej żarliwych zwolenników”.

Dlatego właśnie martwiłem się o ciocię Fu, niewykształconą chłopkę z górzystego Syczuanu. W młodości posłuchała wezwania partii i wyjechała do pracy w gospodarstwie rolnym w Xinjiangu. Później razem z mężem przeniosła się do szanghajskiej dżungli na drugim końcu kraju, gdzie na

każdym kroku otaczały ją pieniądze, brakowało ich tylko w jej własnej kieszeni.

Jak wielu jej rówieśników, nie umiała zdobyć pieniędzy w nowych Chinach, więc tak samo jak w czasach Mao lgnęła do rozpływających się w uśmiechach werbowników, którzy wskazywali jej drogę do szczęścia i dobrobytu. W latach sześćdziesiątych XX wieku prosta wiejska dziewczyna była idealnym nabytkiem dla komunistycznych agitatorów; w dwudziestopierwszowiecznym Szanghaju biedna starsza kobieta bez wykształcenia i dostępu do internetu stała się jeszcze łatwiejszym łupem dla rozmaitych kanciarzy.

Jedyną ozdobą spartańskiej sypialni cioci Fu i wujka Fenga był powieszony nad małżeńskim łóżkiem plakat z reprodukcją renesansowego malowidła. Przedstawiało uskrzydlonego mężczyznę, prawdopodobnie rzymskiego boga Saturna, który trzymał pod pachą nagą kobietę. W drugiej ręce ściskał sierp, którym dźgał powalonego na ziemię śmiertelnika.

– Dlaczego powiesiliście sobie ten obraz? – zapytałem oboje.

Wpadłem do nich, bo chciałem porozmawiać od serca z ciocią Fu o jej inwestycjach i o tym, co wyczytałem w internecie na temat Liaoning Dingxu, ale zastałem tylko wujka Fenga. Kiedy ciocia wróciła wreszcie do domu, natychmiast zaczęli się kłócić. Chciałem to przerwać.

– Jest z Niemiec – odparł wujek. – To starożytny obraz o tematyce historycznej. Ukazuje społeczeństwo feudalne.

Nie bardzo rozumiałem, co mu nasunęło taką interpretację. Może sierp w ręku uskrzydlonego mężczyzny. Albo bukoliczna sceneria. Ciocia Fu też się nie dała przekonać.

– Tematyka historyczna? Co ty wiesz o historii? – powiedziała. – Nie mają nawet odpowiednich strojów. Jak możesz nazywać to historią? Gadasz jak przewodniczący Mao! Społeczeństwo feudalne! Walka klasowa! *Aiya*.

– Nic nie rozumiesz – odciął się wujek. – Mówisz od rzeczy.

– Mao był zły i okrutny – oznajmiła mężowi ciocia Fu.

– Nie możesz mówić, że był zły – zaprotestował wujek, zerkając w moją stronę. – Po prostu wybrał inną drogę.

– Zabił mojego ojca. I mojego stryja, tylko dlatego, że biedak skończył szkołę Kuomintangu. Obydwaj byli niewinni – powiedziała ciocia Fu. – Został mi tylko jeden stryj, który zresztą też ledwo przędzie.

– To dlaczego nie pojedziesz go odwiedzić i nie podzielisz się z nim pieniędzmi, które zarabiasz na tych swoich inwestycjach? – wrzasnął wujek.

– Pojadę, jak tylko się skończy sprawa w sądzie – zapewniła go ciocia.

– Ty i ten twój głupi sąd! – krzyknął wujek. – Co ci odbiło z tymi procesami?! Gdyby nie ja, do dziś klepałabyś biedę, harując w polu w Xinjiangu.

– W Xinjiangu jest czyste powietrze! – wrzasnęła ciocia. – I zdrowe jedzenie. Wszystko jest tańsze! Latem jest chłodno, a zimą ciepło. Gdzie indziej można znaleźć taki raj?

– To wracaj tam!

„Poczekaj, staruszku – pomyślałem w duchu. – Jeszcze tam wróci”. Dla cioci Fu Xinjiang uosabiał czasy, kiedy czuła się szczęśliwa, a życie było prostsze. W Xinjiangu nie mieszkała w zimnej, ciemnej norze ani nie miała długów. Mąż nie wziął sobie jeszcze kochanki, a cioci nie dręczyły chciwość i pragnienie zemsty.

– Chcesz się mnie pozbyć, żeby pod moją nieobecność robić złe rzeczy – powiedziała do pleców męża. – Zostaliśmy w Szanghaju wyłącznie z powodu naszych dzieci – dodała, zwracając się do mnie. – Nie licząc szkół, w Xinjiangu wszystko jest lepsze.

– Ach! Więc to dla dzieci! – zadrwił wujek Feng. – Ile im dałaś pieniędzy? Kupiłaś im dom? Nie! Tylko ja im pomagam. Ty wszystkie pieniądze oddajesz oszustom! Kupujesz produkty zdrowotne i inne śmieci, a teraz jeszcze wyrzucasz *renminbi* na adwokatów! Co za bzdura!

Wstałem, żeby się dyskretnie ulotnić.

– Naprawdę muszę już iść – wyjąkałem, zerkając na telefon. Czerwona ze złości ciocia Fu zignorowała moją uwagę i chwyciła mnie za ramię.

– Pamiętasz, jak mnie zmusił, żebym pojechała urodzić do Szanghaju? Pamiętasz?

Pamiętałem. Opowiedziała mi o tym na samym początku znajomości, w środku nabożeństwa, gdy reszta kongregacji śpiewała hymn. Przyszło mi

wtedy do głowy, że jej historia o opuszczeniu Xinjiangu, by urodzić dziecko w rodzinnym mieście jego ojca, bardzo przypominała opowieść o Marii i Józefie, którzy w czasie rzymskiego spisu ludności udali się do Betlejem. Ciocia Fu nie powiła syna w stajence, zaczęła rodzić pośrodku pustyni w autobusie, który dowiózł ją do wiejskiego szpitala. Kiedy w połogu wywiązały się komplikacje, lekarka zaznajomiła ją z uzdrawiającą mocą wiary.

– Tak, pamiętam – przytaknąłem.

Ciocia Fu otarła oczy i wzięła głęboki oddech.

– Nasz syn młodo umarł – powiedziała.

Wujek Feng oderwał wzrok od telewizora i posłał żonie mordercze spojrzenie.

– *Jego* matka zabrała go do Anhui. – Wskazała na męża. – Pewnego dnia utonął w rzece. Studiował na Szanghajskim Uniwersytecie Medycznym, miał zostać lekarzem. Dopiero skończył osiemnaście lat. Jego matka zabrała go do Anhui i zwyczajnie utopił się w rzece.

Usiadłem, zbierając siły, by znieść kolejną kłótnię, lecz w zimnym, ciemnym pokoju zapadła cisza. Zakłócały ją tylko głosy lekarzy z programu medycznego, który oglądał wujek.

Trzy długie minuty później ciocia Fu wyjęła z szafki paczkę suszonych owoców.

– Poczęstuj się morelą. – Z łagodnym uśmiechem podsunęła mi torebkę.

Poczęstowałem się i zerknąłem na wujka Fenga. Apatycznie gapił się w telewizor. Nie odezwał się więcej ani słowem.

12 Wiejskie wesele

长乐路109 号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 109

Podróż z kwiaciarni na ulicy Wiecznej Szczęśliwości do rodzinnego miasta w prowincji Shandong przez większość dorosłego życia Zhao Shiling trwała trzynaście godzin. 1 lipca 2011 roku wprowadzono połączenie szybką koleją i całonocna, trzęsąca jazda rozklekotanym autobusem z dnia na dzień zamieniła się w trzygodzinną przejażdżkę pociągiem dużych prędkości. Pędzący trzysta kilometrów na godzinę *bullet train* sunął wśród pól ryżowych delty Jangcy tak gładko, że mogłem wrócić z wagonu restauracyjnego na swoje miejsce bez rozlania ani kropli latte.

Popijałem kawę, patrząc na przepływający za oknem krajobraz. Zbyt szybko umykał do tyłu, by dało się skupić wzrok na szczegółach. Zanim Chińczycy zbudowali system kolei dużych prędkości, podróż pociągiem stwarzała idealne warunki do kontemplowania pejzażu. Lubiłem wyglądać przez otwarte okno i obserwować pracujących w polu rolników. Czasem, gdy dostrzegali cudzoziemca, uśmiechali się i machali ręką. Wystawiałem głowę za okno, by zaciągnąć się wiejskim powietrzem, i pozdrawiałem ich tym samym gestem. Myślałem o pracy, którą mają do wykonania przed zachodem słońca, o ich dzieciach, uczących się w wiejskiej szkole, o tym, jak wygląda ich życie. Szczelnie zamknięta kapsuła pociągu nie pozwalała na kontemplowanie widoków za oknem. Pasażer nie oddychał tym samym powietrzem co wieśniacy, nie było czasu, by zajrzeć z mostu w otchłań przełomu rzeki. Dzisiaj podróż pociągiem upływała na oglądaniu filmu na tablecie albo sprawdzaniu maili w smartfonie. A kiedy z nudów zerknąłeś w okno, pracujący w polu chłop znikał, nim zdążyłeś go dobrze zobaczyć.

Jakby go nigdy nie było. I jego pola też.

Był maj, pierwszy dzień pięciodniowego święta. Wysiadłem z pociągu na dworcu w Zaozhuang i wspiąłem się po niedziałających ruchomych schodach na poziom hali głównej. To był ostatni raz, kiedy pozwolono mi dotknąć mojej walizki.

– Ja ją wezmę! Proszę mi ją dać! – krzyknął Mały Sun. Wyrwał mi bagaż z ręki i wrzucił do bagażnika taksówki.

Z trudem poznałem Zhao. Zamiast niebieskiego, fabrycznego kombinezonu, w którym wróciła do rodzinnego miasta dwadzieścia lat wcześniej, miała na sobie gustowną, elegancką suknię w kwiaty. Zakręcone w loki włosy muskały jej obnażone ramiona. Użyła tuszu do rzęs i szminki. Całości dopełniały biżuteria i kapelusz od słońca.

Zhao wystroiła się z myślą o weselu, ale nie o tym, na które wybieraliśmy się teraz. Następnego dnia za miastem miał odbyć się ślub jej bratanka, ale tak naprawdę przyjechała z Szanghaju z misją wyswatania swojego starszego syna z miejscową dziewczyną. W kraju zmiennych kolei losu i rozrzuconych po różnych miastach rodzin migrantów zarobkowych wiejskie wesele przestało być wyłącznie świętem nowożeńców. Stało się okazją do załatwienia rozmaitych rodzinnych spraw, aranżowania kolejnych małżeństw, omawiania planów na przyszłość.

– Nie wierzę, że tu jesteś! – zawołała Zhao, dotykając mojej ręki. – Mój bratanek był zachwycony, kiedy mu powiedziałam, że będziesz na jego weselu. Tutaj widujemy cudzoziemców tylko w telewizji!

Zaozhuang był płaski i zasnuty smogiem. Nad linią dachów górował las dźwigów. Niektóre chińskie miasta słyną z lokalnej kuchni. Inne ze starożytnych zabytków. Zaozhuang był znany z bijatyk. Chińczycy nazywają ten region krainą ryb i ryżu, ale żyzne, zielone równiny często są nawiedzane przez katastrofalne susze. Główne źródło wody w regionie, jezioro Weishan, przez które przechodzi liczący półtora tysiąca lat Wielki Kanał, znajduje się na granicy Shandongu, Anhui i Jiangsu i ma fundamentalne znaczenie dla bytu kilkudziesięciu milionów ludzi. W okresach suszy pomiędzy mieszkańcami sąsiadujących prowincji wybuchają walki o wodę. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat odnotowano przeszło czterysta przygranicznych

zatargów o dostęp do jeziora Weishan. Zginęło w nich lub odniosło rany kilkaset osób.

Mężczyźni z Zaozhuang sięgali po broń nie tylko z powodu wody. Gdy pod koniec lat trzydziestych XX wieku Japonia dokonała inwazji na Chiny, miejscowy oddział partyzancki, złożony z chłopów i górników, wydał wojnę siłom wroga. Partyzanci zabijali japońskich żołnierzy i napadali wojskowe pociągi, z których kradli broń i materiały wybuchowe. Te akcje dały im sławę bohaterów narodowych.

Historia miasta była unurzana we krwi. Gdy ją trochę lepiej poznałem, uświadomiłem sobie, że w opowieściach Zhao o panującym w Zaozhuang bezprawiu nie było krzty przesady. Tamtejsi mężczyźni nigdy nie rezygnowali z okazji do dobrej bitki.

Zhao miała nadzieję, że Duży Sun ułoży tu sobie życie. Z myślą o jego przyszłej rodzinie kupiła mieszkanie na dwudziestym pierwszym piętrze wysokościowca o nazwie Park Ludowej Harmonii. Był to jeden z najwyższych budynków w mieście, położony tuż obok głównej atrakcji turystycznej Zaozhuang, Muzeum Partyzantki Kolejowej.

– Oto i on! – zawołała Zhao, pokazując przez otwarte okno taksówki przypominające zamek gmaszysko. – Na razie je wynajmuję, ale pewnego dnia wprowadzi się do niego Duży Sun.

Jedyne, czego brakowało, to żona. Zhao cofnęła rękę do wnętrza samochodu i odchyliła się na oparcie fotela. Kapelusz położyła na kolanach, zamknęła oczy i zrobiła głęboki wydech. Ciepły, wiosenny wiaterek rozwiewał jej rozpuszczone włosy. Ponad rok przygotowywała się do tego weekendu. Od momentu, gdy Duży Sun rzucił szkołę i zjawił się w jej kwiaciarni, czuła się odpowiedzialna za to, jak potoczy się jego życie. Od dłuższego czasu próbowała znaleźć mu żonę i pierwszy raz była tak bliska sukcesu. Dziewczyna i Duży Sun zaprzyjaźnili się na WeChacie; codziennie wymieniali wiadomości.

– Umówili się wczoraj na obiad – powiedziała Zhao, nie otwierając oczu. – Jest bardzo ładna.

Do tej pory znała ją tylko ze zdjęcia na WeChacie, na którym połowę twarzy potencjalnej narzeczonej zasłaniała maseczka Hello Kitty.

– Duży Sun pojechał spotkać się z jej rodzicami i krewnymi – oznajmiła z lekkim niepokojem w głosie. – Chyba nie podoba im się, że jest fryzjerem. W tym mieście to nie jest prestiżowy zawód. Obawiają się, że będzie za mało zarabiał.

Oczywiście mieli rację, choć dochody ich córki również nie były imponujące. Jako kierowniczka magazynu w sklepie spożywczym zarabiała miesięcznie równowartość stu pięćdziesięciu dolarów. Nie chciała opuszczać rodzinnego miasta dla wyższej pensji. Po ślubie Duży Sun musiałby wrócić do Zaozhuang, co bardzo ograniczyłoby jego możliwości. Mimo wrodzonej inteligencji nie skończył szkoły, a jego dotychczasowe doświadczenie zawodowe sprowadzało się do pracy w klubie golfowym i salonie fryzjerskim. W Zaozhuang można było znaleźć zatrudnienie w kopalni węgla, rolnictwie i na budowach, ale chłopakowi nie uśmiechała się praca fizyczna. Zhao obawiała się, że to może wpłynąć na decyzję rodziców dziewczyny. Miała nadzieję, że mieszkanie w Parku Ludowej Harmonii przechyli szalę na korzyść jej syna.

– W naszym mieście jest takie powiedzenie – rzuciła do tyłu z fotela obok kierowcy – że jeśli chcesz złapać ptaszka, najpierw musisz kupić klatkę.

Zhao miała jeszcze jedną klatkę: przestronne mieszkanie na siedemnastym piętrze obłożonego białymi i niebieskimi kafelkami bloku wśród szachownicy soczyście zielonych pól pszenicy i kukurydzy na skraju miasta. Ptaszek wyfrunął, zanim dotarliśmy na miejsce – synowa Zhao, Zhang Min, żona Małego Suna, wyruszyła na pomoc swojemu nieszczęsnemu szwagrowi. Duży Sun zgubił się, szukając domu Hello Kitty, i zadzwonił z prośbą o wsparcie.

– *Aiya!* Nie umie nawet sam trafić pod właściwy adres! – jęknęła Zhao, kiedy usłyszała, co się stało.

Mieszkanie, które Zhao kupiła dla Małego Suna i Zhang Min, było pustą, betonową skorupą. Po ślubie młodzi wyjechali za pracą do Szanghaju, a wkrótce potem urodził im się syn. Nie mieli czasu urządzić się w Zaozhuang. Pewnego dnia, gdy Szanghaj da im już wszystko, co ma do zaoferowania, wrócą tam z Shuoshuo. Trzecia sypialnia była przeznaczona dla Zhao, która zamierzała wprowadzić się do niej po przejściu na emeryturę.

Mały Sun wziął dwuletniego synka na ręce i oprowadził mnie po swoich włościach. Mieszkanie miało około dziewięćdziesięciu metrów kwadratowych (dużo jak na chińskie standardy) i trzy sypialnie. Okno salonu wychodziło na obszerny dziedziniec z boiskiem do koszykówki i sztuczną sadzawką ozdobioną dużymi kamieniami. W dole młodzież rzucała piłką do kosza, a obok kilku małych chłopców próbowało zrobić własną rzeczkę ze strumyczka wody, który sączył się z hydrantu przeciwpożarowego.

– Wyobrażam sobie, jak będzie się tam bawił Shuoshuo – powiedział Mały Sun w zalanym słońcem, pustym salonie.

Kiedy spotykałem go w kwiaciarni matki na ulicy Wiecznej Szczęśliwości, zawsze był przed pracą albo po pracy i wyglądał na przybitego i zestresowanego. Lecz w Zaozhuang, z synkiem na ręku, wydawał się odprężony, pełen optymizmu, szczęśliwy. Był u siebie.

Za to jego brat w rodzinnym mieście potrzebował przewodnika. Kiedy Zhang Min przywiozła go ze spotkania z potencjalnymi teściami, sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Przywitał mnie niewyraźnym „*Ni hao*" i wbił wzrok w podłogę. Na spotkanie z rodzicami Hello Kitty wystroił się w koszulę w tureckie wzory i przemyślnie porozdzierane czarne dżinsy.

– Jak poszło? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – jęknął. – Miał być obiad, ale nie było. Gdybyśmy zjedli razem obiad, toby oznaczało, że rodzice zgadzają się na mój ślub ze swoją córką. Ale tylko siedzieliśmy i wygadywaliśmy brednie. Teraz muszę czekać, aż się do mnie odezwą.

Ojciec Hello Kitty przeszedł niedawno operację chirurgiczną i Duży Sun przyniósł mu kosz owoców. Zhao uważała, że to gest uprzejmości i szacunku, ale bliscy dziewczyny uznali, że kandydat na męża posunął się za daleko w finezyjnym tańcu prowincjonalnych zalotów. Zareagowali, jakby przyjęcie prezentu od cwaniaczka z wielkiego miasta było równoznaczne z zaakceptowaniem go jako zięcia. Moi przyjaciele sądzili, że postępują zgodnie ze zwyczajem. Nastąpiło nieporozumienie. Dla mieszkańców małych miasteczek i wsi prezent nigdy nie był po prostu prezentem, lecz długiem, który trzeba będzie prędzej czy później spłacić. Kiedy Zhao zastanawiała się,

co teraz zrobić, ja myślałem o tym, jak bardzo ona i jej syn oddalili się od kodu kulturowego swojego rodzinnego miasta.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytała swojego syna.

– W pracy, w sklepie – odparł z westchnieniem.

Zhao stała bez ruchu, w głębokim skupieniu, patrząc gdzieś w bok. Został jej tylko jeden dzień na doprowadzenie sprawy do końca. Tam, gdzie jej syn widział czarną otchłań beznadziejności, ona dostrzegła okazję.

Dziesięć minut później cała rodzina stała przed sklepem spożywczym i pytała o dziewczynę. Duży Sun i jego matka podeszli pod drzwi magazynu na tyłach sklepu, a reszta ekipy wycofała się na pewną odległość. Chociaż staraliśmy się nie rzucać w oczy, obecność obcokrajowca na głębokiej prowincji szybko przyciągnęła tłumek gapiów. Ktoś pierwszy krzyknął: „*Laowai!*”, „zagraniczniak”, potem dołączyli się inni.

Na znak Zhao Duży Sun zapukał do drzwi. Matka zostawiła go samego i dołączyła do naszej grupki. Zrobiła wszystko, co mogła. Reszta była w rękach jej syna.

Wokół nas robiło się coraz większe zbiegowisko. Zwalniały przejeżdżające samochody, jeden z nich nawet zatrąbił. Duży Sun z przerażeniem spojrzał w naszą stronę. Jego zaloty zaczęły urastać do rangi lokalnego wydarzenia dnia.

Drzwi magazynu się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta.

Hello Kitty wyglądała bardziej na dziewczynę z Szanghaju niż na mieszkankę Zaozhuang. Była drobna i bardzo ładna, ale jak wszyscy w tym mieście miała wybuchowy temperament, a widok Dużego Suna wyraźnie wytrącił ją z równowagi.

– Dlaczego przeszkadzasz mi w pracy? – wrzasnęła i zamachała rękami.

Obeszliśmy tłumek gapiów, którzy zasłaniali nam widok. Zhao stanęła z przodu, trzymając za rączkę ciamkającego lizaka Shuoshuo.

Hello Kitty spojrzała w naszą stronę i w końcu nas dostrzegła.

– O? Co to za ludzie? – krzyknęła, pokazując nas palcem.

Łaknąca rozrywki gawiedź dostała nowy prezent: telenowelę rozgrywającą się na żywo na ulicach Zaozhuang. Przez chwilę panowała

cisza, którą mąciło jedynie mlaskanie Shuoshuo. Duży Sun oniemiał z przerażenia. Za to Hello Kitty wpadła w furię.

– Co tu się, do diabła, dzieje? Co to ma być? Przez ciebie będę miała kłopoty w pracy! – darła się ze złością.

W końcu Duży Sun nagle odzyskał głos. Wydukał, że chciał ją tylko zaprosić na wesele kuzyna. To rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

Zhao obserwowała scenę, do której sama doprowadziła, i kręciła z politowaniem głową.

– Duży Sun jest beznadziejny – stwierdziła półgłosem. – Każdy potrafiłby znaleźć tu żonę, ale nie on. Jest do niczego.

Wrzaski nie ustawały. Gapie powoli otoczyli parę, zachwyceni toczącą się kłótnią. Ich zainteresowanie wyraźnie dodało Hello Kitty animuszu, bo jeszcze bardziej podniosła głos. Sparaliżowany strachem Duży Sun stał z rękami w kieszeniach i zerkał nerwowo na cisnących się wokół niego ludzi.

– Tutejsze dziewczęta wolą łajdaków, którzy trwonią pieniądze na alkohol, hazard i prostytutki – bąknęła półgębkiem Zhao, nie spuszczając wzroku z syna. – Duży Sun jest dla nich za porządny – skonstatowała z matczynym współczuciem. – Zbyt niewinny i uczciwy. Kompletnie do niczego.

Dziewczyna weszła do magazynu, zatrzaskując drzwi przed nosem Dużego Suna. Patrzył na nie przez kilka sekund, zastanawiając, czy nie zapukać jeszcze raz, ale wytrwałość nie leżała w jego naturze. Gapie zaczęli się powoli rozchodzić, rozczarowani, że już po wszystkim. Duży Sun odwrócił się na pięcie i ze spuszczoną głową dołączył do naszej grupki.

– Nie przyjdzie – burknął, stwierdzając oczywiste.

Zanim wsiadł do taksówki, po raz ostatni spojrzał na zamknięte drzwi magazynu. Żegnaj, Kitty.

Usiadł ciężko na tylnym fotelu obok mnie i odjechaliśmy do wioski Tanghu, w której miało się odbyć wesele. Zhao siedziała obok kierowcy i patrzyła przez okno.

Zadzwonił jej telefon. To była Hello Kitty.

– *Wei?* No tak. Rozumiem. Dobrze. Nie gniewaj się, proszę… Spokojnie. Powiedział mi, że twój ojciec jest chory, więc kazałam mu go odwiedzić

niezależnie od tego, czy się pobierzecie, czy nie… – Po tej stronie linii zapadła długa cisza. Zhao przełożyła telefon do drugiego ucha. W głosie Hello Kitty brzmiał gniew.

– Dobrze, dobrze. Nie szkodzi. Nie masz się czego wstydzić. – Zhao próbowała uspokoić dziewczynę. – Czekaliśmy przed sklepem, bo był z nami przyjaciel z Ameryki, który przyjechał cię poznać… Tak… Wiem, że był tam twój szef… Rozumiem… Duży Sun naprawdę cię lubi, to widać.

Zerknąłem na Dużego Suna. Apatycznie gapił się w okno. Wyminęliśmy wóz zaprzęgnięty w osiołka.

Zhao także patrzyła na syna.

– Dorastał na Południu, może dlatego zrobił na tobie złe wrażenie. Nie wie, czego oczekują dziewczyny z Północy. Ale na pewno mu się podobasz. To wszystko moja wina. Nie umiałam go właściwie wychować…

Wyraz przygnębienia na twarzy Dużego Suna ustąpił irytacji. Ledwo znał Hello Kitty, i to prawie wyłącznie z czatów. W realu widział ją tylko dwa razy. To jego matce zależało na ślubie. Ale nie przeszła mu jeszcze złość z powodu tego, co się przed chwilą wydarzyło.

– Co powiedziała? – zapytał, kiedy Zhao skończyła rozmawiać.

– Że byli tam wszyscy jej kierownicy i że nie mogła wyjść z pracy. Ktoś by pomyślał, że chciałeś wywlec ją stamtąd siłą, jak jaskiniowiec! – krzyknęła Zhao. – *Aiya!* Ci miejscowi! I ten ich sposób myślenia, są tacy *fengjian*!

Słowo to oznaczało „feudalny” – przesiedleńcy z prowincji do wielkich miast często określali nim obyczaje obowiązujące w ich rodzinnych stronach.

– Jak miałem ją stamtąd wywlec? – spytał obronnym tonem Duży Sun. – Nawet jej nie dotknąłem!

Zhao odwróciła się do nas z przedniego siedzenia.

– Twierdzi, że skompromitowałeś ją przed jej pracodawcami.

– Zbyt *fengjian*! – zawołał ze śmiechem kierowca.

Taksiarz był krzepkim mężczyzną o krótko ostrzyżonych włosach. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne typu pilotki. Wyraźnie miał ochotę włączyć się w rozmowę.

Duży Sun spotkał się z nim wzrokiem we wstecznym lusterku.

– W Szanghaju, jeśli się komuś podobasz, jest ci miło, prawda? To chyba normalne, że chciałem ją zobaczyć? – spytał. – Ale w naszym rodzinnym mieście wszystko musi być skomplikowane i wymagać czasu. Zupełnie nie rozumiem tego miejsca!

– To konfucjanizm! – krzyknął ze śmiechem kierowca, odwracając się do mnie. – Konfucjusz urodził się niedaleko stąd!

Wielki mędrzec pochodził z Qufu, godzinę jazdy od Zaozhuang. Miejscowa ludność, która w oczach mieszkańców wielkich miast była *fengjian*, do dziś przestrzega wielu jego zaleceń.

Na przednim siedzeniu Zhao omawiała z taksówkarzem problemy swojego syna. Duży Sun zapadł się w sobie. Widać było, że narasta w nim gniew.

– Jest uparta jak osioł! – wybuchł nagle. – Spotkałem się z jej matką, ale nie dała mi żadnego znaku, czy się zgadzają, czy nie. Odesłali mnie do ojca, więc mu przyniosłem drobny prezent! Ze zwykłej uprzejmości. Nachodziłem się, żeby go kupić, a ona jest na mnie zła.

– Racja była po twojej stronie – stwierdził stanowczo kierowca.

– No bo z kim się właściwie żenię? Z nią czy z jej ojcem? – warknął Duży Sun.

– Ha, ha, ha! Trafiłeś w samo sedno! – ryknął kierowca, waląc dłonią w deskę rozdzielczą.

Na moich oczach odbywała się chińska wersja sesji psychoterapeutycznej. Szanghajscy taksówkarze z reguły nie zwracali uwagi na dyskusje na tylnym siedzeniu, ale ich koledzy z prowincji nie przepuszczali żadnej okazji. To był ich samochód, więc wszystkie prowadzone w nim rozmowy także były ich własnością. Bez zahamowań wtrącali się w najintymniejsze sprawy, jakby dotyczyły ich osobiście, i udzielali porad w zawiłych kwestiach konfucjańskich powinności.

– Słuchaj – zaczął taksówkarz, patrząc przez wsteczne lusterko w oczy Dużego Suna. – Twoja mama mówiła, że pracujesz w Hangzhou. Zgadza się? Znasz świat. Masz zagranicznego przyjaciela. Ta wiejska dziewucha zarabia w supermarkecie tysiąc juanów miesięcznie! Co to dla ciebie za interes?

Duży Sun zastanowił się krótko nad tą stroną zagadnienia.

– W całym kraju ceny mieszkań idą w górę. Żony też podrożeją – zauważył.

– Tak, ale przecież masz już mieszkanie w mieście, prawda? Kiedy ludzie się o tym dowiedzą, od razu znajdziesz odpowiednią kandydatkę. Na miejscu tamtej dziewczyny byłbym zachwycony, że przyszedłeś do mnie do pracy, żeby się ze mną zobaczyć.

Zatrzymał samochód na zakurzonej głównej ulicy, pełnej zapyziałych sklepików. Dalej ciągnęły się soczyście zielone pola pszenicy.

– Zamierzałem skończyć na dzisiaj, ale zobaczyłem, że macie ze sobą cudzoziemca! – oznajmił, znów odwracając się do tyłu. – Jeszcze nigdy nie widziałem obcokrajowca, a mam już prawie pięćdziesiąt lat! A ty, młody człowieku – wymierzył palec w Dużego Suna – nie przejmuj się. Znajdziesz sobie lepszą dziewczynę.

Zhao wyjęła pięćdziesięciojuanowy banknot i zapłaciła za kurs. Sesja terapeutyczna była gratis.

Gdyby Duży Sun wychował się w Zaozhuang, może już dawno znalazłby sobie lepszą dziewczynę. Tak jak jego kuzyn.

– Poznali się na studiach magisterskich – poinformował mnie starszy syn Zhao, kiedy oglądaliśmy romantyczne fotografie młodej pary, przechodzące płynnie jedna w drugą na płaskim ekranie telewizora.

Znajdowaliśmy się na podwórzu na tyłach piętrowego, wiejskiego domu o betonowych ścianach. Robotnicy budowali tu podwyższenie na jutrzejszą ceremonię. Za naszymi plecami rozlegały się odgłosy przypominające serię z karabinów maszynowych – to kobiety siekały mięso i warzywa na weselną ucztę. Wszędzie stały wiadra pełne żywych ryb i miękkoskorupowych żółwi. Przed domem, wzdłuż drogi na pola pszenicy, stanęły w dwóch rzędach płócienne namioty. Sąsiedzi rozstawiali pod nimi stoliki. Prawie cała wioska stawiła się do pomocy w przygotowaniach do wesela kuzyna Dużego Suna.

Na ekranie młodzi patrzyli sobie czule w oczy. Narzeczony musiał zadrzeć głowę, bo jego wybranka była wyższa od niego. Chłopak miał pucołowatą twarz, wąskie oczy i – jak mawiają Chińczycy – „czosnkowy nos”, z nozdrzami rozszerzającymi się jak główka tej pożytecznej jarzyny.

Narzeczona była chudą dziewczyną o kanciastej, pokrytej piegami buzi. Zdjęcie zostało zrobione na kamienistej plaży, z oceanem w tle.

– Gdzie to jest? – spytałem Dużego Suna.

– W Qingdao. Stamtąd pochodzi panna młoda.

Qingdao to malownicze, portowe miasto na drugim końcu prowincji Shandong. Tam właśnie poznali się przyszli małżonkowie.

Przed moimi oczami przepływały zdjęcia zakochanej pary, a ja rozmyślałem o tym, jak różnymi drogami poszli Duży Sun i jego kuzyn. Jutrzejszy pan młody dorastał w małej wiosce, uczył się pilnie i zdał egzaminy na dobrą uczelnię w atrakcyjnym mieście. Poszedł na studia, na których poznał dziewczynę z miasta. On dostał posadę inżyniera w firmie farmaceutycznej, ona pracowała jako menedżerka w IKEA i mieli przed sobą długą, szczęśliwą przyszłość. Gdyby Zhao nie wyjechała do Szanghaju, życie Dużego Suna mogłoby się potoczyć podobnie. Z pewnością nie brakowało mu inteligencji ani determinacji, potrzebnych do osiągnięcia sukcesu. Mimo to był migrantem zarobkowym w dużym mieście, początkującym fryzjerem, który nie potrafi zrozumieć dziewczyny z prowincji.

Kiedy dotarliśmy do wioski, cała rodzina wiedziała już o porażce Dużego Suna. W rolniczych rejonach prowincji Shandong wieści rozchodziły się szybko.

– Która to dziewczyna? – zapytał Dużego Suna starszy od niego mężczyzna. – Ta ładniutka, ze zdjęcia, które mi przysłałeś? – Uśmiechnął się znacząco. – W maseczce?

Duży Sun kiwnął głową.

– Moim zdaniem to dlatego, że nie zrobiłeś nic, żeby jej pokazać, jak bardzo ci się podoba – pouczył go kuzyn. – Jesteś za mało romantyczny.

Duży Sun westchnął.

– Czasem żartuję, że miłość między mężczyzną i kobietą jest dobra wyłącznie do płodzenia dzieci. Tylko miłość między mężczyznami jest prawdziwa – zauważył.

Na Zachodzie taki komentarz postawiłby pod znakiem zapytania jego orientację seksualną. Jednak w kraju, w którym skomplikowany rytuał

zalotów nieodmiennie prowadził do frustracji wzmacniającej więzy męsko-męskiej przyjaźni, wydawał się zupełnie na miejscu.

Moją uwagę zwrócił przysadzisty, wyglądający na zmęczonego mężczyzna, który trzymał się nieco na uboczu. To właśnie on był ojcem Dużego Suna, legendarnym „człowiekiem z gór", jedynym kawalerem w okolicy, który wyraził chęć poślubienia Zhao, kiedy cofnęły się objawy białaczki. Pracował w kopalni i regularnie bił żonę, która w końcu opuściła go i wyjechała do wielkiego miasta. Od tamtej pory wracała w rodzinne strony wyłącznie na święta, wesela i pogrzeby. Jej mąż był mrukiem o wielkich dłoniach, krzaczastych brwiach i „czosnkowym nosie". Do wzrostu żony brakowało mu ładnych kilku centymetrów. Patrzył na ludzi z dołu, lekko zezując, co nadawało jego twarzy wyraz wiecznego zakłopotania. Na tę uroczystą okazję Zhao kazała mu włożyć granatową marynarkę, koszulę w niebieską kratkę i spodnie khaki. Stary górnik, wyraźnie skrępowany, skubał swoje nowe łaszki niczym mały chłopiec, który nie może się doczekać, kiedy wreszcie pozwolą mu zdjąć niedzielne ubranko.

Podaliśmy sobie ręce.

– Widzisz? – krzyknęła Zhao. – Mówiłam ci, że jest brzydki.

Ryknęła serdecznym śmiechem. Człowiek z gór, nie zwracając na nią uwagi, potrząsał moją dłonią i łamał sobie głowę, jak jego żona poznała w dalekim mieście cudzoziemca.

Znajdowaliśmy się w zacienionej części dziedzińca. Kilkunastu mężczyzn tłoczyło się wokół stołu, przy którym facet w okularach i mundurku Mao notował coś skrupulatnie w małej, czerwonej książeczce. Męża Zhao i pozostałych mężczyzn łączyły z rodziną pana młodego więzy krwi lub ziemi. W stwardniałych od pracy dłoniach ściskali grube koperty z pieniędzmi.

Jeden z nich podał kopertę siedzącemu obok skryby facetowi w garniturze. Był to wiejski księgowy i tylko on miał tutaj czyste ręce. Otworzył kopertę i wolno przeliczył banknoty: „JEDNA setka, DWIE setki, TRZY setki…". Pozostali cisnęli się do przodu, by lepiej widzieć. Kiedy skończył, skryba wziął czerwoną książeczkę z leżącej przed nim sterty i wpisał nazwisko darczyńcy do oficjalnego zaproszenia na jutrzejsze wesele.

Wszyscy obecni byli doskonale obeznani z tym rytuałem. Wiedzieli dokładnie, ile dać, zależnie od bardzo wielu czynników: czy łączyło ich pokrewieństwo z rodziną, czy *chcieliby* kiedyś do niej wejść, czy mieli z nią jakieś interesy, ile *tamci* dali na ślubie ich syna, czy mieli wobec nich dług wdzięczności. Jakbym oglądał pierwszą scenę *Ojca chrzestnego* odegraną przez chińskich rolników. Z tą różnicą, że na chińskiej wsi nie istniało pojęcie dyskrecji, bo każdy mógł zajrzeć do księgi rachunkowej i sprawdzić, ile dał jego sąsiad. I przed wręczeniem własnej czerwonej koperty wielu z nich tak właśnie robiło.

Mogło się wydawać, że rola gościa na tradycyjnym chińskim weselu jest trudna i stresująca. Na szczęście, jeśli ktoś miał z tym jakiś problem, mógł się z nim zwrócić do ojca chrzestnego wszystkich chińskich tradycji, który urodził się – jak nam przypomniał kierowca taksówki – niedaleko stąd.

Nazajutrz rano obudziły mnie rozdzierające dźwięki puzonu. Moje ciało w ułamku sekundy usiadło sztywno w pościeli. Umysł ostrożnie próbował wymacać w łupiącej bólem głowie odpowiedź na pytania, gdzie jestem, jaka to pora dnia i dlaczego za oknem puzon ryczy na melodię *Dzwonków sań*.

Zwlokłem się z łóżka i odsłoniłem okno. W dole maszerowała orkiestra dęta złożona z sześciu przygarbionych staruszków w jaskrawoczerwonych mundurach: jeden dął w puzon, drugi walił w wielki bęben, trzeci w werbel, a pozostali zderzali czynele w interwałach, które nie miały nic wspólnego z rytmem. Był bezchmurny, słoneczny dzień. Usiadłem na brzegu łóżka i przy dźwiękach wlewającej się przez okno kakofonii próbowałem przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru… „Poprzez białe drogi, z mrozem za pan brat, pędzą nasze sanie szybkie niby wiatr…” Zdaje się, że się upiłem, moje ubranie śmierdziało papierosami… „Co za radość, gdy saniami można jechać w dal…” Na nocnym stoliku leżał mój notes, a na nim zmięty papieros. Tuż nad filtrem widniała wypisana tradycyjnymi chińskimi znakami nazwa Suyan. No tak. Przyjąłem papierosa, którym zostałem poczęstowany w tradycyjnym geście męskiego powitania, i zanim się obejrzałem, paliłem suyana za suyanem. Zanotowałem w notesie

tłumaczenie tej nazwy, „sekwoja”, a niżej przepisałem poetyckie motto w języku angielskim, umieszczone na paczce:

Pędząc wraz z wichrem,
Ścigam słońce.

Odkaszlnąłem flegmę i skrzywiłem się z bólu. Gardło piekło mnie, jakbym ścigał słońce, dogonił je i połknął w całości. Powoli zaczęły powracać zamglone obrazy poprzedniej nocy. Przypomniałem sobie, że siedziałem przy stole z kobietami i dziećmi, ale potem, zwabiony „sekwojami”, przesiadłem się do mężczyzn, pomiędzy dwóch pijanych rybaków, którzy golili z gwinta samogon. Kiedy w butelce ukazało się dno, przerzuciliśmy się na miejscowe piwo. Pamiętam, że spojrzałem w stronę stołu kobiet. Shuoshuo siedział u mamy na kolanach i sączył z kubka czerwone wino, aż w końcu zasnął, ululany, w mocnych, matczynych ramionach. Moi kumple od kieliszka wybuchli śmiechem i powiedzieli, że nawet dwulatek potrafi wypić więcej ode mnie.

Pamiętam częste wizyty w wychodku i wrażenie, że jego ściany się poruszają. Gdy zaciągnąłem się papierosem, w nikłym blasku żarzącego się popiołu zobaczyłem, że brudne ściany kabiny roją się od robactwa. Przed powrotem do motelu poszedłem po torbę, którą zostawiłem w jednej z sypialni na piętrze domu pana młodego. Niechcący wystraszyłem ciężarną kobietę, która tam spała. Wydukałem przeprosiny i zacząłem tłumaczyć, kim jestem, ale uciekła z pokoju, nie czekając, aż skończę.

Kiedy następnego dnia rano Zhao odebrała mnie z motelu, zapytałem ją o tajemniczą kobietę. Siedzieliśmy w ciasnej kabinie motocyklowej taksówki, która wiozła nas z powrotem do domu na wsi. Słoneczny blask, sączący się przez zasłonki z czerwonego aksamitu, zabarwiał wszystko we wnętrzu pojazdu na różowo.

– To żona młodszego brata pana młodego – odparła Zhao. – Ukrywa się.

– Przed kim? – spytałem.

– Przed urzędem planowania rodziny! – wyjaśniła.

Instytucja ta odpowiadała za egzekwowanie państwowej polityki jednego dziecka. Zhao powiedziała, że para miała już córeczkę, ale próbowała

spłodzić syna. W Chinach lekarzom nie wolno ujawniać płci płodu, więc po zajściu w ciążę kobieta odwiedziła razem z mężem nielegalną klinikę. USG wykazało, że to kolejna dziewczynka. Zdecydowali się na aborcję.

– Ale kiedy weszła do gabinetu – powiedziała Zhao – stwierdziła, że nie da rady tego zrobić. Od tamtej pory ukrywa się w sypialni na piętrze. Zwykle siedzi tam zamknięta na klucz. Jeśli ją złapią, będzie musiała zapłacić sześćdziesiąt tysięcy juanów kary. Tutaj to mnóstwo pieniędzy.

– Co się stanie z dzieckiem? – zapytałem.

Dziewczyna znalazła się w dramatycznej sytuacji, lecz Zhao opowiadała o jej dylemacie bez cienia emocji.

– Rodzina już wszystko postanowiła – odparła Zhao. – Jej siostra i szwagier chcą mieć dzieci, ale ciągle kończy się to poronieniem. Odda im małą, a oni zarejestrują ją jako własne dziecko.

Mieszkańcy wsi znali wiele sposobów na obchodzenie narzuconych przez system przepisów. W podobnych przypadkach krewni wspólnie rozwiązywali problem, bez angażowania państwa. Wszystko powinno zostać w rodzinie, a zwłaszcza jej najmłodszy członek.

Motocyklowa taksówka zahamowała gwałtownie przed domem kolejnej krewniaczki Zhao. Moja przyjaciółka wysiadła i uściskała się z kobietą z włosami do ramion, która wyglądała na jej rówieśniczkę. Była szczupła i ładna, lecz uśmiechała się tylko dolną połową twarzy. W zapadniętych oczach czaił się smutek; opadające powieki sugerowały, że była pod wpływem środków uspokajających.

– Opowiadałam ci o mojej kuzynce! – zawołała Zhao. – To ona. Ta, co nie musi pracować, bo ma zaradnego męża! A ja haruję jak wół.

Przypomniałem sobie historie o kuzynce, którymi Zhao raczyła mnie w swojej kwiaciarni w Szanghaju. Wreszcie poznałem żonę osławionego urzędnika skarbówki, która, regularnie bita przez męża i jego młodą kochankę, z rozpaczy próbowała odebrać sobie życie, wypijając wiaderko pestycydów. Przyjechaliśmy do niej, żeby omówić katastrofę zalotów Dużego Suna. Kuzynka miała swój udział w doprowadzeniu do spotkania młodych.

Kiedy weszliśmy do penthouse’u na piątym piętrze, Zhao nawet nie usiadła.

– Potraktowała nas bez szacunku! – oznajmiła bez żadnych wstępów.

– To nie twoja wina – powiedziała jej siostra cioteczna. – To problem Dużego Suna.

Zhao pokręciła przecząco głową.

– Ten chłopak nie ma za grosz rozumu! *Gao bu cheng, di bu jiu!* – zakrzyknęła.

W ten sposób Chińczycy określali człowieka, który nie potrafi osiągnąć nic wielkiego, ale nie chce zadowolić się małym. Powiedzenie wydawało się idealnie pasować do Dużego Suna, który pogubił swoje marzenia gdzieś między wielkim miastem a wsią.

– *Aiya!* Ma już prawie trzydzieści lat! – powiedziała kuzynka Zhao, uderzając dłonią w siedzenie białej, skórzanej kanapy. – Z tą dziewczyną też jest coś nie w porządku. Ciągle wynajdywała jakieś wymówki, żeby wykręcić się od spotkania. Raz była zmęczona, innym razem chora. Po prostu nie chciała się z nim zobaczyć.

– To dowodzi, że nie jest zainteresowana. Co byś zrobiła, gdybyś pracowała w supermarkecie i grupa ludzi przyszła się z tobą zobaczyć? Nie wyszłabyś się przywitać? – spytała kuzynkę Zhao.

– Trzeba się przywitać! To kwestia elementarnej uprzejmości! Trzeba okazać szacunek! – zawołała kuzynka.

Ich paplanina odbijała się echem od ścian jasnego, przestronnego apartamentu. Z jednej z nich sterczała fontanna z aniołkiem. W mieszkaniu było mnóstwo zdjęć gospodyni i jej dzieci, za to ani śladu męża. Płacił czynsz, czasem wpadał spuścić byłej żonie lanie, ale mieszkał na drugim końcu miasta razem z kochanką.

Kobiety pomstowały na Dużego Suna, dziewczynę i całą tę upokarzającą sytuację. Dziwna z nich była para swatek: małżeństwa obu były nieudane i, jak wyznała mi Zhao, nigdy nie były zakochane. To im jednak nie przeszkadzało się oburzać, że Duży Sun nie zainteresował się żadną z podsuniętych mu dziewcząt.

– Amerykanin, tak? – zapytała mnie kuzynka, gdy obie się już nieco uspokoiły. – Czy twój dom w Ameryce jest większy od tego?

– Hm… tak, ale domy w Stanach generalnie są większe niż w Chinach. Masz bardzo ładne mieszkanie – powiedziałem.

Uśmiechnęła się, lecz jej oczy pozostały martwe.

– Mam jeszcze cztery inne – powiedziała z posępnym wyrazem twarzy.

– Jej mąż jest bardzo zaradny – powtórzyła Zhao.

Siedzieliśmy w taksówce, która wiozła nas na wesele. Wczorajsze przyjęcie było tylko przygrywką do dzisiejszej uroczystości. W głosie Zhao zabrzmiała zazdrość. Facet mógł bić żonę i mieć sobie kochankę, ale to nie zmieniało faktu, że posiadał pieniądze i władzę – czego nie dało się powiedzieć o większości mężczyzn z rodzinnego miasta mojej przyjaciółki, a już na pewno nie o jej mężu.

– Ma świetne znajomości i bez przerwy pracuje – ciągnęła. – On i jego żona są dalekimi kuzynami.

– Jest spokrewniony ze swoją żoną? – zapytałem, trochę się gubiąc. – Zaczekaj, ty też jesteś z nim spokrewniona?

– Wszyscy jesteśmy kuzynami – odparła Zhao. – Mają troje dzieci. Syn cierpi na jakąś chorobę genetyczną, ma coś z oczami. Ale dziewczynki są zdrowe.

Ciepły wiatr wpadał przez otwarte okna taksówki, rozwiewając włosy Zhao. Na zewnątrz bloki mieszkalne ustąpiły miejsca polom, na których kiełkowały pszenica i kukurydza. Myślałem o życiu jej kuzynki, o tym, jak się potwornie pogmatwało.

– Tutejsze kobiety różnią się od dziewcząt z Szanghaju – zauważyła Zhao, wystawiając łokieć za okno. – Nie są kobiece ani delikatne. Kiedy mają dosyć życia, wypijają pestycydy.

Kierowca o krótko ostrzyżonych, siwych włosach potakująco kiwnął głową.

– Znam wiele takich kobiet – stwierdził.

Zaczęło się. Kolejny taksówkarz psychoterapeuta.

– Ja też – powiedziała Zhao. – To tutaj bardzo popularne.

Taksówkarz uśmiechnął się szeroko.

– Mężowie je biją, a one nie widzą żadnego wyjścia z sytuacji – oznajmił.

Byłem ciekaw, czy on też bije swoją żonę.

– Moja kuzynka wypiła pół litra pestycydów, ale to nie wystarczyło. Zrobili jej płukanie żołądka. Spędziła kilka dni na OIOM-ie – powiedziała Zhao.

– *Wa.* – Taksówkarzowi wyraźnie to zaimponowało.

– Innej mojej kuzynce udało się to zrobić jak trzeba. Wypiła całe wiadro pestycydów i umarła bez żadnych problemów – dodała Zhao.

– Kobiety często skaczą z wiszącego mostu do rzeki – dorzucił swoje trzy grosze taksówkarz.

Zhao kiwnęła głową.

– Moja kuzynka, kiedy nie wyszło jej z pestycydami, wskoczyła do studni. Ale to też nic nie dało. – Zachichotała.

Co za makabryczny temat rozmowy w słoneczny, wiosenny dzień w drodze na wesele! Zhao i kierowca chichotali z przodu, jakby było w tym coś zabawnego. Oboje przechwalali się, że mają wiedzę z pierwszej ręki.

– Brakuje mi odwagi, by wypić pestycydy albo skoczyć z mostu – powiedziała Zhao. – Podziwiam te, które to zrobiły. Czasami mam ochotę umrzeć, ale nie umiem się na to zdobyć.

– Dlaczego tak mówisz? – spytałem.

Oboje roześmieli się z tego przejawu troski.

– Gdyby to było łatwiejsze, już dawno bym się zabiła! – oświadczyła Zhao. – Całe moje życie to praca, jedzenie i sen. To nie ma żadnego sensu.

Do samochodu wpadł podmuch wiatru. Kierowca uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Dzisiaj jest 4 maja 2014 roku. Świeci słońce i wieje łagodny wiatr. W powietrzu unosi się woń magnolii. Tak piękny dzień jest szczęśliwą wróżbą. Zebraliśmy się tutaj w radosnych nastrojach, by uczestniczyć w ceremonii zaślubin tej pięknej pary!

– *Hao!* Dobrze! – odpowiedziała chórem publiczność.

Wysoki, młody mężczyzna z mikrofonem w ręku stał między panem młodym i panną młodą. Narzeczeni zrezygnowali z tradycyjnych ubiorów ślubnych na rzecz zachodnich strojów: czarnego smokingu i bufiastej białej sukni. Jedynymi ustępstwami na rzecz dawnych zwyczajów były czerwony krawat chłopaka i okulary przeciwsłoneczne w czerwonej oprawce dziewczyny.

Młodzi przyjechali wynajętym białym BMW. Kiedy wysiedli z samochodu, krewni odpalili dziesięciometrową taśmę fajerwerków, które ułożyły się na niebie w kształt serca. Eksplodowały przez prawie minutę, jak seria z karabinu maszynowego. W samochodach zaparkowanych przy głównej ulicy wioski zawyły alarmy. Po fajerwerkach rządek czerwonych armatek zaczął strzelać rakietami. Skacowany po wczorajszej bibce Shuoshuo rozpłakał się ze strachu.

Na dziedzińcu za domem zgromadził się niemal stuosobowy tłum krewnych, przyjaciół i sąsiadów. W milczeniu patrzyli, jak narzeczeni wstępują na scenę. Jej funkcję pełniła platforma do młócenia pszenicy, obramowana różową kotarą, którą zdobił pojedynczy, czerwony znak 福, oznaczający „szczęście”.

– Niech narzeczony wystąpi do przodu i pokaże się gościom! – wrzasnął do mikrofonu mistrz ceremonii. – Dzisiejszy pan młody jest nad wyraz urodziwy i postawny. Powiedzcie proszę: czy pan młody nie jest urodziwy?

Wyciągnął mikrofon w stronę publiczności, która nie zareagowała jednak zgodnie z jego oczekiwaniami. Większość obecnych po raz pierwszy uczestniczyła w uroczystości ślubnej w zachodnim stylu i nie rozumiała, po co mistrz ceremonii zwraca się do nich, skoro to nie oni zawierają związek małżeński. Przez chwilę słychać było tylko ckliwą muzykę skrzypiec, która sączyła się z ustawionych na scenie głośników. Na jednej z kolumn stała maszyna wypluwająca bańki mydlane, które unosiły się nad głowami oniemiałej publiczności.

Facet z mikrofonem odchrząknął. Był przystojnym mężczyzną w okularach i czarnym garniturze, w którym wyglądał trochę jak ksiądz. Nie był jednak duchownym, tylko zawodowym udzielaczem ślubów, wynajętym przez rodzinę.

– Ehem. Na świecie są tysiące panien młodych, ale żadna z nich nie jest tak piękna jak nasza! – Wrócił do przerwanego wątku. – Słońce, kosmos i ziemia zamarły na jej widok z podziwu. Dlaczego zamarły? Bo jest prawdziwą czarodziejką! Potwierdźmy to oklaskami.

Zamarła z podziwu publiczność ocknęła się z transu i odpowiedziała głośną owacją.

W tym stylu ciągnął przez następną godzinę, realizując wyuczony na pamięć scenariusz, który zakłócali mu kamerzysta z fotografem. Co chwila któryś z nich wdzierał się na scenę, by pstryknąć fotkę lub nakręcić kilka ujęć pary młodej i krewnych. Przerywali ceremonię, krzycząc: „Trzy, dwa, jeden, baakłaażaaan!”. Krewni uśmiechali się i odkrzykiwali zgodnie z poleceniem. Chińska nazwa tego warzywa, *qiezi* – podobnie jak angielskie *cheese* – zmusza wymawiającego do rozciągnięcia ust w uśmiechu.

Po dziedzińcu kręciły się miejscowe dzieciaki w szkolnych strojach sportowych z czerwonymi chustkami na szyjach. Przysiadały na brzegu sceny i chichocząc, podziwiały spektakl. W pewnym momencie kamerzysta sklął chłopca, który wszedł mu w kadr. Ojciec, kuzyn pana młodego, zepchnął filmowca ze sceny i obrzucił wyzwiskami. Mistrz ceremonii wyłączył mikrofon, żeby publiczność mogła nacieszyć się nieoczekiwaną atrakcją. Mężczyźni wymachiwali pięściami, ale żadnemu nie udało się trafić przeciwnika. W końcu weselnik uznał, że stracił twarz, zgarnął żonę i syna i opuścił dziedziniec ku rozczarowaniu gapiów, którzy mieli nadzieję, że ich pierwsze zachodnie wesele okrasi dobra bitka.

Stałem obok dwóch braci Zhao, rosłych facetów o grubych karkach, wielkich brzuchach i tłustych policzkach. Obaj cuchnęli gorzałą.

– Kiedy ci dwaj się spotkają, zawsze za dużo piją – ostrzegła mnie Zhao. – Ciebie też będą próbowali ululać.

Starszy z braci był kierowcą ciężarówki. Przechwalał się, że jako piętnastolatek rzucił szkołę po ósmym roku w drugiej klasie. Drugi brat trochę lepiej radził sobie z nauką. Skończył podstawówkę, a potem wyjechał w ślad za siostrą do Szanghaju, gdzie pracował na budowach.

Zgodnie z miejscową tradycją obaj lawirowali pomiędzy żoną i kochanką, choć odniosłem wrażenie, że młodszy nie zamierza na tym poprzestać.

Pożerał wzrokiem stojącą przed nami przyjaciółkę panny młodej.

– Jesteś piękna! – wybełkotał jej do ucha.

Dziewczyna szarpnęła głową, jakby zaatakowała ją pszczoła.

– Jak pije, zmienia się w dziką bestię! – starszy brat się roześmiał. – W domu ojciec przykuwał go łańcuchem do stołu, żeby nie nabroił!

Po zakończeniu ceremonii obserwowałem z daleka Zhao, która witała się z dawno niewidzianymi krewnymi. Jak zawsze dla każdego miała uśmiech. Krążyła po dziedzińcu z gracją i pewnością siebie światowej damy.

W mieście nieokrzesanych mężczyzn, maltretowanych kobiet i opuszczonych dzieci Zhao wyróżniała się wielkoświatowym obyciem. Krewni zwracali się do niej z szacunkiem, przyjaciółki pytały o radę. Była pierwszą przedstawicielką zebranego na weselnym dziedzińcu rodu, która odważyła się *chuqu*, wyjechać. Ciągnęło ją do szerokiego świata, poza granicami rodzinnego zaścianka. Ciężko pracowała i za własne pieniądze kupiła obu synom mieszkania, choć w jej środowisku było to obowiązkiem mężczyzny. Tutejsze kobiety widziały w niej pionierkę. W miejscowych mężczyznach budziła lęk, jednocześnie ich pociągając. Była kobietą, która miała władzę i wpływy.

– Nadeszła wiekopomna chwila! – wrzasnął do mikrofonu mistrz ceremonii. – Niech pan młody podejdzie do swojej oblubienicy!

Na ten sygnał świeżo upieczony mąż miał pocałować małżonkę, ale oboje młodzi nie okazali entuzjazmu. Po chwili wahania objęli się tylko niezgrabnie, wywołując gwizdy i okrzyki publiczności – goście domagali się prawdziwego pocałunku.

– Więcej spontaniczności! Twoja głowa powinna być tutaj – poinstruował przez mikrofon mistrz ceremonii, ustawiając głowę chłopaka w odpowiedniej pozycji. – A panna młoda powinna mieć głowę o tak. – Obiema dłońmi ustawił głowę dziewczyny, jakby była manekinem.

Młodzi znów się zawahali, po czym wymienili cmoknięcia w policzek. Z gardeł zgromadzonych wydobył się jęk zawodu. Na platformę wskoczył Duży Sun. Dwoma rękami przyciągnął twarz panny młodej do twarzy jej męża, wymuszając pocałunek. Publiczność ryknęła śmiechem. Czy to się młodym podobało, czy nie, ich rodziny zdecydowały, że są już mężem

i żoną. Zhao stanęła na platformie w gronie swoich synów, braci i sióstr, pozujących do pamiątkowej fotografii z młodą parą. „Trzy, dwa, jeden: baakłaażaaan!”

– To już nie jest mój dom – powiedziała mi Zhao po powrocie do kwiaciarni na ulicy Wiecznej Szczęśliwości. – Jeżdżę tam tylko po to, żeby odwiedzić rodzinę i przyjaciół. Najlepiej czuję się tutaj. To jest moje miejsce.

Od wesela minęły dwa tygodnie. Skończył się wzmożony popyt na kwiaty z okazji Dnia Matki i w chłodny, mglisty dzień w połowie maja Zhao znów była sama w sklepie. Pochylona nad smartfonem, wymieniała SMS-y z przyjaciółmi, którzy dowiedzieli się o fiasku zalotów Dużego Suna. Poszukiwania kandydatki na żonę zostały wznowione, jednak tym razem Zhao wyłączyła z nich znajomych z Zaozhuang.

– Wczoraj sąsiadka znalazła dla niego nową dziewczynę, ale powiedział, że się z nią nie spotka, bo jest za młoda – jęknęła z goryczą. – Ten chłopak jest beznadziejny!

Tymczasem w jej rodzinnym mieście wokół niepowodzenia Dużego Suna zaczęły się tworzyć legendy. Wśród krewnych Zhao krążyła plotka, że dziewczyna to *tongzi*, istota ludzka, która zgodnie z taoistycznymi wierzeniami w poprzednim wcieleniu była istotą nadprzyrodzoną i po reinkarnacji została przysłana z powrotem na ziemię z jakąś szczególną misją, a po jej wypełnieniu miała powrócić do świata duchów. *Tongzi* wyróżniały się atrakcyjnością i urodą, lecz nie układało im się w związkach z ludźmi i generalnie nie miały szczęścia w życiu.

– Bogowie dali jej piękną twarz – wyjaśniła mi Zhao – ale nie piękny los.

Pomyślałem sobie, że może Duży Sun też był *tongzi*. Posępna mina Zhao sugerowała, że jej również to przyszło do głowy. Przez ostatnie osiem lat umawiała starszego syna z co najmniej trzema dziewczynami rocznie. Ani razu nic z tego nie wynikło. Nie znałem się na taoistycznych bóstwach, ale trudno mi było uwierzyć, że Duży Sun trafił na dwa tuziny nadprzyrodzonych istot.

– Moi bracia cię polubili. – Zhao zmieniła temat. – Dobrze im się z tobą piło.

– Mnie też się dobrze z nimi piło – odpowiedziałem nie całkiem zgodnie z prawdą.

Po weselu bracia Zhao wlewali we mnie bimber i piwo, doprawiając „sekwojami”, dopóki ledwo żywy nie wtoczyłem się do pociągu, który mnie zawiózł z powrotem do Szanghaju. „Pędząc wraz z wichrem – myślałem, gdy pociąg, nabierając prędkości, gnał na południe pod czarnym, nocnym niebem – ścigam słońce”.

– Moi bracia mają po dwie żony – oznajmiła rzeczowym tonem Zhao. – Młodszy załatwił sobie w końcu rozwód, ale starszy jest zbyt porządnym facetem, by zostawić pierwszą żonę.

Zastanawiałem się, czy w całym Zaozhuang jest choć jeden mężczyzna, który zadowolił się jedną małżonką.

– Twój mąż nie ma drugiej żony, prawda? – spytałem.

Moje pytanie wywołało wybuch niepohamowanego śmiechu.

– Przecież go widziałeś! – zawołała Zhao, z trudem łapiąc powietrze. – Gdyby wziął sobie drugą żonę, na pewno bardziej bym go kochała. Liczba żon świadczy o zaradności! Całe szczęście, że nie muszę z nim mieszkać, bo inaczej dawno wypiłabym wiadro pestycydów – dodała, poważniejąc. – Od lat próbuję się z nim rozwieść, ale on nie chce o tym słyszeć.

Zhao najbardziej bała się tego, że po przejściu na emeryturę mąż przeprowadzi się do niej do Szanghaju. Wspominała mi o tym wiele razy.

– Po weselu moja siostra rozpłakała się i wygarnęła matce, że mogła się bardziej postarać, wybierając nam mężów. Mam cztery siostry i wszyscy faceci, których matka nam znalazła, są do niczego. W naszych domach to kobieta jest filarem rodziny.

Wyjęła telefon, by sprawdzić postępy w poszukiwaniu odpowiedniej partii dla Dużego Suna.

Na dworze deszcz mieszał się ze smogiem, znacznie ograniczając widoczność. Widzieliśmy tylko monotonny strumień sunących ulicą samochodów, które mijały kwiaciarnię z dźwiękiem, jaki wydaje lądujący na jeziorze kaczor. Zhao z westchnieniem odłożyła telefon. Wszystko wskazywało na to, że w dającej się przewidzieć przyszłości jej pierworodny pozostanie singlem.

– Wszyscy mężczyźni są beznadziejni – stwierdziła z irytacją.

13 Pielgrzymka CK

长乐路 810 号

Ulica Wiecznej Szczęśliwości numer 810

Pewnego dnia trzy lata temu C K poczuł *qi*. Mieszkał wtedy z dwoma kumplami; grali w gry wideo, gdy nagle postanowił się położyć i odpocząć.

– Wtedy coś się zadziało. Ktoś do mnie mówił. To byłem drugi ja. Akurat miałem wyjątkowo czysty umysł – dodał z wymownym uśmiechem.

Było ciepłe, słoneczne popołudnie majowej niedzieli w 2014 roku. Szanghajczycy zażywali niedzielnej przechadzki pod rozbuchanym soczystą zielenią baldachimem platanów. W I Piętrze Twojej Kanapce wreszcie panował duży ruch.

Kelnerzy obsługiwali gości, a ich szef siedział ze mną w kącie i opowiadał, jak znalazł *qi*.

– *Qi*, energia, przepływała przez moje ciało – wyjaśnił CK. – Ten drugi ja nauczył moje prawdziwe ja, jak prawidłowo oddychać i rozluźnić mięśnie. W pewnym momencie przestałem cokolwiek czuć. Leżałem na moim łóżku w jakiejś innej przestrzeni. Zniknęły kolory, wszystko było białe albo czarne. I wtedy je zobaczyłem. Lotosy. Mnóstwo lotosów. I poczułem czyjąś obecność.

– Kogoś innego niż ty i ten drugi ty? – spytałem.

– Tak – odparł z powagą CK.

Wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy, ale teraz myśli, że to był Budda.

– Wiedziałem tylko, że to nie jest mężczyzna ani kobieta. Różnica między mężczyzną a kobietą przestała istnieć. Tak samo między dobrem a złem. Ponieważ w tamtej przestrzeni wszystko było spokojem. Nie istniały nawet kolory.

Później C K przeczytał książkę, w której Buddę opisano jako istotę neutralną płciowo. Przypomniał sobie swoją wizję. Zaczął studiować

buddyjskie teksty i wkrótce spotkał swojego mistrza.

– To mnich z małej świątyni za miastem. Uważa, że ja też urodziłem się po to, by zostać mnichem. Od razu poprosił mnie, żebym obciął włosy i został w świątyni.

– Myślisz, że masz dość dyscypliny, by być buddyjskim mnichem? – zapytałem.

– Jeszcze nie teraz. Nie potrafiłbym zrezygnować z seksu. – Upił łyk kawy. – Powiedziałem mistrzowi, że nie jestem jeszcze gotowy, by wziąć na siebie takie zobowiązanie. Wciąż jestem za bardzo przyzwyczajony do życia w mieście.

Barek kanapkowy C K wyszedł na prostą i wreszcie zaczął przynosić pieniądze. Sprzedaż akordeonów kwitła. Niewiele jest miast w Chinach, a właściwie na całym świecie, gdzie można dobrze żyć ze sprzedaży kanapek i instrumentów muzycznych.

Jednak życie w Szanghaju miało też swoje wady. Kiedy wszedłem do knajpki, od razu rzucił mi się w oczy bandaż na lewym uchu CK. Policzek chłopaka szpeciło siedmiocentymetrowe rozcięcie.

– Straciłem przytomność w klubie – wyjaśnił. – Zemdlałem i spadłem ze schodów. Ocknąłem się zalany krwią. Do tego dudniło mi w uchu.

Lekarze zszyli mu ranę na policzku i zoperowali ucho.

– Byłeś pijany? – zapytałem.

– Nie. Wypiłem tylko dwa kieliszki wina. Po prostu ostatnio nie dosypiam. No i przejmuję się pracą.

Do kafejki przychodziło teraz znacznie więcej ludzi i CK od miesięcy nie miał dnia odpoczynku. Pracował w kafejce po dwanaście godzin na dobę, jednocześnie przyjmując przez telefon zamówienia na akordeony. Kiedy zapytałem go, czy się wysypia, odparł:

– Nie bardzo.

Zwykle udawało mu się przespać w nocy cztery, najwyżej pięć godzin. Po zamknięciu barku nie potrafił sobie odmówić wyjścia z przyjaciółmi na miasto.

Stresy życia w metropolii odbiły się na samopoczuciu CK. Potrzebował harmonii i spokoju; czegoś, co pomogłoby mu wyciszyć niepokoje i żądze.

Kiedy znajomy skontaktował go z buddyjskim mnichem, CK stwierdził, że to jest to, czego szukał.

Świątynia znajdowała się cztery godziny jazdy od Szanghaju. CK udawał się tam raz w miesiącu wraz z grupką przyjaciół, by wspólnie studiować i praktykować buddyzm; nazywał tych ludzi „braćmi". Mistrz był ich rówieśnikiem. Tak jak CK pochodził z prowincji. Kiedy skończył osiemnaście lat, oznajmił rodzicom, że wyjeżdża do świątyni w Szanghaju, by zostać mnichem. Kilka lat później podczas medytacji przeniósł się w góry Tybetu. Spotkał tam świątobliwego starca, który polecił mu założyć własną świątynię, z dala od miasta.

– To mała świątyńka, nieodwiedzana przez turystów – powiedział CK. – Mieszkają tam tylko mistrz i czterech mnichów.

CK dał mi do zrozumienia, że być może pewnego dnia dołączy do nich jako piąty.

Wśród moich znajomych z ulicy Wiecznej Szczęśliwości nie brakowało ludzi religijnych. Zhao z kwiaciarni na rogu przejęła wiarę chrześcijańską od swojej pobożnej matki. Ciocia Fu, którą odwiedzałem przecznicę dalej, nawróciła się po urodzeniu pierworodnego syna na pustyni w Xinjiangu i teraz regularnie uczęszczała na spotkania nielegalnego Kościoła. W Maggie Lane, kilka kwartałów na południe od baru kanapkowego CK, Burmistrz Chen i Xie, jak wielu rodowitych szanghajczyków, wychowali się w chrześcijańskich rodzinach.

Lecz towarzystwo przed czterdziestką przeważnie nie miało czasu na takie rzeczy. Weiqi, który spędził dzieciństwo na parceli, na której stał teraz mój blok, i zrobił doktorat w Stanach Zjednoczonych, raczej nie był zainteresowany religią. Henry, spec od reklamy urzędujący w drapaczu chmur naprzeciw knajpki należącej do CK, zaspokajał swoje duchowe potrzeby, uprawiając jogę. Poszukujący duchowego przewodnictwa CK stanowił wyjątek od reguły.

Buddyzm wydawał się naturalnym wyborem. CK gardził materializmem, w którym pławił się Szanghaj. W Chinach odradzał się kapitalizm, ale wciąż było to nowe zjawisko. Ludzie, którzy mieli pieniądze, doszli do nich

niedawno i w przeważającej mierze zachowywali się jak typowi nuworysze. Jeździli neonowymi ferrari, ubierali się u Prady i w weekendy uprawiali clubbing. Buddyjskie odrzucenie dóbr materialnych i żądz (bliskie także chińskim komunistom, zanim doszli do władzy) przemawiało do CK, który źle się czuł w epoce chciwości.

Szybkie bogacenie się chińskiego społeczeństwa walnie przyczyniło się do odrodzenia buddyzmu. W 2005 roku liczba chińskich wyznawców tej religii zrównała się z populacją Stanów Zjednoczonych; od 1980 roku wzrosła trzykrotnie. Co piąty Chińczyk był buddystą (a tylko co dziesiąty chrześcijaninem). Pieniądze wyznawców płynęły szerokim strumieniem do świątyń w całym kraju. Wśród kształtującej się klasy konsumenckiej dużą popularnością cieszyły się wycieczki do historycznych miejsc związanych z tą religią. Lokalne władze, które też chciały zarobić na turystyce religijnej, finansowały odbudowę zniszczonych w epoce Mao świątyń. Partia oficjalnie nie popierała religii, ale lokalni funkcjonariusze, którzy znali wartość *renminbi*, stawiali kapitalizm wyżej od ateizmu.

Pieniądze nie były jedynym powodem, dla którego partia patrzyła przychylnym okiem na odradzanie się buddyzmu. Chiny znalazły się w moralnym kryzysie. Zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej były krajem rolniczym, gdzie w trudnych sytuacjach ludzie mogli liczyć na pomoc swojej społeczności. W następstwie boomu gospodarczego ćwierć miliarda Chińczyków porzuciło rodzinne wsie i wyemigrowało do miast. Nagle ludzie nie znali własnych sąsiadów, a zaufanie stało się rzadkim luksusem. W chińskim internecie furorę robiły filmiki z ulicznych wypadków, na których przechodnie mijali obojętnie poszkodowanych, wymagających natychmiastowej pomocy lekarskiej. Toczyła się ogólnonarodowa debata o moralności i odpowiedzialności społecznej. Miliony Chińczyków szukało utraconych wartości w chrześcijaństwie. Buddyzm był jednak obecny w Chinach od dwóch tysięcy lat i przywódcy partii uważali go za bezpieczniejszą drogę – dopóki nie łączył się z kwestiami narodowymi czy politycznymi, jak w Tybecie – do odbudowania systemu wartości etycznych, a co za tym idzie, wzmocnienia stabilności społecznej, która była warunkiem utrzymania przez nich władzy.

Od czasu do czasu spotykałem się na kawie z Henrym, absolwentem filozofii, którego poznałem w agencji reklamowej dwadzieścia pięć pięter nad ulicą Wiecznej Szczęśliwości. Kiedy opowiedziałem mu o nawróceniu się CK na buddyzm, bynajmniej nie był zaskoczony. Należał do tego samego pokolenia post-80 i borykał się z podobnymi problemami.

– Teoretycznie człowiek powinien ciągle się rozwijać – stwierdził. – Bo inaczej jaki to ma sens? Nie chodzisz głodny, masz wygodne życie. Ale to za mało. Potrzebujesz wypełnić czymś czarną dziurę.

Wielu rówieśników C K szukało własnej duchowej drogi. Henry wspomniał o pisarzach z pokolenia beatników, tworzących w Stanach Zjednoczonych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych X X wieku, których młodość przypadła na taki sam okres gospodarczej prosperity i zmian społecznych. Wzorem beatników dzisiejsi młodzi Chińczycy szukali dróg do oświecenia w rdzennych religiach i filozofii swojego kraju. Taoizm przeżywał renesans na podobną skalę co buddyzm. Od lat dziewięćdziesiątych XX wieku liczba taoistycznych świątyń w wiejskich rejonach Chin wzrosła sześciokrotnie. W miastach powstawały liczne ośrodki edukacyjne, w których studiowano kanon konfucjański.

Jeden z nich, w zaułku odchodzącym od ulicy Wiecznej Szczęśliwości, na tyłach barku kanapkowego CK, przyciągał pracowników międzynarodowych korporacji, piętrzących się jedna nad drugą w biurowcu Henry'ego. Ośrodek nosił nazwę Guoxue Xinzhi – „Nowa Nauka o Chinach". Mieścił się w wyremontowanym mieszkaniu na pierwszym piętrze.

Jego założyciel Xu Yuan nie miał formalnego wykształcenia w tym kierunku; skończył elektrotechnikę na Uniwersytecie Fudan. Pomysł założenia ośrodka studiów konfucjańskich podsunął mu artykuł prasowy o amerykańskich uczelniach, z którego dowiedział się, że w Stanach Zjednoczonych studenci, zanim wybiorą przedmiot kierunkowy, muszą zaliczyć kilka podstawowych kursów z przedmiotów humanistycznych. W Chinach nie ma takiego obowiązku, a poziom zajęć z klasycznej literatury chińskiej, nawet na najbardziej prestiżowych uniwersytetach, pozostawia zwykle wiele do życzenia.

– Nasze społeczeństwo przeżyło rewolucje i traumy, które zniszczyły tradycyjną kulturę – powiedział mi Xu, kiedy piliśmy herbatę w założonym przez niego ośrodku. – Wielu z nas nie umiałoby już nazwać podstawowych elementów chińskiej tożsamości, choć wciąż są one obecne w naszych zwyczajach i życiu codziennym. Odkrywając ich źródła, będziemy mogli lepiej zrozumieć samych siebie.

Właściciel „Nowej Nauki o Chinach" był wysokim, tyczkowatym mężczyzną o pełnych ustach. Miał trzydzieści kilka lat i nosił okulary. Jego oczy patrzyły zza szkieł ze spokojem i powagą. Od dwóch lat organizował cotygodniowe sesje, w których wzięło udział już ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. W mieście tak ludnym jak Szanghaj nie była to może ogromna liczba, ale zważywszy na to, czym ośrodek się zajmował, robiła wrażenie.

Xu zauważył, że młodzi ludzie, którzy zgłębiali w jego ośrodku filozofię Konfucjusza, próbowali później stosować jej główne zasady we własnym życiu.

– Urbanizacja doprowadziła do tego, że starzy ludzie często nie mogą liczyć na opiekę swoich dzieci – zauważył.

Xu miał nadzieję, że uda mu się przekierować głęboko zakorzenione w młodych Chińczykach poczucie odpowiedzialności za seniorów rodu na opiekę nad starszymi osobami, które mieszkały obok nich w Szanghaju. Ten cel doskonale wpasowywał się w Chiński Sen prezydenta Xi Jinpinga i działania rządu, który starał się ożywiać konfucjańskie tradycje. Podróżując po Chinach, coraz częściej widywałem plakaty propagandowe wysławiające wartości i zasady konfucjanizmu. Na wielu z nich widniały znaki 中国梦, 我的梦 – „Chiński Sen, mój sen".

Xi Jinping wyrósł na zdrowej diecie ideologii marksistowskiej w mieście Yan'an, kolebce rewolucji komunistycznej, ale znał też dobrze teksty klasyczne. Gdy partia wybrała go na przywódcę narodu, poprzysiągł przywrócić Chinom tradycyjne wartości i dawną chwałę.

Jeśli narysować na papierze oś czasu, to dla komunistów zostałyby dwa centymetry na końcu półtorametrowej linii obsadzonej przez kolejnych cesarzy. Ten czerwony kawałeczek miał jednak więcej wspólnego z resztą chińskiej historii, niż to się mogło wydawać.

Rozmowa z Xu stanowiła miłą odmianę. Pracując w Państwie Środka jako nauczyciel, a potem jako dziennikarz, zawsze łatwiej znajdowałem wspólny język z Chińczykami osadzonymi w swojej kulturze niż z ich rodakami, którzy zamienili tradycję Wschodu na ideologie Zachodu, nie wyłączając komunizmu.

– Stare chińskie tradycje wskrzeszają głównie *laobaixing* – zauważył Xu, mając na myśli ludność rejonów rolniczych. – Nie robią tego intelektualne elity. Chińska inteligencja i wyższe warstwy społeczeństwa czerpią wzorce z Zachodu, tak jak wcześniej były pod silnym wpływem Związku Radzieckiego. Ale prędzej czy później potrzeby prostych ludzi odświeżą im pamięć.

To oddolne odrodzenie wymagało czasu. Jednakże w Chinach stare obyczaje i wierzenia nieraz już odżywały po długich okresach zapomnienia niczym ziarno, które cierpliwie czeka w wyschniętej ziemi na deszcz. Przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział mi o filozofii konfucjańskiej Henry, później odniosłem jego słowa do takich ludzi jak CK i Zhao, którzy nie spuszczając z oka obranego celu, spokojnie wypatrują właściwego momentu na konfrontację z rozszalałym żywiołem systemu.

– Chińczycy wysoko cenią kwiat lotosu. Dlaczego? Bo choć wyrasta z błota, sam jest czysty i piękny – powiedział Henry. – Konfucjusz mówi nam, że nie żyjemy w idealnym świecie, ale możemy szukać sposobu, by nadać naszemu życiu sens, w sferze polityki, w sferze prywatnej albo w sferze duchowej. Zawsze jest jakiś sposób.

Pielgrzymka zaczęła się, gdy o szóstej rano przyjechałem po CK, który czekał już na mnie z plecakiem i dwoma pudłami na chodniku przed domem. W zwykłe soboty o tej porze wracał chwiejnym krokiem przez kręte zaułki koncesji francuskiej, żeby odespać całonocny clubbing, ale tego słonecznego i parnego majowego poranka czekała na niego świątynia.

Wrzuciliśmy toboły do kufra taksówki i usiedliśmy z tyłu. Podałem CK styropianowy kubek z kawą i zapytałem go, co jest w pudłach.

– Owoce i wino ryżowe – odparł. – Dary dla świątyni.

Ziewnął szeroko i przetarł oczy pod przeciwsłonecznymi pilotkami, zakołysały się bransoletki z drewnianych koralików na jego nadgarstkach. Miał na sobie rozpiętą do pępka jasnobrązową koszulę, na bezwłosej, wklęsłej klatce piersiowej spoczywał naszyjnik z czerwonych koralików. Wyglądał jak azjatycka wersja Jima Morrisona. Wkrótce wyjechaliśmy spod zielonego baldachimu platanów na pustą o tej porze nadziemną autostradę, która wyprowadziła nas na skraj miasta.

Przy autobusie czekało kilkadziesiąt osób. Kilku mężczyzn pomogło nam załadować plecaki i pudła do bagażnika. C K podziękował, tytułując ich *shixiong*, „starszy brat w nauce". Spodziewałem się, że towarzystwo będzie złożone głównie z rówieśników CK, ale się pomyliłem – w autobusie była tylko garstka młodych ludzi. Poza tym cały przekrój chińskiego społeczeństwa: rodziny z dziećmi, samotni profesjonaliści w średnim wieku, staruszkowie, inżynierowie, pracownicy umysłowi, emerytowani robotnicy fabryczni, budowlańcy, nauczyciele i buddyjska mniszka. Przedstawiciele niemal wszystkich warstw ludności wielkiego miasta jechali wspólnie zgłębiać tajemnice bytu.

Shixiong odczytywał listę obecności. C K oparł się o autobus i zapalił papierosa, dodając końcowy element do swojego image'u. Z pojazdu wysiadła dziewczyna w obcisłej, czarnej koszulce i dziurawych dżinsach. Stanęła obok CK, kładąc łokieć na jego ramieniu. Ten, nie patrząc w jej stronę, wyjął z kieszeni paczkę czerwonych marlboro, otworzył ją wprawnym pstryknięciem palca i podsunął pod nos dziewczynie. Wyjęła papierosa. Chłopak zamknął paczkę, drugą ręką otworzył zapalniczkę i podał ogień dziewczynie, która zaciągnęła się i zaczęła miziać CK po karku.

– To jest Jackie – przedstawił mi swoją znajomą.

Jackie miała długie, kruczoczarne włosy i szczupłą, owalną twarz o wąskim nosie oraz głęboko osadzonych oczach, typowych dla mieszkanki pogranicza z Mongolią. Także nosiła koraliki, ale pomalowane na czarno paznokcie i tusz do rzęs nadawały jej wyglądowi lekko gotycki rys. O ile CK był Jimem Morrisonem, o tyle ona ucieleśniała Avril Lavigne; para rock'n'rollowych kochanków pielgrzymująca do Buddy. C K wspomniał w taksówce, że spotykają się od miesiąca.

– Ale nie jestem pewien, co z tego wyniknie – dodał. – Na razie to nic poważnego.

Jackie wyglądała na szesnastoletnią uczennicę, ale była dwudziestopięcioletnią sekretarką. Poznała CK w barku kanapkowym. Nie była osobą religijną, jednak CK zainteresował ją buddyzmem i teraz jechała z nami, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Rodzice dziewczyny, właściciele sklepu w północnej dzielnicy Szanghaju, wysłali z nią starszego brata i jego kumpla, którzy mieli odgrywać rolę przyzwoitek.

Wycieczka jeszcze się nie zaczęła, a chłopcy już mieli pełne ręce roboty. Brat Jackie obserwował nerwowo, jak siostra obejmuje CK w talii. Był wysoki, tyczkowaty i miał długą, kompletnie niesymetryczną twarz: jedno oko większe od drugiego, nos przekrzywiony na lewo, nawet uśmiechał się krzywo. Za to jego przyjaciel był zwalistym facetem o okrągłym, nalanym obliczu. Miał na sobie koszulkę drużyny Baltimore Ravens w rozmiarze XL, która nie osłaniała wydatnego brzucha. Przez cały weekend łazili we dwóch za Jackie i CK, jak Flip i Flap na tropach oszusta. Zrzędzili przy tym nieustannie, zachodząc w głowę, dlaczego dali się w to wrobić.

Autobus wyfrunął z miasta nadziemną autostradą, pustą, bo na zatłoczonych w dni powszednie pasach wyjątkowo nie było samochodów. Wysokościowce na przedmieściach Szanghaju z każdym kilometrem stawały się coraz niższe. Przez pięć godzin zmierzaliśmy na zachód wzdłuż mulistej rzeki Jangcy, przejeżdżając przez jej liczne dopływy, by w końcu dotrzeć do żyznego rejonu w delcie, nazywanego przez Chińczyków *yumizhixiang* – „krainą ryb i ryżu”. Siedziałem obok kolegi CK o nazwisku Sun, który przeniósł się do Szanghaju z leżącego dalej na północ miasta Xi’an.

– Byłeś? – zapytał.

– Byłem – odparłem i chińskim zwyczajem wygłosiłem kilka pochwał na temat tamtejszego jedzenia i atrakcji turystycznych. W Xi’anie znajdował się jeden z największych skarbów chińskiej kultury materialnej: terakotowa armia, która, jak się uważa, stała na straży nieodkopanego dotąd grobowca pierwszego chińskiego cesarza, Qin Shi Huanga.

– *Jiade* – prychnął Sun. Słowo to oznaczało po chińsku „podróbka”. – Wcale nie jest tam pochowany. Niczego nie znaleźli.

Pomyślałem, że może lepiej zapytam Suna o jego zainteresowanie buddyzmem.

– Szukałem czegoś, w co mógłbym wierzyć – powiedział. – Zacząłem od czytania różnych książek i antologii. Po raz pierwszy odwiedziłem świątynię w ostatnie przesilenie zimowe. Zadałem wtedy mistrzowi wiele pytań, a on powiedział, że powinienem studiować buddyjskie pisma. Zrobił na mnie wrażenie mądrego człowieka, więc od kilku miesięcy postępuję zgodnie z jego radą.

Sun miał trzydzieści lat. Skończył wzornictwo przemysłowe w Xi'anie. Na lokalnych targach pracy znalazł posadę w Szanghaju. Jednak kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że stan faktyczny bardzo różni się od tego, co mu obiecywano.

– *Wo bei pian le* – powiedział mi. „Zostałem oszukany".

Firma zwabiła go do Szanghaju, kłamiąc na temat zakresu obowiązków i pensji. Kiedy przybył na miejsce, okazało się, że ma sprzedawać rezydencje w zachodnim stylu w Jiadingu, słabo zaludnionej dzielnicy na obrzeżach miasta.

– Nikt ich nie chce kupować – poskarżył się.

Wcale mnie to nie zaskoczyło. Chiński rynek nieruchomości zdążył się już nasycić, przypominał bańkę, która lada chwila mogła pęknąć. Miejsca takie jak Jiading zmieniły się w dzielnice widma, zabudowane pustymi osiedlami luksusowych willi. Sun wyznał mi, że sporadyczne pielgrzymki do świątyni były jedynymi jasnymi punktami w jego życiu.

Odwróciłem się do tyłu, by zapytać CK o świątynię. Powiedział mi, że *shifu*, czyli mistrz, utrzymuje ją z datków od kilkudziesięciu wiernych z Szanghaju.

– Tylko z Szanghaju? – zdziwiłem się.

– Taa, wszyscy wyznawcy są z Szanghaju.

Wydało mi się osobliwe, że świątynia położona tak daleko od miasta służy wyłącznie jego mieszkańcom. Podzieliłem się tą myślą z CK i spytałem go o powód.

– Władza ściśle kontroluje religię – wyjaśnił, starannie dobierając słowa. – Mistrz uczy nas wielu różnych praktyk buddyjskich. Chce to robić w jakimś

spokojnym miejscu, gdzie rząd nie będzie się wtrącał.

– Jakiego rodzaju praktyk? – chciałem wiedzieć.

– Tajemnych – odparł półgłosem CK, pilnując, by nikt go nie usłyszał.

Przewróciłem wymownie oczami. CK się uśmiechnął.

– Dobra – szepnął z rezygnacją. – Uczy nas praktyk i wierzeń buddyzmu tybetańskiego.

W Chinach buddyzm tybetański nie jest bynajmniej nielegalny. Państwo oficjalnie uznaje tę religię i gwarantuje mieszkającym w Tybecie buddystom wolność wyznania. Mimo to władze czujnym okiem przyglądają się jej wyznawcom i ich praktykom. Tybetańczycy od dawna walczą o uniezależnienie się od Chin. W oczach Pekinu duchowy przywódca tego narodu, dalajlama, jest separatystą i zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa.

C K powiedział, że mistrz zainteresował się tybetańskim buddyzmem z powodów religijnych, a nie politycznych.

– Dążymy do przerwania *lunhui*, cyklu reinkarnacji – wyjaśnił. – Nasz mistrz wierzy, że najlepszą drogą do tego celu jest buddyzm tybetański.

Mistrz nie poinformował lokalnych władz, że praktykuje tybetańską odmianę buddyzmu, a one nie interesowały się nim zbytnio, ponieważ płacił regularnie podatki i miejscowi mieszkańcy rzadko zaglądali do jego świątyni. Zrozumiałem, dlaczego *shifu* wolał wiernych z odległego miasta od miejscowych: gdyby w świątyni modliła się lokalna ludność, władze szybko zorientowałyby się, co się tam dzieje. A tak mógł w spokoju wskazywać swoim uczniom drogę do oświecenia.

Autobus zatrzymał się przy głównej ulicy wioski, wzdłuż której ciągnęły się sklepy z artykułami rolniczymi. Dźwigając pudła, pomaszerowaliśmy długą aleją, która prowadziła do bramy świątyni. Każdy coś niósł, z wyjątkiem Jackie, zbyt zajętej wystukiwaniem SMS-ów do przyjaciółek w Szanghaju. Szła środkiem alei jak w transie.

– Popatrz, jakie błękitne niebo – zagadnął mnie CK. – Widać nawet obłoki!

Podniosłem wzrok. Prażące słońce stało w zenicie na jasnoniebieskim niebie, po którym sunęły obłoki. Ich kontury rozmywały się pod warstewką brązowawego smogu. Powietrze tutaj też było zanieczyszczone, ale nie aż tak jak w Szanghaju, gdzie nie zdarzało się jasnoniebieskie niebo. Jackie oderwała się na chwilę od telefonu i zadarła głowę. Uśmiechnęła się. Zerknąłem do tyłu i zobaczyłem, że Flip i Flap, mrużąc oczy, celują smartfonami w niebo, by uwiecznić ten fenomen natury.

W świątyni czekało na nas więcej cudów natury. W cieniu przy wejściu do kuchni stała para czerwonych cebrzyków, w których gramoliły się dwa tuziny miękkoskorupowych żółwi, rozpaczliwie próbujących wydostać się na wolność. Ostatni raz widziałem tyle żółwi w jednym miejscu przed ślubem bratanka Zhao Shiling. Wtedy czekały, aż zostaną ugotowane żywcem na weselną ucztę. Flip i Flap wsadzili ręce do cebrzyków i zaczęli szturchać zwierzaki. Wyciągnęli kilka za ogon i śmiali się z ich bezradności.

– Później je uwolnimy – wyjaśnił CK, wskazując płynącą za świątynią rzekę.

Kupowanie na targu żywych zwierząt, żeby wypuścić je na wolność, to starodawny zwyczaj chińskich buddystów. Lecz w obecnych czasach ten starożytny rytuał miłosierdzia często przynosi skutek przeciwny do zamierzonego. „Osiemset wypuszczonych na wolność karpi trafiło prosto do sieci rybaków”, głosił tytuł jednego z licznych w ostatnich latach artykułów w chińskiej prasie opisujących narastające napięcie pomiędzy duchowością a chęcią zysku.

– Nikomu nie mówimy, gdzie je zamierzamy wypuścić – zapewnił mnie CK, kiedy wspomniałem mu o tej sprzeczności interesów. – Zwykle robimy to w nocy, żeby miejscowi nie wyłapali ich w niższym biegu.

W świątyni trwały prace budowlane. Mistrzowi udało się już ukończyć konstrukcję pięciu krytych czerwoną dachówką budynków, połączonych zadaszonymi przejściami. Mieściły sale konferencyjne, pomieszczenia mieszkalne, stołówkę i dwie wielkie hale modlitewne, górujące nad całą wsią. Realizacja projektu odbywała się zrywami, w rytmie napływu datków od wiernych. Prace trwały już od dziesięciu lat i wszystko wskazywało na to, że nie zostaną ukończone przed upływem kolejnych dziesięciu. Dach głównej

hali modlitewnej, zwanej po chińsku „najjaśniejszą salą”, wieńczyły dwa złote jelenie i koło dharmy, symbol tybetańskiego buddyzmu. Poniżej biegł złoty napis pismem tybetańskim. Pośrodku świątynnego dziedzińca wznosił się sześciometrowy złoty posąg ubranego w długą szatę mnicha z laską w prawej ręce.

– To *pusa* Dizang – poinformował mnie CK. Musieliśmy cofnąć się kilka kroków, by objąć wzrokiem całą postać. – Jedyny *pusa*, który postanowił zostać w piekle.

Pusa to chińskie określenie bodhisattwy, oświeconej istoty, która poświęciła życie, by pomagać innym w osiągnięciu oświecenia. W Chinach najpopularniejszym bodhisattwą jest Guanyin, *pusa* płci żeńskiej, ucieleśniająca współczucie i miłosierdzie, zazwyczaj czczona jako bóstwo. Mniej znanym bodhisattwą jest Dizang, w sanskrycie zwany Ksitigarbhą, który według buddyjskiej tradycji zszedł do piekła, aby wyzwalać cierpiące tam istoty.

Przyłożyłem do czoła dłoń i osłaniając oczy od słońca, podziwiałem posąg Dizanga. *Pusa* miał łysą czaszkę, półprzymknięte oczy i długie płatki uszu, które niemal sięgały ramion. Wzrok utkwił w dali, hen za polami ryżu. Jego twarz wyrażała obojętność i pewność siebie. Uznałem, że pasuje do CK. Jako mieszkaniec piekła, był chyba najbardziej rock’n’rollowym ze wszystkich bodhisattwów.

Spora część dnia upłynęła nam na czekaniu na mistrza. Nie wyszedł po nas na autobus. C K wyjaśnił, że jest u siebie i medytuje. Mijając piętrowy budynek, w którym mieszkał, wierni zwalniali kroku i usiłowali wypatrzyć przez okno jego sylwetkę. Kiedy stało się jasne, że szybko nie skończy, CK i kilku innych adeptów buddyzmu rozłożyli przed figurą *pusa* Dizanga maty do jogi i zaczęli składać pokłony. Łączyli ręce jak do modlitwy, unosili ramiona nad głowę, padali na kolana, rozpłaszczali się na ziemi, wyginali do tyłu, na chwilę opadali na brzuch, po czym powtarzali wszystko w odwrotnej kolejności, powracając do stania. Sekwencję należało wykonać sto osiem razy, jednocześnie kontemplując popełnione grzechy. C K zajęło to czterdzieści pięć skwarnych, zlewanych potem minut. Jackie, Flip i Flap spędzili ten czas w cieniu okapu świątyni, kontemplując swoje smartfony.

O trzeciej po południu weszliśmy rządkiem do sali konferencyjnej, w której stały długi, drewniany stół i jakieś dwa tuziny krzeseł. Całą ścianę zajmowały okna wychodzące na zakole rzeki, która wiła się wśród ryżowych pól. Mistrz dołączył do nas, gdy już wszyscy siedzieliśmy na swoich miejscach. Zajął obity czarną skórą fotel u szczytu stołu i powiódł wzrokiem po pogrążonej w ciszy sali, bez pośpiechu przyglądając się spod zmarszczonych brwi każdemu z obecnych. Mięsistymi palcami lewej dłoni machinalnie przesuwał sznur szarych koralików – przez krótką chwilę przytrzymywał koralik między środkowym palcem i kciukiem, po czym przechodził do następnego. Miał dopiero trzydzieści kilka lat, ale roztaczał aurę zaprawionego w bojach dowódcy. Przyczyniała się do tego także jego krzepka sylwetka nieokrzesanego montera linii elektrycznych przebranego w żółtą szatę. Ogolona do gołej skóry głowa podkreślała asymetryczne rysy twarzy, w której dominowały wydatne usta, ułożone w grymas wiecznego nadąsania. Rozchylając się, odsłaniały wystające górne jedynki.

– Po co mnie tu wezwaliście? – przerwał w końcu milczenie. – Zapomniałem, czego ode mnie chcecie – dodał z lekką irytacją w głosie.

Siedząca na kolanach matki dziewczynka, nie zważając na mistrza, poprosiła drugie dziecko, by dało jej swoją zabawkę. Kobieta syknęła na córkę, ale mistrz przywołał na twarz uśmiech, zarezerwowany wyłącznie dla dzieci, jedynych istot, które nie poddawały się jego władzy.

– Mistrzu, czy mogę zawiesić tankę nad kominkiem? – zapytał siedzący obok mnie CK.

– Powiedziano mi, że zadasz pytanie, ale nie to – burknął mistrz. – Jakie pytanie miałeś mi zadać?

CK poruszył się nerwowo na krześle.

– Poproś mistrza, by zinterpretował twój sen – zwrócił się do Jackie.

– Jaki sen? – warknął mistrz.

– Przyśnił jej się *pusa* – powiedział CK.

– Tak? Który *pusa*? – zapytał z umiarkowanym zainteresowaniem mistrz, przesuwając w palcach koraliki.

CK odwrócił się do Jackie, która była zbyt wystraszona, by się odezwać.

– Powiedz mu! – krzyknął, wyraźnie zdenerwowany.

– Och, nie pamiętam dokładnie – wymamrotała Jackie. – Śniło mi się, że jestem w małym miasteczku i widzę ogromny posąg *pusa*, a za nim jakieś piękne światła. Zdaje się, że *pusa* coś do mnie powiedział, ale zapomniałam co.

– Wiesz, który to był *pusa*? – spytał mistrz.

Jackie pokręciła głową.

– Świetnie. Pójdę po album z *pusa*, żebyś mogła sprawdzić – powiedział z przekąsem. CK i kilka innych osób parsknęło śmiechem.

– Mistrzu, a co z moim poprzednim pytaniem? – przypomniał o sobie CK. – W moim mieszkaniu jest stary kominek, którego nie używamy. Czy mogę powiesić nad nim tankę?

Mistrz wydął usta, jakby usłyszał kolejne głupie pytanie. Tanka to buddyjskie malowidło na tkaninie. Co za różnica, gdzie się ją zawiesi?

– Używasz tanki jako elementu wystroju wnętrza? – zapytał, unosząc brwi i gładząc palcami podbródek.

– Niezupełnie – odparł CK. – Powinniśmy oddawać cześć Buddzie w domu, a tanka jest częścią mojej kapliczki. Zastanawiałem się tylko, czy powieszenie jej nad kominkiem nie będzie brakiem szacunku.

Mistrz przegnał z twarzy wyraz zdumienia.

– Bylebyś nie powiesił jej w toalecie – powiedział, wywołując kolejne salwy śmiechu. Upił łyczek herbaty i się skrzywił. – Kto mi zaparzył tę herbatę? – krzyknął.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie głosami dzieci, które kontynuowały zabawę, nie zwracając uwagi na mistrza.

– Ja. – Mężczyzna w okularach podniósł rękę.

– Ależ z ciebie syn marnotrawny! Po co wsypałeś do mojej czarki tak dużo liści? – wrzeszczał mistrz. – Co za strata pieniędzy! Tyle liści wystarczyłoby mi na dwa dni! To ma być herbata czy sos sojowy?

Rozległo się kilka pojedynczych chichotów. Minęło już pół godziny, a buddyjski mistrz jeszcze ani razu nie zdobył się na życzliwy ton. Zacząłem się bać, że do mnie też się przyczepi, ale od samego początku konsekwentnie ignorował moją obecność. CK uprzedził go, że przyjedzie z nim zagraniczny dziennikarz. Zdaje się, że mistrz mnie po prostu unikał.

– Mistrzu, przywiozłam moją córkę – odezwała się jedna z kobiet, wskazując dziesięcioletnią, na oko, dziewczynkę.

Mała zwróciła moją uwagę już w autobusie. Wysoka i chuda, miała niezwykle piękne oczy. Ich spojrzenie zawsze skupiało się obok twarzy osoby, z którą właśnie rozmawiała. Nie mogła usiedzieć na miejscu, co chwila wybuchała potokiem nieistniejących słów i tańczyła w przejściu do rozbrzmiewającej w głowie muzyki. Nie uśmiechała się. Inne dzieci trzymały się od niej z daleka.

Mistrz spojrzał na dziewczynkę, która patrzyła w okno i szeptała coś sama do siebie.

– Nadal jest dla niej nadzieja – stwierdził. – Nie zmuszaj jej do brania przypadkowych lekarstw. Wywołają niekorzystne skutki uboczne. Wystarczy, że zachowasz spokój.

Kobieta skinęła głową.

– Kiedy ma zły okres, w ogóle się nie odzywam. Modlę się tylko po cichu do *pusa*.

– To dobrze – powiedział mistrz. – Im więcej będziesz robiła wokół niej szumu, tym gorzej będzie się czuła. Po jakimś czasie sama z tego wyjdzie.

Kobieta kiwnęła głową. Była wysoka i trzymała się prosto. Długie włosy związała w kucyk. Miała takie same oczy jak jej córka.

– Kiedyś, na zakupach, przechodziłyśmy obok świątyni z posągiem *pusa* Guanyin – powiedziała. – Zaczęła mnie okładać pięściami, żebym pozwoliła jej wejść do środka. W końcu się zgodziłam.

– Nieźle, nieźle – pochwalił mistrz.

– W zeszłym roku zabrałam ją do znachorki – ciągnęła dalej kobieta. – Stwierdziła, że moja córka jest szalona i że kiedy skończy szesnaście lat, będzie normalna.

Mistrz gwałtownie wyprostował się w krześle.

– Co? – spytał.

– Uznałam, że mówi bzdury – powiedziała kobieta. – Dała jej do picia jakąś herbatkę. Mówiła, że też jest mniszką. Nie uwierzyłam jej. Powiedziała, że córkę prześladuje Guanyin.

– Nie – rzucił szorstko mistrz, przybierając poważny wyraz twarzy. – To zupełnie nie tak. Twoja córka *podąża za* Guanyin. W poprzednim wcieleniu była jej uczennicą, znaną jako córka smoka. Rozumiesz?

– Tak – przytaknęła kobieta; nie pierwszy raz jej to mówił.

Uniosłem brwi i posłałem zdziwione spojrzenie CK. Odpowiedział mi nieznacznym ruchem głowy, który mówił: „Porozmawiamy o tym później. Teraz skup się na słuchaniu". Skierowałem więc moją uwagę z powrotem na matkę i córkę.

– Czuję się okropnie, kiedy ma te swoje ataki – wyznała matka, zerkając na córkę. – Tak strasznie wtedy płacze. Czasem rzuca we mnie talerzami. Nie wiem, co wtedy robić.

– Dopóki nie jest zagrożeniem dla siebie, powinnaś zostawić ją w spokoju.

– Dzisiaj obudziła się bardzo wcześnie. Zapytałam ją: „Dokąd jedziesz?". Odpowiedziała: „Jadę spotkać się z mistrzem!". Była bardzo podekscytowana.

Jej słowa sprawiły wyraźną przyjemność mistrzowi, który posłał dziewczynce ciepły uśmiech. Wyczuła, że na nią patrzy. Wiedziała, że znajduje się w centrum uwagi. Spojrzała przelotnie na mistrza i wbiła wzrok w sufit.

– Pa-pa! Pa-pa! Pa-pa! – zawołała.

– Pa-pa? – spytał z rozbawieniem mistrz. – Dopiero przyjechałaś i już chcesz się żegnać? Dokąd się wybierasz?

Mała puściła jego pytanie mimo uszu i wróciła do wyglądania przez okno. Słońce opadło nad horyzont, jego promienie rozświetliły salę konferencyjną. Dziewczynka obserwowała daleką sylwetkę rozebranego do pasa chłopa mocującego się z cztery razy dłuższą od niego bambusową żerdką, którą próbował wyciągnąć z wody. Z ciemnej rzeki powoli wynurzyła się rybacka sieć w kształcie spadochronu. Matka położyła dłoń na kolanie córki.

– Lekarze mówią, że jest *zibizheng* – powiedziała cicho.

Było to połączenie słów „autoblokada" i „choroba". Dyskretnie wyciągnąłem z kieszeni smartfon, by sprawdzić w słowniku: „autyzm".

– Autyzm tak nie działa – zauważył mistrz. – W którym szpitalu ci to powiedzieli?

– W Szpitalu Dziecięcym w Pekinie i w Szpitalu Xinhua. W jednym i drugim – odparła, wyraźnie zdenerwowana.

To były najlepsze szpitale w Chinach. Dla osoby w jej sytuacji materialnej podróż z Szanghaju do Pekinu na konsultację u najlepszych lekarzy w kraju była naprawdę poważnym wydatkiem.

Ale na mistrzu nie zrobiło to wrażenia.

– Powiedz im, żeby zbadali sobie własne głowy – powiedział. – Bo to chyba *oni* mają problem. Możesz dalej sprawdzać jej mózg, ale ja ci mówię, że to nie autyzm!

Kobieta nagle posmutniała.

– Kiedyś była normalna… – zaczęła.

– To dlatego, że karmisz ją zachodnimi lekarstwami – przerwał jej mistrz. – To one ją ogłupiają!

– Nie dawałam jej dużo lekarstw – zaprotestowała cicho kobieta. – Odstawiłam je po miesiącu, bo odbierały jej energię.

– To dobrze. Oto, co powinnaś zrobić – przerwał jej mistrz. – Udaj się na górę Putuo i módl się w świątyni *pusa* Guanyin. Zrozumiałaś? Weź ze sobą córkę. To zadziała. Musisz dużo się modlić do Guanyin.

– Jak często mamy tam jeździć?

– Im częściej, tym lepiej dla dziewczynki. Pojedź na górę Putuo i zobaczymy, co się stanie. Tylko nie podawaj jej już żadnych zachodnich leków.

Góra Putuo jest jedną z czterech świętych gór dla chińskich buddystów. Wznosi się na niej trzydziestometrowy złoty posąg Guanyin, co roku odwiedzany przez miliony pielgrzymów. Nie było nic niezwykłego w tym, że buddyjski mnich zaleca swoim uczniom, by odwiedzili górę, ale sposób, w jaki to zrobił, wprawił mnie w zakłopotanie. Dziewczynka najwyraźniej rzeczywiście cierpiała na autyzm – taką diagnozę postawili pediatrzy z dwóch najlepszych szpitali w kraju. Odniosłem wrażenie, że odrzucając z wyższością ich opinię, mistrz chciał przetestować lojalność matki – nie wobec religii, lecz wobec niego osobiście. Powiedział jej to, co chciała

usłyszeć: że dziwne zachowanie dziecka nie jest skutkiem zaburzeń psychicznych, lecz cudownego zrządzenia losu związanego z poprzednim wcieleniem. Zapewnił ją, że mała jest wyjątkową istotą i że powinno wystarczyć jej na to jego słowo. W milczeniu wpatrywałem się w twarze obecnych, usiłując z nich wyczytać, co o tym wszystkim myślą, ale zdaje się, że nikt nie podzielał mojego zakłopotania.

– A ty? – Mistrz ruchem głowy wskazał siedzącego pod oknem okularnika w średnim wieku. – Wyglądasz, jakbyś chciał coś powiedzieć.

Mężczyzna skinął głową i przesunął się na brzeżek krzesła.

– Moja malutka córeczka mniej więcej co dwa tygodnie dostaje gorączki. Zwykle towarzyszy jej wysypka. Nie mamy pojęcia, co się z nią dzieje.

Mistrz zastanowił się przez chwilę.

– Czym ją karmicie? Mlekiem matki?

– Dostaje modyfikowane mleko dla niemowląt i wszystko, co powinny jeść dzieci w jej wieku – odparł mężczyzna.

– Była karmiona piersią?

– Tak. Do siódmego miesiąca życia.

– Więc o co tu chodzi? – Mistrz znowu się zamyślił. Jego palce machinalnie przesuwały koraliki. – Przyszła na świat drogami natury czy przez cesarskie cięcie?

– Żona nie mogła urodzić naturalnie i musiała się poddać cesarskiemu cięciu.

Mistrz ze zniecierpliwieniem pokręcił głową.

– Wystarczyło „przez cesarskie cięcie”! – krzyknął. – Zawsze odpowiada na pytanie w okrężny sposób! – dodał z kąśliwym uśmiechem, zwracając się do reszty obecnych.

Kilka osób parsknęło śmiechem. Mężczyzna w okularach również zaśmiał się nerwowo.

Mistrz wyprostował się w krześle i przemówił:

– Musicie wypuścić na wolność zwierzęta. Wszystko jedno jakie.

– Wybacz, mistrzu, ale wypuszczaliśmy już zwierzęta w Szanghaju – wtrącił pospiesznie okularnik, zanim mnich zdążył przenieść uwagę na kolejnego ucznia.

Mistrz zrobił zdziwioną minę.

– Co to były za zwierzęta? – spytał.

– Ryby. Wężogłowy.

– Źle zrozumieliście pisma! – oświadczył mistrz. – Następnym razem uwolnijcie żółwie! Pamiętaj tylko, żeby nie wpuszczać ich do rzek w Szanghaju, bo tam nie ma naturalnych brzegów, więc nie będą mogły wyjść z wody i utoną. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Uważajcie, gdzie je wypuszczacie. Kiedy ostatni raz uwolniliśmy żółwie, sąsiedzi je złapali i zjedli. Znajdźcie miejsce, gdzie nie ma ludzi i jest trochę błota – polecił mistrz. – Jeśli ktoś je potem złapie, to już nie moja wina.

– Dziękuję. – Mężczyzna uśmiechnął się i z szacunkiem pochylił głowę.

Mistrz rozsiadł się wygodnie w fotelu i powiódł wzrokiem po obecnych. Dziewczynka, u której lekarze zdiagnozowali autyzm, nuciła coś cicho pod nosem. Gdy w sali zapadła cisza, zaczęła śpiewać głośniej.

– Ładnie zaśpiewałam? Ładnie zaśpiewałam? – zapytała mistrza, kiedy skończyła. – Dobrze, pa-pa, pa-pa!

Mistrz kiwnął głową.

– *Emeituofo!* – zawołał. „Niech Budda cię chroni”. – Teraz ty – zwrócił się do trzydziestokilkuletniej kobiety, która siedziała obok autystycznej dziewczynki. – Poprzednim razem zgłosiłaś jakiś problem. Przypomnij mi, co to było?

Kobieta miała długie, zaczesane do tyłu włosy, które odsłaniały ładną, młodzieńczą twarz. Nosiła okulary i odezwała się tak cicho, że w ogóle nie było jej słychać.

– Mów głośniej! – upomniał ją mistrz. – Nie wstydź się.

Odchrząknęła.

– Nie mam owulacji – powiedziała wyraźnie.

Mistrz skinął głową.

– Byłaś u lekarza? Powiedział ci dlaczego?

W milczeniu pokiwała głową.

– Wstydzisz się powiedzieć – domyślił się mistrz. – Byłaś u chińskiego lekarza? Przecież musiał ci wyjaśnić przyczynę!

– Poszła do zachodniego lekarza – odpowiedziała za nią przyjaciółka.

– Idź do chińskiego lekarza! – polecił mistrz. – Ile masz lat? Nie rób z tego sekretu! Nie możesz mieć tajemnic przed swoim mistrzem!

– Trzydzieści pięć – odparła.

– Dobrze. Jeśli nie wyleczysz się z tego do czterdziestki, poszukamy innego sposobu. Zastanówmy się, skąd to się wzięło. Pomyśl dobrze, co się wydarzyło w przeszłości – powiedział mistrz, mierząc ją badawczym wzrokiem.

Spuściła oczy.

– W decydującym momencie próbowałem ci pomóc, ale nie chciałaś mnie wtedy słuchać – ciągnął mistrz. – Powiedziałem ci, że ty i twój mąż nie pasujecie do siebie. Zastanów się. To ty chcesz, żeby tak było, czy to on chce? Musicie rozstrzygnąć to między sobą. Mówię poważnie. Zrobiłaś fałszywy krok i od tej pory wszystko idzie źle. Nie wiem, co ci teraz powiedzieć.

Przygnębiona kobieta uporczywie wpatrywała się w podłogę.

Mistrz zostawił ją w spokoju i przeszedł dalej. Kilka osób prosiło o radę w interesach, obiecał porozmawiać z nimi później, w cztery oczy. Jednak większość szukała konsultacji medycznej. Dwie kobiety nie mogły zajść w ciążę, jedna miała powiększoną tarczycę. Był też mężczyzna z ciężkim przypadkiem łuszczycy, która rozprzestrzeniła się na całą twarz i szyję. Wszyscy byli u lekarzy, wszyscy brali lekarstwa, ale z takiego czy innego powodu dolegliwości nie chciały ustąpić, rachunki za leczenie rosły i powoli zaczynało brakować im pieniędzy. Chiński system opieki zdrowotnej był z nazwy „powszechny”, ale w praktyce zapewniał tylko podstawową opiekę medyczną. Ubezpieczenie nie obejmowało większości konsultacji specjalistycznych, a jeśli nie miałeś *hukou* w Szanghaju (a w takiej sytuacji była większość obecnych), musiałeś pokryć koszty pobytu w miejskim szpitalu z własnej kieszeni.

Nawet jeśli udało ci się zebrać pieniądze na wizytę u specjalisty, nie gwarantowało to wcale, że otrzymasz odpowiednie leczenie. Chińskie

szpitale były przepełnione i niedofinansowane. Lekarze w państwowych placówkach zdrowotnych zarabiali średnio równowartość niespełna tysiąca dolarów miesięcznie. Wielu specjalistów uzależniało wykonanie jakiejkolwiek procedury medycznej od otrzymania czerwonej koperty z pieniędzmi, które traktowali jako należny im dodatek do nędznej pensji. Na porządku dziennym były również łapówki od koncernów farmaceutycznych, które przekupywały lekarzy, by przepisywali pacjentom produkowane przez nie leki. Praktyka ta tak głęboko wrosła w chińską rzeczywistość, że mieszkańcy Państwa Środka ukuli specjalną frazę na jej określenie: *yi yao yang yi*, „tuczenie lekarzy pieniędzmi z leków".

Pacjenci, którzy nie zawsze umieli poruszać się po mętnym systemie państwowej opieki zdrowotnej, rozpaczliwie szukali pomocy gdzie indziej. Zalecenia mistrza: pielgrzymka na górę Putuo jako remedium na symptomy autyzmu; wypuszczenie żółwi do rzeki na niemowlęcą gorączkę; przemyślenie swojego małżeństwa na brak owulacji – wydawały im się równie sensowne jak przyjmowanie przepisywanych przez lekarzy lekarstw, a przy tym były tańsze.

– Ludzie nie mają dokąd się zwrócić z niektórymi problemami – wyjaśnił mi później CK. – Lekarze im nie pomogli, więc w końcu trafili tutaj.

Wieczorem, przy kolacji, siedziałem obok matki autystycznej dziewczynki. Spożywając posiłek złożony ze smażonych po chińsku bakłażanów, duszonej marchewki i tofu, rozmawialiśmy o jej córce. Matka przywiozła ją tutaj, bo chwytała się wszelkich sposobów, by pomóc małej.

– *Wiem*, że to autyzm – szepnęła, niezadowolona z diagnozy mistrza. – Odkryliśmy to, kiedy miała trzy latka. Zaczęła wtedy dziwnie mówić i dziwnie się zachowywać. Całe szczęście, że mieszkamy w Szanghaju. Przynajmniej są tam specjalne szkoły dla takich dzieci.

Spytałem, czy musi płacić za taką szkołę.

– Nie, jest za darmo, ale daję coś na boku nauczycielce, żeby zapewniła jej lepszą opiekę.

Powiedziała mi, że większość uczniów ma porażenie mózgowe i że jej zdaniem córka jest najlepiej funkcjonującym dzieckiem w klasie.

Była ciekawa, jak dzieci z autyzmem traktowane są w szkołach w Ameryce.

– Moja mama uczy w podstawówce – odparłem. – W jej szkole dzieci autystyczne chodzą do jednej klasy z pozostałymi uczniami.

– W Chinach to by nie przeszło – stwierdziła. – Inni rodzice zaczęliby się skarżyć, że przeszkadzają w nauce ich dzieciom.

Powiedziałem jej, że w szkole mojej mamy uczniom z autyzmem przydziela się asystenta, który przeprowadza ich z klasy do klasy i pomaga radzić sobie z codziennymi problemami.

– *Wa!* – zawołała, trącając łokciem przyjaciółkę. – Słyszałaś? W Ameryce moja córka miałaby osobistego nauczyciela.

– *Meiguo hao* – powiedziała przyjaciółka, wystawiając do góry kciuk. „Ameryka jest dobra". – *Pingdeng*. Równość.

– Nie to co Chiny! – poskarżyła się mama autystycznej dziewczynki. – Chiny nigdy nie zrobiłyby czegoś takiego dla niepełnosprawnych dzieci. Hej, słyszałam, że amerykański rząd rozdaje dzieciom darmowe mleko. To prawda?

Wyjaśniłem, że istnieją tego rodzaju pomocowe programy federalne, lecz gdyby amerykański rząd zaczął dawać mleko wszystkim dzieciom, szybko poszedłby z torbami. Powiedziałem, że Ameryka wydaje się fajnym miejscem, ale też ma swoje problemy.

Przyjaciółka mojej sąsiadki pokręciła głową.

– *Meiguo hao* – poprawiła mnie. – *Meiguo hao*.

Ceremonia zaczęła się o dziewiątej nazajutrz rano. W nocy zmienił się kierunek wiatru i zaczął padać zimny deszcz. Z nieba lały się strugi wody, gwałtownie spadła temperatura. Zakutani w swetry i kurtki, jedliśmy w milczeniu śniadanie, tłocząc się wokół opalanego brykietami węglowymi piecyka w świątynnej kuchni. Kilka osób z trudem zdobyło się na uśmiech, kiedy w jadalni za ścianą autystyczna dziewczynka rozpoczęła poranne szkolne ćwiczenia. Krzycząc „Raz, dwa, trzy, cztery! Raz, dwa, trzy, cztery!" i wymachując rękami, biegała dookoła stołu, przy którym siedzieli Jackie,

Flip i Flap, zbyt pochłonięci gapieniem się w ekrany smartfonów, by zauważyć, co się wokół nich dzieje.

Dowiedziałem się od CK, że poprzedniego wieczoru mistrz odprawił dla małej specjalną ceremonię modlitewną przed posągiem *pusa*. Na zakończenie dziewczynka wrzasnęła głośno, kopnęła matkę i z płaczem uciekła ze świątyni. C K wyjaśnił, że rytuał miał na celu zapewnienie jej pozytywnej energii.

Przed poranną ceremonią zostaliśmy podzieleni na dwie grupy: wierzących i niewierzących. Najpierw do głównej hali modlitewnej świątyni weszli rządkiem niewierzący. Usiedliśmy na skórzanych poduszkach po obu stronach rozsuwanych drzwi.

Było nas dziesięcioro. Czekając na przybycie wierzących, podziwiałem czterometrowy posąg Buddy odlany z brązu. Siedział w pozycji lotosu, z dłońmi ułożonymi na podołku w modlitewnym geście, tak że czubki palców wskazujących stykały się ze sobą. Uśmiechał się spod półprzymkniętych powiek. Po jego prawej ręce na białym słoniu stał strażnik spoglądający w przestrzeń z wyrazem stoickiej obojętności na twarzy; w dłoni trzymał kwiat lotosu. Drugi strażnik, z mieczem w uniesionej ręce, stał na lewo od Buddy, na grzbiecie niebieskiego tygrysa. Wyjąłem smartfon, żeby pstryknąć fotkę, ale siedząca obok młoda kobieta ostrzegła mnie cicho, że w świątyni nie wolno używać telefonów. Jackie, Flip i Flap z żałosnymi minami siedzieli na swoich poduszkach. Czekała ich cała godzina bez smartfona.

Zapytałem moją sąsiadkę, co sądzi o tym miejscu.

– Jestem tu pierwszy raz – powiedziała. – Przyjaciółka mnie tu przywiozła. Ale chyba tu więcej nie wrócę.

– Dlaczego? – spytałem.

– Nie wierzę w takie rzeczy – odparła.

Czterej młodsi mnisi wkroczyli do świątyni i stanęli z boku ołtarza. Mieli ogolone głowy, żółte szaty, a na nogach klapki. Jeden z nich stuknął drewnianym młotem w dzwon, którego dźwięk długo rozbrzmiewał echem w zimnej, pustej hali. Drugi zderzył trzymane w dłoniach talerze, trzeci wziął zamach zakrzywioną pałką i walnął wielki bęben zawieszony na

przymocowanej do belki linie. Czwarty zaintonował śpiew, który podchwycili pozostali. W drzwiach świątyni stanął mistrz. Trzykrotnie pokłonił się posągowi Buddy. Tuż za jego plecami CK, podobnie jak siedem innych osób, powtarzał dokładnie każdy jego gest. Reszta wiernych mokła w deszczu kilka kroków za grupą wybranych.

Gęsiego wchodzili do hali. W drzwiach brali kadzidełka, podnosili je obiema dłońmi nad głowę i wtykali w pojemnik z piaskiem przed posągiem Buddy. Spirale wonnego dymu unosiły się pod sam strop świątyni. Monotonnym głosem śpiewali mantry i wszyscy jednocześnie składali pokłony. W końcu wyszli rządkiem ze świątyni, a my za nimi. Kryjąc się przed deszczem pod okapami budynków, okrążyliśmy gęsiego teren świątyni i skierowaliśmy się z powrotem do głównej hali. Kiedy zerknąłem za siebie, zobaczyłem, że Jackie chowa się przed zimnym, wilgotnym wiatrem za masywną sylwetką Flapa.

Gdy szliśmy wolnym krokiem, autystyczna dziewczynka zaczęła wrzeszczeć.

– *Wo zhiyao haochide! Wo zhiyao haochide!* – krzyczała, z każdym kolejnym zdaniem nakręcając się coraz bardziej. „Chcę tylko coś dobrego do jedzenia!”

Jej mantra wzbiła się nad pozostałe głosy. Matka złapała dziecko za ramię i potrząsnęła, każąc zamilknąć, co tylko pogorszyło sytuację. Gdy patrzyliśmy, jak kobieta wyciąga wzburzoną dziewczynkę z obrzędowego szeregu i w strugach deszczu prowadzi ją do stołówki, przypomniała mi się diagnoza mistrza: „Jest uczennicą Guanyin”.

Wróciliśmy do głównej hali, gdzie przez pół godziny intonowaliśmy śpiewy i składaliśmy pokłony przed posągiem Buddy. Monotonne mormorando stało się teraz szybsze, uderzenia w talerze i bębny następowały jedno po drugim, bum-brzdęk!, bum-brzdęk!, bum-brzdęk! Uważnie obserwowałem CK. Nie spuszczając wzroku z posągu Buddy, zbliżył się do kapliczki. Zamknął oczy i ofiarował mistrzowi kadzidełko. Mistrz wziął z jego rąk wonny patyczek i wetknął go do pojemnika z piaskiem ustawionego na szczycie kapliczki. C K z wojskową precyzją zrobił w tył

zwrot i przy coraz szybszych dźwiękach bębna wymaszerował z hali. Szedł ze złożonymi przed sobą dłońmi, pogrążony w modlitwie.

Na przesłoniętej kadzidlanym dymem twarzy CK malowały się szczerość i skupienie. Pomyślałem, że w odróżnieniu od wielu znanych mi osób naprawdę chce stać się lepszym człowiekiem. Większość Chińczyków była zbyt przygnieciona codziennymi problemami, by myśleć o takich sprawach. Pochłaniało ich zarabianie pieniędzy, pomaganie dorosłym dzieciom czy, jak w przypadku części obecnych, poszukiwanie pomocy medycznej. Mistrz tej świątyni nie był lekarzem, ale potrafił leczyć dusze. Podobnie jak ciocia Fu w swoim nielegalnym Kościele, CK starannie ignorował podejrzane aspekty osobowości swojego nauczyciela. Brał od niego to, co ten miał mu do zaoferowania, jak wyrastający z błota lotos. Poszukiwał światła, a to była najlepsza oferta na rynku.

CK i pozostali wierni wrócili na poduszki przy wejściu. Z boku ołtarza mnisi z szaleńczym wigorem zderzali talerze i walili w bębny. Wierni gięli się w pokłonach jak fala, coraz szybciej i szybciej, w rytm ogłuszającego łoskotu zderzanego metalu, bębnienia i monotonnych śpiewów. W końcu mistrz podniósł się z ziemi, ujął w dłonie drewniany młotek i uderzył w spiżowy dzwon.

Hałas ucichł jak nożem uciął. Świątynia pogrążyła się w ciszy, którą mąciło jedynie echo dzwonu zlewające się z dochodzącymi z zewnątrz odgłosami natury. Po chwili słyszeliśmy już tylko bębnienie kropel deszczu o beton. Przez przesłonięte kratą okno dostrzegłem w oddali dwoje staruszków z motykami na ramionach, idących brzegiem wezbranej rzeki na swoje poletko ryżu.

Nieco później czekaliśmy w stołówce na ostatni posiłek przed odjazdem autobusu, który miał odwieźć nas z powrotem do Szanghaju. CK przysiadł się do mnie i zapytał, co sądzę o kończącym się weekendzie.

– Interesujący – odparłem. – Wygląda na to, że znalazłeś tu coś szczególnego.

CK przytaknął.

– Przyjeżdżałem tu wiele razy, ale teraz było inaczej – wyznał. – Nie spodziewałem się, że mistrz zaprosi mnie, żebym się modlił bezpośrednio za nim.

Mistrz zadał CK pracę domową: modlitwy, mantry i plan medytacji. Chciałem zrobić z nim wywiad, ale odpowiedział za pośrednictwem CK, że jest zbyt zajęty, by odpowiadać na pytania zagranicznego dziennikarza.

– Możesz napisać, co chcesz – powiedział CK. – Mistrz ma tylko jedną prośbę: żebyś nie zdradzał położenia świątyni. Chcielibyśmy zachować je w tajemnicy.

Kiwnąłem głową. Zapytałem CK, w jaki sposób jego nowa wiara czyni go lepszym człowiekiem.

– Zanim zacząłem tu przyjeżdżać, dużo piłem, czasem paliłem trawę, no wiesz, jeśli mój kumpel chciał się napić, piłem z nim do rana – odparł po chwili namysłu. – Odkąd tu przyjeżdżam, przestało mi to być potrzebne. Czuję, że to niezdrowe, dla mnie i dla mojej energii. Nad niczym nie miałem kontroli. Teraz odzyskuję kontrolę nad moim życiem.

Otworzyły się drzwi i do kuchni weszła grupka ludzi, otrząsając z deszczu parasole. Przyszli pomóc nakryć stoły do lunchu.

– Lubię wyjechać gdzieś, gdzie mogę się modlić z ludźmi, którzy przeżywają to samo co ja – dodał CK. – Robimy to wspólnie i nieważne, kto jest kim.

CK całe życie marzył o znalezieniu własnego miejsca. Wstał, żeby pomóc w kuchni. Za oknem bębniły monotonnie krople deszczu, marszcząc powierzchnię rzeki.

Czekając na lunch, zawędrowałem do magazynu na tyłach stołówki. Pod sufit piętrzyła się sterta niewykończonych rzeźbionych drzwi, obok której stały taczki i stara piła tarczowa. Przez szpary w stropie znajdującej się wyżej świątyni sączyło się światło, padało na uszkodzone bębny i rozbite naczynia na kadzidełka, którymi zasłana była gliniana podłoga. Z góry dobiegały przytłumione ludzkie głosy, zlewające się z szumem deszczu.

W kącie magazynu, za połamaną szafką, stała szklana gablota, równie wysoka jak ja. Z jej wnętrza spoglądała na mnie figura Mao Zedonga w charakterystycznym mundurku. Na jej widok zamarłem ze zdumienia.

Przewodniczący był ostatnią osobą, którą spodziewałem się spotkać w suterenie buddyjskiej świątyni. A jednak był tam, uśmiechał się do mnie uśmiechem Buddy, tylko fryzura i charakterystyczny pieprzyk na podbródku zdradzały jego prawdziwą tożsamość.

Domyśliłem się, że mistrz trzymał ten eksponat pod ręką na wypadek wizyty lokalnych funkcjonariuszy partii. Ale tego dnia ich tu nie było. W pomieszczeniach nad nami przebywali zwykli *laobaixing*, zwykli ludzie, którzy wiedzieli już o Mao wszystko, co było im potrzebne do szczęścia, i teraz szukali czegoś więcej. Po obu stronach przywódcy chińskiej rewolucji wisiały czerwone wstęgi pokryte czarnymi znakami. Przeczytałem:

Zawsze pamiętaj o przewodniczącym Mao
Nigdy nie zapominaj o Partii Komunistycznej

14 Dom

家

Miesiąc po zburzeniu Maggie Lane Burmistrz Chen i jego żona, Xie Guozhen, napisali list do burmistrza Szanghaju:

> Nie mamy gdzie mieszkać. Robi się coraz zimniej. Brutalnie pogwałcono nasze prawo własności i do spokojnego życia. Mamy nadzieję, że władze przyjrzą się tej sprawie i przywrócą sprawiedliwość, byśmy znów mogli godnie żyć w pięknym mieście Szanghaju.

Małżonkowie stracili dom, ale znaleźli nowe schronienie. Po kilku miesiącach tułaczki po obskurnych hotelikach wprowadzili się do wynajętego mieszkania w cichym zaułku w innej części dawnej koncesji francuskiej.

– Tu jest lepiej niż u ciebie w bloku – zażartował Burmistrz Chen, kiedy przyszedłem do nich z wizytą.

Zajmowali dwupokojowe mieszkanie z wysokimi sufitami na piętrze stuletniej willi w zachodnim stylu. Usiedliśmy przy stole naprzeciw wychodzącego na ogród balkonu. Za nowe lokum płacili równowartość czterystu dolarów miesięcznie, nieco ponad połowę swojej miesięcznej emerytury.

Burmistrz Chen tryskał optymizmem, co w danych okolicznościach wydało mi się trochę dziwne. Władze Szanghaju nie odpowiedziały na list, nie udało mu się odzyskać dobytku, a miejscowi dziennikarze nie chcieli już z nim rozmawiać.

– Po prostu w Chinach jest za dużo takich wywłaszczeń. – Chen przytoczył słowa reportera Agencji Informacyjnej Xinhua, z którym skontaktował się telefonicznie. – Skończyły im się pomysły, jak o nich pisać.

Powiedział mi, że jestem jedynym dziennikarzem, który interesuje się Maggie Lane. Zastanawiał się nawet, czy nie powinniśmy wybrać się razem do dzielnicowego wydziału mieszkaniowego. Dwa lata wcześniej poszedłem

tam ze Starym Kangiem, który po wyburzeniu jego domu został bez dachu nad głową.

– Tak ich wtedy wystraszyłeś, że przyznali Staremu Kangowi rekompensatę w wysokości tysiąca juanów miesięcznie – wyjaśnił.

Te pieniądze wystarczyły Staremu Kangowi na wynajęcie mieszkania na peryferiach Szanghaju. Milczałem, niepewny, co o tym sądzić.

– Właściwie to chyba nie jest najlepszy pomysł. – Burmistrz Chen zauważył moje wahanie. – Na pewno będą chcieli, bym podpisał, że nie mam więcej roszczeń.

Burmistrz Chen nie miał zamiaru niczego im obiecywać. Na szafce przy jego łóżku leżała wypożyczona z biblioteki książka pod tytułem *Przepisy dotyczące gruntów państwowych. Wyburzanie i odszkodowania*, ze stronami pozaznaczanymi wielką liczbą żółtych samoprzylepnych karteczek. Chen otworzył tom na wystrzępionej od wielokrotnego czytania stronie.

– Zobacz, jaśniej już nie można tego ująć. – Zaczął czytać, wodząc palcem po drobnych chińskich znakach: – „W przypadku przymusowego wysiedlenia notariusz musi poinformować o jego dacie właściciela posesji, by mógł być obecny przy wyburzaniu. Jeśli jest to niemożliwe, kancelaria notarialna ma obowiązek sporządzić dokładny wykaz wszystkich przedmiotów znajdujących się w poszczególnych lokalach”.

Kiedy w dniu rozbiórki Burmistrz Chen i jego żona wrócili do Maggie Lane, odkryli, że pracownicy kancelarii notarialnej nie tracili czasu na sporządzenie inwentarza ich dobytku. Po prostu wrzucili wszystko jak leci do plastikowych worków, które w pośpiechu załadowano na ciężarówkę, żeby koparki i buldożery mogły jak najszybciej przystąpić do zrównywania osiedla z ziemią.

Burmistrz Chen przerzucił kilka kartek do następnej zaznaczonej strony.

– Tu jest napisane, że lokatorów trzeba zawiadomić o planowanej rozbiórce z wyprzedzeniem – oświadczył, podnosząc głos. – Pekin musi przysłać „zespół śledczy”! Doszło do poważnego naruszenia interesu obywateli.

Xie, która do tej pory siedziała w milczeniu na brzegu łóżka, roześmiała się, o mało nie rozlewając herbaty.

– Xi Jinping nie przyśle tu żadnego „zespołu śledczego”! – ofuknęła męża. – Takich spraw jest w Chinach bez liku. Nasza to zaledwie kropla w morzu! Nikt nie będzie zawracał sobie nią głowy.

Burmistrz Chen zatrzasnął ze złością tomiszcze.

– Wierzy, że Chiny są takie, jak pokazują w telewizji, idealne i uczciwe – powiedziała Xie, ignorując demonstrację męża. – Patrz na to, co się dzieje tutaj i teraz! – zwróciła się bezpośrednio do niego. – To są prawdziwe Chiny.

– Jestem głęboko przekonany, że to było niezgodne z wolą kierownictwa partii – oświadczył Burmistrz Chen. – Tyle razy obiecywali, że będą dbać o interes obywateli. Nadal nie mogę uwierzyć, że to się stało.

Xie pokręciła ze smutkiem głową. Patrzyła na swojego męża, jak pani patrzy na szczeniaka, który uparcie kręci się za własnym ogonem.

– Chciałbym cię o coś zapytać – zwrócił się do mnie Chen. – Mój brat mieszka w Nowym Jorku. Myślisz, że powinien złożyć w moim imieniu skargę do ONZ?

Xie przygryzła wargę i z irytacją spojrzała na sufit.

– Nie jestem pewien, czy to coś da – powiedziałem.

Pokiwał głową, w zamyśleniu wpatrując się w okładkę książki. Jego brat, właściciel domu na Brooklynie, namawiał go na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ale Burmistrz Chen nie brał takiej możliwości pod uwagę. Zresztą, jak mi powiedział, teraz nie mógłby nawet opuścić kraju. Jego paszport został w zmienionym w stertę gruzów domu. Po stracie dachu nad głową w Burmistrzu Chenie obudził się lodowaty upór. Wcześniej wierzył, że zachowanie własnego mieszkania w opuszczonym, częściowo zniszczonym osiedlu jest jego prawem. Teraz, kiedy dom i osiedle zniknęły z powierzchni ziemi, tylko utwierdził się w tym przekonaniu. Niezmordowanie domagał się od władz dzielnicy Xuhui, by przydzieliły mu inny lokal w pobliżu wyburzonego Maggie Lane, co raczej nie wchodziło w grę.

– Kiedy się poddasz? – zapytałem. – Kiedy przestaniesz walczyć i zaczniesz znowu żyć?

– Nie ma takiej opcji – obruszył się Burmistrz Chen. – Ustaliliśmy z sąsiadami, że nie odpuścimy. Musimy tylko znaleźć jakiś nowy sposób.

– A co sądzi o tym wszystkim twój brat w Ameryce? To był również jego rodzinny dom – zauważyłem.

– Codziennie rozmawiamy przez telefon. Też mnie zapytał, czy nie mógłbym trochę ustąpić, pójść na jakiś kompromis, na przykład poprosić o dom na wsi – wyznał burmistrz Chen.

– Czy to nie byłoby dobre rozwiązanie? – spytałem.

– Dlaczego mielibyśmy się na to zgodzić? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Nie jesteśmy niewolnikami. Mój ojciec kupił tę nieruchomość za swoje pieniądze i jest ona własnością rodziny. Rząd nie ma do niej żadnych praw.

– Prawa, o których mówisz, obowiązują tylko na papierze. Partia stoi ponad prawem – ostrzegłem go. – Jeśli zaczniesz się procesować z rządem, to twoje prawa zazwyczaj okazują się *jiade*.

Jiade oznaczało „podróbka”. Chen energicznie pokręcił głową.

– Nie! – zawołał. – Prawa są prawdziwe. Po prostu w naszym przypadku władza odmawia ich przestrzegania. A chińska konstytucja? Też ją można nazwać podróbką? Nie możesz twierdzić, że wszystko jest nieprawdziwe. Nawet partia mówi, że prawo obowiązuje.

Prawo było prawdziwe, dopóki chroniło interesy partii. To partia stworzyła przepisy i to jej kierownictwo – a nie miliard czterysta milionów obywateli – decydowało, jak je należy interpretować. Kiedy spór pomiędzy państwem a obywatelem trafiał do sądu, nie trzeba było geniusza, by przewidzieć, jaki zapadnie wyrok.

Tydzień po mojej wizycie w nowym mieszkaniu Chena i Xie sąd w Pekinie rozpatrzył sprawę posła do Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, który wzywał partię do przestrzegania chińskiej konstytucji i niełamania praw obywateli. Był styczeń 2014 roku. Podsądny nazywał się Xu Zhiyong, miał czterdzieści jeden lat, krzepką sylwetkę marynarza i ostry jak brzytwa umysł, który uczynił go jednym z najlepszych prawników w kraju. W 2002 roku państwowa telewizja umieściła Xu Zhiyonga na liście „dziesięciu najbardziej wpływowych postaci rządów prawa”. Jako działacz na rzecz praw człowieka walczył o lepszy dostęp do edukacji dla dzieci

migrantów wewnętrznych. Chciał zmienić obecny stan rzeczy, o który rozbiły się nadzieje synów Zhao Shiling z ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Xu domagał się również publicznie, by przywódcy państwa ujawnili swoje prywatne majątki. Był to bardzo niewygodny temat dla Xi Jinpinga, którego bliscy – jak podała agencja Bloomberg – zgromadzili na kontach miliony dolarów.

Założona przez Xu grupa Ruch Nowych Obywateli żądała przeprowadzenia reform, które wzmocniłyby rządy prawa. Początkowo jej postulaty nie stały w sprzeczności z kierunkiem przyjętym przez kierownictwo partii. Kluczowi przedstawiciele chińskiego rządu również dostrzegali potrzebę zmian w systemie szkolnictwa. Xi Jinping zainicjował kampanię antykorupcyjną, która doprowadziła kilkaset tysięcy nieuczciwych urzędników przed oblicze sprawiedliwości. Ale gdy Xu wezwał do walki z korupcją, został aresztowany i pozbawiony mandatu członka Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, w którym zasiadał już drugą kadencję. W zimny, styczniowy dzień sąd skazał go na cztery lata więzienia. Nim strażnicy wyprowadzili go z sali rozpraw, Xu oświadczył: „Dziś sąd ostatecznie pogrzebał resztki praworządności w Chinach”.

Kiedy następnego dnia rano przeczytałem o wyroku w zagranicznych serwisach internetowych, pomyślałem o Burmistrzu Chenie. Walczył o sprawiedliwość dla siebie z takim samym zapałem i poczuciem słuszności jak Xu. Czy on też skończy w więzieniu?

Kilka miesięcy później rano obudził mnie łoskot koparki zgarniającej gruz po zburzonym domu Chena i Xie. Jaskrawopomarańczowy dinozaur przesuwał się niezdarnymi susami do przodu, nabierając do paszczy czerwone cegły, bryły pokruszonego betonu i kawałki drewna. Kołysząc się i trzęsąc, podnosił wysoko łyżkę i z ogłuszającym hukiem zrzucał ładunek na zieloną wywrotkę. Wystarczył jeden dzień, by istniejące przez osiemdziesiąt lat osiedle zniknęło z powierzchni ziemi. Wkrótce w Maggie Lane pojawiła się ekipa robotników w pomarańczowych kombinezonach. Wylali cement i postawili barak mieszkalny z dachem z czerwonej blachy. Wśród mieszkańców mojego

bloku krążyła plotka, że dzielnica wydzierżawiła teren deweloperowi, który wkrótce rozpocznie budowę kolejnego kompleksu wysokościowców.

– *Bu dui* – powiedział przez telefon Burmistrz Chen. – To nie tak. Dzielnica nie sprzedała gruntów. Najpierw muszą załatwić sprawę z nami. Przedtem niczego nie zrobią. Latem tego roku miasto realizuje kilka projektów użyteczności publicznej. To tylko tymczasowe kwatery dla robotników.

Przez całe lato obserwowałem przy śniadaniu kręcących się przed barakiem robotników, migrantów zarobkowych z prowincji. Siedząc w kucki na słońcu, chłeptali z miseczek ryżowy kleik. Wychodzili całą grupą, żeby naprawić gdzieś jezdnię albo podłączyć nową instalację gazową. Wracali pod wieczór, zmęczeni i mokrzy od potu, z kolejną zarobioną dniówką do wysłania rodzinie.

Wraz z zapadnięciem nocy w baraku gasło światło. Robotnicy zasypiali i śnili tam, gdzie w dzieciństwie zasypiał i śnił Chen, a przed nim jeszcze inni. I tak jak tamci pewnego dnia zniknęli. Jesienią wrócili mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach, żeby rozebrać barak, i pod koniec roku Maggie Lane znów było otoczoną murem, zarośniętą zielskiem po pas pustą parcelą, po której włóczyły się bezdomne koty. Do dziś pozostaje bezludną dżunglą, oazą ciszy w sercu największego skupiska ludności w Chinach, obojętną, kto ją kupi, sprzeda albo nazwie swym domem. Trwa w bezruchu, czekając na reinkarnację.

* * *

Kiedy w 2010 roku zamieszkałem w Szanghaju, mur wokół Maggie Lane zdobiły plakaty z hasłem „Lepsze miasto, lepsze życie”. Pięć lat później ich miejsce zajął slogan:

> Realizując Chiński Sen,
> Odrodzimy Chiny

Pierwszy plakat wisiał na wysokości dawnego domu Burmistrza Chena i jego żony Xie. Kolejne rozmieszczono mniej więcej co sześć metrów. Na

każdym znajdowały się inna sentencja lub wiersz, ale wszystkie miały to samo przesłanie: realizuj Chiński Sen i kochaj swoją ojczyznę. Zajmowały znaczną część muru; dwa razy zakręcały za róg i kończyły się naprzeciw miejsca, w którym ojciec Weiqiego zginął w płomieniach, broniąc swojego domu przed ekipą rozbiórkową.

Gdy zadzwoniłem do Weiqiego, nad Hongkongiem zbierały się czarne chmury.

– Okropna pogoda – powiedział. – Codziennie po południu rozpętuje się burza, która wygląda jak koniec świata. To mi przypomina dom, szanghajskie *huangmeitian*.

Deszcze śliwkowe (*plum rains*, jak je nazywaliśmy po angielsku) zaczynały się w czerwcu, gdy w sadach dojrzewały żółte śliwki. Kilka tygodni deszczowej pogody poprzedzało nadejście lata, w delcie Jangcy zawsze nieludzko parnego.

Jednakże tamtego dnia pod koniec maja niebo nad Szanghajem było niebieskie, powietrze rześkie, a przez otwarte okno mojego biura na jedenastym piętrze wieżowca wpadał ciepły wiaterek. Stałem przy oknie i przyglądałem się, jak w parku rzeźb na dole starzy mężczyźni puszczają latawce. Po drugiej stronie linii telefonicznej Weiqi siedział w pustej sali konferencyjnej z widokiem na centrum Hongkongu. Wolał obserwować niebo przed burzą, niż śledzić rynki. Obaj zrobiliśmy sobie wagary.

Weiqi opowiadał mi o przygotowaniach do ślubu. Jego narzeczona pochodziła z rolniczej prowincji Yunnan w południowo--zachodniej części kraju. Poznali się, kiedy kończyła studia magisterskie na Uniwersytecie Cornella. Mieli się pobrać jesienią. Matka Weiqiego wzięła urlop od pikietowania, by pomóc w zorganizowaniu wesela. Ceremonia miała się odbyć w Xijiao Guesthouse, luksusowym państwowym hotelu, w którym zatrzymywali się najważniejsi rządowi notable. Dziwny wybór jak na kobietę, która regularnie trafiała do więzienia za protestowanie pod siedzibą centralnej władzy, ale Weiqi nie patrzył na to w ten sposób. Chiny były krajem wielu sprzeczności, zresztą przed ślubem miał za dużo na głowie, by zwracać uwagę na podobne drobiazgi.

Poza tym starał się utrzymać pracę. Chiński boom gospodarczy wyhamował, rynek zaczął wykazywać tendencję zniżkową i w sektorze bankowości inwestycyjnej w Hongkongu zaczęły się zbiorowe zwolnienia.

Z otwartych drzwi szkoły pod moim oknem wysypała się na ulicę gromada uczniów w białych kombinezonach i z czerwonymi chustkami na szyi. Ruszyli grupkami w stronę parku, żeby przed wieczornym odrabianiem lekcji skraść chwilę na zabawę. Wysoko w górze, w promieniach popołudniowego słońca, krążyło stadko gołębi pocztowych. Co chwila wszystkie jednocześnie zmieniały kierunek lotu w ślad za wiedzionymi tajemniczym instynktem przewodnikami stada. Trzymały się blisko siebie, zgodnie wykonując chaotyczne na pozór ewolucje.

– Zajmujesz się komentowaniem chińskiej gospodarki. Jak myślisz, co będzie dalej? – zapytał mnie Weiqi.

W moich dziennikarskich podróżach po Chinach trafiałem w najróżniejsze miejsca i wszędzie słyszałem to samo pytanie. Choć mało jest na świecie systemów ekonomicznych, w których równie trudno się połapać, oczekiwanie prognozy na przyszłość właśnie ode mnie miało pewien sens. Jako korespondent zagranicznych mediów, mogłem swobodnie poruszać się po całym kraju, zbierając informacje na dowolny temat – większość miejscowych dziennikarzy nie miała takiej swobody. Jednak za każdym razem, kiedy proszono mnie o ocenę stanu chińskiej gospodarki, czułem, że zawiodłem na całej linii. Na to pytanie po prostu nie dało się odpowiedzieć.

– Im więcej dowiaduję się o chińskiej gospodarce, tym mniej naprawdę o niej wiem – wyznałem Weiqiemu. – Większość transakcji nie jest nigdzie rejestrowana, więc trudno się zorientować, co się dzieje. Bazuję głównie na informacjach ze źródeł nieoficjalnych i na własnych obserwacjach.

– I co na tej podstawie sądzisz?

– W Chinach nigdy jeszcze nie było tyle pieniędzy co teraz, ale znaczna ich część jest topiona w bezsensownych projektach, z których przypuszczalnie nie będzie żadnego pożytku – odparłem.

– Też to widzę – potwierdził słuszność moich spostrzeżeń.

Weiqi zauważył, że inwestorzy masowo wycofują z Chin swoje aktywa.

– Powiadają, że jeśli ulokowałeś pieniądze w Chinach kontynentalnych, to nie są to prawdziwe pieniądze – dodał. – Kiedy żyjesz w systemie, który nie szanuje własności prywatnej, nigdy nie masz pewności, że twoje pieniądze są naprawdę twoje.

Weiqi dużo rozmyślał o własności prywatnej. Jego ojciec poświęcił w jej obronie życie, a on sam przez kilka lat studiował na jednym z najlepszych amerykańskich uniwersytetów jej związki z przepływem kapitału. W efekcie tych rozmyślań doszedł do wniosku, że od stosunku partii do własności prywatnej zależy przyszłość Chin.

– Jeśli rząd będzie szanował własność prywatną, powstaną grupy bogatych, wpływowych obywateli, którzy nie będą się obawiali o swoje bezpieczeństwo osobiste – wyjaśnił Weiqi. – Po pewnym czasie te grupy nabiorą rozumu i drogą wzajemnych kompromisów wypracują nowe, lepsze zasady funkcjonowania państwa.

Weiqi przewidywał, że jeśli tak się stanie, pewnego dnia Chińczycy staną się *rzeczywistymi* właścicielami swoich nieruchomości, które obecnie dzierżawią od największego obszarnika na świecie.

Choć doświadczenie nauczyło Weiqiego nie ufać żadnemu przywódcy państwa, z prezydentem Xi Jinpingiem wiązał większe nadzieje niż z jego poprzednikami.

– Wychował się w rodzinie wysoko postawionego funkcjonariusza partii, więc jest wykształcony i jest szansa, że potrafi sensownie myśleć – powiedział Weiqi. – Jego Chiński Sen jest ambitnym planem podniesienia poziomu życia Chińczyków i chwała mu za to, ale nie sądzę, by na obecnym etapie leżało to w możliwościach jednego człowieka. Trzeba trochę czasu, by przestawić naszą ojczyznę na właściwe tory, bo uczciwie mówiąc, to nie jest tylko jego kraj.

Weiqi zamierzał wrócić kiedyś do Szanghaju.

– Nie cierpię Hongkongu – wyznał. – To kompletnie porąbane miasto. Większość ludzi nie ma pieniędzy, nie może nawet myśleć o kupnie mieszkania. Szanghaj też boryka się z wieloma problemami, ale mimo tego, co spotkało moją rodzinę, chcę tam mieszkać. Wiele przeszedłem. Już się nie boję.

Przez otwarte okno wpadał do biura ciepły wiaterek. Na dworze dzieciaki biegały po parku. Nawet na jedenastym piętrze słychać było ich śmiech. Nad czubkami drzew rozciągało się bezchmurne niebo. Gołębie zakończyły już swój lot i wróciły do gołębnika w alejce za parkiem. Kiedy ich nie było, hodowca wyczyścił kojce i wsypał do miseczek ziarno. Wyobraziłem sobie, jak ptaki napełniają żołądki, łapczywie dziobiąc pokarm, zadowolone, że są już z powrotem w domu.

* * *

Przez pięć lat amerykańska egzystencja Wang Xuesonga toczyła się w promieniu pięciu kilometrów od biblioteki publicznej we Flushing. Niebawem jego świat miał się rozszerzyć. Zamierzał uczcić pięćdziesiąte ósme urodziny uzyskaniem odpowiednika dyplomu ukończenia liceum. A potem, kto wie, może dostanie pracę, która wyciągnie go z Queens.

– Jeżdżę na kurs zawodowy aż na Manhattan – oświadczył z dumnym uśmiechem.

Wang coraz bardziej interesował się światem poza granicami Flushing. Po raz kolejny odwiedziłem Nowy Jork jesienią 2014 roku. Zatrzymałem się u brata w New Jersey i przyjechałem do miasta pociągiem. Wang chciał wiedzieć, ile czasu zajęła mi podróż i czy miałem po drodze jakieś kłopoty. Zadawał mi mnóstwo pytań na temat New Jersey. Jak tam jest? Czy domy są duże? Czy spotyka się tam dzikie zwierzęta? Czy mieszkają tam jacyś Chińczycy? Znał to miejsce tylko ze słyszenia. Dla człowieka, który nigdy nie wyściubił nosa poza Nowy Jork, Stan Ogrodów był egzotycznym miejscem.

Pakiet świadczeń dla bezrobotnych, z którego korzystał Wang, obejmował szkolenie zawodowe opłacane przez państwo. Przez dwa następne lata miał raz w tygodniu jeździć na Manhattan i uczyć się zarządzania biurem.

– Mam nadzieję, że po kursie znajdę pracę w recepcji przychodni albo szpitala – powiedział. – Albo nawet w kancelarii prawnej w śródmieściu.

Mówił z entuzjazmem świeżo upieczonego absolwenta szkoły średniej, który zaczyna orientować się w zawiłościach rynku pracy. Kiedy widzieliśmy

się pół roku wcześniej, właśnie wrócił z egzaminu, który miał mu zapewnić pracę konserwatora MTA.

– Oblałem – powiedział mi wtedy bez cienia żalu w głosie. – Za słabo znam angielski.

W tym czasie ubiegał się o pracę sprzedawcy na część etatu w sklepie Gap i w sklepie wolnocłowym na lotnisku Kennedy'ego, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swoje zgłoszenia.

Wang coraz częściej zapuszczał się poza swoją dzielnicę, ale kiedy umawialiśmy się na spotkanie, wybrał tę samą ławkę pod oknem w bibliotece we Flushing. Był późnojesienny poranek, liście na drzewach zaczęły zmieniać kolor. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się rząd sklepów z chińskimi szyldami: Supermarket Cuijiang, Błyszcząca Gwiazda Salon Urody Numer Jeden, Apteka Spokoju i Dobrego Zdrowia i tak dalej. Ich cudzoziemskość przypominała mi zmieniający się wygląd ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Jak grzyby po deszczu wyrastały tam kolejne restauracje i kawiarnie, reklamujące się napisami w języku angielskim. Wang miał na sobie zapiętą pod szyję kremową koszulę w tureckie wzory, którą wetknął w czarne wyjściowe spodnie.

– Oto twoje listy – powiedziałem, podając mu ciężką jak kula do kręgli reklamówkę.

Przez lato przemyślał sobie sprawę listów i kiedy zadzwoniłem z Szanghaju, by mu powiedzieć, że znów się wybieram do Nowego Jorku, zebrał się na odwagę i poprosił: „Cz-czy mógłbyś je dla mnie skopiować?".

– *Wa!* – Podniósł torbę. – Nie wiedziałem, że jest ich tak dużo! To musiał być dla ciebie spory kłopot, przywieźć te listy z Szanghaju, a potem jeszcze pociągiem z New Jersey!

– *Meiyou* – użyłem chińskiego słowa wytrychu. – Wcale.

Wang wyjął plik listów z reklamówki i zaczął je przeglądać. Zatrzymał się na dłużej przy kartce pokrytej pismem jego matki. U góry widniała data „1960". Miała wtedy trzydzieści cztery lata, a Wang dopiero dwa.

– Pamiętam, opowiadały mi o tym siostry. – W milczeniu doczytał list do końca. – Władze z-zabrały nam dom i musieliśmy płacić czynsz – odezwał się po chwili. – Osiem i pół juana miesięcznie. To był wtedy tylko jeden

dolar, ale matki i tak nie było na to stać. W-wychowywała szóstkę dzieci. Byliśmy jeszcze mali. – Położył kartkę na kolanach. – Kilka miesięcy później odwiedził nas urzędnik z wydziału mieszkaniowego. Zagroził, że jeśli nie zapłacimy, ześle nas do prowincji Gansu. Mówił, że tam jest praca i są mieszkania. Kłamał oczywiście. M-m-matka znała kilka osób, które pojechały do Gansu i musiały tam żebrać, żeby przeżyć, a potem uciekły z powrotem do Szanghaju. Rozpłakała się. Powiedziała mu, że nie może tego zrobić jej dzieciom. W końcu zostawił nas w spokoju. Inaczej trafilibyśmy do G-g-gansu – powiedział, wpatrując się w odręczne pismo swojej matki. – Tam był ok-kropny głód. Ludzie jedli trawę i korę z drzew. P-p-pewnie byśmy tam umarli.

Prowincja Gansu leżała w północno-zachodniej części kraju, na północnym zachodzie kraju. W ciągu trzech lat głód zabił tam ponad milion ludzi. Ci, którym udało się przeżyć, opowiadali o przypadkach kanibalizmu.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz płaczącej mamy Liu w drzwiach domu w cichym szanghajskim zaułku. Jej dzieci zastanawiają się, kim jest pan, który doprowadził ją do łez. Wyobraziłem sobie, jak urzędnik namyśla się, czy wysłać tę kobietę i jej potomstwo w głąb kraju, skazując na śmierć za zaleganie z czynszem. Co spowodowało, że zmienił zdanie? Współczucie? A może po prostu zrobiło się późno, a on był zmęczony po całym dniu pracy i chciał oszczędzić sobie papierkowej roboty? W każdym razie dzięki jego decyzji siedziałem pięćdziesiąt pięć lat później z Wangiem w bibliotece na drugim końcu świata.

Decyzja urzędnika zaważyła także na życiu kilku innych osób. Spytałem Wanga o jego siostry. Najstarsza Siostra, Druga Siostra i Czwarta Siostra mieszkały ze swoimi rodzinami w Nowym Jorku, a ich dzieci uczyły się w koledżach. Najmłodsza – ta, którą oddali do adopcji – rozwiodła się i ponownie wyszła za mąż. Wcześnie przeszła na emeryturę i razem z córką i drugim mężem przeniosła się do Vancouver.

– Świetnie radziła sobie w interesach i zarobiła dużo pieniędzy. Starszym siostrom też się nieźle powodzi. Mieszkają we własnych domach. Przy nich to ja wypadam najsłabiej! – powiedział ze śmiechem. – Mam prawie sześćdziesiąt lat i dopiero uczę się angielskiego!

Wang żałuje, że nie nauczył się angielskiego w młodości, przyznaje jednak, że byłoby to trudne. Kiedy chodził do szkoły, lekcje często odwoływano z powodu wieców politycznych, a angielski uważany był za język kapitalistów.

– Angielski powinien stać się językiem uniwersalnym – powiedział. – Już teraz mówi nim duża część ludzkości. Wyobraź sobie, jak mógłby wyglądać świat, gdyby wszyscy ludzie się rozumieli. Tyle konfliktów międzynarodowych jest skutkiem złej komunikacji. Trzeba coś z tym zrobić.

W nowej ojczyźnie z początku obracał się wyłącznie w środowisku Chińczyków. Pięć lat później przyjaźnił się z kolegami z kursów pochodzącymi z Rosji, Indii i Kuby. Opowiadali sobie o swoich krajach i dużo rozmawiali o sytuacji na świecie.

– Mam pomysł na biznes, choć może jest on trochę przedwczesny – przyznał. – Chciałbym stworzyć serwis randkowy, który umawiałby ze sobą ludzi z różnych krajów. Myślę, że świat byłby lepszy, gdyby wszyscy należeli do jednej rasy i mówili jednym językiem. Zniknęłyby różnice. Zapanowałaby równość.

Wang zdawał się czerpać energię z atmosfery Nowego Jorku.

– Załóżmy, że kiedyś tak będzie. Jak myślisz, jaki ludzie wybraliby wtedy system rządów? – zapytałem.

– Niektórzy z moich tutejszych przyjaciół uważają, że chiński system jest najskuteczniejszy – odparł. – Nic się nie przeciąga w nieskończoność. Decyzje można podejmować jednoosobowo, dobre pomysły nie grzęzną w międzypartyjnych rozgrywkach. Ale kiedy człowiek, który podejmuje decyzje, nie jest dobry albo nie zna się na rządzeniu państwem, wszyscy jesteśmy ugotowani – dodał po chwili namysłu. – Moim zdaniem amerykański system jest lepszy.

Wang nie głosował na razie w wyborach. Żeby zostać obywatelem Stanów Zjednoczonych, musiałby zrzec się chińskiego obywatelstwa, a wtedy straciłby prawo do rodzinnego domu na ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

– W końcu będę musiał się do tego zabrać – powiedział, marszcząc czoło. – Nie można mieszkać w dwóch miejscach naraz. Kiedy wreszcie

zdecyduję się nazywać Amerykę moją nową ojczyzną, pewnie tamten stary dom sprzedam.

Wang chciał mieć wreszcie prawdziwy dom. Pod koniec rozmowy zakomunikował mimochodem nowinę.

– Ożeniłem się – powiedział cicho. – Moja żona pochodzi z prowincji Guangdong. Ma nadzieję, że w przyszłym roku uda jej się przyjechać na stałe.

Wyglądał na zażenowanego. Jako jedyny mężczyzna w rodzinie, z wielką powagą podchodził do swoich synowskich obowiązków. Przez wiele lat opiekował się matką, częściowo wchodząc w rolę męża. Jednak od pewnego czasu jej puste spojrzenie mówiło mu, że niedługo straci towarzyszkę życia.

To było małżeństwo aranżowane. Kandydatkę na żonę zalazł mu przyjaciel. Po kilku miesiącach czatowania przez internet Wang poleciał do prowincji Guangdong na południu Chin, aby poznać ją osobiście. Dwa dni później wzięli ślub w rodzinnym mieście narzeczonej, trzydziestoośmioletniej rozwódki.

– Jest dziewiętnaście lat młodsza ode mnie! – zawołał ze śmiechem. – Teraz czeka na wizę.

– Zna angielski?

– Nie bardzo – odparł Wang. – Na początek może się zatrudnić jako pielęgniarka. Mówi po mandaryńsku i kantońsku, to jej ułatwi znalezienie pracy.

We Flushing znajomość dwóch chińskich języków przydawała się bardziej niż biegłe opanowanie angielskiego. Zresztą zasiłek dla bezrobotnych i inne świadczenia, które pobierał Wang, w zupełności wystarczą im na życie.

– Masz przy sobie jej zdjęcie? – spytałem.

Wanga nie stać było na smartfon, więc nosił fotografie w portfelu. Zajrzał do środka i stwierdził, że zostawił zdjęcie żony w domu.

– Nie przy sobie. Ale nie jest zbyt ładna – oznajmił radośnie.

Wydawał się bardzo z tego faktu zadowolony. Jak wiele małżeństw w Chinach było to małżeństwo z rozsądku. Jego żona pochodziła z ubogiego regionu w północnej części prowincji i Wang doskonale wiedział, że jego

zielona karta jest głównym powodem, dla którego zgodziła się poślubić prawie dwadzieścia lat starszego mężczyznę. Gdyby była ładna, żyłby w nieustannym strachu, że po przyjeździe do Nowego Jorku porzuci go dla kogoś młodszego.

– Chcecie mieć dzieci? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Taki mamy plan – odparł, patrząc w błękitne nowojorskie niebo za oknem.

Ostrożnie włożył kopie listów rodziców z powrotem do reklamówki. Rozpiął suwak czarnej sportowej torby i umieścił pakunek obok równo ułożonych podręczników. Za chwilę zaczynały się jego zajęcia. Powoli schodzili się koledzy, machali do nas ręką i szli schodami do sal wykładowych piętro niżej. Po drugiej stronie planety jego żona przygotowywała się do podróży swojego życia. Wang wstał i się uśmiechnął.

– Każdy potrzebuje rodziny – powiedział, ściskając mi na pożegnanie dłoń. – Człowiek nie może być wiecznie sam.

15 Chińskie sny

中国梦们

Od wyjazdu CK z prowincji Hunan minęło dziesięć lat i przez ten czas jego rodzina nigdy nie domagała się odwiedzin. Aż tu nagle pewnego ranka zimą 2014 roku zadzwonił telefon.

– Babcia miała wylew – poinformował go ojciec. – Ma sparaliżowaną połowę ciała. Musisz przyjechać do domu.

Ojciec CK trzy razy dziennie podawał babci jedzenie, po południu wywoził ją na wózku na spacer i każdej nocy dwa razy zwlekał się z łóżka, by zanieść ją do toalety. Nie mogła zostać sama na dłużej niż pół godziny. Zresztą ojciec też coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Przeszedł lekki zawał serca i miał wyznaczony termin operacji. CK musiał wrócić do rodzinnego miasta, żeby na miesiąc przejąć opiekę nad babcią.

Do handlu akordeonami wystarczał telefon, ale z knajpką nie było tak prosto. Dziewczyna jego partnera Maksa zaszła w ciążę i chłopak wybierał się do rodzinnego miasta wziąć ślub.

– Będziesz musiał sam sobie radzić – oświadczył Maks kumplowi.

Przyszły ojciec zatrzymał mniejszościowy pakiet udziałów, lecz codzienne zarządzanie restauracją spadło na CK. Wiedział, że czeka go wiele miesięcy morderczej harówki i że to może być ostatnia okazja, by zobaczyć babcię. Spakował do walizki ezoteryczne księgi na temat buddyzmu tybetańskiego, wrzucił kilka zmian odzieży i wsiadł do pociągu dużych prędkości, który go zawiózł do odległego o tysiąc dwieście kilometrów Hunanu.

Mógł wreszcie odpocząć od pokus wielkiego miasta. Po naszej wspólnej wyprawie jeszcze kilka razy odwiedził świątynię. Sprawiał wrażenie zdrowszego i szczęśliwszego niż przedtem. Dawniej po zamknięciu barku kanapkowego ruszał z kumplami w miasto, teraz wolał wrócić do domu i pomedytować przed snem.

Na swoim profilu na WeChacie umieścił hasło: „Urodzić się dla wiary, walczyć za wiarę, umrzeć za wiarę”. Miejsce relacji z całonocnych pijatyk zajęły zdjęcia dokumentujące postęp prac przy rozbudowie świątyni mistrza, które prowadził razem z braćmi w nauce.

„Montujemy na górnym dachu 1080 figur Buddy Siakjamuniego – informował w jednym z postów.– Jeśli chcesz wspomóc nas wspaniałomyślnym darem, koszt jednej figury wynosi pięćset *renminbi*. Twoje szlachetne imię zostanie wyryte na lotosowym tronie. Niech Budda cię chroni!”

Babcia miała dziewięćdziesiąt lat. CK pamięta, jak mu opowiadała o swoim luksusowym dzieciństwie. Jej ojciec był bankierem. Codziennie rano szofer odwoził ją do prywatnej szkoły. Po skończeniu nauki wyszła za profesora literatury. Kiedy miała dwadzieścia pięć lat, władzę w Chinach przejęli komuniści. Nowy rząd skonfiskował majątek rodziny i zaliczył ją do obszarników. Kilka lat później Czerwona Gwardia przykleiła im kolejną etykietkę: kontrrewolucjonistów. Dziadek CK walczył w młodości z komunistami jako żołnierz Kuomintangu, który rządził wówczas w jego rodzinnym mieście.

W szczytowym okresie rewolucji kulturalnej hunwejbini przez kilka miesięcy codziennie nachodzili babcię i dziadka. O trzeciej nad ranem walili do drzwi, urządzali przesłuchania i grozili. Dziadek popadł w bezsenność, a stres poważnie odbił się na jego zdrowiu psychicznym.

– Z systemem nie dało się walczyć – powiedział mi CK. – Miałeś do wyboru odebrać sobie życie, i w tamtych czasach wielu ludzi tak robiło, albo cierpieć. Nie było trzeciego wyjścia. Wszyscy przechodzili pranie mózgu i wszyscy się bali.

Kiedy urodził się CK, dziadek nie mieszkał już z babcią. Wyprowadził się do cuchnącego pokoiku w suterenie i cierpiał w samotności. Babcia codziennie tam schodziła, żeby ugotować mu coś do jedzenia.

– Przestał myśleć logicznie – wyjaśnił CK.

Przez cały czas trząsł się ze strachu, że w nocy rozlegnie się pukanie do drzwi i przyjdą go aresztować. Kontakty z ludźmi napawały go przerażeniem.

Przypomniała mi się historia, którą opowiedział mi w bibliotece publicznej we Flushing Wang Xuesong. Jego cierpiąca na alzheimera matka do dziś budziła się w nocy z krzykiem, bo wydawało jej się, że do jej nowojorskiego mieszkania przyszli hunwejbini. „Chcą mnie przesłuchać" – mówiła synowi.

CK wiedział, że nie należy wypytywać babci o to, co stało się z dziadkiem. Z powodu podobnej milczącej umowy w dzieciństwie cierpiał samotnie i w końcu próbował podciąć sobie żyły, gdy babcia spała tuż obok, nieświadoma rozpaczy wnuka.

Ale to była przeszłość. Przed pokoleniem C K otwierał się bezmiar możliwości. Zniewoleni przez system rodzice i dziadkowie CK skupiali się na przetrwaniu, lecz on korzystał z wolności wyboru. Sam wybrał sobie zawód, religię, miejsce zamieszkania i marzenia.

Nie wybrał tylko miejsca urodzenia. Dla młodych Chińczyków obowiązki wobec rodziców są rzeczą świętą. Dlatego przez trzy tygodnie CK zrywał się z łóżka o czwartej rano, zanosił babcię do łazienki i szedł do kuchni przygotować dla niej śniadanie. Robił na targu zakupy i w drodze powrotnej odwiedzał w szpitalu ojca. Gotował obiad i kolację. Po południu sadzał babcię na wózek i wywoził na świeże powietrze. W nocy dwa razy wstawał, by zanieść ją do toalety. Kiedy ojca wypisano ze szpitala do domu, CK musiał zaopiekować się jeszcze jedną osobą.

– Wcale nie było mi łatwo znów mieszkać z ojcem – powiedział po powrocie.

Babcia przestała mówić, więc ojciec C K przyzwyczaił się do życia w ciszy. Wypełniał pustkę rozmawianiem z samym sobą i nie odpowiadał, gdy CK się do niego zwracał.

Fakt, że ojciec się do niego nie odzywał, stanowił wielką odmianę w ich relacjach. W dzieciństwie CK musiał godzinami wysłuchiwać jego narzekań na *system*. Teraz z ojca została pusta, mamrocząca pod nosem skorupa. CK zwierzył mi się, że nie wie, co gorsze.

Tylko raz ojciec przemówił do niego jasno i zrozumiale: zażądał, by zamknął barek kanapkowy. Powiedział, że to tylko strata pieniędzy.

– Możliwe, że w końcu tak zrobię – stwierdził z zafrasowaną miną. – Ale zostało mi jeszcze trochę oszczędności. Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, ile mam na koncie.

Uznałem to za dobry znak. Żył oszczędnie, a dochody ze sprzedaży akordeonów Polveriniego zasilały jego fundusz emerytalny. Od kilku lat co miesiąc wysyłał każdemu z rodziców dwa tysiące juanów na bieżące wydatki.

Pewnego popołudnia, kiedy byli w domu tylko we dwoje, babcia poprosiła CK, żeby zaniósł ją do łóżka.

– Zaniepokoił mnie sposób, w jaki to powiedziała, a może coś w jej twarzy – wspominał CK. – Odparłem: „Okej, babciu”, i zrobiłem to, o co prosiła.

Dwie minuty później C K wciąż czuł niewyraźny dyskomfort. Otworzył drzwi i wszedł do sypialni.

– Przywiązała koniec szalika do słupka wezgłowia łóżka – powiedział.

Drugi koniec szalika owinęła wokół szyi. Próbowała sturlać się z łóżka. CK rzucił się do przodu, złapał babcię i ułożył jej wątłe ciało z powrotem na materacu. Odwinął szalik z szyi staruszki i padł obok niej. Leżeli tak, babcia w objęciach wnuka, w cichej sypialni, która kiedyś była ich wspólna.

* * *

– Jeśli jesteś zajęty, to znaczy, że zarabiasz pieniądze. A kiedy nic nie robisz? Wtedy zaczynasz je tracić – powiedziała ciocia Fu, ruchem głowy wskazując męża.

Wujek Feng leżał na plecach pod kocami i drzemał, udając, że ogląda program o zdrowiu w ryczącym na cały regulator telewizorze. Ciocia wyłączyła swój odbiornik, kiedy przyszedłem.

Był środek zimy. Przyjechałem na rowerze, podziwiając po drodze architektoniczną panoramę miasta, której nie przesłaniały nagie, kruche gałęzie platanów. Za długim szeregiem niskich, przeładowanych ozdobami willi zbudowanych sto lat temu przez Europejczyków wznosiła się

niebosiężna ściana drapaczy chmur ze stali i szkła, dobudowana przez Chińczyków. Biorąc pod uwagę gorączkę budowlaną ostatniego dziesięciolecia, chyba nikt w Szanghaju nie mógł narzekać na brak roboty.

A zwłaszcza ciocia Fu. Gdy rok Konia zbliżał się do końca, zrobiłem bilans jej portfela inwestycji: piramida finansowa z wkładek higienicznych na potencję, firma z Wenzhou sprzedająca sztabki złota, spółka określająca się jako „największa w Chinach platforma obrotu antykami", producent leczniczej herbatki z liści krzewu o nazwie szakłak morski, firma hodująca grzyby, która zafundowała cioci Fu wycieczkę na swoją plantację, i, oczywiście, Gatewang, gigant wirtualnej sprzedaży.

Żadne z tych przedsięwzięć nie rokowało zbyt dobrze na przyszłość. Lokalny sąd uznał hodowlę grzybów za przekręt i posłał pracowników firmy do więzienia. Gatewang był przedmiotem dyskusji na kilku forach internetowych; przeważały opinie, że to też wielka ściema. A tylko te dwa biznesy zdążyłem dokładnie sprawdzić.

W sumie ciocia Fu utopiła w obiecujących szybki zysk inwestycjach równowartość pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Niemal całe oszczędności swojego życia.

Rodzinne inwestycje w nieruchomości też były fatalnie nietrafione. Od powrotu z Xinjiangu w 1993 roku, po narodzinach pierworodnego syna, małżonkowie nabyli pięć nieruchomości. Dwie z nich zostały wyburzone w związku z rewitalizacją miasta, jedną władze uznały za samowolkę, kolejną wujek Feng sprzedał, by kupić mieszkanie swojej kochance, a ostatnią stanowiła obskurna kawalerka na parterze przy ulicy Wiecznej Szczęśliwości, w której się obecnie gnieździli. Dwa z tych lokali były przedmiotem sporów, które ciocia Fu od lat wiodła w sądzie, między innymi z własnym mężem. Żadna z tych spraw, jak dotąd, nie doczekała się rozstrzygnięcia.

Jak to możliwe, że zmarnowali w ten sposób dorobek całego życia? Razem z ciocią Fu roztrząsałem tę kwestię przy herbatce z szakłaku morskiego. Ciocia nie mogła się powstrzymać od zachwalania jej zalet.

– Jest dobra na serce! – wybuchała od czasu do czasu. – Kup karton, żeby sprzedawać znajomym!

Spojrzałem na śpiącego pod kocem wujka Fenga i nagle zapragnąłem zwinąć się obok niego w pozycji embrionalnej. Na pozór tych dwoje wiodło proste życie – małe mieszkanie, skromne dochody, coniedzielne wizyty dzieci i wnuków – ale pod powierzchnią aż wrzało od kłamstw, bolesnych uraz i chciwości.

Wujek Feng chrapał. Dopiliśmy herbatkę. Ciocia Fu ostrożnie zabrała mężowi pilota i ściszyła telewizor. Ze stojącego w rogu pudła ostrożnie wyjęła album z fotografiami. Gdy go wycierała z kurzu pojedynczym kwadracikiem papieru toaletowego, jej sylwetkę podświetlił blask z telewizora. Założyła okulary i usiadła obok mnie przy stole.

– Poprzednim razem powiedziałeś, że chciałbyś obejrzeć nasze stare zdjęcia z Xinjiangu – przypomniała, przesuwając album w moją stronę.

Na obciągniętej białym jedwabiem okładce widniał obrazek mamy pandy, która razem ze swoim młodym zajada pędy bambusa. Fotografie w albumie obejmowały okres kilkudziesięciu lat. Powoli przerzucając strony, znalazłem najstarsze zdjęcie cioci i wujka, czarno-biały portret dwudziestoparolatków, wykonany w 1971 roku, niedługo po ich ślubie. Wujek miał założony na bakier kaszkiet; rozchełstana koszula w poziome pasy odsłaniała szeroką klatkę piersiową, pociemniałą od pracy na świeżym powietrzu. Miał białe, idealnie równe zęby. Był przystojny, emanował pewnością siebie i uśmiechał się całą twarzą, bez śladu cynizmu, który obecnie był główną cechą jego osobowości.

Ciocia Fu stała przed mężem i opierała głowę na jego ramieniu. Jej smagłą twarz rozjaśniał szeroki, radosny uśmiech. Wyglądali na zakochanych i szczęśliwych.

Tło zrobionej w studio fotografii przedstawiało sosnowy las na brzegu górskiego jeziora, w którym odbijały się ośnieżone szczyty.

– To prawdziwe miejsce w Xinjiangu – powiedziała ciocia Fu. Dotknęła tła, ignorując radosne twarze swoją i męża. – Niedaleko od niego mieszkaliśmy. – Uśmiechnęła się i postukała palcem w zdjęcie. – Kiedy Gatewang wejdzie na giełdę i zarobię majątek, kupię tam sobie dom.

To było jej marzenie: powrót na dzikie pogranicze, gdzie nic nie krępuje biegu rzek, a w krystalicznie czystych jeziorach przeglądają się szczyty gór;

gdzie wszystko jest piękne i proste.

Jednak musiała uzbroić się w cierpliwość. Jej akcje Gatewangu nadal nie miały żadnej wartości i nie zanosiło się na to, by firma weszła na giełdę. Kiedy ją odwiedzałem, zawsze pytałem o Gatewang.

– Jeszcze nie – odpowiadała z lekkim rozczarowaniem w głosie, ale po chwili jej twarz się rozjaśniała. – Poczekaj do przyszłego miesiąca!

To zdanie słyszałem w tym roku już jedenaście razy.

Wreszcie, na wiosnę, nadszedł *ten dzień*.

– Gatewang jest na giełdzie w Londynie – oznajmiła mi ciocia Fu. – Niedługo będę bogata.

W pośpiechu udałem się do biura, by sprawdzić tę informację, niestety okazała się fałszywa. Generalny dyrektor Gatewangu Zhu Jun nabył udziały w zarejestrowanej w Londynie firmie o podobnie brzmiącej nazwie, GATE Ventures. Była to spółka nominalna, od niedawna notowana na Alternatywnym Rynku Inwestycyjnym londyńskiej giełdy, gdzie obowiązywały mniej surowe wymagania niż na parkiecie głównym.

Skrócona nazwa emitenta brzmiała GATE, co było bardzo na rękę panu Zhu. W marcu 2015 roku poinformował inwestorów, że Gatewang zadebiutował na giełdzie. Kiedy go zapytali o *ticker*, podał im skrót „GATE", odnoszący się do zupełnie innej spółki nominalnej o podobnej nazwie.

„Wyjątkowo cwany przekręt!" – podsumował ten manewr na swoim blogu pewien obserwator rynku inwestycji.

Na szczęcie Gatewang nie był jedyną przepustką cioci do Xinjiangu. Mieszkała tam jej siostra i ciocia mogła zatrzymać się u niej, dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś lokum na starość. Siedząc z albumem w rękach w pogrążonym w półmroku mieszkaniu, zerknąłem na wujka. Spał jak kamień.

– Razem się tam przeprowadzicie? – spytałem.

– Nie – odparła, nie zniżając nawet głosu. – Wyjadę sama. I więcej moja noga tu nie postanie.

Wróciliśmy do oglądania zdjęć. Ostatnie pochodziło z początku lat osiemdziesiątych XX wieku. Mieli już wtedy troje dzieci. Najmłodszy syn, na oko czteroletni, siedział na kolanach mamy. Dziewczynka i starszy chłopiec,

któremu zostało jeszcze mniej więcej osiem lat życia, stali za plecami rodziców.

Przyjrzałem się uważnie pierworodnemu. Był wysoki i przypominał ojca. Położył dłoń na jego ramieniu. Wujek Feng miał na sobie wojskowy mundur i ciemnozieloną czapkę z czerwoną gwiazdą. Troje dzieci z kamiennymi twarzami patrzyło w obiektyw. Wujek Feng wyglądał na rozgniewanego, jakby przed chwilą nakrzyczał na swoje potomstwo. Tło przedstawiało inny wysokogórski pejzaż, tym razem kwiecistą łąkę u podnóża ośnieżonych szczytów.

Jedyną osobą, która się uśmiechała, była ciocia Fu.

W lipcu w branży florystycznej panował zastój. Nie odbywały się oficjalne imprezy, większość ślubów zawierano w suchszych miesiącach wiosny i jesieni i nie było wtedy ani jednego chińskiego święta.

Pewnej soboty w lipcu 2014 roku jechałem na rowerze ulicą Wiecznej Szczęśliwości do kwiaciarni Zhao. Nawierzchnia nie wyschła jeszcze po burzy, która rozszalała się w południe. Słońce dopiero przed chwilą wynurzyło się zza chmur. Zwolniłem przy I Piętrze Twojej Kanapce i kątem oka dostrzegłem przez szybę sylwetkę CK, serwującego gościom włoskie makarony. Chwilę później minąłem zamknięte na głucho okno kuchni wujka Fenga, który zawiesił smażenie congyoubing na okres lata. Kiedy dotarłem do rogu, Zhao i jej synowa Zhang Min siedziały na wiklinowych krzesełkach w cieniu platanów przed wejściem do sklepu. W środku dwuletni Shuoshuo urządzał wyścigi samochodzików.

– Jesteś! – Na mój widok Zhao wypuściła z ręki wachlarz. – Jedz!

Wbiła rzeźnicki nóż w opasły arbuz. Wziąłem sobie krzesełko i usiadłem między kobietami. Zhao podała mi kawałek arbuza. Słońce stało wysoko na niebie, temperatura dochodziła do trzydziestu trzech stopni Celsjusza. W zielonych koronach platanów wykluły się pierwsze tego roku cykady. Ich mechaniczna, zgrzytliwa pieśń narastała i opadała w naturalnej harmonii z powiewami wiatru. Siedzieliśmy pod drzewami i jedliśmy, w milczeniu obserwując strumień samochodów. Zatrzymywały się na światłach, by po chwili ruszyć znowu: powolny, miarowy puls miasta.

Lipiec był moim ulubionym miesiącem w Szanghaju. Szkoły miały wakacje i większość obcokrajowców z dawnej koncesji francuskiej wróciła na lato do domów w Stanach Zjednoczonych, Europie, Australii i innych krajach. Opustoszała dzielnica była oazą spokoju.

Wkrótce rozpocznie się na dobre okres tajfunów, a wiatry, które przez większą część roku nawiewają zanieczyszczenia z północy i zachodu, stopniowo zmienią kierunek i zaczną przynosić czyste powietrze znad Morza Wschodniochińskiego.

Dla Zhao lipiec był miesiącem odpoczynku i rozmyślań. Gdy siedziała na krzesełku pod soczyście zielonym baldachimem platanów, jej myśli naturalną koleją rzeczy krążyły wokół niezałatwionych spraw.

– W Nowy Rok Duży Sun skończy dwadzieścia dziewięć lat! Jest za stary! – jęknęła, rzucając na chodnik skórkę arbuza. – Znalazłam mu dwie nowe dziewczyny w Zaozhuang. Jedna ma dwadzieścia cztery lata, urodziła się w roku Konia. Druga jest starsza, ma już trzydziestkę! Za to jest wykształcona. Skończyła inżynierię.

Wyjęła z kieszeni telefon i pokazała mi zdjęcie młodszej kandydatki na synową, która patrzyła w obiektyw z ustami ułożonymi w zalotny dzióbek.

– Od razu powiedział, że nie jest nią zainteresowany – westchnęła.

Ale były też dobre wiadomości. Duży Sun rzucił fryzjerstwo i znalazł pracę w Szanghaju. Sprzedawał kontrakty terminowe futures. Dostał posadę w firmie, która w imieniu chińskich inwestorów obracała akcjami na giełdzie w Nowym Jorku. Nie dostawał pensji, zarabiał tylko na prowizji i musiał znowu zamieszkać z matką, ale Zhao i tak była zadowolona. Zintensyfikowała swoją kampanię randek w ciemno, a poza tym wreszcie mogła odpocząć od poczucia winy, które nie opuszczało jej od dnia, gdy starszy syn musiał wrócić do rodzinnego miasta, żeby podjąć naukę w tamtejszym liceum.

Duży Sun zawsze był głodny wiedzy, lecz z powodu słabych wyników w szkole przez lata wykonywał proste zawody niezaspokajające jego potrzeb intelektualnych. Dzięki temu miał jednak sporo wolnego czasu, który wykorzystał na naukę. Interesowały go strategie inwestycyjne i w ciągu ostatnich dwóch lat spędził wiele godzin, siedząc w wolnym fotelu

fryzjerskim i czytając książki na ten temat. Zhao wierzyła, że wreszcie znalazł ścieżkę kariery, która pozwoli mu w pełni wykorzystać potencjał. A co najważniejsze, znów był razem z mamą w Szanghaju.

Kiedy jeden syn wrócił, drugi szykował się do wyjazdu. Mały Sun i jego żona stanęli w obliczu tej samej decyzji, którą dwadzieścia lat wcześniej musiała podjąć Zhao: jak zaplanować edukację syna? Przyszłość Shuoshuo była nierozerwalnie związana z rodzinnym miastem matki i ojca. Czy mieli zapisać go do przedszkola w Szanghaju, gdzie będzie dzieckiem migrantów wśród rodowitych szanghajczyków, czy lepiej odesłać go do Zaozhuang, gdzie rodzina miała *hukou* i gdzie będzie mógł kontynuować naukę w gimnazjum i liceum?

– Chodzi nie tylko o naukę – powiedziała Zhao, nie przestając się wachlować. – Ważne jest też środowisko.

– Kiedy nie masz wystarczająco dużo pieniędzy, nic nie jest łatwe – westchnęła Zhang. – Ojcowie innych dzieci są inżynierami albo menedżerami. Wczoraj w parku ktoś go zapytał, co robi jego tata. Odparł, że nie wie, i przyszedł z tym do mnie. Wyjaśniłam mu, że pracuje w kuchni. Więc wrócił do tamtego dzieciaka i powiedział: „Och, mój tata pracuje w kuchni".

Zhao pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Kiedy Duży Sun chodził tutaj do szkoły, koledzy w klasie nazywali go kmiotkiem. Nie chcę, żeby mojego wnuka spotkało to samo. Jeśli nie pochodzisz z Szanghaju – dodała – to nieważne, jak dobrze się uczysz, i tak nic ci to nie da. Nauczyciele nie będą w ciebie inwestować.

To miało wiele przyczyn. Migranci nie należeli do tej samej sfery towarzyskiej co nauczyciele i rodzice dzieci z Szanghaju, nie mówili tym samym dialektem i zwykle mniej angażowali się w naukę potomstwa niż rodowici szanghajczycy.

Zhao była przekonana, że w Zaozhuang nauczyciele lepiej zadbają o rozwój jej wnuka. To była kwestia dumy.

– Powiedzą: „To nasz talent z Shandongu". W Szanghaju nie będą zawracali sobie nim głowy. Dla nich jesteśmy tylko *waidiren*, ludźmi z zewnątrz.

Zhao od lat zmagała się z dyskryminacją. Była dobrą sąsiadką, zawsze kupowała owoce i przekąski dla właścicieli sąsiednich sklepików. Kiedy musieli pójść coś załatwić, opiekowała się ich dziećmi. Sąsiedzi, w większości też imigranci, nie pozostawali jej dłużni. Kiedy złamała nogę, pomagał jej cały kwartał. Ale rodowitym szanghajczykom brakowało takiego poczucia wspólnoty.

– Miejscowi nas nie lubią – powiedziała Zhao. – Kiedy zarabiamy więcej pieniędzy od nich, zazdroszczą nam, a kiedy nie, uważają nas za nędzarzy i złodziei. Prawda jest taka, że szanghajczycy są leniwi. Nie lubią przełykać goryczy.

– W Zaozhuang nikt go przynajmniej nie nazwie kmiotkiem – zauważyła Zhang.

Obie zachichotały.

– Przestań być taki uprzejmy! Weź sobie jeszcze arbuza! – ofuknęła mnie Zhao.

Siedzieliśmy we troje, jedząc i dzieląc się spostrzeżeniami na temat tubylców.

Mały Sun i jego żona zamierzali wysłać Shuoshuo do miasta, z którego pochodzili. Tyle było dla mnie jasne. Ale czy sami też tam wrócą? Mały Sun pracował jako szef kuchni w greckiej restauracji, zarabiając dwa razy tyle, ile zarobiłby w domu. Jego żona Zhang była teraz menedżerką francuskiej knajpki z jeszcze wyższą pensją niż mąż. Zastanawiali się, czy nie powierzyć opieki nad małym matce Zhang, ale kobieta była prawie niepiśmienna i nie mogłaby pomagać mu w lekcjach. Jedno z nich będzie musiało zrezygnować z pracy i wrócić do domu razem z synkiem.

– Pewnie to będę ja – z rezygnacją w głosie stwierdziła Zhang. – Wszędzie dam sobie radę. Jestem jak karaluch.

Po raz kolejny pomyślałem, jak bardzo przypomina mi Zhao: była prostolinijna, silna i szybko się uczyła. Nie dorównywała teściowej swobodą obycia, ale miała dopiero dwadzieścia sześć lat i mnóstwo czasu na doskonalenie komunikacji z klientami. Wyobraziłem sobie, jak otwiera własną kwiaciarnię lub restaurację w odległym o tysiąc dwieście kilometrów Zaozhuang.

Jeśli chodzi o jej męża, rzeczywiście chyba lepiej będzie, jak pozostanie przy tym, co potrafi: przyrządzaniu dla szanghajczyków greckich potraw.

– W naszym rodzinnym mieście mężczyźni mają albo kwalifikacje zawodowe, albo tężyznę fizyczną – wyjaśniła Zhang. – Mój mąż nie ma ani jednego, ani drugiego.

Zhao parsknęła śmiechem i pestkami arbuza. Spędzały tyle czasu razem, narzekając na swoich beznadziejnych mężów, że dawno przestała stawać w obronie syna.

– Gdyby był silny, mógłby pracować na budowie. Ale nie jest – mówiła dalej Zhang. – Gdyby potrafił kłaść kafelki, zarobiłby więcej niż teraz, ale on niczego nie umie.

– To nieprawda! – zakpiła Zhao. – Mój syn potrafi gotować greckie jedzenie!

Ryknęły śmiechem. Chiny zmieniały się błyskawicznie, to fakt, ale upłynie jeszcze sporo czasu, zanim mieszkańcy takich miejscowości jak Zaozhuang zaczną doceniać spanakopitę.

– Nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji – powiedziała Zhang. – Może Shuoshuo pomieszka przez rok z moją matką i zobaczymy, jak to się sprawdza.

Zhao uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Nie spodziewałam się, że Shuoshuo też będzie opuszczonym dzieckiem – powiedziała, wpatrując się w chodnik. – Tak samo jak jego ojciec. Dwa pokolenia opuszczonych dzieci. *Aiya!*

Jednak coś w jej spojrzeniu mówiło, iż wie, że to nieprawda. Shuoshuo nie utknie w zapyziałym ośrodku górniczym jak jego tata. Wprowadzi się do kupionego przez babcię przestronnego mieszkania z drewnianymi podłogami na siedemnastym piętrze eleganckiego bloku na przedmieściu, zamieszkanego przez klasę średnią. Nie trafi z powodu błędnej diagnozy do szkoły specjalnej. Będzie chodził do przedszkola przecznicę od domu. Dwunastogodzinna podróż z Szanghaju do Zaozhuang nocnym autobusem zmieniła się w trzygodzinną przejażdżkę pociągiem dużych prędkości. W ciągu zaledwie dwudziestu lat Chiny zmieniły się nie do poznania.

– Jak tu będzie za kolejne dwadzieścia lat? – zastanawiała się na głos Zhao. Może przestanie wreszcie obowiązywać system *hukou*.

Dmuchnął odświeżający wschodni wiatr. Zaszeleścił zielonymi liśćmi platanów i na jezdni zatańczyły plamki słońca, błysnęły rozrzucone po chodniku skórki arbuza. Shuoshuo wybiegł ze sklepu z rozłożonymi szeroko ramionami, imitując dźwięk silnika. Warcząc „brrrum, brrrum, brrrum", pognał chodnikiem, skręcił ostro w stronę krawężnika i zeskoczył na jezdnię, schodząc z drogi przechodniom. Ciągle tak robił, nie mogłem na to patrzeć, ale babcia i matka zupełnie się tym nie przejmowały. Shuoshuo wychowywał się na tym odcinku ulicy i umiał na siebie uważać. Gdy nadjeżdżał samochód albo skuter, błyskawicznie wskakiwał na chodnik, o włos unikając śmierci.

Przestałem obserwować chłopca i spostrzegłem, że Zhao i Zhang zamknęły oczy. Odchyliły do tyłu głowy, wystawiając twarze na pieszczotę wiatru, i wsłuchiwały się w monotonny szelest liści. Przy silnym wietrze jednostajny, uporczywy szum platanów przywoływał na myśl bystrza na rzece. Po chwili podmuchy osłabły i znów słychać było granie cykad. Shuoshuo zawarczał głośniej i klapnął na kolana babci, budząc ją z transu i o mało nie przewracając na ziemię.

Uśmiechając się znacząco, spojrzał w jej twarz. Odwzajemniła jego uśmiech, podniosła chłopca i posadziła sobie na ramionach. Trzymając wnuczka na barana, pobiegła ulicą Wiecznej Szczęśliwości. Mały piszczał z radości. Rozłożył ramiona jak skrzydła i krzyczał:

– Leć, babciu, leć!

I Zhao leciała.

Podziękowania

Chcę wyrazić wdzięczność przyjaciołom i sąsiadom z Changle lu, którzy pozwolili mi przez sześć lat uczestniczyć w swoim życiu. Ofiarowali mi swoje zaufanie, czas i cierpliwość – bez nich nie byłoby tej książki. Naprzeciw mojego domu, po drugiej stronie ulicy, Chen Kai dzielił się ze mną swoimi marzeniami przy niezliczonych filiżankach kawy. Kilka przecznic dalej ciocia Fu i wujek Feng częstowali mnie congyoubing i owocami z prowincji Xinjiang. W maleńkiej kwiaciarni przy końcu ulicy Zhao Shiling, Sun Hua, Sun Wei, Zhang Min i mały Shuoshuo przyjęli mnie do swojej rodziny.

W Maggie Lane Kang Chenggang, Chen Zhongdao i Xie Guozhen, ryzykując własne bezpieczeństwo, wtajemniczyli mnie w burzliwą historię tego osiedla. Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Xie, która odeszła dwa lata po stracie swojego domu.

Xi Guozhen i jej syn Zhu Weiqi uświadomili mi, jak wiele znaczą w dzisiejszych Chinach hart ducha i wytrwałość. Dziękuję im, że powierzyli mi swoje bardzo osobiste wspomnienia. Jestem wdzięczny Wei Xiezhongowi i Harry’emu Wu, którzy przybliżyli mi codzienne życie w chińskich obozach pracy. We Flushing Wang Xuesong skrupulatnie wypełnił dla mnie luki w korespondencji swoich rodziców i opowiedział mi o swoich nadziejach i ambicjach w przybranej ojczyźnie.

Wśród osób, z którymi się zaprzyjaźniłem i których zwierzeń słuchałem na ulicy Wiecznej Szczęśliwości, byli także: Zhang Naisun, Henry Shen, Tom Doctoroff, Wang Cailiang, Chu Hongsheng, Zhu Zhongling, Gong Yao, Xu Yuan, Li Zixing, Liu Xun, Qiu Huanxi, Chen Yiyi, Tu Dongxiu i Cang Long.

Często nawiedzała mnie myśl, że im dłużej mieszkam w Chinach, tym mniej wiem o tym kraju. Pozostaję dłużnikiem utalentowanej dziennikarki i badaczki Yifan Xie; pomogła mi w tłumaczeniu wywiadów, listów i świadectw historycznych, dzięki którym mogłem wiernie opowiedzieć

historie mieszkańców ulicy Wiecznej Szczęśliwości. Dziękuję jej za dogłębną znajomość lokalnych realiów oraz dar trwałej przyjaźni.

Na początku był cykl audycji dla programu radiowego *Marketplace*. Nie zaistniałby bez wsparcia producentki Deborah Clark, która zachęcała mnie do opowiedzenia tych historii, a następnie wspaniałomyślnie udzieliła mi urlopu na napisanie książki. Dziękuję także Jonowi McTaggartowi, Davidowi Kansasowi, Dougowi Roderickowi, Mitzi Gramling i pozostałym członkom wspaniałej ekipy American Public Media za pomoc przy realizacji projektu.

Szefowi działu zagranicznego Johnowi Buckleyowi dziękuję za błyskotliwe wskazówki i życzliwy nadzór nad moją pracą. Podziękowania należą się również Johnowi Haasowi, który wsparł mnie swoim talentem redaktorskim. Dziękuję J J Yore'owi i George'owi Judsonowi za jedną z najlepszych posad w *Marketplace* oraz Tinie Admans za wsparcie logistyczne. Wiele zawdzięczam wskazówkom i radom byłych i obecnych kolegów z redakcji radiowej. To prawdziwy zaszczyt pracować z tak zaangażowanym zespołem profesjonalistów. Na szczególną wzmiankę zasłużyli Kai Ryssdal, Sitara Nieves, David Brancaccio, Nicole Childers, Mark Miller, Scott Tong i Nancy Farghalli.

Od początku mojej kariery dziennikarskiej miałem szczęście korzystać z rad i wskazówek weteranów zawodu, które pomagały mi doskonalić warsztat reporterski i pisarski. Na Uniwersytecie Columbia, na którym studiowałem dziennikarstwo, moimi mentorami byli wspaniali Ari Goldman, Rhoda Lipton i Julie Hartenstein. W Minnesota Public Radio Katherine Smith, Euan Kerr, Gary Eichten i Sara Meyer cierpliwie wprowadzali mnie w tajniki dziennikarstwa radiowego. W KPCC miałem przyjemność pracować pod kierownictwem takich talentów jak Paul Glickman, Nick Roman i Bill Davis. W KQED szlifowałem umiejętności pod fachowym okiem Ingrid Becker, Scotta Shafera, Kat Snow, Craiga Millera i Victorii Mauleon, a dzięki dwóm znakomitym redaktorkom Alisie Barbie i Kate Concannon z NPR mój głos stał się słyszalny w całym kraju.

Dziękuję Michaelowi Meyerowi za wnikliwą lekturę manuskryptu i uwagi, które ułatwiły mi przezwyciężenie początkowych trudności. Peter Hessler, mój kolega z Korpusu Pokoju, uprzejmie zgodził się zredagować

wstępną wersję tekstu. Jego wiele wnoszące i często zabawne komentarze pomogły mi poprawić konstrukcję całości. Szczególne podziękowania należą się także Leslie T. Chang, której mądre i precyzyjne uwagi przyczyniły się do ulepszenia pierwotnego pomysłu, oraz Alane Mason, która namówiła mnie, bym zwrócił się z tekstem do wydawcy. Jeffrey Wasserstrom poświęcił swój czas, by wprowadzić mnie w historyczny kontekst. Jestem mu za to ogromnie wdzięczny. Dziękuję Jamesowi McGregorowi i Johnowi Ruwitchowi za dogłębną lekturę manuskryptu.

Przez lata korzystałem z przyjaźni i pomocy wielu osób, które zawodowo zajmują się Chinami, w tym Stana Abramsa, Jamesa T. Areddy'ego, Davida Barbozy, Hannah Beech, Mary Bergstrom, Tani Branigan, Jonathana Browninga, Mike'a Chinoya, Patricka Chovaneca, Margaret Conley, Geoffreya Crothalla, Maury Cunningham, Billa Dodsona, Claytona Dube'a, Michaela Dunne'a, Deborah Fallows, Jamesa Fallowsa, Russella Flannery'ego, Paula Frencha, Jeremy'ego Friedleina, Josha Gartnera, Roba Gifforda, Dru Gladneya, Jeremy'ego Goldkorna, Alexandry Harney, Williama Hessa, Duncana Hewitta, Arthura Kroebera, Kaisera Kuo, Franka Langfitta, Brooka Larmera, Louisy Lim, Jen Lin-Liu, Ma Tianjiego, Adama Mintera, Malcolma Moore'a, Ching-Ching Ni, Evana Osnosa, Philipa Pana, Michaela Pettisa, Toma Phillipsa, Davida Piersona, Qiu Xiaolonga, Jamesa Rice'a, Andy'ego Rothmana, Simona Rabinovitcha, Craiga Simonsa, Anne Stevenson-Yang, Jasona Sublera, Johna Sudwortha, Pete'a Sweeneya, Sue Anne Tay, Alexa Wanga, Louisa Woo, Andy'ego Xie i Zhu Dake'a.

Dziękuję za wsparcie oraz towarzystwo moim przyjaciołom w Szanghaju i nie tylko: Alyshei Austern, Julianowi Bermudezowi, Kathryn Blouin, Davidowi Boggsowi, Stevenowi Bourne'owi, Brantley Turner-Bradley, Dougowi Bradleyowi, Wendy Bryan, Kitty Bu, Tamy Chapman, Williamowi Chou, Elaine Chow, Seanowi Coady'emu, Danowi Connelly'emu, Grace Lee Connelly, Patrickowi Cranleyowi, Robowi i Heidi Creightonom, Fitzowi De Smetowi, Allison Despard, Arsheyi Devitre, Kenowi i Brendzie Ericksonom, Danowi i Amy Fitzpatrickom, Jerry'emu Flanaganowi, Annie Gai, Jeremy'emu i Karen Gaskillom, Kevinowi Gibbonsowi, Jeanne i Briandowi Greerom, Michelle Garnaut, Mike'owi Goettigowi, Adolfowi Guzmanowi--

Lopezowi, Melanie Ham, Christianowi i Alexandrze Hansmeyerom, Stephenowi Harderowi i York-Chi Harder, Steve’owi Harrisowi i Mercedes Valle-Harris, Julianowi de Hauteclocque Howe’owi, Erichowi Heilemannowi, Rachel Ee-Heilemann, Stephenowi Hennowi, Ellen Himelfarb, Vanessie Hua, Denise Huang, Johnowi i Meg Idekerom, Maile Jedlinsky, Tinie Kanagaratnam, George’owi i Heather Kaye’om, Melissie Lam, Julie Langfitt, Wilde Lau, Codiemu Lazarowi, Johnowi Leary’emu, Jane Lee, Danowi Levine’owi, Dawn MacKeen, Lisie McCallum, Mary McCoy, Adamowi i Sarze Meierom, Ann Meier, Vincentowi Moccii, Maggie Moon, Xavierowi Naville’owi, Daisy Nguyen, Richardowi i Karen Oothoudtom, Caroline Pan, Lucii Pierce, Gregowi Pilarowskiemu, Jennifer Pitman, Johnowi Rabemu, Davidowi Ratnerowi, Dianie Ricciardone, Lysie Saltzman, Sarah Schafer, Clayowi Shirky’emu, Alokowi Somaniemu, Billowi i Elenie Speidelom, Jasonowi Stanardowi, Frankowi Stoltze’owi, Christine Tan, Anh Truong, Lianowi Tsienowi, Michaelowi Tunkeyowi, Brettowi i Rebecce Wallihanom, Marcowi i Sherine Waltonom, Andrew i Molly Watkinsom, Brianowi Wattowi, Adamowi Weissowi, Sethowi Wernerowi, Stefanowi i Devon Whitneyom, Jennifer Wu, Ran Xu, Jiwei Ye, Almaz Zelleke oraz Ami i Hayleyowi Zweigom.

Szczególne podziękowania należą się moim przyjaciołom Richardowi Langone’owi i Leilei Peng, którzy pożyczyli mi pudełko z listami; to one doprowadziły mnie do mieszkającego na drugim końcu świata właściciela. Dziękuję też Wen Cao, która pomogła mi przy ich transkrypcji.

Jestem wdzięczny Domenice Alioto, mojej genialnej redaktorce z Crown, za cierpliwą i uważną lekturę manuskryptu oraz niezwykle pomocne rozmowy przez internet; Claire Potter za codzienną fachową pomoc oraz Sarah Pekdemir i Rebecce Marsh, które zajęły się marketingiem i promocją książki. Dziękuję również Vanessie Mobley za przyjęcie brudnopisu oraz za pomoc i wsparcie, które okazywała mi od samego początku.

Z głębi serca dziękuję mojej agentce Wendy Sherman za wiarę w ten projekt i Jenny Meyer, która strzeże moich praw autorskich za granicą.

Dziękuję, jak zawsze, mojej wspaniałej matce, JoAnn, i oddanemu ojcu, Jimowi. Nauczyli mnie ciężko pracować, kochać to, co robię, i nie ustawać

w poszukiwaniu wiedzy. To właśnie lekcje, które wyniosłem z domu, kazały mi go opuszczać, czasem na długie lata. Rodzice tolerowali moje wojaże, nigdy nie odmawiając mi swojej miłości i wsparcia. Żałuję, że mój ojciec nie zdążył przeczytać tych słów w druku.

Jestem szczęściarzem, mając dwóch braci, Ryana Schmitza i Dana Schmitza, którzy są również moimi najbliższymi przyjaciółmi. Dziękuję im za ich rady i towarzystwo, i za to, że znosili moją nieobecność przez te wszystkie lata. Marzę o dniu, kiedy wreszcie zamieszkam na tym samym kontynencie z nimi, Denise Landeros-Schmitz, Ashley Denholtz-Schmitz oraz moimi bratankami i bratanicami Andre, Bradleyem, Natalie i Scarlett.

Lenorę Chu poznałem i zakochałem się w niej na studiach magisterskich w Nowym Jorku. Podczas pierwszej randki zabawiałem ją historyjkami z mojego wolontariatu w Chinach. Stwierdziła, że chyba zwariowałem, skoro chcę tam wrócić jako dziennikarz. Nie wiedziała wtedy jeszcze, że ją też w to wciągnę. Bezinteresownie odłożyła na później własną karierę zawodową oraz garść marzeń, żebym ja mógł zrealizować swoje. Jest moją najwierniejszą redaktorką i partnerką. Zawdzięczam jej moją drugą rodzinę: Judy i Humberta Chu, Joyce Chu Moore i Kenneya Moore’a, Greyson5a i Coralai. Dziękuję im z całego serca za ich szczodrość i wielkoduszność.

Wyjechaliśmy z Los Angeles do Szanghaju, kiedy nasz syn Rainer miał rok. Parę lat później nasza rodzina powiększyła się o małego Landona.

Jestem bezgranicznie szczęśliwy, że wspólnie przeżywamy tę przygodę.

Miłość, która nas łączy, jest światłem mojego życia. Ta książka jest dla was.

Źródła

Niniejsza książka należy do gatunku literatury faktu. Użyłem prawdziwych nazwisk, z dwoma wyjątkami.

Ze względu na trudną sytuację polityczną w Chińskiej Republice Ludowej na prośbę syna zmieniłem nazwisko rodziny Wang. Również „wujek Feng" i „ciocia Fu" są pseudonimami, które mają chronić prywatność moich bohaterów. Z tych samych powodów nie podaję prawdziwego adresu obu rodzin na ulicy Wiecznej Szczęśliwości.

Pisząc tę książkę, opierałem się przede wszystkim na wywiadach oraz na własnych obserwacjach. Korzystałem również z materiałów pisanych. Niżej wymieniam źródła, które były najbardziej przydatne w pracy nad poszczególnymi rozdziałami. Chińskie tytuły artykułów prasowych zostały przetłumaczone na angielski.

1 CK i system

Na temat platanów londyńskich (klonolistnych) w Szanghaju:

Absorbed by Time, the Phoenix Tree Is the Warmest Characteristic of Shanghai's Scenery, „Jiefang ribao", 6.12.2013

A Grass-Roots Fight to Save a 'Supertree', „The New York Times", 4.06.2011

Maybon Charles B., Jean Fredet, *Histoire de la Concession française de Changhai*, Paris 1929

Na temat historii Szanghaju:

Ling Pan, *In Search of Old Shanghai*, Hong Kong 1986

French Paul, *The Old Shanghai, A–Z*, Hong Kong 2010

Dong Stella, *Shanghai. The Rise and Fall of a Decadent City*, New York 2000

Dziękuję panu Zang Junowi, asystentowi dyrektora wydziału zieleni w biurze planowania przestrzennego urzędu dzielnicy Huangpu, który opowiedział mi o historii i pielęgnacji platanów w Szanghaju.

2 Lepsze miasto, lepsze życie

Na temat propagowania dobrych manier w Chinach i w Stanach Zjednoczonych:

Zuo keaide Shanghai ren, The Shanghai Commission for Cultural and Ethical Progress, 2005

Hartley Cecil B., *The Gentlemen's Book of Etiquette*, Boston 1879

Na temat umacniającej się pozycji Szanghaju i ogólnie Chin na świecie:

Wasserstrom Jeffrey, Maura Cunningham, *China in the 21st Century. What Everyone Needs to Know*, New York 2013
Greenspan Anna, *Shanghai Future. Modernity Remade*, New York 2014

Na temat historii oraz zniszczenia starych dzielnic Szanghaju:
Li Jie, *Shanghai Homes. Palimpsests of Private Life*, New York, 2015
Shao Qin, *Shanghai Gone. Domicide and Defiance in a Chinese Megacity*, New York 2013

Na temat wyburzenia Maggie Lane:
The Shadow of Forced Demolition Re-emerges in Maggie Lane, „The Southern Weekend", 1.04.2011
New Government Policies Fail to Prevent Violent Forced Demolitions, „The Legal Daily", 6.04.2011

Na temat wystawy światowej w Szanghaju i światowych wystaw w Nowym Jorku:
Expo Offers Shanghai a Turn in the Spotlight, „The New York Times", 29.04.2010
Caro Robert A., *The Power Broker*, New York 1975

3 Głośno i gorąco

Na temat obliczania PKB Chin:
Fifth Generation Star Li Keqiang Discusses Domestic Challenges, Trade Relations with Ambassador, WikiLeaks, 15.03.2007

Na temat opuszczonych dzieci:
China's 'Left-Behind Children', „The New York Times", 1.06.2012
China Struggles with Mental Health Problems of 'Left-Behind' Children, „The Guardian", 30.08.2014
Left-Behind Children of China's Migrant Workers Bear Grown-up Burdens, „The Wall Street Journal", 14.01.2014
China Raises a Generation of 'Left-Behind' Children, CNN, 5.02.2014

Na temat *hukou*, chińskiego systemu meldunkowego:
Chan Kam Wing, *The Chinese Hukou System at 50*, „Eurasian Geography and Economics" 2009, no. 50
A Road Map for Reforming China's Hukou *System*, „Chinadialogue", 22.10.2013
The Limitations of China's Hukou *Reforms*, „Business Spectator", 1.08.2014
China 'Hukou' *System Deemed Outdated as Way of Controlling Access to Services*, „The Washington Post", 15.08.2010
China's Hukou *Reform Plan Starts to Take Shape*, „The Wall Street Journal", 4.08.2014

Dziękuję profesorowi Kam Wing Chanowi za pouczające rozmowy na temat *hukou* i Benjaminowi Schwallowi, który opowiedział mi o sytuacji w chińskich fabrykach w latach dziewięćdziesiątych XX wieku.

4 Reedukacja

Na temat założycielki hotelu Jinjiang Dong Zhujun:

Lee Lily Xiao Hong, A.D. Stefanowska, *Biographical Dictionary of Chinese Women*, London 2002

Na temat szanghajskiej młodzieży zagospodarowującej prowincję Xinjiang w latach sześćdziesiątych XX wieku:

Go to the Countryside! Go to the Remote Frontiers! Devote Your Life to Revolution – Warm Farewell to Shanghai Youth Participating in the Construction of Xinjiang, „Wenhui Daily", 20.06.1965

First Batch of Shanghai Youth Embark on Trip to Xinjiang – Devoting Youth to the Construction of the Country's Remote Frontiers, „Wenhui Daily", 20.06.1965

Listen to the Party and Work for Revolution in the Countryside and Remote Frontiers – Mobilizing 10,000 Youth from Shanghai to Go to the Countryside and Join the Construction of Remote Areas; Comrade Yang Xiguang on Behalf of Shanghai Municipal Government Committee Wished Youth Can Thrive in the Revolutionary Struggles, „Jiefang Daily", 26.05.1965

50,000 Shanghai Youth Display Dedication to the Full Construction of Xinjiang – Two Years' Labor Cultivated Massive Pieces of Wasteland, and Resulted in the Emergence of Large Amount of 'Five-Good' Workers and Skilled Production Workers, „Jiefang Daily", 26.05.1965

Four Letters Penned by Shanghai Youth from the Farms in Xinjiang, „Jiefang Daily", 26.05.1965

Alongside Old Soldiers – Shanghai Youth Active in Tianshan, „Jiefang Daily", 7.12.1963

Shanghai Youth's 'Flower Farm' in Xinjiang, „Jiefang Daily", 22.08.1961

Passing on Advanced Technology and Advanced Thoughts – Shanghai's Skilled Textile Workers Teach Advanced Experience in Xinjiang, „Worker's Daily", 19.12.1964

The Shanghai Youth I Saw in Xinjiang, „Wenhui Daily", 16.04.1964

Joining the Construction of China's Remote Frontiers Is a Bright Future for Sons and Daughters – A Summary of the Speech Given by Hu Juewen at a Seminar on Shanghai's Industry and Commercial Sector's Support of Xinjiang's Construction, „Shanghai Industry and Commerce Journal" 1963, no. 8

Where Lives Were Changed, „Global Times", 13.10.2013

China's Minorities on the Move. Selected Case Studies, eds. Robyn Iredale, Naran Bilik, Guo Fei, New York–London 2003

Survey of Shanghai Youths in Xinjiang, „China Daily", 11.11.1986
Xiaomeng Liu, Ding Yizhuang, *The History of Chinese Sent-Down Youth*, Beijing 1998

Na temat religii w Chinach polecam lekturę reporterskiej książki Iana Johnsona, *Wild Grass. Three Stories of Changes in Modern China*, New York 2005

Na temat Kościołów domowych i rosnącej popularności chrześcijaństwa w Chinach:
How China Plans to Wipe Out House Churches, „Christianity Today", February 2013
China's Way to Happiness, „The New York Review of Books", 4.02.2014
Wenzel-Teuber Katharina, David Streit, *People's Republic of China. Religions and Churches Statistical Overview 2011*, „Religions and Christianity in Today's China" 2012, vol. 2, no. 3
Global Christianity. A Report on the Size and Distribution of the World's Christian Population, raport Pew Research Center, 19.12.2011
Christians in Wenzhou Fight to Keep Church's Cross, „The New York Times", 7.07.2014
China's Christians Fear New Persecution After Latest Wave of Church Demolitions, „The Guardian", 5.07.2014
Lian Xi, *Redeemed by Fire. The Rise of Popular Christianity in Modern China*, New Haven 2010

Niewiele książek poświęconych rewolucji kulturalnej dorównuje wnikliwością i szerokim ujęciem tematu epokowemu dziełu Rodericka MacFarquharsa i Michaela Schoenhalsa, *Mao's Last Revolution*, Cambridge, Mass. 2008.

5 Pudełko z listami

Na temat wczesnych lat rządów Mao:
Spence Jonathan D., *The Search for Modern China*, 3rd ed., New York 2012
Fairbank John King, Merle Goldman, *China. A New History*, Cambridge, Mass. 2006

Na temat walki z elementami prawicowymi i jej wpływu na sytuację w Szanghaju:
Teiwes Frederick C., *Politics and Purges in China. Rectification and the Decline of Party Norms*, London 1993
Provincial Strategies of Economic Reform in Post-Mao China, eds. Peter T. Y. Cheung, Jae Ho Chung, Lin Zhimin, London 1998
The Issue of Taking Sides for Middle-ground Capitalist Intellectuals, „The Shanghai News Daily", 6.12.1957
Anti-Rightist Movement Among Commerce and Industry Sectors Proves to Be a Sweeping Victory. Over 200 Rightists Uncovered, „The Shanghai News Daily", 9.12.1957

Rightist Intellectuals from the Commerce and Industry Sectors Gradually Reveal True Colors, „The Shanghai News Daily", 11.12.1957
Obliterating Great Achievements in the Construction of Socialism. Wei Zongqi Willfully Spread Rumors and Smeared Others, „The Shanghai News Daily", 11.12.1957
The Grand Victory of the Anti-Rightist Struggle Among the Political Schools for Commerce and Industry, „The Shanghai News Daily", 12.12.1957

Na temat wielkiego głodu, do którego doprowadziła kampania Wielkiego Skoku Naprzód:
Jisheng Yang, *Tombstone. The Great Chinese Famine*, New York 2012
Dikotter Frank, *Wielki głód. Tragiczne skutki polityki Mao 1958–1962*, przeł. Barbara Gadomska, Wołowiec 2013

Na temat życia w chińskich obozach pracy w czasach Mao Zedonga:
Xianhui Yang, *Woman from Shanghai. Tales of Survival from a Chinese Labor Camp*, New York 2010
Wu Harry, Carolyn Wakeman, *Bitter Winds. A Memoir of My Years in China's Gulag*, New York 1995

O głównych elementach Chińskiego Snu Xi Jinpinga:
Chinese Dream Is Xi's Vision, „China Daily", 18.03.2013

6 Plan szybkiego wzbogacenia się cioci Fu

Na temat nielegalnych kredytów w Wenzhou:
Mallee Hein, Frank N. Pieke, *Internal and International Migration. Chinese Perspectives*, London 1999
Shadow Banks on Trial as China's Rich Sister Faces Death, Bloomberg, 11.04.2012
Underground Lender Gets Death Sentence in China, The Associated Press, 20.05.2013

O księżycowej misji łazika Nefrytowy Zając:
China Launches Lunar Probe Carrying 'Jade Rabbit' Buggy, Reuters, 1.12.2013

7 Ile kosztuje narzeczona

Na temat cen za żonę w różnych częściach Chin:
Forget Dowries. Chinese Men Have to Pay up to $24,000 to Get a Bride, „Quartz", 9.06.2013

Działalność prezydenta Xi Jinpinga omówiona została w znakomitych tekstach Evana Osnosa, Michaela Forsythe'a i Chrisa Buckleya, wyszczególnionych poniżej:
Born Red, „The New Yorker", 6.04.2015

Xi Jinping Millionaire Relations Reveal Fortunes of Elite, Bloomberg, 29.06.2012
Cultural Revolution Shaped Xi Jinping, from Schoolboy to Survivor, „The New York Times", 24.09.2015
Portrait of Vice-President Xi Jinping, WikiLeaks, 16.11.2009

9 Zawłaszczone marzenia

Na temat uroczystości zamknięcia wystawy światowej w Szanghaju:
China Holds Closing Ceremony for Shanghai Expo, Xinhua, 31.10.2010

Na temat chińskiej reformy gospodarowania gruntami w miastach:
Land Reform Efforts in China, „China Business Review", 1.10.2012
Interim Regulations of the People's Republic of China Concerning the Assignment and Transfer of the Right to the Use of the State-Owned Land in the Urban Areas, State Council of the People's Republic of China, 19.05.1990
Property Rights Law of the People's Republic of China, National People's Congress, 1 października 2007
China's Next Revolution, „The Economist", 8.03.2007
Annual Statistical Yearbook 2004–2014, Shanghai Bureau of Statistics, 2014

Na temat Chińskiego Snu Xi Jinpinga:
Chinese Dreams, TheChinaStory.org, marzec 2013

Dziękuję Chen Zhongdao za udostępnienie mi kilkudziesięciu raportów policyjnych i dokumentów sądowych dotyczących zdarzeń w Maggie Lane w okresie od 2001 do 2013 roku.

10 Ucieczka

Na temat rewolucji kulturalnej Mao Zedonga:
MacFarquhars Roderick, Michael Schoenhals, *Mao's Last Revolution*, Cambridge, Mass. 2008
Mao Tse-Tung, *Quotations from Chairman Mao Tse-Tung*, BN Publishing 2008

11 Zero ryzyka

Na temat chińskiego „straconego pokolenia":
China's Lost Generation Coddles Its Young, „The Washington Post", 24.11.2004
China's Lost Generation, „Time", 7.07.2008
Chinese Police Take On 'Lost Generation' Grandparents, „The Daily Telegraph", 1.11.2011

Na temat Liaoning Dingxu:

157 Seniors in Ningbo Have Their Investment Dreams Smashed, Over RMB 12 Million in Pensions Poured Down the Drain, „Southeastern Business Report", 15.05.2014

Illegally Absorbing Over 12 Million in Investments, Two People in Charge of Liaoning Dingxu's Ningbo Branch Sentenced, „Modern Gold Express", 15.05.2014

Liaoning Publishes 9 Cases of Economic Crimes, China News Service, 17.07.2012

Court Verdict of Defendant Zhang Xiuying, Anyang City Beiguan District Court, 20.08.2014

Return on Investments in Liaoning Dingxu Never Come – Official. 'We've All Been Harmed', „Liaoning Evening News", 23.09.2012

12 Wiejskie wesele

Na temat walk o dostęp do jeziora Weishan:

Guo Rongxing, *Understanding the Chinese Economies*, Waltham 2012

13 Pielgrzymka CK

Na temat odrodzenia buddyzmu w Chinach:

Buddhism in China, China Academy of Social Sciences, Beijing 2010

Laliberté André, *Buddhist Revival Under State Watch*, „Journal of Current Chinese Affairs", February 2011

30-Year Renaissance. The Revival of Buddhism in China, Buddha Eye, July 2009

Chociaż od 1978 roku państwowe statystyki szacują liczbę wyznawców buddyzmu w Chinach na sto milionów, według Liu Zhongyou z Research Center for Religious Culture at East China Normal University w 2005 roku było ich już trzysta milionów.

14 Dom

Na temat procesu Xu Zhiyonga:

New Citizens. The Trial of Xu Zhiyong, „The Economist", 25.01.2014

A Leading Chinese Human Rights Advocate Is Detained in Beijing, „The New York Times", 17.07.2013

China Sentences Xu Zhiyong, Legal Activist, to 4 Years in Prison, „The New York Times", 26.01.2014

The Trial of the Chinese Dream, „The New Yorker", 17.01.2014

15 Chińskie sny

Na temat Gatewangu:

A Look at Some of the Rascals Involved in the Gate Concert Party, SharеProphets.com, 10.04.2015
Gatewang and Gate Ventures and Chinese Whispers, SharеProphets.com, 18.04.2015

Przypisy

[1] *Renminbi* (chiń. dosł. „ludowa waluta”), juan – waluta Chińskiej Republiki Ludowej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Kuai – potoczna nazwa juana.

[3] Fen – jedna setna juana.

[4] *Jiao* – jedna dziesiąta juana.

[5] New York City Transit Authority – zarząd transportu miejskiego, któremu podlega między innymi Metropolitan Transportation Authority (MTA), zarząd podziemnej kolei miejskiej w Nowym Jorku.

[6] CCTV (China Central Television) – Centralna Telewizja Chińska, telewizja publiczna w Chinach.

[7] NASDAQ (National Association of Securities Dealers Automated Quotations) – giełda papierów wartościowych w Stanach Zjednoczonych z filiami w Kanadzie, Chinach, Japonii i Dubaju.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018
Wydanie I